

ALEKSANDRA  
RUDA

ODNALEZĆ  
SWĄ  
DROGĘ

B

**Aleksandra Ruda**  
**Odnaleźć swą drogę**

# Odnaleźć swą drogę

Copyright © by Aleksandra Ruda  
All rights reserved

Tłumaczenie: Ewa Białołęcka  
Redakcja: Dorota Pacyńska  
Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda  
Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku  
Ilustracja na okładce: David Revoy

ISBN 978-83-64416-72-9

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz  
ul. Sosnkowskiego 17 m. 39  
02-495 Warszawa  
<http://www.bookrage.org>

# Prolog. Ja i mój przyjaciel półkrasnolud

Powiadacie, że półkrasnoludów nie ma?

A jednak mój przyjaciel z Uniwersytetu Nauk Magicznych i najlepszy kumpel od kieliszka Otto der Szwart jest półkrasnoludem. Niemożliwe! — możecie zakrzyknąć. Słyszeliśmy o półorkach, tłukliśmy się z półtrollami w knajpie za rogiem, spotykaliśmy półelfy, ale półkrasnoludy? Dajże spokój!

Oczywiście mnóstwo obywateli uważa nawet, że wśród krasnoludów to w ogóle nie ma kobiet. No bo kto je niby widział? A krasnoludy jakoby pojawiają się na świecie w jakiś mistyczny wręcz sposób — od razu z brodą i toporem w ręku.

Same krasnoludy zdecydowanie nie chcą rozwiewać tych zabobonów, z obawy, że tłumy chętnych zaraz rzucą się na ich niewiasty, wręcz porażające swą niezmierną urodą i zmysłem praktycznym. W każdym razie tak nam to wyjaśnił na swoich zajęciach profesor Swingdar der Kirchechast, wykładowca magii rzemieślniczej.

Wszyscy chrząkali z niedowierzaniem, ale głośno nikt nic nie powiedział, gdyż profesor miał żonę i trzech synów. Żony co prawda nikt nie widział, bo mieszkała w swoim domu w Beskidzkich Wąwozach. Za to z młodszymi Kirchechastami nie bili się jedynie najwięksi lenie i skończeni pacyfiści.

— Rozumiesz, Ola, kobieta powinna siedzieć w domu, wychowywać dzieci i wspierać we wszystkim męża — tłumaczył mi Otto podczas degustacji nowego koktajlu. — Dlatego mamy takie mocne rodziny, i silne więzi rodzinne, nie to co...

Nie dokończył. Zakrztusił się, rozkaszał i wypluł na spodek jakiś podejrzanym przedmiot.

— A to co?!

— Marynowana mysz.

— Po co?

— Przecież chciałeś czegoś egzotycznego. Tak też się nazywa ten

koktajl: „Pikantny Ogonek”.

Kiedy topniało nam skąpe stypendium, dorabialiśmy sobie nielegalnym handlem wyrobami spirytusowymi. Otto odziedziczył po krasnoludzkich przodkach umiejętność pędzenia doskonałego samogonu, zaś ja, jako studentka magii teoretycznej, opracowywałam receptury koktajli. Degustacją próbną zwykle zajmowaliśmy się razem, albo w towarzystwie takich samych eksperymentatorów-ryzykantów.

— Co za świństwo!

— Mysz nadaje pikantny aromat! — obraziłam się.

— No dobrze, ale wyławiaj te myszy przed sprzedażą, bo będziemy musieli płacić odszkodowania za szkody moralne.

— Nasze kobiety są bardzo piękne — kontynuował Otto w rozmarzeniu. — Jeden feler, że jest ich mało. Dlatego żenią się tylko wysoko postawione krasnoludy.

Z jego słów wynikało, że w standardowej krasnoludzkiej rodzinie rodziło się czworo lub pięcioro dzieci, z których przy dużym szczęściu dwójka była dziewczynkami. Tak już to urządziła sama natura — wcześniej śmiertelność w kopalniach była bardzo wysoka.

Nawiasem mówiąc, mnie osobiście wydawało się, że i bez pracy w kopalniach męska część krasnoludzkiej rasy przejawia tendencje zniżkowe — większość krasnoludów jest okropnie zapalczywa i kto wie, czy zwykle bójki nie zabierały więcej żywotów, niż wypadki w wyrobiskach.

Któraś raz Otto przez dwa dni nie pojawiał się na wykładach wspólnych dla naszych fakultetów. Początkowo myślałam, że po prostu się przeziębił, ale następnego dnia zaczęłam się martwić i po zajęciach poszłam do jego akademika. Tam też znalazłam Ottona, leżącego na łóżku ze smętnym wyrazem twarzy, na której nawet gęsta broda nie była w stanie ukryć sińców.

Obłożyłam nieszczęśnika kompresami, wydobyłam z siebie należyłą porcję ochów i achów, po czym zaczęłam czekać na sprawozdanie.

Półkrasnolud, wiedząc, że o cudzych sekretach milczę jak grób, poskarżył się, że oberwał tak na Święcie Urodzaju, zwyczajowo obchodzonym przez krasnoludzką wspólnotę pod koniec listopada. W czasie tradycyjnego konkursu piękności aktywnie zainteresował się niejaką Writte — niestety, nie wiedział, że ma ona zazdrosnego

narzeczonego z twardymi kułakami. Tak więc Otto cierpiał teraz z powodu nieszczęśliwej miłości oraz jej następstw.

— Głupstwa. Hormony ci szaleją i tyle. Napijesz się naleweczki i zaraz ci przejdzie.

— Nic nie rozumiesz! Ona jest taka piękna! Nawet Ptrońka by jej się nie oparł!

Ptrońka był znany na całym uniwersytecie z tego, że otwarcie interesował się nie dziewczętami, a „przystojnymi i męskimi trollami”, permanentnie cierpiąc z powodu nieodwzajemnionych uczuć.

Moja bujna wyobraźnia natychmiast odmalowała obraz sztywnej blondynki z seksownymi wypukłościami i nogami aż do szyi. Z jakiegoś powodu w jednej ręce dzierżyła topór, a drugą trzymała Ottona za brodę.

— Ty mnie nie słuchasz! — oburzył się Otto. — O, masz!!!

Wydobył spod poduszki długi, pomięty zwitek. Powoli odcyfrowałam runy nagłówka: „Portrety uczestniczek dorocznego konkursu piękności na Święcie Urodzaju”. Writte była pierwsza na liście. Odgadłam tylko to, że była blondynką.

Miała małe oczka, osadzone w szerokiej twarzy otoczonej obfitymi jasnymi bokobrodami, pucołowate policzki i maleńkie usteczka. Nad tym wznosiła się kopa jasnych włosów z mnóstwem warkoczyków. A wymiary! Jakie tam 90-60-90! Prędzej 150-120-150, a może i więcej. Nadmieniam, że zwykły krasnolud sięga człowiekowi do ramienia. W masywnych rączkach cudowna Writte dzierżyła nie topór, a zwykły wałek do ciasta.

— Co to? — spytałam, wstrząśnięta.

— Writte, ideał krasnoludzkiej urody.

— A gdzie ten ideał ma figurę?

— Nic nie rozumiesz. Kobieta powinna być odważna, mądra, silna i mieć obfite kształty. Żeby wydawać na świat zdrowe potomstwo, pomagać mężowi w kuźni i nie obawiać się życia w górach.

Uważnie oglądałam portrety wszystkich piękności. Różniły się tylko obfitością i kolorem bokobrodów oraz obwodem. Teraz zrozumiałam, skąd się wzięły plotki, iż krasnoludzie kobiety nie istnieją — taką panienkę można było bez trudu pomylić z krasnoludzkim chłopcem.

— A dlaczego trzymają wałki, patelnie i różne przybory kuchenne?

— Kobieta powinna być przede wszystkim dobrą gospodynią, a

dopiero potem wszystkim pozostałym! — Otto był już zły. — Widzę, że tym swoim ludzkim rozumkiem nie jesteś w stanie niczego pojąć! A moja mama pojęła, chociaż jest człowiekiem. Wiesz, kim jest moja mama? Moja mama to wielka kobieta! Zaraz ci opowiem...

Ottorn der Szwart, ojciec Ottona, pewnego razu pojechał w interesach do dużego miasta na północy kraju. Nie było tam krasnoludzkiej wspólnoty z powodu bliskości elfickich osad, dlatego Ottorn widział tam kolosalne możliwości dla swego biznesu. Po podpisaniu umowy partnerzy zaprosili Ottorna do cyrku osobliwości, który tymczasowo gościł w mieście. W czasie przedstawienia klauni wyśmiewali się z krasnoludów. („Jak rozmnażają się krasnoludy? Przez beczkowanie. Wypije taki beczkę piwa i już jest ich dwóch!”)

Oburzony do głębi duszy Ottorn wdarł się za kulisy, do kierownika cyrku. Chłopina, widząc prawdziwego, żywego krasnoluda, natychmiast podał tyły i zrzucił całą winę na właścicielkę, niejaką Walinę. Ottorn wszedł do jej pokoju i... osłupiał. Za stołem siedziała bardzo duża kobieta, w dodatku przyozdobiona bujną brodą. Powoli wstała, wyszła na środek pomieszczenia i podniosła stukilogramowego krasnoluda za kołnierz, niczym piórko.

— Czego... pan sobie życzy? — zagrzmiała.

Ottorn wydobył z siebie pełne zachwyty chrypienie. Postawiony z powrotem na podłodze, zarył nosem w obfity biust nieznajomej, westchnął i jak stał, tak padł na kolana.

— Ręka, serce i biznes.

Olbrzymka nie zrozumiała.

Ottorn oderwał wzrok od jej kuszących kształtów, zastanowił się i oświadczył:

— O, najcudowniejsze objawienie mego życia! Pozwól, że oddam do twojej całkowitej dyspozycji moją rękę, serce i biznes: dwa sklepy z zaczarowanym orężem i trzy kuźnie! Obiecuję przez całe życie kochać cię i zdmuchiwać pył z twojej drogi, tylko zgódź się zostać moją żoną.

Naturalnie Walina się nie zgodziła.

Wyrzuciła Ottorna za drzwi, określiwszy go dosadnym słowem „świr”.

Ottorn nie poddał się. W gospodzie, dawszy profilaktycznie po karku jakiemuś typkowi, który ośmielił się nazwać cudowną kobietę „cielskiem

z brodą”, pan der Szwart rozpoczął oblężenie Waliny. Jako krasnolud rozumny, zakupił broszurę pod tytułem „Jak zdobyć ludzką kobietę. Porady w pięćdziesięciu krokach”. Podliczywszy wydatki od kroku pierwszego (podaruj jej bukiet róż) do pięćdziesiątego (ofiaruj jej naszyjnik, zrobiony przez krasnoludy, na poduszczyce z elfickich róż), Ottorn podniósł ceny w najbardziej dochodowym sklepie i poszedł do Waliny.

Bukiet znalazł się za oknem, a z ślad za nim poleciał i krasnolud.

Wiersze, poświęcone niezemskiej urodzie wybranki, zostały podarte na drobne kawałeczki.

Wynajęci minstrele oberwali zimnym prysznicem z balkonu.

Zaproszenie na romantyczną przejażdżkę łódką odrzucono ze wzgardą.

Ottorn nie upadał na duchu.

Krewni pukali się znacząco w czoło. Matka Ottorna słała rozpaczliwe listy do czasu, póki syn nie wysłał jej portretu pięknej Waliny. Po tym przybyło wsparcie.

Po mieście krążyły plotki. Na krasnoludzki oddział uwodzicielski przypuściły szturm miejscowe ślicznotki, ale niczego nie wywalczyły. Czyż mogły się równać ze stu pięćdziesięciokilową brodatą Waliną, twardą jak stal?

Do Waliny schodzili się interesanci z prośbami o recepturę eliksiru miłosnego. Bilety na każde przedstawienie były wyprzedane z dużym wyprzedzeniem.

Partnerzy biznesowi podarowali Ottornowi „Podbój elfki. Subtelne porady”, „Młotem po głowie czyli Troll Zwycięzca” i nie wiadomo dlaczego „Rozmnażanie pomroki. Podręcznik III roku Uniwersytetu Nauk Magicznych”.

Walina poddała się na kroku czterdziestym (przedstaw jej korzyści waszego wspólnego życia). Ottorn spisał całą listę takich korzyści. Rzeczowe wyznanie uczuć Ottorn wysłał poprzez swoich trzech kuzynów, którzy otrzymali srogie polecenie dopilnowania, by dokument został przeczytany.

Walina zaprosiła Ottorna w celu omówienia „wariantów współpracy”.

— Rezultat współpracy siedzi przed tobą — oznajmił Otto z dumą.



— Mam jeszcze brata i trzy siostry, rodzinny biznes kwitnie, a małżeństwo moich rodziców jest bardzo szczęśliwe. A ty mi tu o figurze!  
...A wy mówicie, że półkrasnoludy nie istnieją?

# Pierwszy rok

## Rozdział 1. Początek dorosłego życia

Początek dorosłego, samodzielnego życia był ciężki.

Cicho skradałam się po domu, piastując w objęciach wielką walizkę. Z powodu tego minimum niezbędnych rzeczy, które do niej wepchnęłam, była niemalże nie do ruszenia, a bałam się ją ciągnąć po podłodze — zgrzytanie walizy po parkiecie na pewno podniosłoby na nogi całą moją rodzinę. W salonie postawiłam bagaż na podłodze i podeszłam do stołu, wyciągając z kieszeni liścik.

— Jednak postanowiłaś uciec? — rozległ się głos z kąta.

Wzdrygnęłam się.

— Mama? Co ty tu robisz? Myślałam, że śpisz!

— Śpię. Tutaj, na fotelu.

— A jak się domyśliłaś, że...

— Córeczko, urodziłam cię i wychowałam. Ty jeszcze o tym pamiętasz?

— To znaczy, że nie masz nic przeciwko?

— Owszem, mam. Ale co mogę zrobić?

— Mamo, nie chcę marnować życia w tej dziurze! Chcę zdobyć wyższe wykształcenie i zostać wybitnym magiem.

— Skończyłaś Liceum Magiczne. Po co ci więcej? To w pełni wystarczy do otwarcia praktyki. A potem wyjdiesz za mąż...

— Nie chcę za mąż! Nie chcę! Nie chcę przeżyć całego życia tak, jak ty!

— Jak? W otoczeniu kochającej rodziny? Uważasz, że to takie okropne?

— Tak! Nigdzie nie bywać, niczego nie widzieć, co może być gorsze?

— Źle cię wychowaliśmy. Nie powinniśmy ci pozwalać czytać książek przygodowych.

Umilkłyśmy, zgodnie dochodząc do wniosku, że o tym była mowa

już nie raz i nie dwa, i nawet nie dziesięć od momentu, kiedy otrzymałam dyplom ukończenia liceum.

— Nie mamy pieniędzy na twoją naukę — przypomniała mama.

— Wystaram się o stypendium i za moją naukę zapłaci królestwo. A w ogóle, to jestem samodzielna.

Mama milczała. Położyłam notatkę na stole, dumnym gestem złapałam za uchwyt walizki i mocno szarpnęłam. Waliza nieoczekiwanie lekko szurnęła po nawoskowanej podłodze, podcięła mi nogi i wpadłam na drzwi.

— Spróbuj się nie zabić, nim wstąpisz na uniwersytet, ty samodzielna osobo — powiedziała mama.

— Nie zabiję się — wysapałam. — Do zobaczenia, mamo.

— Jeśli coś pójdzie nie tak, to pamiętaj, że cię uprzedzałam. I wróć.

— Wróćę — odparłam. — Ale dopiero wtedy, kiedy osiągnę swój cel!

Mama pokiwała głową. Nie wierzyła w moją świetlaną karierę. Oczywiście wolałaby, żeby wszystkie pięć jej córek pozostało obok, potem wyszło za mąż i żyło jak wszyscy normalni ludzie w tym zapyziałym miasteczku.

Wytaszczyłam walizkę na ganek. Ciężkie drzwi walnęły mnie w plecy, spychając na zakurzoną ścieżkę. W taki to „triumfalny” sposób opuściłam dom rodzinny.

Podniosłam się z kolan, obejrzałam zabrudzoną sukienkę i westchnęłam ciężko. Oczywiście, po przybyciu do miasta miałam zamiar się przebrać, ale podróż w brudnym ubraniu to żadna przyjemność. Dorosłe życie zaczynało się parszywie.

Dotaszczyłam walizkę do poczty, gdzie już stał dyliżans. Zająłam swoje miejsce i wyciągnęłam z kieszeni pogniecione ulotki reklamowe, które zabrałam z liceum. Najbliższy Uniwersytet Nauk Magicznych znajdował się w Czystiakowie. Zagłębiłam się w studiowaniu prospektów, próbując wybrać dla siebie odpowiednią specjalizację.

Nie wiedziałam, jaką magiczną profesję wybrać. Punktem wyjściowym było to, że nie chciałam spędzić całego życia w maleńkim miasteczku, marnując zdolności na przygotowywanie gorących okładów na zapalenie korzonków, maści na hemoroidy i sprzedaż lubczyku klientom „z własnymi naczyniami”.

Nie chciałam wiecznie pozostawać dzieckiem w oczach własnych rodziców i świecić dalece niedoskonałym przykładem czterem młodszymi siostrami. Nie chciałam wychodzić za mąż za jakiegoś przeciętnego chłopaka, który nie będzie rozumiał moich ambicji i pragnień. Poza tym wszystkim, miałam w ręku dyplom ukończenia Liceum Magicznego, na dodatek z całkiem niezłymi ocenami. Bez dyplomu wstąpienie na uniwersytet byłoby niemożliwe.

Chciałam zostać słynną i jeśli już nie bogatą, to dobrze sytuowaną damą, która sama decyduje o swoim życiu. Chciałam, żeby mnie szanowano i żeby nikt już nie śmiał się z tego, jak jestem ubrana i że nie mam swojego chłopaka. „Czekamy na utalentowaną młodzież! Wstępujcie w nasze szeregi! Zdobędziecie perspektywiczny i dobrze opłacany zawód!” — obiecywały ulotki. Schowałam je. Przyjadę do miasta i tam się zobaczy, co dalej!

Czystiakowo przywitało mnie szerokimi, gwarnymi ulicami, wielką ilością różnorodnych sklepów i sklepików oraz tłumami młodzieży — okres rekrutacji na wyższe uczelnie był w pełni. Przebrawszy się w swój najlepszy kostium, wysiadłam z dylizansu koło wejścia na teren Uniwersytetu Nauk Magicznych. Przyciskając do siebie walizkę, jedyną znajomą rzecz, rozejrzałam się dokoła. Nie miałam bladego pojęcia, gdzie dalej iść i co robić.

— Eeee, przepraszam! — zawołałam przechodzącego obok chłopaka. — Może byś mi pomógł? Przyjechałam się zapisać...

Chłopak obejrzał mnie od stóp do głów, krzywiąc wargi z niesmakiem.

— Kolejna prowincjuszka. Dziecino, takich ciuchów nikt tu nie nosi już od roku!

Zmieszałam się, a on ciągnął dalej:

— Jaka długa kiecka! Nie masz nóg do pokazania? A żakiet w ogóle nie podkreśla biustu. A włosy! Co za okropny pęczek...!

Przełknęłam łzy.

— Nie przyjechałam na konkurs piękności, tylko studiować!

— Mam nadzieję, że nie na Wydział Jasnowidzów? Nie masz tam najmniejszych szans! Komisja rekrutacyjna siedzi w głównym budynku. Idź tamtędy. — Student machnął ręką.

Pogłaskałam szorstki bok walizki, żeby sobie dodać otuchy i

poszłam w stronę głównego budynku.

Nie zamierzałam iść na Wydział Jasnowidzów i Sędziów. Moi rodzice nie są arystokratami i bogaczami, więc w systemie sądowym dostałoby mi się miejsce najniższe z możliwych. A potem co, nosić całe życie papiery za takimi jak tamten bubek? A daru przepowiadania nie miałam.

Zatrzymałam się przy barwnych standach, reklamujących poszczególne fakultety. Najbardziej wymyślna była oczywiście tablica Wydziału Jasnowidzów i Sędziów — jaskrawe obrazki i połączone litery. Obok niej stały dwie dziewczyny w niesamowitych sukienkach, jakie do tej pory widywałam tylko na okładkach pisma „Dworskie Życie Królestwa”. Stand Rzemiosł Magicznych minęłam od razu, chociaż i on przyciągał uwagę wytwornymi, kutymi z żelaza literami i kwiatami tak przypominającymi naturalne, że na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić, że są zrobione z kamienia. Na ten wydział wstępowały przede wszystkim krasnoludy. Elfy i ludzie — rzadko. Perspektywa wystawiania przez pięć lat w uniwersyteckim warsztacie, a potem przez całe życie w swoim własnym, zupełnie mnie nie pociągała.

Fakultety Magii Teoretycznej oraz Transformacji Magicznej Energii. Nie, tam na pewno nie chcę. Teoretycy to zaszuszeni starcy, którzy przesiadują w bibliotekach. A co to takiego transformacja energii? Aha, „kierowanie energii w odpowiednie łożysko”. O ile rozumiem, to głównie magia wykreślna. Koszmar! W liceum mieliśmy podstawy magii wykreślnej i narysowanie równych linii w pentagramie, do tego jeszcze pod ściśle określonym kątem względem siebie(!) do tej pory kompletnie przekraczało moje możliwości.

Wydział Magii Praktycznej. Trzy specjalizacje: nekromancja — brrr!, magia bojowa i magia praktyczna. Magia bojowa! Brzmi kusząco. Najwyżej opłacana magiczna profesja. Magowie bojowi służą w armii Jego Wysokości, biorą udział w bitwach, chronią obywateli. Wszyscy chcą zostać magami bojowymi. Przyjrzałam się spisowi egzaminów. Tak, chyba na darmo się zapaliłam, egzaminu sprawnościowego nie zdam nigdy w życiu. Jestem leniwa i mam wstręt do zajęć sportowych. Szkoda, szkoda... Magia praktyczna. Ci zajmują się likwidacją pomroki, która wyrasta, jak grzyby po deszczu, okresowo lęgnie się po wszystkich kątach. Tu też można nieźle zarobić, no i taka praca oznacza podróże! Ale tylko w tym wypadku, jeśli mnie nie wyślą w okolice Gór

Zmierzchowych, z których pomroka wyłazi jak robactwo ze zgniłego sera. Ale nie, nie wyślą. Tam jest miejscowy uniwersytet czyli mają dość własnych magów. Trzeba się zastanowić. Egzaminu sprawnościowego zdawać nie trzeba, super! A z pozostałymi chyba dam sobie radę!

Wydział Uzdrawicielstwa. No, opcjonalnie. I zarobić można, i ma się szacunek u ludzi. Wezmę pod uwagę.

Weszłam do środka i skierowałam do sali, na drzwiach której wisiała karteczka z napisem „Wydział Uzdrawicielstwa”.

— Dzień dobry — odezwałam się do starszej uzdrawicielki, drzemiącej za stołem.

— Chciałaś się zapisać, skarbie? — zapytała.

Kiwnęłam głową.

— Trochę się spóźniłaś. Przyjdź w przyszłym roku. Przyjmujemy kandydatów z końcem wiosny, żeby przepracowali lato w Domu Uzdrawień i zdecydowali, czy aby na pewno są gotowi pomagać cierpiącym. Jeśli chcesz, zostaw zgłoszenie, a ja zawiadomię cię o naborze w przyszłym roku.

Ciekawostka! A co miałabym robić przez ten cały rok? Przecież nie wrócę do domu!

Podziękowałam i poszłam próbować szczęścia na fakultecie Magii Praktycznej.

Pod drzwiami audytorium, w której siedziała komisja rekrutacyjna, kłębił się tłum abiturientów. Smętny młody człowiek w szacie z emblematem uniwersytetu co jakiś czas krzyczał:

— Kolejka! Przestrzegać kolejności! Nowo przybyli, zapisywać się u mnie!

Przepchnęłam się do niego i przedstawiłam, zapisałam moje dane i dałam mi kartkę z marnie wydrukowanym tekstem.

„W związku z dużą liczbą chętnych, chcących wstąpić na Wydział Magii Praktycznej, władze uniwersyteckie wprowadzają dodatkowe warunki...”. Warunki zlały się przed moimi oczami w jedną wielką plamę, wystarczyło, że odczytałam: „zdanie egzaminu sprawności fizycznej według podwyższonych norm na dowolną specjalizację”. Podwyższonymi! Przecież ja w liceum nawet z obniżonymi normami wychowanie fizyczne ledwo zaliczyłam! Drzwi do sławy zamknęły się przed moim nosem z szyderczym skrzypieniem. Co robić? Wracać do

domu z niczym? Pozostało tylko jedno wyjście.

Powlokłam się jak na ścieżce ku audytorium z napisem „Wydział Magii Teoretycznej”. Stałam chwilę przed uchylonymi drzwiami. Ostatecznie bibliotekarz, nauczyciel lub specjalista od magii wykreślnej to i tak lepsze, niż mina mamy, którą zobaczę wróciwszy do domu z podkulonym ogonem.

Dziewczyna z komisji flirtowała z przystojnym, czarnowłosym chłopcem. Stałam w drzwiach, ale słodka parka nie zwracała na mnie żadnej uwagi. Długa grzywka nieustannie spadała chłopakowi na oczy, więc podrzucał głową, a jego przyjaciółka zanosila się dźwięcznym śmiechem. Czarna koszula kawalera była rozpięta na piersiach, a wąskie czarne spodnie podkreślały zgrabną figurę.

„Arogancki picuś” — pomyślałam.

Nigdy, przenigdy nie uśmiechali się do mnie tacy chłopcy! I nigdy nie miałam okazji śmiać się tak perliście, jak tamta dziewczyna. Rozgoryczona swym podłym losem, odezwałam się głośno:

— Hej, potrzebni wam absolwenci?

— A pani chce zostać teoretykiem? — odparła dziewczyna. — Hm, to zresztą widać!

Zaśmiała się, ale chłopak jej nie zawtórował. Patrzył na mnie uważnie, unosząc jedną brew. Złowiłam spojrzenie jego zaskakująco niebieskich oczu i nachmurzyłam się, starając się zgromadzić we wzroku całą swą pogardę dla takich cacusiów. Chłopak wzruszył ramionami i zeskoczył ze stołu.

— Owszem, chcę się zapisać — powiedziałam wyzywającym tonem. Nie miałam nic do stracenia. Jeśli i tutaj mi odmówią, pozostanie się tylko utopić. — A czym pani się tu zajmuje?

— Komisja jest na obiedzie — skrzywiła się dziewczyna. — Ja jestem tylko sekretarką.

— Skoro jest pani sekretarką, to proszę iść ich zawołać! — powiedziałam, stawiając z łoskotem walizkę. — Widzę, że i tak nie ma tu wiele do roboty.

— Zołza! — rzuciła, przechodząc obok.

— Wypacykowana lalunia! — nie pozostałam dłużna.

Wyszła, a ja miałam ochotę usiąść na podłodze, objąć walizkę i się rozpłakać. W wielkim mieście nikt na mnie nie czekał i nikomu nie byłam

potrzebna. Za to w domu na mnie czekali. I to jak! Ta myśl nieco mnie pokrzepiła. Wyprostowałam przygarbione plecy. Chłopak siedział teraz na jednym z odsuniętych do kąta krzeseł i uśmiechał się.

— No, chcesz coś powiedzieć? — odezwałam się.

— Przypominasz mokrego kociaka.

Rzeczywiście było mi gorąco w kostiumie, a i targanie walizki nie ułatwiało wymiany ciepłej. Byłam spocona, ale miałam nadzieję, że to nie będzie aż tak bardzo widoczne. Przełknęłam kamyczek w gardło.

— Mam nadzieję, że nie należysz do tych sadystów, którzy topią kociaki? — powiedziałam, próbując ukryć drżenie w głosie.

— Nie, nie topię kotów — pocieszył mnie rozmówca. — Ja je sekcjonuję. Jestem nekromantą.

Wzdrygnęłam się. Moja próba zażartowania nie była zbyt udana, więc milczałam, bojąc się odezwać ponownie.

— No... — rozległ się głos za moimi plecami. — Co stoimy? Proszę siadać, skoro już pani przyszła.

Obejrzałam się. W drzwiach stał wykładowca. Właśnie tak wyobrażałam sobie maga opiekuna — srogiego, rzutkiego i poważnego.

— Jestem profesor Bef — przedstawił się, siadając za stołem. — Irronto, co pan tu robi? Postanowił pan przekwalifikować się na teoretyka?

— Nie. — Chłopak się uśmiechnął. — Zna pan moje powołanie. Czekam — machnął grzywką w moją stronę — bo ją trzeba będzie odprowadzić.

Zacisnęłam wargi. Obejdę się bez jego pomocy. Ale Bef skinął głową z aprobatą.

— Dobrze. A więc zaczynamy! — Popatrzył w moje dokumenty. — Pani przecież chciała wstąpić na Wydział Magii Praktycznej, zgadza się?

Potwierdziłam.

— I czemu zmieniła pani zdanie?

Zdawało mi się, że Bef widzi mnie na wylot, więc powiedziałam uczciwie:

— Nie zdam z wuefu.

Irronto się roześmiał.

— A dlaczego chce pani iść do nas?

— Chcę się uczyć.



— Wie pani, być teoretykiem nie jest aż tak znów źle. Gdyby nie było teoretyków, nie byłoby zaklęć. Nie byłoby specjalistów od magii wykreślnej — to praktycy nie mieliby gotowych opracowań, nie byłoby tak efektywnego wywoływania demonów, ani zwalczania pomroki.

Smętnie kiwnęłam głową. Wszyscy znają imiona wielkich magów-praktyków, wojujących z siłami zła albo z sąsiednimi państwami. A spośród autorów zaklęć, którymi posługiwali się nawet najślawniejsi bohaterowie, nie potrafiłam wymienić ani jednego.

Bef pewnie zrozumiał, że nie udało mu się mnie przekonać o zaletach tego działu magii.

— Nawiasem mówiąc, istnieje bardzo rzadka i wysoko opłacana profesja w dziedzinie magii teoretycznej — rzekł w zadumie. — Ale pani się pewnie ten wariant nie spodoba.

— Dlaczego? — zainteresowałam się. Określenie „wysoko opłacana” mogło mnie pogodzić z przymusem nauki na Wydziale Magii Teoretycznej.

— Bardzo wysoko opłacana i prestiżowa profesja — mruknął Bef. — Być jednym z Mistrzów Artefaktów! Trzeba być specjalistą od magii wykreślnej i potrafić pracować rękami...

Wychyliłam się do przodu. Dostać doskonale płatną pracę! Prestiżową! Rzadką! Wrócić do domu na białym koniu! Nie umiem co prawda jeździć konno, ale nie szkodzi, nauczę się.

— Chcę studiować magię teoretyczną — oznajmiłam stanowczo.

— Świetnie — powiedział Bef, ani odrobinę nie zdziwiony. — Stypendium wynosi jednego złocisza. Zaraz napiszę skierowanie i dadzą pani miejsce w akademiku.

— A egzaminy?

— W tym roku przyjmujemy bez egzaminów — westchnął Bef. — Niedobór.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nauka u nas jest bardzo ciężka, a wszyscy chcą iść do sławy drogą łatwą i szybką.

Wstałam, ale pomyślałam o tym, że jak już mam być dorosła i niezależna, to należy być w tej kwestii konsekwentną.

— A mógłby mi pan podpowiedzieć, gdzie mogłabym znaleźć pracę na lato? — zapytałam nieśmiało.

— Przypuszczam, że wakujące stanowisko sprzątaczkę pani nie zainteresuje?

— Zainteresuje — szepnęłam, wyobrażając już sobie drwiny, jakimi mnie będą raczyć studenci z mojego własnego akademika. — Po prostu obawiam się, że nie starczy mi oszczędności na całe lato, a chciałabym się utrzymywać sama.

No pewnie, w tej chwili raczej nie mogę sobie pozwolić na nową garderobę i fryzjera, żeby choć trochę upodobnić się do tutejszych studentek. A zresztą, jaka różnica? Tak czy owak miejscowe laseczki będą się wyśmiewać jeśli nie z moich ciuchów, to z pracy!

Łzy w końcu znalazły sobie drogę na wolność. Zrobiło mi się bardzo, bardzo żal samej siebie. Bef w milczeniu patrzył, jak próbuję opanować emocje.

— Wie pani co? — odezwał się w końcu. — Proszę iść do biblioteki. Tam zawsze potrzebują ręk do pracy. Tym bardziej, że dysponuje pani pewnym zakresem wiedzy z liceum.

Skinęłam głową, połykając łzy i wzięłam notatkę dla kierownika akademika. Irronto bez trudu podniósł mój bagaż i wyszedł na korytarz, pogwizdując wesoło. Było mi wstyd, więc szybko wytarłam twarz chusteczką i próbowałam się uśmiechnąć.

— Mamy niedaleko — odezwał się nekromanta. — Na imię mi Irga, a nazwisko już znasz.

Zastanowiłam się. Moi rodzice, wówczas jeszcze na fali młodzieńczego romantyzmu i płomiennej namiętności obdarzyli swe pierworodne dziecię dumnym i rzadkim imieniem Olgierda. Nienawidziłam go. Tak, właśnie dlatego, że to imię wielu historycznych bohaterów, z których teoretycznie miałam brać przykład. Weźmy chociażby tę idiotkę Gerdę, która leciała za swoim niewiernym ukochanym przez pół świata. Nie cierpię jej. Wolał doświadczenie od świeżej młodości? To pies mu mordę lizał, szukaj sobie innego. Ale nie, trzeba było rozpaczać, męczyć się i odbijać faceta rywalce, której zresztą było mi żal, bo straciła ostatnią szansę poukładania sobie życia osobistego.

Albo powiedzmy ten wielki bohater Olgierd, który pogromił kupę wrogów, dał wolność naszej ojczyźnie i napłodził odpowiednią kupę dzieci, zarówno z prawego, jak i lewego łóża. Jakoś nie wzbudza we

mnie należytego szacunku! No i nie jestem płci męskiej, bohaterem nie zostanę, co najwyżej bohaterką.

— Jestem Ola — odpowiedziałam. — Ola Lacha.

Irga uśmiechnął się tak, że natychmiast nabrałam ochoty, by dać mu w ten przystojny dziób.

Po drodze przekonałam się, na ile popularny jest mój towarzysz — praktycznie każdy napotkany student uważał za swój obowiązek przywitać się z nim, a od westchnień dziewczyn zaczęło mi szumieć w uszach. Ja też dostałam swoją porcję uwagi — obrzucano mnie spojrzeniami uważnymi i zaczepnymi, najczęściej z pogardliwymi uśmiezkami lub litością. Miałam tego wszystkiego powyżej uszu, ale cierpiałam w dumnym milczeniu, powtarzając sobie, że wśród tych ludzi będę żyć i studiować całe pięć lat.

— Cześć, Irga. — Wysoki, urodziwy blondyn o arystokratycznych rysach podał nekromancie rękę z idealnym manikiurem.

— Blondas! — odpowiedział Irga, pokazując, że ma zajęte ręce. — Co tam?

— A nic. Patrzę, jakie zwierzątko przygarnąłeś. Brakowało ci takiego koczkodana do kolekcji?

„Zwierzątko? — pomyślałam, oglądając się. — Koczkodan? Oni mówią o mnie?”

Poczułam, że oblewam się rumieńcem.

Blondyn powoli obszedł mnie dokoła.

— Taaak — powiedział. — Biedna dziewczuszka z prowincji. Czemu nie zostałeś w domu?

Milczałam.

— Nie szkodzi, przejdiesz przez łóżko wujka Irgi, potem przez moje... Albo odwrotnie...

— Dosyć, Blondas — przerwał mu Irga. — Przesadziłeś.

Poszliśmy dalej. Kiedy skręciliśmy za róg, złapałam walizkę.

— Oddaj!

— Dlaczego?

— Dość! W ogóle nie chcę być obiektem takich dowcipów! — Szarpałam za rączkę walizki, ale nekromanta nie wypuszczał jej z rąk.

— Ja się z ciebie nie wyśmiewałem.

— Wyśmiewałeś! Wszyscy się ze mnie śmiejecie!

— Po prostu ty się wtedy tak zabawnie złościś — usprawiedliwił się Irga.

— Nie chcę być zwierzakiem w twojej kolekcji!

— Na to trzeba zasłużyć!

Rozzłoszczona, zbyt mocno pociągnęłam za uchwyt, zamki nie wytrzymały i walizka się otworzyła. Stos rzeczy posypał się na ziemię. Chłopak z zaskoczenia wypuścił walizkę. Nie kryjąc łez złości, wypchałam swój dobytek z powrotem. Irga przykucnął, by pomóc.

— Nie rusz! — krzyknęłam. — Nie chcę, żebyś jeszcze...

— Kiedy ja lubię grzebać w babskich szmatkach — odparł Irronto.

Nie wytrzymałam i trzepnęłam go trzymaną w ręku spódnicą. Sprzączka od paska zostawiła na jego policzku czerwony ślad. Zerwał się, zaciskając pięści.

— Nienawidzę cię! — wyszlochałam. — Nie jestem koczokodanem! Ani zwierzakiem! Po prostu chcę się uczyć! Dlaczego wszyscy się nade mną znęcają?!

— Może dlatego, że tak gwałtownie reagujesz? — odparł Irga nieoczekiwanie spokojnie.

— Nie potrzebuję twoich rad! — Poniosłam walizkę ścieżką.

— Akademik jest po tamtej stronie! — Nekromanta wskazał kierunek.

Otarłam łzy, obciągnęłam żakiet i poszłam w tamtą stronę.

Kierowniczką, kobieta o surowej twarzy pociętej bliznami, wydała mi obszerny regulamin.

— Za łamanie przepisów wyrzucamy — oznajmiła.

— Dobrze... — odrzekłam pokornie.

— Orgii nie urządzać! Nie pić za dużo! Nie używać magii!

— Tak zupełnie?

— Nie, potem sobie tam przeczytasz, jakie są ograniczenia. A remont po magicznych eksperymentach będzie na twój koszt.

Kierowniczką srogo popatrzyła na mnie i na rzeczy sterczące z walizki.

— Nie lubisz porządku?

Wystraszona, pokręciłam głową.

— Niechluje długo tu miejsca nie zagrzeją — powiedziała kierowniczką.

— Walizka mi się otworzyła... — wymamrotałam.

— Dobrze. Tu masz klucz. Pokój na drugim piętrze. Współlokatorkę będziesz miała miłą i spokojną. Dogadacie się.

Po paru minutach stałam pod obdrapanymi drzwiami z przekrzywionym numerem „204”. Zastukałam nieśmiało.

— Kogo tam diabli niosą? — rozległ się krzyk. — Śpię!

— Jestem nową lokatorką — odpowiedziałam.

— To wchodź!

W ciasnym pokoju stał stół, szafa i dwa łóżka. Na jednym z nich leżała krótko ostrzyżona brunetka. Nad łóżkiem na półce leżała czaszka w modnym kapelusiku. W zębach czerepu tkwiła obeschnięta bułeczka.

— Jestem na diecie — wyjaśniła nowa sąsiadka, widząc moje spojrzenie. — Bez sukcesów.

— Mnie też nigdy diety nie wychodziły — przyznałam się.

— Ale czemu stoisz? Wal się na swoje łóżko, przecież widzę, jaka jesteś zmęczona.

— Jechałam całą noc i rano, a potem jeszcze się rejestrowałam.

— Ja się tu już rok męczę — powiedziała sąsiadka, drapiąc się po brzuchu. — Mam na imię Lira, jestem uzdrowicielką. I mam parszywy charakter, dlatego nikt ze mną nie mieszka.

— Ja jestem Ola. Wstąpiłam na wydział teoretyczny. Nie boję się twojego charakteru, mam cztery młodsze siostry.

Roześmiała się.

— To się zaprzyjaźnimy. Ja nie mam rodzeństwa, z całej rodziny tylko mama, wyszła po raz piąty za męża, wyobrażasz sobie? A ja do tej pory nawet chłopaka nie miałam! Czasami się zastanawiam, czy mnie w kołysce nie podmienili!

Otworzyłam walizkę, żeby ukryć swoje zmieszanie. Miałam ochotę poskarżyć się Lirze na niemiłe przyjęcie, jakie zgotowało mi miasto, opowiedzieć o tym, że ja też nigdy nie miałam chłopaka. Jednak bałam się otwierać duszę przed nieznaną w sumie osobą.

— No dobrze — odezwała się nagle Lira. — Nie zwracaj uwagi. Ze zdenerwowania gadam głupoty. Moja poprzednia współlokatorka była nie za bardzo. Uwielbiała trolle, szczególnie w naszym pokoju. Włazili do niej przez okno.

— Ja też się denerwuję — odpowiedziałam. — A za trollami nie

przepadam, słowo.

— Czyli będziemy żyć zgodnie i spokojnie? — zapytała moja współlokatorka z nadzieją.

Wzruszyłam ramionami, myśląc o wszystkich, których w przyszłości czekała moja Straszliwa Zemsta, szczególnie zaś o przystojniaczku Irdze, do haremu którego już mnie zdążyli zapisać.

„Jeszcze zobaczy, co ze mnie za zwierzaczek!” — pomyślałam mściwie.

— Zobaczymy jak to wyjdzie — odpowiedziałam Lirze, wysypując ubrania z walizki. Czeką mnie mnóstwo roboty.

## Rozdział 2. Kreska raz, kreska dwa

— Hej, hej, obudź się! — Lira potrząsnęła mnie za ramię. — Co ci się stało?

— Mmmm, nie ruszaj mnie! Śpię!

— Widzę — powiedziała moja przyjaciółka. — A nie wolałabyś pospać na łóżku?

— Tu mi miękko i przyjemnie...

— Oczywiście, leżysz w misce z sałatką!

— Ja?

— Ty! A ja tę sałatkę chciałam zjeść na kolację! W ogóle spałaś dzisiaj? — Lira podała mi ręcznik.

— Spałam, dopóki mnie nie obudziłaś — burknęłam i przeciągnęłam się.

Nauka na Wydziale Magii Teoretycznej była bardzo ciężka. Zajęcia zaczynały się wcześniej rano i kończyły późnym wieczorem. Z zawiścią patrzyłam przez okno na dwór, gdzie po pierwszym zimowym śniegu biegali studenci-praktycy. Różnili się od nas wyglądem, jak różni się świeżutkie jabłuszko, wiszące na gałęzi, od pomarszczonej mizeroty, która przeleżała całą zimę w spiżarni.

Dlaczego, no dlaczego nie uprawiałam żadnego sportu? Teraz biegałabym z rumieńcami na policzkach wśród sprężystych, zgrabnych chłopaków pod przyjemnymi śnieżynkami, a nie siedziałam w audytorium, by w mdłym blasku świetlików rozwiązywać nudne zadania!

Niestety, musiałam przyznać, że mama czasem ma rację. Mówiła mi przecież: ucz się pilnie, nie wagaruj z gimnastyki! Dlaczego jej wtedy nie słuchałam?

Moje męki i nocne czuwania zaczęły się po pewnym niespodziewanym spotkaniu. Pochmurnym wieczorem, otulając się płaszczem, niemalże wpadłam na ulicy na jakiegoś człowieka.

— Przepraszam — wymamrotałam, usiłując się prześliznąć obok niego.

— Olgierda? — Znajomy, dźwięczny głos.

Podniosłam wzrok i osłupiałam. Eluwirieli! Piękny jak z obrazka,

złotowłosa elf! Moja pierwsza miłość. To dla niego każdego ranka biegłam do liceum, a na przerwach wypatrywałam Ela na korytarzach. Miałam nadzieję, że moje uczucie pozostanie tajemnicą, ale naturalnie szkolni szydercy nie mogli nie zauważyć jak patrzę na ulubieńca wszystkich dziewcząt. Starłam się nie zwracać uwagi na kpiny, ani na obraźliwe napisy, pojawiające się na moich zeszytach, a nawet na plecach. Najważniejsze, że On czasami się do mnie uśmiechał. I nawet kiedyś podał mi rękę, kiedy schodziłam ze stopni dyliżansu — całą grupą pojechaliśmy wtedy na konkurs międzylicealny.

Stałam i w milczeniu gapiłam się na moje marzenie. Potem nie wytrzymałam i pomacałam jego rękaw. Był w pełni materialny, z grubej, miłej w dotyku elfickiej tkaniny.

— Olgierda. — El uśmiechnął się. — Nie spodziewałem się ciebie tu spotkać. Co tutaj robisz?

— Wiesz, jak mam na imię? — wykrztusiłam.

— Oczywiście — odpowiedział. — Przecież ty znasz moje. Czy może zapomniałaś?

— Eluwirieli... — powiedziałam z trudem.

— Studiujesz?

— Tak, na wydziale teoretyków.

— Magia teoretyczna to wspaniała sprawa! — oświadczył elf. — Ja też jestem teoretykiem. A co u ciebie? Podobają ci się studia?

Eluwirieli też jest teoretykiem! Jednak nie pomyliłam się w wyborze profesji, skoro nawet elf ją wybrał!

— Podobają. — Gdyby powiedział, że jada na śniadanie żywe karaluchy i zapytał, co sądzę na ten temat, odpowiedziałabym dokładnie tak samo. I połknęłabym parę na dowód. — Tylko ta magia wykreślna...

— To najpiękniejsze zajęcie na świecie! — wykrzyknął mój ukochany. — Uwielbiam magię wykreślną! To takie interesujące, ta doskonałość linii, piękno kątów, rozdzielanie potoków energii, elegancja formuł...

„Nie widział doskonałości moich linii — pomyślałam smętnie. — Ale by się uśmieł! Albo raczej przeraził”.

— O, chciałbym ci coś podarować — powiedział El. — To moja książka „Podstawy magii wykreślonej”.

— Twoja książka? — zdziwiłam się.



— Pisałem ją przez dwadzieścia lat.

Dwadzieścia? Przecież ja żyję krócej na tym świecie!

— Dlatego uczyłem się w waszym liceum. Chciałem zapoznać się z podstawami ludzkiej magii. To było ciekawe.

Do Magicznego Liceum miał prawo wstąpić każdy chętny, niezależnie od wieku i rasy. Najważniejsze, by miał niezbędne minimum wiedzy i talent do magii — to doskonale pamiętałam. Dlatego w naszej grupie uczyli się ludzie w różnym wieku i z rozmaitych środowisk. Wielu uważało za swój święty obowiązek pokazać mi moje miejsce i dać „przyjacielską radę”.

— O, proszę. — Elf napisał coś szybko na stronie tytułowej. — Życzę ci sukcesów w magii wykreślnej!

Drżącymi rękami przycisnęłam książkę do piersi.

— Widzisz, jak się dobrze złożyło? — mówił El. — Niebawem ta książka będzie w sprzedaży, a ty już masz egzemplarz. I to jeszcze z autografem autora! No, mam jeszcze sporo spraw do załatwienia. Życzę powodzenia!

Pochylił się i dotknął wargami moich ust. Pachniał miętą, słońcem i lasem. Zamarłam, nie mogąc uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Eluwiriel odszedł, a ja stałam na ulicy, przyciskając do siebie książkę i przeżywając wciąż na nowo ten pocałunek.

— Hej! — Przed moją twarzą ktoś zamachał ręką. — Żyjesz?

Mrugnęłam i ujrzałam Irgę. Jego denerwująca maniera rozciągania samogłosek tak drażniła moje uszy po śpiewnej mowie elfa, że odkaszlnęłam i powiedziałam:

— Wkurzasz mnie.

— Piękne powitanie! — odparł Irga. — Gdyby nie ja, zamarzałabyś na ulicy! Zaczarował cię ten elf, czy co?

— Nie, on mnie tylko... tylko...

— Pocałował — dokończył Irga, nie wiadomo czemu ponuro.

— A ty podglądałeś! — oburzyłam się. Wolałabym, żeby ta chwila była tylko moja, a już na pewno nie chciałam, żeby takie typki, jak ten bezczelny goguś trywializowali najbardziej wzniosłe przeżycie w moim życiu.

— Nie. Po prostu szedłem ulicą — odgryzł się Irga.

— No to idź sobie dalej. Czego się przyczepiłeś?

— Zamarzniesz, zachorujesz i umrzesz — oznajmił Irronto. — i trafisz na mój stół, w charakterze materiału do ćwiczeń dla nekromantów. A wtedy nacieszę się tobą do woli.

Drgnęłam, wyobraziwszy sobie tę perspektywę i pokłusowałam ulicą.

— Mógłby być moim ojcem! — żaliłam się Lirze tego samego wieczoru. — A ja byłam w nim zakochana!

— „Olgierdzie — dziewczynie ze smutnymi i zakochanymi oczyma” — przeczytała głośno Lira dedykację. — Jaki ładny charakter pisma!

— W końcu to elf — powiedziałam. — Stary.

— Wcale nie, według ich miar jest jeszcze bardzo młody — zauważyła moja przyjaciółka, przeglądając książkę. — Tam u siebie skończył uniwersytet, zaczął pisać książkę, chodził do waszej szkoły... Jakies siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat najwyżej.

— Dziadkiem by mógł być! — Złapałam się za głowę.

— No, dobra, dobra! A jak on według ciebie miał się zachować? Powiedzieć: dziewczyno, widzę, że ty mnie kochasz, ale ja jestem od ciebie cztery razy starszy? A ty byś poszła i się powiesiła. Niedaleko szukać, u nas w Domu Uzdrawień niedawno ratowaliśmy taką ofiarę pierwszej miłości. A teraz jesteś dla niego całkiem dojrzałym winogronkiem. Patrz, nawet cię pocałował!

Podniosłam rękę do ust i zdecydowałam nie przyznawać się, że to był mój pierwszy pocałunek.

— A tak w ogóle, nowa kochanka naszego króla ma piętnaście lat. W porównaniu z nią to już właściwie jesteś matroną.

— Wszyscy faceci to bydlaki! — oznajmiłam z mocą.

— Powiedz coś nowego — ziewnęła moja przyjaciółka, rzucając mi książkę.

Tom uderzył mnie w brzuch, objęłam go obiema rękami, usiadłam na łóżku i zadumałam się. Nie wiem, jaki czar tkwił w pocałunku elfa, ale to, jak rozmawiałam z Irgą, mnie samą zdziwiło. Byłam taka odważna! Westchnęłam i zaczęłam czytać, walcząc z chęcią kartkowania stronic bez wnikania w treść. O dziwo, wiele założeń magii wykreślnej, wyłożonych w książce, było znajomych — omawiano je na zajęciach. Lecz to, co w ogromnym audytorium wydawało się nudne, w książce Eluwiriela było przedstawione tak ciekawie! Elf jakby rozmawiał ze mną,

jakby wersy tej książki były kierowane tylko do mnie. Czasem robiłam przerwę w czytaniu, przypominając sobie scenę na zaśnieżonej ulicy. O, El! Zrozumiesz, że nie na darmo podarowałeś mi swoją książkę!

Następnego dnia poprosiłam profesora Befa, który wykładał u nas właśnie magię wykreślną, o pozwolenie zajmowania wieczorami audytorium — do większości rysunków potrzebna była duża powierzchnia, optymalnie chroniona przed negatywnymi skutkami nieumiejętnego kreślenia. Bef zgodził się, tym bardziej, że moje oceny z tego przedmiotu nie były zachwycające.

Od tej pory każdego wieczoru kreśliłam. Płakałam, oglądając swoje krzywe linie, ścierałam kredę i znów kreśliłam. Kiedy już zupełnie nie miałam sił, wspominałam zaśnieżoną ulicę i pocałunek, pachnący miętą. I kreśliłam od nowa.

Oczywiście innych zajęć i wykładów nikt nie odwołał, więc na sen już nie wystarczało czasu.

Chodziłam zła i cały czas próbowałam się gdzieś zdrzemnąć. Parę razy ktoś mnie próbował zaczepiać, ale odgryzałam się tak zręcznie, że sama sobie się dziwiłam.

W końcu moje wykresy zaczęły wychodzić prawidłowo. Zauważyłam, że Lira ukradkiem dolewa mi do herbaty nalewki wzmacniającej i postanowiłam mniej kreślić, a więcej spać.

Pewnego razu, późnym wieczorem zaszłam do audytorium, gdzie zawsze kreśliłam. Dużą przestrzeń podłogi, na której krzyżowały się linie, doskonale oglądało się z miejsc dla studentów, które znajdowały się na podwyższeniu. Wpierw kreśliłam, a potem wchodziłam na górę i oglądałam swoją robotę — wszystkie błędy były widoczne jak na dłoni.

Zapaliłam światła i rozłożyłam na stole wykładowcy swoje zadanie na dzisiaj. Na górze coś zaszleściło. Z przestrachem złapałam wielką linijkę niczym miecz.

— Kto tam jest? Wychodź, bo...

— Hej, wojowniczeko! Co tu robisz? — Usłyszałam znajomy głos i pożałowałam, że nie zdołam dorzucić liniałem na samą górę.

— Pracuję, w przeciwieństwie do niektórych — odparłam, starając się nie patrzeć na tańczące po ścianach cienie. — Kontynuujcie. Nie będę wam przeszkadzać.

Wzięłam kredę i z obojętnym wyrazem twarzy zaczęłam kreślić. Na

górze słycać było kotłowaninę i chichoty. Okropnie mnie to drażniło, ale starałam się tego nie okazywać.

— Irga! — rozległ się damski głos, pełen urazy. — Ja tak nie mogę!  
Ona patrzy!

— Przecież ona niczego nie widzi. — Głuche echo hulało po pustej Sali. — Ola! Ty nas widzisz?

— Odczepcie się ode mnie, co?

— Sama widzisz. — Nekromanta próbował uspokoić dziewczynę, ale widocznie mu się to nie udało. — Ola, a nie mogłabyś pokreślić gdzie indziej?

— Nie — odpowiedziałam uprzejmie. — A wy nie moglibyście.. robić tego gdzie indziej? Mnie pasuje tylko to audytorium.

— Kiedy my już zaczęliśmy — powiedział Irga.

— Ja też. — Całą sobą pokazałam, że jestem zaabsorbowana pracą.

Po jakimś czasie dziewczyna, otulając się płaszczem, zeszła na dół.

— Jesteś bez serca — oświadczyła.

Wzruszyłam ramionami.

— Jesteś podłą starą cnotką! — Niezadowolona kochanka szukała, czym by tu mi najmocniej dogryźć. — Nie wiesz, jakie do wspaniałe być w czułych męskich objęciach. Jesteś suchą i zimną dziewczuchą. I w ogóle nikomu niepotrzebną szmatą.

— Aha... — zgodziłam się, kończąc wykres.

— Dasza! — krzyknął Irga i pobiegł w dół, lecz było już za późno. Wypowiedziałam zakłęcie i klasnęłam w dłonie.

W miejscu wykresu pojawiła się ogromna zębata mordą. Rosła i rosła, dziewczyna z przestraczem zasłoniła twarz rękoma i cienko zapiszczała.

Irga niczym czarna błyskawica przeleciał obok mnie, podchwycił dziewczynę na ręce i wyrzucił na korytarz. Zatrzasnąwszy drzwi, odwrócił się do mordy i krzyknął zakłęcie. Mordą zmniejszyła się, lecz nie zniknęła.

Siedziałam na podłodze i z zainteresowaniem obserwowałam jego działania.

Nareszcie chłopakowi udało się wepchnąć mordę z powrotem do pentagramu i zdezaktywować go.

— Ty! — Irga obrócił się do mnie. Dyszał ciężko, twarz miał

błyszczącą od potu. — Ty! Czy ty wiesz, co zrobiłaś?

— Co? — zapytałam.

— Wywołałaś demona! W dodatki bardzo krwiożerczego. Gdyby wyrwał się na swobodę, pożarłby nas jednym kłapnięciem i nawet tego nie zauważył! — Irga potrząsnął mną za ramiona. — To nie jest zabawa dla głupich pierwszaków! Czy ty zupełnie nie masz rozumu?

Kiwałam się w jego rękach jak szmaciana lalka. Odetchnęłam, zebrałam się w sobie i powiedziałam:

— Jak takiś mądry, to powiedz mi, co to było!

— Zaraz... — Irronto zastanowił się. — Wykres Nambgusa do wzywania demonów z piekieł!

Roześmiałam się. To był triumfalny śmiech. Szkoda, że tak rzadko miałam okazję do podobnego śmiechu, więc nie miałam zamiaru przepuścić dzisiejszej.

— To ty nie masz rozumu! — oznajmiłam, widząc zmieszanie, malujące się na twarzy Irgi. — To był zmieniony wykres Nambgusa, wzywający jedynie iluzję demona. Chyba nie myślisz, że ja, głupia pierwszoroczna, odważyłabym się wykonać pełny wykres bez opieki wykładowcy?

Strząsnęłam jego ręce z ramion, zebrałam swoje rzeczy i wyszłam.

Ów niepełny wykres, opisany „do ćwiczenia dokładności kątów między liniami” znalazłam właśnie w podarowanej książce, jednak po raz pierwszy udało mi się nakreślić tak szybko i dokładnie całkiem nowy dla mnie pentagram. Ta myśl mnie wręcz uskrzydliła.

Dziewczyna Irgi płakała w korytarzu.

— Bez obaw — powiedziałam. — Niebezpieczeństwo minęło. A przy okazji... Niektórym Niebiosa dają męskie objęcia, a innym mózg. Myślę, że to drugie jest lepsze.

Usatysfakcjonowana tą małą zemstą i poczuciem osobistego sukcesu, podśpiewując poszłam spać.

### Rozdział 3. Wszyscy faceci to...?

— Czyja kasza się pali?! — rozległ się głośny krzyk na korytarzu.

Drgnęłam. Ślęczałam akurat nad ćwiczeniami z elfickiej gramatyki — nasze stosunki od początku nie układały się zbyt dobrze. Kasza... Kasza! Kasza!!!

Pobiegłam do wspólnej kuchni, czując już z daleka zapach spalenizny. Jak mogłam o niej zapomnieć?! A niech to! Co ja teraz będę jeść?

Powąchałam zawartość rondla. Okropność! Ale jeśli posypać z wierzchu jakimś mocno aromatycznymi ziołami, to da się zjeść. Teoretycznie. I popijając herbatą miętową. Wysypałam na talerz wszystko, co nie zdążyło się zwęglić, po czym poskrobałam rondel paznokciem. Czarna skorupa się nie poddała. Nalałam do naczynia wody i odniosłam je do kuchni, żeby odmakało.

W moim pokoju lekko zalatywało spalenizną. Pogrzebałam kaszę pod warstwą przypraw, ale nie odważyłam się skosztować. Odłożyłam to na później, kiedy będę już umierać z głodu.

W holu na parterze zastałam tłumek studentów. Rozmawiali o czymś burzliwie, co rusz patrząc na drzwi wejściowe.

— Co się stało? — zaczęłam znajomą z mojego piętra.

— Szakale siedzą przy wejściu i każdego, kto wychodzi, oblewają wodą — westchnęła.

— A nie można wyleźć przez okno?

— Tam są zasadzki.

Rozejrzałam się. Stali tu głównie pierwszorocznicy. Starsi byli już na zajęciach, albo — co bardziej prawdopodobne — odsypiali nocne imprezki.

Blondas Lim, którego spotkałam pierwszego dnia w Czystiakowie, był synem zastępcy stołecznego burmistrza — człowieka podłego i podstępного, jak wszyscy politycy. Po matce Lim odziedziczył nieznaczny talent magiczny, więc ojciec skierował syna na Wydział Jasnowidzów i Sędziów, wróżąc mu karierę polityczną. Tak więc Lim mydlił oczy wszystkim wykładowcom, którzy nie mogli go ani relegować

(uczył się jako tako, a do tego za naukę płacił), ani ukarać za znęcanie się nad współuczniami — Blondas był wystarczająco cwany, żeby nie dać się przyłapać na gorącym uczynku.

Lim zgromadził dokoła siebie kompanię słabych magów, lizusów, pochlebców i wazeliniarzy. I całe towarzystwo (zwane za plecami stadem szakali) terroryzowało co słabszych studentów. Stada się obawiano i nienawidzono, ale większość tej złotej młodzieży miała wysoko postawionych protektorów.

— Co robić? — odezwał się z rozpaczą Ptrońka. — Spóźnimy się na zajęcia. Ten cholerny elf obedrze nas ze skóry!

Jezyk elficki wykładał u nas profesor Łomitoriel, który nie lubił studentów nie-elfów. A krasnoludów nienawidził. Nigdy nie zdarzyło mu się zażartować, ani nawet się uśmiechnąć. Kiedy student się mylił (a jak tu się nie pomylić, kiedy w elfickim samych tylko przypadków jest dwadzieścia sześć!), patrzył na niego ze wstrętem i litością, jak na małpę, próbującą naśladować człowieka. Krążyły plotki, że w ciągu dwóch wieków pracy nauczycielskiej Łomitoriel w swojej ojczyźnie wydał kilka książek pod wspólnym tytułem „Ograniczenia rasy ludzkiej”, które włączono do podstawy programowej w elfickich szkołach.

Porównałam gniew profesora z perspektywą spaceru w mokrym ubraniu na zimnym wiosennym wietrze i zdecydowałam się iść.

— Chodźmy — powiedziałam do Ptrońki.

— Nieee — zaskomlał. — Boję się.

— Ja też się boję, ale elfa bardziej.

— Rozchorujemy się. — Ptrońka próbował przemówić do mojego rozsądku.

— Jak zachorujemy, to się wyleczymy. — Machnęłam ręką i zdecydowanym ruchem otworzyłam drzwi.

Stado powitało mnie wyciem pełnym aprobaty. Znudziło im się czekanie, aż któryś z „małych” zdecyduje się wyjść na zewnątrz.

Wcisnęłam głowę w ramiona i starając się nie słyszeć obraźliwych krzyków, pobiegłam ścieżką.

Plask! Wodna kula uderzył mnie w plecy. Natychmiast zrobiło mi się mokro i zimno. Mocniej przycisnęłam do siebie zeszyty i podręczniki.

— Dalej, jeszcze! — rozległ się podniecony głos Blondasa. — Celuj w tyłek!

Plask! Plask! Mokra spódnica przylepiła mi się do nóg. Uderzenia wodnych pocisków były bardzo dotkliwe. Jutro pewnie będę miała siniaki.

— W głowę! — zakomenderował Blondas.

Udało mi się uchylić.

— A ty co, zeza masz?! — z tyłu rozległo się pacnięcie, jakby ktoś komuś dał po łbie — jeszcze raz!

Zrozumiałam, że nie mam nic do stracenia. Z akademika nie spieszyła na ratunek grupa wsparcia (czy choćby grupa odwrócenia uwagi), szakale dopiero zaczęły zabawę, a co, jeśli zechcą mnie prześladować aż do budynku uczelni?

Odwróciłam się i rzuciłam Blondasowi:

— A ty co, sam nie umiesz trafić? Chowasz się za cudzymi plecami?

Lim zerwał się, rozzłoszczony. Wodny pocisk w jego wykonaniu był mały i rozpadł się, nie pokonując nawet połowy dystansu. Ogarnęła mnie odwaga straceńca.

— Podejść bliżej? — zapytałam ironicznie.

Blondas znów spudłował. Pośród stada rozległy się śmieszki, które zresztą zaraz zamarły, kiedy tylko Lim spojrzał.

— Sama mam się oblać? — spytałam.

— Ty się zaraz krwią zalejesz, mała!

Patrzyłam na niego w milczeniu, nie ruszając się z miejsca. Bałam się tak, że nie mogłam oderwać nóg od ziemi, a rękami tylko mocniej przycisnęłam do siebie podręczniki.

— Myślę, Blondas, że nie będziesz się rozmieniał na drobne. — Ze stojącej niedaleko ławki podniósł się Irga, którego do tej chwili nie zauważyłam.

Nekromanta często oddawał szakalom drobne magiczne usługi, ale nigdy nie uczestniczył w podobnych „rozrywkach”.

— Nie rozkazuj mi!

— Nie zamierzam — odrzekł Irga. — Skoro dowody twojej władzy opierają się na pobiciu dziewczyny.

Blondas przemilczał to.

— Dobrze, znajdźcie mi jeszcze jakiegoś idiotę, chcę się zabawić! — zarządził.

Irga poszedł dróżką w kierunku głównego budynku, a ja za nim.



Zęby mi szczękały — nie wiadomo, czy bardziej z zimna, czy z emocji.

— Ciekawie jest obserwować ludzi — powiedział Irga. — Dlaczego wyszłaś ty, a nie któryś z chłopaków?

— Boję się profesora Łomitoruela bardziej, niż Blondasa — przyznałam uczciwie.

— Dlaczego miałabyś bać się Blondasa? — zdziwił się Irga. — Zwykły złośliwy głupek.

Miałam ochotę opowiedzieć mu, jak to jest wysłuchiwać drobnych uszczypliwości, odkrywać, że na plecach majta się kartka z obraźliwym słowem, potykać się o niewidzialny sznurek rozciągnięty w poprzek korytarza, obrywać w plecy kulką zimnej wody... Chociaż... Tak, to przykre. Ale Irga miał rację — to nie było wcale straszne. Dziwne, że nigdy o tym nie pomyślałam. A przecież Blondasowi można było się sprzeciwić! Że też wcześniej tego nie rozumiałam!

Zatrzymałam się, porażona tą myślą.

Nekromanta też się zatrzymał, popatrzył na mnie i roześmiał.

— Image mokrego kociaka teraz w modzie? Chcesz, to cię wysuszę?

— Niczego od ciebie nie chcę! — odparłam dumnie, przyspieszając kroku. Dogoniła mnie fala ciepłego powietrza, ale nawet się nie obejrzałam.

Profesor Łomitoriel nawet nie skomentował mojego wyglądu, chociaż widok niewątpliwie ranił jego wrażliwą elficką duszę. Odczekał, aż wszyscy usiądą i powiedział:

— Zapamiętałem, kto jest nieobecny. Pożaluję tego. — W audytorium zapanowała kompletna cisza. Było słychać, jak w ostatniej ławce Tomna, która nie odrobiła zadania domowego, ma czkawkę ze strachu. — Dzisiaj mamy specjalną lekcję. Zaprosiłem mojego starego przyjaciela Eluwiriela z Kwiatostanu Ormotylei. On będzie wam opowiadał, a wy notujcie. Potem przekażecie mi wasze zapiski, a ja sprawdzę wasz poziom rozumienia języka mówionego.

Eluwiriel! Moje serce zadrżało. Zobaczę ponownie mego ukochanego! Przycisnęłam palce do ust, przypominając sobie pocałunek na zaśnieżonej ulicy.

El wszedł w audytorium i uśmiechnął się przyjaźnie do obecnych.

— Sam niedawno byłem studentem — powiedział — i wiem, że może być wam ciężko. Dlatego postaram się mówić możliwie jak

najbardziej zrozumiale.

Możliwe, że naprawdę mówił zrozumiale. Możliwe, że opowiadał coś interesującego. Nie wiem, nie słyszałam. Patrzyłam na swojego ukochanego, słuchałam melodyjnego głosu, przypatrywałam się, jak kołyszą się jego długie, jedwabiste włosy. Czas dla mnie się zatrzymał.

— Lekcja skończona — oznajmił głośno profesor. — Proszę oddawać prace.

Z przerażeniem popatrzyłam na swoją pustą kartkę. Nie było już czasu nawet na to, żeby zapytać kogoś, o czym w ogóle była mowa. Podpisałam swoją „pracę”, westchnęłam głośno i poszłam na miejsce kaźni.

— Co to jest? — zapytał Łomitoriel.

— Moja praca — wybełkotałam, nie podnosząc oczu.

— A dokładniej, jej kompletny brak — skonstratował wykładowca.  
— Nie spodziewałem się, że aż tak źle rozumie pani język mówiony.

Przyznać się do tego, że zwyczajnie nie słuchałam, oczywiście nie mogłam, więc jedynie kiwnęłam głową. Znałam elficki — co prawda źle, nawet okropnie, ale znałam. Podstaw nauczyłam się jeszcze w liceum, zainspirowana swoją miłością.

— Nie bądź taki surowy, Łomitorielu — odezwał się El po elficku.

— Ty ją znasz?

Moje wyczulone przerażeniem postrzeżenie ze zgrzytaniem przekładało elfickie słowa.

— Uczyliście się razem. — Eluwiriel zamilkł na chwilę i dodał: — Wyobraź sobie, była we mnie zakochana.

— Zakochana? — powtórzył profesor ze zgrozą. — Była w tobie zakochana ludzka kobieta? O, Stwórco! Co za koszmar! Nie sądziłem, że to może się przytrafić mojemu przyjacielowi! Mam nadzieję, że tego nie odwzajemniałeś? Nie dawałeś jej powodów...?

Poczułam, jak mi uszy czerwienieją. Zajęte rozmową elfy zupełnie nie zwracały na mnie uwagi, pewne, że ich nie rozumiem. Łomitoriel wachlował się pustą kartką, gdzie u góry krzywo było wypisane moje nazwisko. Teraz El przyzna się, że pocałował mnie na ulicy, podarował mi swoją książkę, a profesor wtedy mi nie da żyć.

— Nie, oczywiście, że nie, za kogo ty mnie uważasz? — odparł El.

— Olgierdo, dlaczego pani tu jeszcze stoi? — Profesor Łomitoriel

zwrócił się do mnie w języku wspólnym. — Proszę już iść.

Czując się, jak porcelanowa laleczka, sztywno kiwnęłam głową i poszłam do wyjścia. Już przy drzwiach usłyszałam jeszcze:

— Wybacz, że w ogóle mogłem pomyśleć o czymś takim. Przecież wiadomo, że ludzkie kobiety są do niczego.

— Oczywiście — powiedział Eluwiriel. — Całować się też nie umieją...

Elfy roześmiały się, całkowicie przekonane o swojej przewadze nad innymi rasami.

Jak we śnie dotarłam do biblioteki, powtarzając po cichu po elficku wszystko, co usłyszałam. Zapisałam w zeszycie i przetłumaczyłam. Ja wszystko rozumiałam poprawnie! Naturalnie, każde słowo w języku elfickim ma mnóstwo sensów i odcieni, ale nie miałam ochoty o tym myśleć. Jaka ostatecznie różnica, czy byłam do niczego”, czy powiedzmy „pyłem pod nogami Pierworodnych” czy też może „niepotrzebnymi zbutwiałyymi liśćmi”?

Wewnątrz mnie utworzyła się pustka. Zwykła i wszechogarniająca pustka. Podparłam głowę rękoma i zagapiłam na rzędy książek na regałach.

Po jakimś czasie z otępienia wyrwał mnie głos Tomny:

— Oła, nie wiesz, jak będzie po elficku „młody wiosenny kwiatek”? Nie chce mi się szukać, to było jakieś pojedyncze słowo... Podpowiesz?

„To przecież proste!” — chciałam powiedzieć i zacięłam się. Nie wiedziałam, jak jest po elficku „młody wiosenny kwiatek”. Nie wiedziałam nawet, jak powiedzieć „mama”. Cała moja znajomość języka jakby uleciała z wiatrem.

— Nie wiem — odpowiedziałam, podając Tomnie słownik. I ponownie zapatrzyłam się na regały.

— Wstawaj, wstawaj, starczy tego uzalania się nad sobą — usłyszałam głos Liry. — Wszyscy już są dawno w domach i śpią. A ty tkwisz w czytelni, zmarznięta i mokra. Przyniosłam ci futro.

— Już wyszłam — powiedziałam. — Już dawno wyszłam.

— Tomna powiedziała, że opuściłaś wszystkie wykłady po elfickim. A potem znalazła cię w bibliotece i zachowywałaś się trochę dziwnie. Co się stało?

— Nic. — Wzruszyłam ramionami i wstałam. Świat przed moimi

oczami osobliwie się zakołysał.

\*

— Otwórz buzię, no otwórz! — namawiał mnie łagodny głos. — O, tak! A teraz połknij!

Gorący płyn spłynął mi do gardła. Zakaszlałam i otworzyłam oczy.

— Och! — ucieszyła się Lira i prawie wypuściła filiżankę z rąk. — Ocknęłaś się! Jak cudownie!

— Co... — próbowałam zapytać, lecz poczułam się tak, jakbym miała gardło pełne piasku.

— Nic nie mów! Pij, zaraz ci wszystko opowiem. Zachorowałaś! Bardzo mocno się przeziębiałaś! Moja opiekunka powiedziała, że przebieg choroby wzmógł wstrząs psychiczny. O psychicznym wstrząsie nic nie wiem, ale nie mam powodu jej nie wierzyć. I byłaś moją pierwszą pacjentką! Nawet dostałam zwolnienie z zajęć i obiecali mi zaliczyć jeden przedmiot, jeżeli cię postawię na nogi zanim minie tydzień! A przeszły dopiero trzy dni!

— Trzy...

— Tak, miałaś gorączkę, majaczyłaś, krzyczałaś coś o miłości. No, dzisiaj chyba jeszcze nie wstaniesz, ale jutro... A, i mam jeszcze jedną dobrą wiadomość. — Lira zręcznie wlewała we mnie łyżką rosół z kury. — Stado Blondyna przez ciebie oberwało. Ptrońka powiedział Befowi, że zachorowałaś, bo Blondas oblał cię wodą, a Bef się tym zajął. Blondasowi, oczywiście, nic nie można było zrobić — uczciwie powiedział, że on ciebie nie oblewał. Ale za to Riakowi, jego najlepszemu kumplowi, nieźle wleciało! Bef go zmusił do kreślenia jakiegoś strasznie trudnego pentagramu. Prawie cały uniwersytet się zebrał, żeby oglądać to przedstawienie.

Moja przyjaciółka zaśmiała się i poszła myć naczynia.

Ułożyłam się wygodniej i zastanowiłam. Wewnątrz już nie czułam tej okropnej pustki — żołądek przyjemnie trawił rosół, wnętrzości burczały z niezadowoleniem, że już od trzech dni nie jadły normalnego pożywienia, skóra od długiego leżenia swędziała. Świat wrócił na swoje miejsce i było mi dobrze.

— Zapomniałam ci powiedzieć — zakomunikowała Lira, która wróciła z kuchni. — Ten twój przypalony rondel czeka na ciebie. Nie zaryzykowałam szorowania. A kaszę, niestety, musiałam wyrzucić.

Okropnie już śmierdziała.

# Drugi rok

## Rozdział 4. Sławetna popijawa

Szłam długim korytarzem uniwersyteckiego internatu, pozostając w stanie szarej melancholii, życie wydawało się podłe i nic mnie nie cieszyło. Nie chciałam wracać do pokoju, bo tam podśpiewywała Lira, w danym momencie w nastroju jak najbardziej pozytywnym — zakochała się, a przy tym uczucie było odwzajemnione. I nie miałam najmniejszej ochoty patrzeć na jej rozpromienioną fizjonomię.

Co robić? Potrząsnęłam portmonetką. Brzęknęły monety — te, które wydzieliłam sobie na wydanie w tym tygodniu. Do odbioru stypendium pozostawało jeszcze całych czternaście dni. Żadnych dodatkowych wpływów finansowych nie przewidywałam. Przygnębiające.

„Ola, otrząśnij się — próbowałam przemówić sobie do rozumu. — Jesteś już prawie magiem-teoretykiem, nie wolno ci mieć chandry, moja droga! Jesień na dworze, do sesji daleko, liście pięknie żółkną...”

Autoterapia nie pomogła.

Monety zabrzęczały radośnie i prowokacyjnie. Zawsze prześladowała mnie myśl, że nasi wykładowcy specjalnie zaczarowywali pieniądze na stypendium, żeby brzęczały prowokacyjnie i zachęcały studentów do wydawania. Tak czy owak mogli je wydać tylko na terenie uniwersytetu albo na terytorium kontrolowanym przez ciało pedagogiczne. Dla nikogo nie było sekretem, że najbliższe knajpy należały do dziekanów lub ich najbliższych krewnych, jeśli któryś uważał, że posiadanie knajpy jest poniżej profesorskiej godności.

Świetnie się urządzili — całe wypłacane stypendium wracało do uniwersytetu, czasem nawet z procentami (jeżeli rodzice podrzucili komuś parę srebrników). O, ten szczególnie bezczelny miedziak z wyszczerbionym brzegiem dostawał mi się już po raz czwarty. Jakże on lubił być wydawany!

No cóż, czyli pozostawało tylko jedno wyjście.

Zdecydowałam zaufać Losowi i powlokłam się, gdzie oczy poniosą. Oczy patrzyły tylko na karczmy, lecz trzeba było jeszcze wybrać tę, w której studentka drugiego roku Uniwersytetu Nauk Magicznych Olgierda Lacha zostawi swój tygodniowy budżet.

Szłam i szłam, aż znalazłam cudowną knajpkę: małą, hałaśliwą i z kupą ludu. Tego właśnie było trzeba, żeby wyjść z dołka. Może nawet uda się zobaczyć jakąś bójkę.

Po sekundzie pobytu w środku pojęłam, że powietrza tu nie ma — za to dym można było kroić jak tort weselny. Widocznie tę piwiarnię upatrzyli sobie studenci z Wydziału Rzemiosł, z których większość to krasnoludy. A czym jest krasnolud bez fajki? To albo niemowlę, albo krasnoludzka panna. Powiadają, że zmarłego gnoma nawet chowają z ukochaną fajką w zębach i zapasową w kieszeni.

Zamówiłam duże piwo imbirowe u melancholijnego barmana i przysiadłam się do stolika, za którym siedział samotny krasnolud z potarganą strzechą niebieskoczarnych włosów. Obrzucił mnie posępnym spojrzeniem. Widocznie mój sąsiad też miał depresję — zwykle górski lud przytrzymuje włosy srebrnymi klamerkami, a brody zaplata w warkocze.

— Życie jest do kitu — oznajmił krasnolud po długim milczeniu, kiedy każde z nas smętnie rozmyślało o swoich sprawach.

Zgodziłam się z nim.

Stuknęliśmy się i wypiliśmy.

Krasnolud nalał do mego kufła czegoś ze swojej butelki, rozcieńczając resztę piwa. Miałam nadzieję, że to nie była wódka — nie powinnam przesadzać z alkoholem, robię się wtedy bardzo wesoła i bardzo porywcza.

— I jak uczciwy krasnolud ma żyć w takich warunkach? — zapytał mnie krasnolud.

Wzruszyłam ramionami, wachając zawartość swojego kufła.

Krasnolud milczał, pijąc wielkimi łykami ze swojego wielkiego kufliczka, a potem nagle ryknął:

— Wypijmy za to, żeby nasi nieprzyjaciele zdechli w męczarniach!

Toast mi się spodobał, więc wypiałam. Uch, jak dobrze! Płynny ogień z posmakiem imbiru popłynął mi do żołądka, zostawiając po sobie korzenny posmak. A jednak wódka!

Po paru podobnych toastach, które zawierały głównie opisy mąk osób nieżyczliwych krasnoludom, zamówiłam jeszcze imbirowego piwa i wódki do wymieszania, i między nami wykiełkowała aktywna rozmowa. Dowiedziałam się, że krasnoludowi ostatnimi czasy nie dają spokoju jakieś kanalie.

— Mnie mama tak wychowywała, że nie wolno mi, no nie wolno nikomu się poskarżyć, jeżeli sam nie mogę sobie poradzić. Przecież niewielki problem, głupstwo, ale to takie przykre, takie smutne! — tłumaczył mi krasnolud, stukając kuflem po stole.

Widocznie duma młodego krasnoluda została nadszarpnięta nie na żarty — żeby samodzielnie poradzić sobie z krzywdzicielami brakowało mu sił (najprawdopodobniej psychicznych), a poskarżyć się starszym rodakom nie pozwalało mu poczucie, że „jest już dorosły”.

— Jeszcze po jednym! — zażądał krasnolud.

Melancholijny krasnolud za barem nawet nie drgnął, za to przy sąsiednim stoliku ktoś zauważył:

— Otto, tobie i tej damie już wystarczy.

— No i dobrze! — obraził się krasnolud, wstając niezgrabnie. — Idziesz?

Kiwnęłam głową, chociaż nie byłam pewna, czy zdołam przejść choćby parę kroków. Musiałam sobie przypomnieć, że bądź co bądź jestem studentem teorii magii, wysilić się i prawidłowo wymamrotać formułę oczyszczenia krwi z alkoholu. W głowie mi zahuczało, w ciele pojawiła się niezwykła lekkość i radość. Nabrałam ochoty, żeby wypić jeszcze.

Zakłęcie to odkryłam w bibliotece całkowitym przypadkiem i postanowiłam zapamiętać — a nuż się przyda?

Pierwszy rok studiów upłynął mi jak w koszarach, cały wolny czas pożerała nauka masy zaklęć, opanowanie podstaw rozlicznych dziedzin nauki, praktyk i rzemiosł. Teoretycy powinni znać się na wszystkim po trochu — wbijali nam do głów profesorowie. Teoretycy to ci, którzy popychają naprzód rozwój magii, opracowują i stosują w praktyce nową wiedzę. To ci, którzy nie pozwalają magii zapomnieć o dawnych osiągnięciach, tworzą fundament, podtrzymujący ogromny gmach magicznej wiedzy. Niektórzy teoretycy służą też jako translatory magii, kierując potoki energii w odpowiednie łożyska. W czasie nauki na



pierwszym roku nie udało mi się spróbować przyjemności studenckiego życia, czyli zabaw, potańcówek i innych rozrywek. Wakacje zaś minęły mi na daremnych próbach odespania zaległości i odrobienia letnich zadań domowych.

A teraz postanowiłam to nadrobić w pełnym zakresie.

Pokręciliśmy się z Ottonem po ulicach i zaszliśmy do karczmy „Pij Więcej!”. Właściciel zapewne odniósł się do nazwy knajpy pragmatycznie, zawierając w niej marzenie zarówno pijących, jak i sprzedawców trunków.

— Dobrze to wymyśliłaś, żeby mieszać piwo imbirowe z wódką — oznajmił Otto, przeliczając pieniądze, jakie mu zostały.

— To ty wymyśliłeś — odparłam smutnie.

Nie, zdecydowanie nie należało trzeźwieć. Wewnętrzny zapas energii szybko się wyczerpał i depresja atakowała z nową siłą.

— Nie martw się — rzekł krasnolud krzepiąco. — Zaraz się rozweselimy.

Popatrzyliśmy na ceny. Hura, tani lokal, żyjemy! Co prawda klientela... O mamusiu! Znaczy, jak dobrze, mamusiu, że nie widzisz, w jakich miejscach spędza czas twoja najstarsza córka.

Krasnolud zamówił mieloną kawę, wódkę i sok jagodowy.

— Bardzo pożyteczna rzecz: i witaminy, i orzeźwienie — rozważał Otto, mieszając ingrediencje. — Ludzie nie potrafią robić przyzwoitych koktajli, dlatego psują sobie zdrowie. No to za zdrowie!

Wypiłam. Smaczne, gorzkawo-kwaśne. I rzeczywiście orzeźwiający. Kiedy koktajl się skończył, uświadomiłam sobie, że mój towarzysz mnie obraził, twierdząc, iż ludzie nie potrafią przyrządzać koktajli. Wytrząsnęłam ostatnie monety z portmonetki i poczęstowałam Ottona „Krwawą Mary”. Krasnolud uśmiechnął się pobłaźliwie, ale wypił.

Potem przyszła kolej na przeraźliwie kwaśny koktajl cytrynowy.

Otworzyłam sobie kredyt u właściciela knajpy.

Cukier, czerwone słodkie wino, malinowa konfitura i nalewka truskawkowa.

Dalsze wydarzenia chaotycznie kłębiły się w mojej głowie. Jedno wiem — nabuzowałam się. Coś, co wypięłam, musiało zadziałać jak katalizator sił magicznych. Wszystko w środku mi kipiało i szukało ujścia.

Znów wypiliśmy. Potem przyszli jakieś chłopaki i przyczepili się do Ottona. Potem szłam do domu. Nie, najpierw posłałam tych chłopaków w cholerę za pomocą całej posiadanej w nadmiarze magicznej energii. Chłopcy sobie poszli, bardzo niezadowoleni. Potem szłam do domu. A dokładniej, Otto służył mi jako podpora, inaczej daleko bym nie zaszła.

O, dyżurny mag. Zdaje się, że ma jakieś pretensje, stary nudziarz. Oj, mdli mnie...

\*

Migrena wtargnęła w moją świadomość nagle, jak cegła, spadająca znikąd. Czułam się tak, jakbym cała składała się z jednej ogromnej i bardzo chorej głowy.

W resztkach mózgu obracała mi się tylko jedna fraza „pić mniej trzeba, trzeba mniej pić”. Gratulacje, Olu, pierwsza w twoim życiu wielka popijawa i równie wielki kac.

Wrażenia napływały stopniowo. Zrobiło mi się zimno. Potem poczułam w ustach taki smak, jakbym najadła się kociego żwirku (używanego), chociaż trudno robić takie porównania, skoro nigdy czegoś takiego nie jadłam. Potem zameldowały się lewa ręka i noga. Zdrętwiały i biegały po nich stada mrówek.

Zapach ogniska. Cudowny. Chwila, skąd ognisko w moim pokoju? I dlaczego mi tak niewygodnie?

Spróbowałam otworzyć prawe oko. Lewe uparcie odmawiało współpracy.

Widok, jak ujrzałam, wstrząsnął mną: majtające się w powietrzu nad ogniem dwie gołe pięty.

— Co to...?! — wychrypiałam. Do białej gorączki było mi daleko i nie przypominałam sobie również, by w traktatach o szkodliwości pijaństwa było cokolwiek o czerwonych piętach.

Lewą piętę podrapał duży palec prawej. Nie pięty, stopy.

— To na komary — wyjaśnił mi ktoś.

Sytuacja nadal była zagmatwana.

— Wędzę je w dymie, żeby komary nie gryzły — powiedział Otto. — Żyjesz?

— Nie jestem pewna.

W milczeniu podał mi manierkę. Od zapachu alkoholu mnie zemdliło.

— Wstawaj, idziemy się myć.

— Nie — odparłam. Czułam się okropnie.

— Trzeba.

Zastanowiłam się.

— Otto, a gdzie moja torebka? Proszę, podaj mi stamtąd lusterko.

— Oj, te baby — burknął krasnolud, spełniając moją prośbę. — Jeszcze oczu dobrze nie otworzyła, a już lusterko.

Biedny chłopak! Nie wiedział, że lustro to wielka siła motywacyjna, która bez pudła zadziałała i tym razem. Wystarczyło, że zobaczyłam jednym okiem swoją pomiętą, opuchniętą i brudną fizjonomię z rozmazanym makijażem.

Przeklinając swoją głupotę i nieumiarkowanie w spożywaniu alkoholu, podniosłam się na czworaki. Potem wyprostowałam się z pomocą Ottona i powlokłam się w kierunku wody. Stopniowo rozpoznawałam to miejsce. Był to Gaj Zakochanych — niewielki lasek opodal uniwersytetu, gdzie pod krzaczkami studenci większości miejskich uczelni studiowali w praktyce energetyczny potencjał miłości.

Strasznie chciało mi się pić. Głowa mi pękała. Miałam wrażenie, jakby mózg wyciekał mi przez uszy, oczy, nos i usta jednocześnie. Do tego wyraźnie się zataczałam.

— Otto — zajęczałam. — Czy ty nie masz kaca?

— Mam — powiedział krasnolud. — Ale po pierwsze jestem bardziej odporny na alkohol, po drugie — obudziłem się wcześniej i już zdążyłem się opłukać w strumyku, po trzecie — ja wypięłem klina, a ty odmówiłaś. Po czwarte — kompletnie się wczoraj rozłożyłaś i będzie cię telepać jeszcze kilka dni.

Jedyna nadzieja — lżej, jeśli wiesz, że komuś obok jest gorzej — przestała mnie grzać.

— Napij się piwa, nie odmawiaj. — Krasnolud znów podał mi manierkę.

— Lepiej kawy — powiedziałam, przysłuchując się swojemu organizmowi.

Dotarliśmy do mętnej rzeczki. Napiłam się chciwie — niech wszystkie bakterie zdechną w moim żołądku, gorzej już nie będzie.

— Wykap się — poradził Otto.

Nie namyślałam się długo. Chłodna woda rzeczki wabiła, a

rozpadający się arbuzy mojej głowy żądał ulgi. Nakichałam na przyzwoitość (dobrze, że mama jest daleko!) i zaczęłam się rozbierać. Krasnoluda nie interesowały moje chude wdzięki, zapytał, czy dojdę sama do ogniska i poszedł przygotować mi kawę.

Kiedy wracałam z powrotem, uradowana, że życie zaczyna wracać do normy i nareszcie zaczynając zauważać komary, natknęłam się na Irgę. Zatrzymałam się. Przed letnią sesją stado Blondasa straszło studentów pierwszego roku pięknie odrobionymi fantomami zombi produkcji Irgi. Powroty z późnych wykładów przekształciły się w osobliwy sport ekstremalny. Czasami nekromanta wstawiał się za „dzieciakami”, lecz naszą delegację z prośbą o zaprzestanie tych dowcipasów Irga wysłuchał z roztargnieniem i niczego nie zrobił.

Przez to znalazł się na pierwszym miejscu na liście ludzi najbardziej znienawidzonych w czasie sesji, detronizując nawet Befę, zazwyczaj prowadzącego w ogólnouniwersyteckim rankingu.

Irga uśmiechnął się do mnie ironicznie. Nie wiedziałam, czego po nim oczekiwać tego parszywego poranka, więc starałam się udać, że go nie zauważyłam. Raptem Irga ukłonił się i oznajmił:

— Podziwiam twe męstwo.

Ośłupiałam. Jakaś nowa forma drwin?

Irga wyciągnął z powietrza purpurową różę na długiej łodydze i wręczył mi ją.

Opadła mi szczęka. Szakał uśmiechał się podejrzanie. Zamrugałam z nadzieją, że to po prostu halucynacja spowodowana kacem. Nic mi nie przychodziło do głowy, kiedy nagle mój organizm zawył: „Kawy!!!”.

— Dziękuję, ale nie przepadam za różami — krzyknęłam i runęłam w stronę, z której dolatywał kuszący zapach cudownego napoju. Otto jest po prostu czarodziejem!

Uspokoiwszy głowę i żołądek, opowiedziałam o Irdzie i powiedziała:

— Czegoś tu nie rozumiem.

— Raczej nie pamiętasz — uśmiechnął się Otto. — Pamiętasz tych chłopaków, których rozpędziłaś?

— Mętnie.

— Tak myślałem. Zaraz ci opowiem, czego dokonałaś.

\*

Szakale wybrały sobie Ottona jako sezonowy obiekt prześladowań. Sęk w tym, że nowy znajomy Oli był półkrasnołudem. Prawdopodobnie gdzieś w głębi duszy Ottona tliło się niezadowolenie z takiego stanu rzeczy i stado, raz nacisnąwszy na bolesny punkt, już mu nie odpuszczało.

Po trochu gromadziła się w nim uraza i złość na samego siebie, że nie potrafi się postawić prześladowcom. Uraza przemieniła się w depresję, a wówczas ścieżki Pli i Ottona się skrzyżowały.

Po tym, jak już dostatecznie dużo wlał w siebie w „Pij Więcej!”, pojawiła się tam wataha Blondasa.

Riak, przyboczny Blondasa i główna siła uderzeniowa stada, radośnie ryknął na całą knajpę:

— Patrzcie, ten skundlony śmieć znalazł sobie ludzką dziewczuchę! Co, krasnoludzice cię nie chcą?

Otto wciągnął głowę w ramiona. Czuł się okropnie. Nie był na tyle wyszczekany, żeby się odpowiednio odgryźć. Jednak niespodzianie Ola, jego nowa znajoma, potrząsnęła głową i poprosiła:

— Podsadź mnie na stół.

Otto zdziwił się, lecz pomógł jej wdrapać się na solidny dębowy mebel. Dziewczyna odchrząknęła i oznajmiła tak gromko, że usłyszeli ją absolutnie wszyscy goście:

— Obywatele! Widzicie tych młodych ludzi? Popatrzcie no na ich! — Ola tupnęła. — To będzie ciekawe.

Klienci, zainteresowani darmowym przedstawieniem, ucichli, odwrócili się w stronę stada. Właściciel lokalu rutynowym gestem aktywował amulet Tarczy — jak Otto odgadł z jego ruchów — i przygotował się, by obserwować przewidywaną drakę i jednocześnie szacować szkody.

— Te zuchy zebrały się w stado, żeby dokuczać słabszym — ciągnęła Ola dobrze postawionym głosem. — Postępują nikczemnie. Strzelają, że tak powiem, zza winkła.

Oceniającym wzrokiem powiodła po publiczności. Zmieszane stado milczało. Jej mózg, czyli Blondas, nie był obecny, a Riak próbował gorączkowo ocenić, czy już pora dać w pysk bezczelnej dziewczusze, czy jeszcze nie?

Goście z aprobatą skupiali uwagę na Oli, która rozpięła parę

guzików przy bluzce, wywołując ożywienie przy stolikach zajętych przez trolle i powiedziała, zachęcająco machnąwszy ręką w ich stronę:

— O popatrzcie, to jest porządne towarzystwo! Z nimi chciałyby być każda dziewczyna. Dlatego że oni nie strzelają z za rogu!

Irr, przywódca kompanii trolli — najemnych morderców, który cios w plecy z za winkła uważał za najnaturalniejszą rzecz pod słońcem, wyprostował się godnie. Było mu bardzo przyjemnie. Pulchna blondynka z sąsiedniego stolika spojrzała na niego z zainteresowaniem i za to Irr, który dotąd nie miał nadziei na takie szczęście, był gotów zrobić wszystko dla dziewczyny na stole.

— A po co my jej słuchamy! — oburzył się ktoś w stadzie. — Ja ją znam, to teoretyczka z drugiego roku. Nic szczególnego, chodźcie, trzaśniemy ją czymś.

Ola momentalnie się obróciła, zachwiała (Otto zdążył ją podtrzymać, zanim zaczęła spadać) i krzyknęła:

— Kiedy mówię, cała reszta milczy! — i rzuciła w stado powietrznym pociskiem. Studentów rozrzuciło po karczmie. — Na czym to skończyłam? Aha, te podłe kreatury obrażają mnie, małą bezbronną dziewczynkę!

Klienci milczeli jak grób, próbując jakoś logicznie powiązać ze sobą porozrzucanych chłopaków i „biedną bezbronną dziewczynkę”.

Ola zaś rozbestwiła się ostatecznie. Zniżyła głos do konfidencjonalnego szeptu, zapytała słuchaczy:

— A wiecie, dlaczego oni krzywdzą słabszych? — Wszyscy z zainteresowaniem nastawili uszu. — Bo ich dziewczyny nie chcą! Więc sami wiecie, co szuka u nich ujścia!

Jako pierwsze zgodnym śmiechem ryknęły trolle. Ludzie chwilę później, za to bardziej złośliwie. Para elfów, które przypadkowo zaplątały się w tej malowniczej kompanii, skromnie parsknęły w kułaki.

Riak pozbierał się z podłogi, aktywizował artefakt i cisnął w Olę błyskawicę. Trzy odbiła Tarczą (kiedy zdążyła ją postawić?). Ola zachwiała się i ostatnia błyskawica przepaliła jej szeroką spódnicę. Z żalem obejrzała dziurę i zakrzyknęła:

— Kto pomści moją sprofanowaną spódnicę?! Kto chce za to dostać kufel darmowego piwa?!

Trolle, przepychając się, runęły na Szakali. Chłopaki jakimś cudem

odparli pierwszy atak, a potem rozpoczęła się zwyczajna kotłowanina, w której chcieli uczestniczyć wszyscy goście. Ola zaś siedziała na stole i beztrudnie popijała piwo. Otto pociągnął ją za rękaw:

— Chodźmy, bo nam każą zapłacić za szkody!

— Nie mogę! — chlipnęła Ola. — Nogi mnie nie słuchają. I jest mi niedobrze.

Otto westchnął i wziął ją na ręce.

\*

— Potem zwymiotowałaś na dyżurnego w akademiku, a twoja sąsiadka zajęła pokój z jakimś facetem. Stwierdziłem, że póki noc są ciepłe, możemy pobyć na łonie przyrody.

Siedziałam, obejmując głowę rękami. Pode mną otworzyła się przepaść. Nie miałam wątpliwości, że stado się zemści. A co mnie czeka w dziekanacie, strach pomyśleć.

— Wlepią ci grzywnę wysokości dwóch stypendiów albo wykpiesz się paroma tygodniami karnych robót społecznych. Dla dyżurnego maga to nie pierwszozna — odezwał się nade mną czyjś głos.

Zerknęłam do góry i ujrzałam Irgę.

— Przecież o tym myślałaś? — zapytał, niedbale wymachując różą. — Chciałem zapytać, jakim cudem zdążyłaś postawić Tarczę?

— Stawiam ją automatycznie, bardzo szybko — objaśniłam chmurnie. — U nas w liceum nauczyciel czarów ochronnych znał chyba tylko to jedno zaklęcie i wbijał je nam do głów przez cały rok.

— Retoryki też uczyłaś się w liceum?

— Jakiej retoryki?

— Przecież wywołałaś bójkę w karczmie siłą słowa.

— Siłą piwa — uśmiechnął się Otto.

— Po prostu wypiął nie to, co trzeba i mnie poniosło. Zresztą znamy taką publikę — tylko czekają, żeby zacząć mordobicie. A ja jeszcze im za to obiecałam piwo.

— Mądrała! — zachwycił się Irga. — A tymczasem macie problem, co począć z rozdrażnionymi Szakalami.

— Ty sam przecież do nich należysz, więc po co tu siedzisz? — zapytał półkrasnołud ze złością.

— Ja, szanowny panie, zwyczajnie sprzedawałem im swoje usługi. Tak samo, jak sprzedawałbym je wam, gdybyście mieli taką potrzebę i

pieniądze.

— Nie mamy pieniędzy, więc spływaj.

— A ja tu jestem nieodpłatnie. Byłem wczoraj w tej knajpce i spodobało mi się przedstawienie. Jeżeli banda was okaleczy, mogę stracić przyjemność obserwowania was w przyszłości. Radziłbym ci, Otto, zwrócić się do wspólnoty krasnoludzkiej, tu chodzi o życie twoje i Oli. Jeżeli wasz senior rozmówi się z rektorem, nikt was nie tknie palcem, nawet tatuś Lima będzie się bał konfliktu z krasnoludami.

Otto zastanowił się, szarpiąc za brodę. Przepaść pod moimi nogami zwięzła się do małego rowka. Kac powoli odpuszczał.

— Miło było się z wami spotkać. — Irga ukłonił się szarmancko, położył mi różę na kolanach i odszedł.

— Nigdy więcej już nie będę pić! — obiecałam w przestrzeń.

Krasnoludzka wspólnota ostro zajęła się kwestią naszej nietykalności — nie wiem, co im tam Otto napłótł. Ojciec Lima opłacił szkody w karczmie, ale myślę, że obiecane przeze mnie piwo nie wchodziło w ich zakres. Stado próbowało mi robić nieprzyjemności, ale łagodna interwencja Irgi powstrzymała ich od aktywnych działań — narażać się nekromancie jest nawet niebezpieczniej, niż krasnoludom.

Po tych zdarzeniach zaprzyjaźniliśmy się z Ottonem.

A swojej abstynenckiej obietnicy nie dotrzymałam, chociaż zachowywałam świętą trzeźwość przez całe dwa miesiące.



## Rozdział 5. Egzamin z magii wykreślnej

Już w połowie miesiąca zupełnie nie miałam pieniędzy. Rodzice oznajmili stanowczo, że będą wysyłać mi raz w miesiącu pięć srebrników i prośby typu „jeszcze parę miedziaków” ich na pewno nie wzruszą. Cieszyłam się i z tego, że zadowoleni z mojego wstąpienia na uniwersytet, zgodzili się mnie choć trochę wspierać finansowo.

Smętne rozmyślenia na temat „I gdzież ty, głupia, roztrwoniłaś kasę?” oraz medytacje nad kolekcją twardych jak kamień sucharów zostały przerwane pukaniem do drzwi.

— Kto tam? — Chciałam, żeby zabrzmiało to uprzejmie, ale z pustym żołądkiem taka sztuka była dość trudna.

— Potrzebujesz forsy?

Mój brzuch natychmiast wrzasnął: „Tak, pewnie, dawaj ją! Chcę jeść!!! Mięsa!!!” — jednak ja sama ze sztuczną obojętnością odpowiedziałam:

— A kto nie potrzebuje? Właż.

W drzwiach ukazała się jasnowłosa głowa.

— Jestem Stof Wernow, z drugiego roku Magii Praktycznej. Potrzebuję twojej pomocy przy magii wykreślnej.

Magia wykreślna to sztuka wymagająca, którą opanowałam dopiero po wielu długich nocach płaczu nad wykresami. Obecnie często zwracano się do mnie o pomoc w tym zakresie i prośba Stofa nie była niczym nadzwyczajnym.

— Egzamin za pasem — rzekł Stof ze smutkiem. — A mnie wiecznie się mylą te wszystkie kąty i runy.

— No to jak ty zamierzasz zwalczać pomrokę? — zainteresowałam się leniwie. Powinnam grać na zwłokę — niech się trochę podenerwuje, może więcej zapłaci.

— Ja jestem magiem-wojownikiem, a do zabijania ludzi pentagramy mi nie są potrzebne.

— A ile proponujesz za tę pomoc?

— Dwa złocisze.

Świetnie! Dwa stypendia! Dużo piwa, dużo podsmażanych kiełbasek

i czekoladek w sreberku. Mniam!

— Dobrze, pomogę.

— Obiecujesz? — oczy Stofa zabłyśły.

Powinnam zwrócić uwagę na tę niedobłą radość, ale byłam zbyt głodna.

— Obiecuję. — Wyciągnęłam rękę, żeby przypieczętować umowę.

— Znaczy tak... — objaśniał Stof rzeczowo. — Nie mam czasu kuć po nocach i rysować runy. mam ćwiczenia wojskowe. Dlatego postaraj się tak zrobić, żebym za dwa tygodnie jakoś zdał ten egzamin. Masz tu złocista zadatku.

Powstrzymując chciwą rękę, która sama wyciągnęła się po pieniądze, zapytałam:

— A u kogo zdajesz?

— U Befa — odrzekł Stof radośnie.

Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymałam wrzask przerażenia. Bef słynął z tego, że u niego na egzaminach niemożliwe było korzystanie ze ściągawek. Artefakty podpowiadające nie działały, zaklęte pióra się łamały i tak dalej.

— Ale... — zaczęłam stosunkowo spokojnie.

— Ja poprosiłem o pomoc. Ty się zgodziłaś. Po prostu opowiedziałem, na czym ta pomoc ma polegać. Nie mam racji?

Nie da się ukryć. Och, mózg mam zupełnie otępiały! (Od dawna nie widziałem piwa i odmawiam współpracy w takich warunkach! — odgryzł się mózg).

Stof miło się uśmiechnął — w odpowiedzi zdobyłam się na nieszczęśliwy wyszczerz — i poszedł.

W najbliższej położonej knajpce zjadłam ogromną porcję ragout z kurczakiem, zamówiłam piwo i zamyśliłam się. Do sali wtarabanił się mój przyjaciel Otto, otrzepując z brody kryształki lodu.

— Sesja zimowa to ZŁO — oznajmił. Popił mojego piwa i dodał: — Letnia zresztą też.

— Otto, potrzebuję pomocy.

Wprowadziłam przyjaciela w sprawę.

— Taak, niełatwe zadanie. Odmów mu. Pożyczę ci kasę, zwrócisz mu zadatek.

— Ja tak nie mogę!

— Jeśli na egzaminie odkryją, że pomagasz Stofowi, wylecisz z uniwersytetu.

Moja wyobraźnia odmalowała niewesoły obraz życia w nędzy, oczekującej niewykwalifikowanego maga. Potrząsnęłam głową. Obraz transformował w twarz mamy, dowiadującej się, że zostałam wyrzucona ze studiów. Łyk piwa poprawił sytuację.

— Otto! Ja dałam słowo — odparłam poważnie. — Jeśli teraz odmówię, przestanę się szanować, za to jeśli coś wymyślę, a raczej jeśli my wymyślimy...

— Dobrze. — Otto uśmiechnął się szeroko. — My, krasnoludy, nie przyjaźnimy się z tymi, którzy nie dotrzymują słowa.

Na początek należało zaobserwować sam proces egzekucji.

Zorientowawszy się w grafiku egzaminów praktyków, poważnie się przygotowaliśmy. Audytorium znajdowało się na pierwszym piętrze, musieliśmy więc zdobyć drabinę (żeby nie wytwarzać niepotrzebnych magicznych emanacji) i niezauważalnie odsunąć skraj ciężkiej portiery w oknie, dawszy sprzątacze miedziaka za milczenie.

Udając, że przechadzamy się po korytarzu, obserwowaliśmy, jak przed wejściem do sali każdego studenta oglądała asystentka wykładowcy — młodzieńca magiczka, która dopiero co otrzymała dyplom. Wszystkie podejrzane amulety i artefakty trzeba było zdjąć i odłożyć na stół. Nie mniej starannej kontroli podlegały narzędzia dozwolone czyli linijki, ekierki i cyrkle.

Kiedy ostatni student został przepuszczony, Otto podszedł do stołu. Włączając swój urok na pełną moc, zagaił:

— Jestem studentem Wydziału Magii Rzemieślniczej. Tak zgrabnie radzi sobie pani z artefaktami. To fantastyczne. Zapewne długo się pani tego uczyła?

— Ależ nie — roześmiała się asystentka. — Mam magiczny skaner.

— Tak, widziałem, że niektóre artefakty pani zostawiała. Jak je pani odsiewa?

— Wcześniej trzeba było oddawać wszystkie. A teraz pozostawia się medyczne, kontrolujące stan zdrowia. Profesor jest surowy, czasem studenci wpadają w histerię albo mdleją, a nawet serce może u kogoś zacząć szwankować.

— Och, jestem pewien, że pani nie jest taka krucha i nerwowa... —

zaczął ja komplementować Otto, ale ułowił moje spojrzenie i zrejterował.

Po kilku minutach stałam na drabinie, na wskroś przewiewana wiatrem i zaglądałam w okno sali tortur, gdzie trwał egzamin. Na dole cicho przeklinał Otto, przytrzymujący drabinę. Wszedł Bef, nakreślił kredą krąg na podłodze, postawił na katedrze piramidkę i usiadł. Studenci na sztywnych nogach powlekli się losować pytania. W chwili, kiedy już z zimna nie czułam rąk ani nóg, do stołu podszedł pierwszy odpowiadający, blady jak ściana. Ręce mu się trzęsły. Stanąwszy w kręgu, zaczął coś opowiadać, przetykając kurczowo, od czasu do czasu kreśląc na podłodze symbole i ciągle upuszczając kredę.

Wszystko było jasne. Z trudem oderwawszy przymarznięty do szkła nos, zdecydowałam się wrócić na ziemię. Na środku niełatwej drogi w dół usłyszałam nagle gniewny okrzyk:

— A co tu się wyprawia?!

Natychmiast znalazłam się na ziemi, przeliczywszy żebrami pozostałe szczeble i wbiłam oczy w nieznaną mi wykładowczynię. Otto w milczeniu szarpał się za brodę. Trzeba było działać szybko — spotkanie z dziekanem, do którego na pewno odprowadzi nas rozgniewana magiczka, nie wchodziło w zakres moich planów. Naśladując spojrzenie mojej młodszej siostry „A co się stało? To nie ja, jestem chodzącą niewinnością”, zatrzepotałam rzęsami i z całym możliwym szacunkiem powiedziałam:

— Szanowna pani! — Zesztywniałe na wietrze wargi były nieposłuszne. — Przepraszam najmocniej, ale winna jest tylko nasza ciekawość i nic więcej! — Wyszło to bardzo żałośnie.

Profesorka pokręciła głową z potępieniem. Zrozumiałam, że burza mija bokiem i ciągnęłam dalej:

— Wie pani, jak nam teoretykom dokuczają praktycy! No i co z tego, że boję się zombi?! — Przyprawiłam głos odrobiną drżenia i urazy. — Za to oni się boją profesora Befy i magii wykreślnej, a ja nie! Tak chciałam popatrzeć, jak im drżą kolana! — A teraz nutka pochlebstwa.

— Praktycy boją się nie tylko magii wykreślnej — rzekła magiczka protekcjonalnie. Widocznie coś przypomniawszy sobie ze studenckiej młodości, uśmiechnęła się i powiedziała:

— Jeszcze raz was przyłapię, to odprowadzę do waszego dziekana!

Rozpływaliliśmy się w podziękowaniach, złapaliśmy drabinę i

uciekliśmy, żeby się rozgrzać.

— Więc, co mamy... — Naradę wojenną odbywaliśmy w przytulnej ciepłej knajpce, z grzanym piwem w ręku. — Kiedy Beef aktywizuje piramidkę, przejawy magii w audytorium spadają do minimum. Czarować można tylko w kredowym kręgu. Zgodnie z tym, wszystkie warianty ściąg odpadają.

— Magicznych ściąg — uściśliłam, obserwując, jak na sąsiednim stoliku łyżeczka sama miesza cukier w herbacie. — Tak się przyzwyczailiśmy do magii, że o innych zwykle nawet nie myślimy.

— Co wobec tego?

— To, że można obejść się zwykłymi ściągami.

— Myślisz, ty jedna jesteś taka mądra? — zapytał Otto kpiąco. — Bef zwietrzy obcy przedmiot w trzy sekundy. I zabierze.

— Otto, jesteś genialny! — Olśnienie spadło mi na głowę ciężarem cegły. — To nie będzie obcy przedmiot!

Idea była prosta, jak budowa cepa — ściągą będą całkowicie dozwolone przybory kreślarskie! Trzeba po prostu nanieść na nie napisy.

— Które ujawni od razu pierwsza kontrola! — skomentował Otto.

— Nic podobnego! Z góry będzie naniesiona błona maskująca.

— I jak on ją ma potem zdejmować? W czasie egzaminu? Przy profesorze?

— Jeszcze nie wiem. Idziemy do biblioteki. Ale wiem, że magia w audytoriach gromadzi się w takiej ilości, że na mały wyrzut piramidka po prostu nie zareaguje.

Wyteżona praca w tej skarbnicy wiedzy w ciągu trzech dni doprowadziła do długo oczekiwanego rezultatu: skład maskującej błony został znaleziony. I nawet aktywujący artefakt do zestawu. Pozostało to tylko wprowadzić w życie.

Najpierw artefakt. Bierzemy standardowy, broniący gospodarza przed niebezpieczeństwami, przestrajamy go (koszt — trzy srebrniki w sklepie Mistrzów Artefaktów, moja chciwość smętnie płacze w kąciku) i idziemy przeprowadzać akcję wychowawczą ze Stofem.

— Stof, powiedz, a co będzie, jeżeli zawalisz egzamin i cię wyrzucą? — zapytałam niedbale.

— Mama mnie zabije! — wystraszył się.

Zatriumfowałam.

— Jeśli chcesz, żebym wypełniła obietnicę, powinienes współpracować! Rozbieraj się!

Stof nerwowo wczepił się w kołnierz koszuli i obejrzał się na Ottona.

— Przecież zapłaciłem! O co jeszcze chodzi?

Otto uśmiechnął się krwiożerczo, wydobywając coś z torby.

— No, nie wiem — zastanowiłam się, patrząc na drżącego Stofa. — Nam się w sumie nie podobają blondyni.

— Nam? — Stofa zatrzęsło. — Nam?!

— No tak. — Otto był uosobieniem uprzejmości. — Czasem na ciemnych kopalnianych przodkach jest tak ciemno i samotnie, więc powstała tradycja... Chłopcy, tacy delikatni... Wrażliwi... Ola, uwaga, ja od tyłu!

— Ja nie chcę! — zaprotestował Stof.

— No cóż, w takim razie nie mogę zrobić tego, na co się umówiliśmy. Chodźmy, Otto. On nas nie chce. A zaliczki nie oddam, nie z mojej winy sprawa przepadła.

— Stójcie! — Stof gorączkowo zdierał z siebie koszulę. — Tylko żeby nie bolało, dobrze? — i zaczął rozpinać spodnie.

— Nie trzeba — wymruczałam, biorąc do ręki wielki nóż. — Zacniemy na razie tak. Odwróć się i podnieś rękę.

— He he he, mięso! — Od śmiechu Ottona nawet ja poczułam się nieswojo. Stof zaczął szczekać zębami. Na jego plecach wystąpił pot.

— Lubię mężczyzn, świetnie się pocą. — Tępą stroną ostrza przesunęłam po skórze, zbierając krople w strużkę, a Otto przycisnęła do grzbietu Stofa naszykowany flakonik, żeby nie przepadła ani jedna kropla.

— Jest! Tego nam było trzeba! Możesz się ubrać.

— Co to był za cyrk? — Oho, rozgniewany mag bojowy, choćby nawet początkujący, to sprawa poważna.

— Potrzebny nam był twój pot. I to właśnie wywołany strachem — powiedziałam szybko. — Do aktywacji artefaktu.

— Czyli krasnoludy nie...

— W ciemnych kopalniach zrodziła się tradycja silnej przyjaźni. I tyle. Ola wymyśliła plan, a ja go podtrzymałam.

Dwie noce wydrapywaliśmy igłą na standardowych studenckich liniijkach formuły i rysunki, za dnia starając się nie zasnąć na zajęciach.

Głównie pracował oczywiście Otto — jego sesja już się skończyła, a moja miała się niebawem zacząć. Dlatego tylko dostarczałam materiał. Nie mogłam się równać pod względem pewności ręki i idealnego grawerowanego pisma z potomkiem długiej linii rzemieślników. Potem przyszła moja kolej. Nałożenie zaklęcia na artefakt. I nałożenie maskowania. Związanie obu przedmiotów. Zmniejszenie do minimum magicznego „szumu”. Gotowe.

— Uważaj — dawałam Stofowi ostatnie wskazówki przed egzaminem. — Artefakt przejdzie każdą kontrolę, jest sygnowany jako medyczny. Kiedy wylosujesz pytania, pomyśl o tym, że matka cię zabije, jeśli przewalisz egzamin, i jak będzie na ciebie krzyżeć. Przestrasz się. Zaczynaj szczekać zębami. Niech ci się spocą ręce, w których będziesz trzymał artefakt. Ten daje lekki impuls i maskowanie z linijki zejdzie. Cały czas się bój. Jak tylko się uspokoisz, maskowanie wróci na miejsce. Dlatego spisuj jak najszybciej pod pretekstem korzystania z linijki.

— I na Otchłań, w żadnym wypadku nie dotykaj artefaktu podczas kontroli przyborów! Jeśli formuły pojawią się w nieodpowiednim momencie, wszyscy wylecimy stąd na zbity łeb! — dodał Otto ponuro.

Stof pokiwał głową i poszedł zdawać.

Czekanie jest najgorsze ze wszystkiego. Siedzieliśmy w pokoju Ottona. On ponuro patrzył jak mróz maluje wzory na szybach, a ja miotałam się tu i tam.

— Ola, siadaj! — krzyknął w końcu. — Działasz mi na nerwy.

Usiadłam. Zdenerwowanie szukało sobie ujścia. Zaczęłam podskakiwać na łóżku, które zaczęło wydawać niedwuznaczne dźwięki.

— Jeśli moi sąsiedzi pomyślą, że ja tu z tobą... hm... dzieci robię, to cię własnoręcznie uduszę — wysyczał mój przyjaciel.

Z jakiegoś powodu pukanie palcami po stole też nie wprawiło go w zachwyt. Kołysanie się na boki — również. Musiał podzielić się ze mną zachomikowanym piwem. Wypiwszy, przestałam się miotać, ale za to zaczęłam zadawać pytania.

— Otto, jak myślisz, on się nie wsypie?

— To ty się z nim dogadywałaś, nie ja. Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej.

— Otto, a on zrozumie, co my tam naskrobaliśmy?

— My? Ja! Idealnym pismem! Ślepy by rozczytał!

— Otto, a...

Po dziesiątym pytaniu Otto zaryczał:

— Dość!!! Nie będę czekać, aż nas wyrzucą za przygotowanie ściagi. Utłukę cię już teraz! I wywalą mnie za morderstwo!

Tym krwiożerczym planom przeszkodziło stukanie do drzwi.

— Kto tam? — głos Ottona wyraźnie drżał.

— Stof.

— Wchodź.

Wbiliśmy wzrok w Stofa, w niemym oczekiwaniu. Podeszedł i położył przede mną złocisza.

— Zdałem celująco. Tylko dzięki wam.

— No. — Otto odchrząknął. — Gdybyś niczego nie wiedział, nigdy byś nie zdał na celujący, nawet z najlepszą ściągą na świecie. Tylko oddaj linijkę i artefakt, musimy je zniszczyć, że tak powiem, dla zatarcia śladów.

— Dzięki. Jesteście uczciwi ludzie. I jeszcze, że tak powiem, premia. — Położył na stole jeszcze jedną monetę, przybory i poszedł.

Spłynęła na mnie niewiarygodna ulga.

— Otto, zrobiliśmy to! Zrobiliśmy!

Śmiał się razem ze mną, a potem złapał na rękę i zakrążył po pokoju.

Minęło kilka dni. Przepijaliśmy w oberży resztki naszego ściągawkowego honorarium. Koło naszego stolika zatrzymał się nieznajomy student i powiedział:

— Słuchajcie, ktoś mi mówił, że można na was polegać. Z Wydziału Magii Praktycznej. Pomożecie mi?

Wymieniliśmy z Ottonem spojrzenia.

— Autorytet to wielka rzecz! — oświadczył Otto uroczyście i odwrócił się do klienta. — Tak, za określoną kwotę będziemy dla pana bliżsi od rodzonej mamy. Czego pan chce i ile jest skłonny za to zapłacić?



## Rozdział 6. Chleb w płynie

Przebiśnieg, pierwszy miesiąc wiosny, w tym roku był wyjątkowo obrzydliwy — wilgotny, szary i nudny. Siedziałam w swoim pokoju w akademiku i próbowałam przekonać samą siebie, że samotna bułeczka na stole jest znacznie większych rozmiarów, niż mi się wydaje. W czasie sesji oboje z Ottonem niezłe zarobiliśmy — pisaliśmy za różnych leniuchów kolokwia i referaty, zajmowaliśmy się wyrobem ściąg. Generalnie, całą parą łamaliśmy uniwersytecki regulamin. Lecz sesja skończyła się, tak jak zakończyły się też zarobione pieniądze. Kiełbaska i piwo w menu płynnie zostały zastąpione kaszą z kompotem. Przejaśnień i dosmaczeń w najbliższym czasie nie przewidywaliśmy.

— Oła, można do ciebie? — Otto wtarabanił się do mego pokoju, nie czekając na odpowiedź. Potrząsnął ciężką torbą. — Chcesz jeść?

A kiedy to ja nie chciałam jeść?

— Mam pomysł, jak zarobić. I to długofalowo! — zatrajkotał Otto, odczekawszy, aż odmaluje się przed nim obraz pod tytułem „Najedzona kobieta to zadowolona kobieta”. — Przyłączysz się?

Beztróska kiwnęłam głową, niezbyt się nad tym zastanawiając.

— Będziemy handlować alkoholem w internatach! Ty w swoim, ja w swoim.

W milczeniu wytrzeszczyłam oczy na swojego najlepszego przyjaciela. Za taki numer mogą nas — co tam mogą — na pewno nas wywalą z uniwersytetu.

— Wszystko przemyślałam. — Ottona nie stropił mój wyraz twarzy. — Wieczorem, kiedy dusza pożąda rozrywki, wyłazić po tę rozrywkę z ciepłego przytulnego pokoju w chłodną ciemność niezbyt się chce. A wówczas potrzebujący puka do któregoś z nas do pokoju i otrzymuje pożądany towar. Ceny trochę wyższe od rynkowych.

— Trochę? — wykrztusiłam.

— Zobaczymy, jakie będzie zapotrzebowanie. Może i nie trochę, a dużo. Nawiasem, pamiętasz jak się rozpoczęła nasza znajomość? Mieszaliśmy koktajle! Jeśli interes będzie się kręcił, zajmiemy niszę przygotowywania koktajli i nalewek, i będziemy je dostarczać do

piwiarni.

— Otto, ja rozumiem, że każdy szanujący się krasnolud powinien mieć swój biznes, ale nas przecież pogonią ze studiów!

— Na tym polega problem. Zastanów się, jak możemy niezauważalnie przemycać samogon do akademika, a całą resztę biorę na siebie.

— To jest niemożliwe!

— Przecież jesteś specjalistką od magii wykreślnej! Wierzę w ciebie.

Kiedy Otto dogadywał się z babkami, które w tajemnicy przed oficjalnymi władzami pędziły bimber (półkrasnolud dumnie nazywał je dostawczyniami), ja przesiadywałam w bibliotece.

— Potrzebny nam artefakt niewidzialności i zmniejszenia ciężaru — oznajmiłam swojemu przyjacielowi. — Przystosowane do naszych celów.

— Będą dawać potężne zakłócenia na tle energetycznym i nas przyłapią.

— Nie będą dawać mocnych zakłóceń. Zapomniałeś, że jestem specjalistką od magii wykreślnej? Ty przede wszystkim zrób artefakty. Kto z nas dwojga zajmuje się magią rzemiosł? A ja już je napompuję energią.

Po paru wieczorach spędzonych w warsztacie, Otto oznajmił:

— Z nas dwojga wyjdzie wspaniała para Mistrzów Artefaktów.

— Kiedy to będzie... — Machnęłam brudną ręką, a potem otarłam nią pot z czoła.

Najdroższe i najwyższej jakości artefakty i amulety zawsze wykonywane są w parach przez Mistrza Rzemiosł i Mistrza Translatora. Rzemieślnik wykonuje sam przedmiot, a translator wypełnia go magią — ściśle odmierzoną ilością idealnie odpowiedniej dla danego celu energii odpowiedniego żywiołu. Lecz takie pary to duża rzadkość — Mistrzowie mogą się zwyczajnie nie zgrać ze sobą, a do tego jeszcze zysk trzeba dzielić na pół.

Potem przystąpiliśmy do najważniejszej fazy — wykreślenia linii, które będą przekierowywać magiczne potoki na terytorium miasteczka studenckiego. Wieczorem, udając romantyczny spacer, wszystko wymierzaliśmy.

W nocy zaś, szcękając zębami z zimna, w jednej koszuli do pięt i lekkich sandałach — by nic nie zakłócało rozchodzenia się energii —

kreśliłam linie. Obok dreptał Otto, uroczyście niosąc moją ciepłą odzież i oświetlając mi drogę małym ognikiem. Z początku zamierzaliśmy obejść się w ogóle bez światła, ale za dnia potknęłam się o jakiś podstępny korzeń i wywinęłam kozła i półkrasnolud zdecydował się nie ryzykować zdrowiem swej partnerki biznesowej.

— A to dopiero! — rozległ się w mroku czyjś głos. — Co za przedstawienie!

Momentalnie schowałam się za plecami Ottona.

Drżący ognek wydobył z ciemności długą grzywkę, opadającą na oczy, ostry nos i cienkie wargi.

— Co to za erotyczne show na mrozie? — zapytał Irga, charakterystycznie rozciągając samogłoski.

— A ty czego się szlajasz po nocach? — warknął Otto nieprzyjaźnie, narzucając na mnie futro.

— Taką mam pracę — westchnął nekromanta teatralnie.

— My też mamy pracę — wyszczękałam. — Idź, gdzie szedłeś!

Nie zrażony moją nieuprzejmością, Irga wykonał ironiczny ukłon i odszedł, rzucając na pożegnanie:

— Masz całkiem niezłe nogi!

— Nie rozprasaj się. — Otto zdjął ze mnie futro. — Pracujemy.

Kiedy nareszcie, posiniała z zimna i kompletnie wyczerpana wydatkowaniem wielkiej ilości magicznej energii praktycznie wczółgałam się do akademika, Irga siedział na schodach.

— Zaparzyłem ci herbaty regeneracyjnej, bardzo dobrze działa na wzmocnienie — powiedział niedbale.

Byłam w takim stanie, że wypiłabym nawet filiżankę trucizny, a nie tylko herbatkę od nekromanty.

— Przecież ty tutaj nie mieszkasz! Jak tu wszedłeś? Co zrobiłeś z dyżurną? — spytałam nieco później.

— Twoja dyżurna śpi snem wiecznym.

Pusta filiżanka wypadła mi z rąk.

— Chciałem powiedzieć: słodkim snem — poprawił się Irga. — Ty też idź spać. Bardzo tego teraz potrzebujesz.

Czyżby czekał na mnie tylko po to, żeby napić mnie herbatą? Podejrzenie, jakie zakiełkowało w mej głowie, zażądało wyjścia na zewnątrz:

— Czy ty się do mnie... — Poczerwieniałam.

Irga uśmiechnął się sympatycznie.

— Nie podrywam dzieci.

— Ja już nie jestem dzieckiem!

— Jesteś, jesteś. Dojrzała kobieta, taka, którą próbowałbym uwieść, wolałaby odjąć sobie parę lat. A dzieci — bezczelny nekromanta pstryknął mnie w nos — zawsze starają się wydawać starsze.

\*

Następnego wieczora przybyła pierwsza partia towaru. Nastawiliśmy nalewkę na suszonej czarnej porzeczce (wybacz, mamó, nigdy nie lubiłam kompotu). Otto puścił wiadomość pocztą pantoflową i wieczorami zaczęli ciągnąć do nas pierwsi klienci. Wszystkich, którym nalewałam porzeczki do kubków, rondelków i nawet patelni, uprzedzałam o potrzebie bezwzględного zachowania sprawy w sekrecie. Wykładowcy rzadko miesza­li się do życia studenckiego, ale nielegalnego handlu spirytualiami na pewno by nie znieśli. Poza tym w akademiku mieszkały takie indywidua, których nie chciałam widzieć na swoim progu. Tajemnicy długo nie udało się zachować.

Przyznaję, że to ja zawiniłam. To mnie przyszedł do głowy pomysł ulotek reklamowych. Kilka tygodni pomyślnej działalności uspiły moją czujność, za to odwrotnie — obudziła się zachłanność. Dwa dni razem z Ottonem trudziliśmy się nad arcydziełem z tekstem: „Chcesz się napić? Nie musisz wychodzić z akademika! Kupuj u nas wspaniałe, pożyteczne dla zdrowia nalewki! Ola i Otto” — i krzywe „cuś”, co miało przedstawiać pełny kubek i szczęśliwy uśmiech jednocześnie. I wczorajszego wieczoru rozdaliśmy owoc swoich starań po akademikach.

A dzisiejszego ranka już staliśmy pod gabinetem prorektora od spraw ekonomicznych. Stanowisko to piastował mały, ruchliwy magister Buryk. Magiem był dość średnim, za to miał wstrząsający niuch, jeśli chodzi o pieniądze. Wcześniej służył jako audytor na królewskim dworze, ale po piętnastej próbie zamachu uznał, że na Uniwersytecie Nauk Magicznych pożyje znacznie dłużej.

Otto zajadle szarpał się za brodę, co u niego było oznaką ogromnego zdenerwowania.

— Przepraszam, wybacz mi — poprosiłam, ledwo powstrzymując łzy. — To wszystko przeze mnie...

— Spokojnie, jesteśmy partnerami. I tę decyzję podjęliśmy wspólnie, tak więc winni jesteśmy oboje. Ty siedź cicho, a ja poprowadzę negocjacje.

— Jakie tam negocjacje? — chlipnęłam. — Zabierać dokumenty i won do domu!

— Nie panikuj przedwcześnie — pocieszył mnie półkrasnolud, chociaż jego rozczochrana broda świadczyła o tym, że on sam jest daleki od spokoju.

— Wejdźcie — zaprosił nas prorektor chłodno.

— To co takiego? — zapytał, tykając palcem w pomiętą ulotkę reklamową.

Zachlipałam.

— Reklama — odpowiedział Otto.

— Widzę — wycedził magister Buryk jadownicę. — To wasze przedsiębiorstwo?

— Nasze.

— I czym handlujecie?

— Nalewkami zdrowotnymi — zakomunikował półkrasnolud, nie mrugnawszy okiem.

— Zdrowotnymi, znaczy się... A jeżeli ja was za to teraz wyrzucę? Poprawią te nalewki wasze zdrowie po rodzicielskim laniu?

Wyobraziłam sobie swój powrót do domu. Zebranie całej rodziny. Mama stoi, surowo zaciskając wargi. Zmartwiony ojciec kręci głową — tak bardzo wierzył, że odniosę sukces... Młodsze siostry patrzą zjadliwie i ze współczuciem. A potem mama otwiera usta i... Zgroza! Lepiej w ogóle nie wracać do domu, będę pracować po wsiach jako wędrowna wróżka.

Obawiam się, panie magistrze, że one są jednak przeznaczone do czegoś innego. — Otto wytrzymał cios.

— Na przykład do nielegalnej działalności finansowej na terenie uniwersytetu!

— To ją zalegalizujemy — zaproponował Otto.

— I wszyscy studenci wleżą nam na głowę — odparł prorektor szyderczo. — To już nie będzie uczelnia, a bazar!

— Możemy dostać monopol — powiedział Otto ostrożnie.

Magister zastanowił się. Chciał już coś powiedzieć, kiedy rozległo się stukanie do drzwi i do środka wszedł opiekun mojego roku i opiekun

Ottona, mistrz Rolf.

— Tych dwoje byłych studentów założyło biznes alkoholowy w uniwersyteckich akademikach.

Zauważyłam słowo „byłych” i zamierzałam odejść, ale Otto mnie przytrzymał.

— Jeszcze powalczymy — wyszeptał.

— Mnie bardziej interesuje nie to co zrobili, a JAK to zrobili — powiedział Bef, patrząc na mnie. — I dlaczego żaden z pracowników uniwersytetu nie zauważył, że do akademików trafiają takie ilości alkoholu.

Westchnęłam. Pozostawało mieć nadzieję, że moje umiejętności w zakresie magii wykreślnej udobruchają Befa.

— Wykres Manusiusa dla pól energetycznych. I dwa małe artefakty.

— Wykres Manusiusa to program aspirantury z magii wykreślnej, a nie drugiego roku wydziału teoretycznego — zauważył Bef. — Jakim cudem nie padłaś bez sił na tydzień?

— Herbatka wzmacniająca. — Postanowiłam nie wtajemniczać go w szczegóły.

— Doskonale! — Bef zatarł ręce. — Zaliczenie z wykreślnej dostaniesz automatycznie, jeśli opiszesz wszystkie zasady i właściwości zastosowania tego wykresu. Ale na wykłady chodź obowiązkowo, będzie jeszcze dużo ciekawego materiału.

— Zrobiliście to we dwoje? — zainteresował się mistrz Rolf.

— Tak.

— I jak się wam pracowało razem?

— Nam zawsze pracuje się dobrze razem — oznajmił dumnie Otto. — To już nie pierwszy raz.

— To przecież para Mistrzów Artefaktów! — zatriumfował krasnolud. — Profesorze Bef! Proszę tylko spojrzeć! Idealnie! Człowiek i krasnolud! I możemy zacząć przygotowywać ich już teraz!

— Dobrze, zdecydujemy o tym. — Bef chyba nie był w ogóle zdziwiony.

— Proszę wybaczyć, ale w tej chwili omawiana jest inna kwestia — oburzył się magister Buryk. — Tych studentów należy usunąć z uniwersytetu!

— Bzdura — odparł Bef. — Pan, panie magistrze, nie ma pojęcia, co się dzieje na powierzonym panu terenie. Każdy, podkreślam, każdy wart cokolwiek student dorabia sobie na boku, zwykle łamiąc przy tym regulamin. Wyrzucimy ich wszystkich, a uniwersytet opustoszeje. Po prostu tych dwoje rozwinęło skrzydła nieco bardziej od innych.

— Ale pieniądze...

— Ja się nie zajmuję finansami, ja uczę studentów. Decyzje finansowe pozostawiam panu.

Bef odwrócił się i energicznie wyszedł z gabinetu.

— Wy dwoje jutro po trzecich zajęciach do mnie do gabinetu! — powiedział mistrz Rolf, pożegnał się z magistrem Burykiem i cicho zamknął za sobą drzwi.

\*

— Dwadzieścia procent przychodów! — ciskałam się po upływie pół godziny już na korytarzu. — Otto, oddałeś mi wszystko, co możemy zarobić!

— Podniesiemy ceny. — Otto próbował wysupłać srebrne spinki z wroniego gniazda, które wcześniej było jego starannie zaplecioną brodą. — Jesteśmy przecież teraz monopolistami. I nie policzyłaś podstawowego źródła naszych dochodów!

— Koktajle! — rzuciłam pogardliwie.

— Ty, złotko, tylko pomyśl! Większość knajp dokoła miasteczka studenckiego należy do ludzi, związanych z zarządem uniwersytetu. A my będziemy im dostarczać oryginalne koktajle.

— I dostawać za to miedziaki.

— Od czegoś trzeba zacząć — pouczył mnie Otto. — Cała moja rodzina zęby zjadła na handlu, mam to we krwi. Nawiasem, pomyślałaś o tym, że nie tylko magister Buryk zechce dostawać procent od naszych zysków?

— Nie — przyznałam. — Byłam za bardzo wystraszona, żeby myśleć.

— Mnie w akademiku nikt nie ruszy — u nas mieszkają głównie krasnoludy, które święcie przestrzegają prawa własności, ale u ciebie... O ile wiem, rekiet jest wśród ludzi całkiem popularnym sposobem zdobywania funduszy. A skoro już tak szeroko się rozreklamowaliśmy, to pewnie jest u nas co zabrać.

Pomroczniałam.

— Idź obłóż drzwi zaklęciem — polecił mi Otto. — Ja zaraz przyjdę.

Kiedy ja zajmowałam się przekształceniem pokoju w niezdobytą twierdzę za pomocą magii i szaf, Lira pobiegła do sklepu po artefakty.

— Nie wiedziałam, co może się przydać. Ten jest na złodziei, ten od złych myśli, od złego oka, od niedobrych ludzi, od oszustów...

— Aktywuj wszystkie — poradziłam. — I nie wychodź.

— Dziewczynki, wpuście, to ja! — Otto wtaszczył do pokoju wielką kuszę. — Umiecie strzelać?

Lira w milczeniu otwierała i zamykała usta jak złota rybka.

— Ogólne zasady są mi znane — wymamrotałam. — Ale nie myślałam, że sprawa dojdzie aż do zabójstwa.

— Mam trzy bełty, a i te dostałem z trudem. Z takich monstrów nikt nie strzela, nie można go podnieść. Ale na postrach nadaje się jak najbardziej.

— Otto...

— Raz potwierdzisz swój autorytet i nikt więcej nie wlezie. Chociaż nie sądzę, że to będzie coś poważnego. Idę do siebie. Jakby co, to wołajcie o pomoc. — I półkrasnolud oddalił się.

Wieczorem do drzwi zaskrobali klienci. Śnieg już stopniał, ale na zewnątrz panowała taka plucha, że niektórzy nie odważyli się wychodzić nawet na wykłady.

Uchylałam drzwi, zabierałam pieniądze z wsuniętych naczyń i nalewałam czerpaczką porzeczkówkę.

— Zawsze się zastanawiałam, po co im bimber na patelni.

— Bo to tanio i daje kopa — odparła Lira, kartkując broszurkę „Jak ochronić swój dom”. — Podgrzewasz w pokoju patelnię, spirytus zaczyna parować. Podwójna korzyść — i lokal się dezynfekuje, i alkohol szybciej idzie do głowy. Wchłania się przez płuca do krwi.

— Skąd ty to wiesz? — zapytałam podejrzliwie.

— Przecież studiuję uzdrowicielstwo. Powinnam to wiedzieć. Niektórzy tak się czasem nawdychają, że bez nas się nie obejdzie.

W korytarzu dał się słyszeć hałas. Zatrzasnęłam drzwi.

— Ola! — wrzasnął ktoś z tamtej strony. — Nalej!

Ostrożnie uchyliłam drzwi.

— Pieniądze proszę.



— Jakie pieniądze, głupia? Ja ci robię łaskę, że tu w ogóle chcę wypić.  
— W szparę wepchnęła się włochata łapa z wielkim kuflem.

— Poznałam go po głosie — wyszeptała mi na ucho Lira. — To Bronn z czwartego piętra.

O Siły Niebieskie! Wielki, jak byk, mag bojowy z piątego roku... Moja prawa ręka sama wyciągnęła się do beczutki. Lewa zaś trzepnęła zdrajczynię i usłyszałam swój własny głos:

— Forsa.

— Co?! — Za drzwiami rozległo się oburzone sapanie.

Trzasnęłam rękę Bronna czerpakiem. Lira naparła na drzwi i wspólnie je zamknęłyśmy.

— Przesuń szafę!

Bronn z tamtej strony krzyczał i stukał, ale nagle ucichł.

— A co to za łomot? — No, ten głos poznałabym wszędzie. Jakże mogło obyć się bez Riaka, postrachu studentów z młodszych roczników? — Ja też przyszedłem się napić. Ola, otwieraj, słyszałem, że teraz z tym półkrewkiem handlujecie księżycówką.

— To kosztuje pieniądze — odezwałam się.

— A ty mi jeszcze jesteś dłużna, skarbie. Jeszcze się z tobą nie rozliczyłem.

Widocznie Riak nadal nie mógł mi przebaczyć niewinnej rozróby w knajpce minionej jesieni. Pewnie sobie bardzo cenił te dwa złamane przez trolle żebra.

— To ty mi jesteś dłużny, po sam grób — odparłam beczelnie, powtarzając w duchu „utwierdzam swój autorytet, utwierdzam swój autorytet”.

— Ach ty beczelna, niewychowana dziewucho! — rozeźlił się Riak.

— Mama mi mówi to samo.

Do drzwi zaczęto się z zapalem dobijać.

— Riak wyważy drzwi i nas zabije — powiedziała Lira i osunęła się na podłogę.

— Spokojnie — powtórzyłam ulubione słówko Ottona. — Za drzwiami jest jeszcze szafa.

Posadziłam Lirę na łóżku i położyłam obok kuszę.

— Jakby co, to strzelaj.

Sama otworzyłam okno i zaczęłam krzyczeć:

— Ratunku! Pomocy!

Ludzie na zewnątrz nie zareagowali. „Ta dzisiejsza młodzież...” — pomyślałam, wspominając burczenie staruch. W pewnym sensie miały rację.

— Ratunku! Gwałcą! Kto chce popatrzeć?!

Mieszkańcy miasteczka studenckiego pokręcili głowami, ustalając skąd dobiega wołanie i skierowali się do wejścia.

W korytarzu panował hałas.

— Przyszedłem po swoją dolę z waszego handelku! — rozległ się głos starosty akademika.

— Ja też — zauważył Riak.

— A ja chcę wypić! — zabuczał Bronn.

— Mogliby się zacząć tłuc między sobą — wymamrotałam.

W tłumie na korytarzu niczego nie dawało się zrozumieć.

— Ola — rozległo się za drzwiami. — Wpuść mnie, jestem parlamentariuszem. Daję słowo.

Z trudem odsunęłam szafę i uchylłam drzwi.

Irga usiadł na moim łóżku i założył nogę na nogę.

— Widzę, że cieszysz się niezwykłą popularnością wśród męskiej populacji twojego akademika.

— Nie tylko swojego, skoro i ty przyszedłeś — parsknęłam.

— Powiedzmy, że szedłem wcale nie do ciebie, a do pewnej ślicznotki z trzeciego piętra. Tak się akurat złożyło. Co masz zamiar zrobić?

Wzruszyłam ramionami.

— Myślałam, żeby powiedzieć wszystkim chętnym na śmietankę, że już ją zjadł magister Buryk.

— Odpowiedź nieprawidłowa. — Irga przeciągnął się. — Słuchaj mnie, pókim dobry.

— Dobry — powtórzyłam drwiąco. — Prędeż usatysfakcjonowany.

— No co ty tak — odezwała się Lira karcąco.

— Nie mam nic przeciwko prawdzie — powiedział nekromanta. — No to jak, co możecie mi zaproponować, jeśli załatwię sprawę z tymi tam, na korytarzu?

— Na zawsze? — upewniłam się.

— Na zawsze, dziecino, to za długo i zbyt kłopotliwie. Na okres

twojego przebywania tutaj.

— Nie mam niczego cennego. — Byłam gotowa rozpłakać się ze zmartwienia.

— Czyżby? — Irga uniósł brew.

— Ola jest nie tylko biedna, ale i uczciwa — wtrąciła się Lira.

Irga milczał.

— Nie mogę się równać ze ślicznotką z trzeciego piętra. — Skrzyżowałam ręce na piersi, próbując zasłonić je przed jego spojrzeniem.

— Dobrze. — Irga wstał. — W taki razie sam wezmę.

Podszedł do mnie, dotknął długimi szczupłymi palcami szyi. Wstrzymałam oddech, Lira westchnęła głośno. Nekromanta zręcznie zdjął z mej szyi apaszkę.

— Ej! — oburzyłam się. — To moja ulubiona chustka!

— Jak dawno ją prałaś? — spytał Irga, oglądając tkaninę.

Poczerwieniałam. No i dobrze, jestem leniwa, ale apaszka nie była taka znów brudna. Z drugiej strony, jaka miałaby być, jeśli noszę ją dzień w dzień, nie potrafiąc się z nią rozstać?

— Nie będziesz chyba odprawiał żadnej czarnej magii? — Lira próbowała odebrać Irdze chustkę. — Nie chciałabym, żeby mnie moja sąsiadka pogryzła w nocy!

— Nic się nie stanie, obiecuję. — Irga obdarzył nas uśmiechem i ulotnił się.

— Trzeba się dowiedzieć, do kogo chodził — powiedziałam do przyjaciółki. — I powiedzieć tamtej dziewczynie, że Irga jest zakaźnie chory. Po co jest mu potrzebna moja apaszka?

— Będzie ją wachał na nocnej zmianie, żeby odpędzić senność? — wysunęła przypuszczenie Lira, oberwała poduszką i upadła na łóżko.

Zaczęłam nasłuchiwać. Irga mówił cicho, ale wszystko słyszałam.

— Każdy kto będzie przeszkadzał Oli i Ottonowi w ich biznesie, będzie miał problemy z władzami uniwersytetu. A każdy kto będzie przeszkadzał Oli, będzie miał do czynienia ze mną, jasne?

— Co ty gadasz? — wzburzył się starosta. — Jakie znów problemy z władzami?

— A wy myślicie, że tych dwoje to debile? Odpalają procent Burykowi — powiedział Irga. — A on, żeby nie tracić zysków, wywali

wszystkich niewygodnych.

— Ciekawe, jakim sposobem przeszkodzisz mi dać nauczkę tej bezczelnej małej? — odezwał się Riak.

— Riak — odezwał się nekromanta z politowaniem. — Mówiliśmy już o tym, prawda? Bronn, powiedz mu.

— Nie ruszaj Irgi, to mój przyjaciel — zabasował Bronn.

— Dobry chłopiec!

— Co tam się dzieje? — nie wytrzymałam.

— On zaraz ogonem zacznie machać, słowo daję — odezwała się Lira.

— Kto, Riak?

— Nie, Bronn. Zdaje się, że on Irgę uwielbia.

— Uczą się razem na jednym wydziale. Jestem pewna, że Irga ich tam wszystkich omotał. — Próbowałam się precyzyjnie do szparki i popatrzeć.

— Albo zapytaj Blondasa, czy warto ze mną zadzierać. Koniec. Ludzie, rozejdźcie się. Koncertu nie będzie — podsumował nekromanta.

— Blondas trzyma Riaka mocno w garści — zauważyłam. — I nie jest aż takim idiotą, żeby robić sobie wroga z najlepszego nekromanty na wydziale.

— Irga, nie rozumiem, po co ci to? — zapytał Bronn. — Wpadła ci w oko ta dziewczyna? Figury nie ma...

„Za to ty masz samą figurę, bez mózgu” — pomyślałam.

— Kto mniej wie, śpi spokojniej — mruknął nekromanta i rzucił Bronnowi srebrnika. — Kup sobie nalewki, nie męcz się.

— Dziewczyny, nie dąsajcie się. — Praktyk podstawił kubek. — Jakby co, to przychodźcie, zawsze pomogę.

— Dziękuję, Bronn. Nie trzeba pieniędzy. Dziś dla ciebie na koszt firmy — odpowiedziałam łaskawie.

\*

Następnego wieczora Otto siedział u mnie na łóżku i skarżył się na zły los. Nikt nie próbował mu wywazać drzwi, za to uprzejmie zaproponowano wstąpienie do związku studentów-przedsiębiorców. Strata, czyli składka członkowska, wyniosła dwa złocisz.

— Z płatnością co kwartał. Ola, ty mnie w ogóle nie słuchasz!

— Po co mu moja chustka? — rozmyślałam głośno.

— Komu? Aaa, mówisz o Irdze? A kto ich tam wie, tych nekromatów...?

— Otto!

— Dobrze, dobrze. Rozumiem. Pójdę i zapytam, skoro ty się boisz.

— Ja się nie boję. Po prostu on mi i tak nie odpowie. Odprowadzę cię.

Po drodze do schodów, Otto rozważał, że trzeba by wynająć współpracowników, żeby nie przesiadywać wieczorami w internatach. Próbowалам słuchać — pomysł był rozsądny, lecz moje myśli były zajęte czymś innym.

Na schodach zderzyliśmy się z Irgą. Już otworzyłam usta, lecz nekromanta mnie uprzedził:

— Tak, ja do ślicznotki. A tu jest twoja chusteczka. Wyprałem ją.

— Yyyy... — wykrztusiłam.

— A po co ona była ci w ogóle potrzebna? — krzyknął Otto.

— Do złośliwej i okrutnej magii, po której Oli wypadną wszystkie włosy a twarz będzie zielona. W czerwone kwiatki.

Złapałam się za głowę. Irga się roześmiał. Otto lojalnie próbował się opanować, ale i tak parsknął śmiechem.

— Żartowałem — powiedział nekromanta z miną proroka. — Uprzedzając twoje następne pytanie: nie lubię, kiedy ktoś krzywdzi dzieci. Tak więc wzięłem cię w obronę.

— Jestem starszy ciebie! — obraził się półkrasnolud.

— O tobie nic nie mówiłem. To wszystko, powodzenia, śpieszę się.  
— Irga poszedł po schodach na górę.

— Po co mu...

— Oła, uspokój się. Zechce, to powie. Ale ja bym na twoim miejscu jednak zaczął się obserwować na wszelki wypadek. Różnie może być...

— Szczekać i gryźć nie będzie — rozbrzmiał z góry głos nekromanty.

## Rozdział 7. Praktyka z nekromagii

— Bieżące zadanie domowe — praca praktyczna „Terenowe badanie niektórych aspektów pracy nekromanty” — Profesor Partyk obdarzył nas promiennym uśmiechem. — Weźcie pod uwagę, że od razu poznam, na ile ta praca będzie praktyczna. No no, bez tragedyzowania! Autor najlepszego opracowania będzie zwolniony z egzaminu.

Chichocząc paskudnie, wykładowca wyszedł z audytorium. Nasza grupa siedziała w niejakim otępieniu. Skąd studenci drugiego roku Wydziału Magii Teoretycznej mogą wziąć materiały do podobnej pracy? Oczywiście tylko od znajomych nekromantów, bo książki z biblioteki w czymś takim nie pomogą.

— To co zrobimy? — Ptrońka jako pierwszy naruszył przeciągające się milczenie.

— Tu jest tylko jedno wyjście — burknął ponuro nasz starosta. — Iść do praktyków. Ciekawe, ile z nas nekromanci zedrą za pomoc.

— Myślę, że od dziesięciu do dwudziestu srebrników — powiedział Trochim. Przeszedł na Wydział Teoretyczny po trzech latach u praktyków i orientował się w tamtejszych trendach.

— To przecież całe stypendium — zmartwił się Ptrońka.

— A inaczej nie zaliczysz. To gorsze niż strata pieniędzy — burknęłam. — Mówią, że on tych, co nie zaliczyli, bierze ze sobą na cmentarz i zagania do najbrudniejszej roboty. I to nie raz. I każe preparować trupy...

Ciężkie westchnienie całej grupy poruszyło papierami na profesorskiej katedrze.

— A co myślicie — perorował wieczorem Trochim zainteresowanym słuchaczom w knajpie. — Nikt nie chce zatrudnić niedoświadczonych nekromantów — kto by chciał, żeby mu się zombi rozleciał w pół drogi? Albo udusił swojego właściciela? Tak więc Partyk wykręca się jak może, wiadomo, że polecimy po pomoc do...

— Z forszą — przerwał mu Otto.

— Z forszą — zgodził się Trochim. — ...do jego uwielbianych studentów-nekromantów.

— Trochim, a ty nie możesz sam napisać tej pracy? Przecież byłeś praktykiem — zainteresowali się obecni.

— Ale nie uczyłem się nekromagii — skrzywił się były praktyk. — Sam będę musiał sięgnąć do portfela.

Siedziałam przy sąsiednim stoliku i na karteczce podliczałam swój budżet. Pieniądze by się znalazły. Jednak wydanie tak dużej sumy poważnie ograniczało moje możliwości. Na przykład musiałam postawić krzyżyk na dawno już wymarzonej jedwabnej haftowanej spódnicy, która bardzo by mi się przydała na lato.

— Po co płacić, jak można nie płacić? — odezwał się do mnie Otto.

W jego półkrasnodziej krwi zgodnie wymieszały się krasnodzka oszczędność i ludzkie pragnienie darmochoy.

— Co masz na myśli? — spytałam czujnie. Widmo spódnicy zamajaczyło gdzieś na horyzoncie mej świadomości.

Otto po prostu wskazał drzwi.

A tam właśnie stał Irga i rozglądał się po sali w poszukiwaniu wolnego stolika.

— Otto... — wyszeptałam błagalnie.

Nie na darmo półkrasnodziej był już prawie do roku moim najlepszym przyjacielem — zrozumiał mnie natychmiast, bez słów.

— Cześć, Irga! Chodź do nas! — Donośny bas Ottona przebił szum w knajpie, jak nóż masło.

Spostrzegłszy machającego ręką półkrasnodzieja, nekromanta uśmiechnął się i skierował w naszą stronę.

— Cześć! — Obdarzyłam Irgę swoim najlepszym uśmiechem, długo trenowanym przed lustrem.

Irga uśmiechnął się i w milczeniu zaczął pociągać piwo. Nie martwiła go kwestia prowadzenia uprzejmej konwersacji. Martwiła za to mnie — nie mogłam w żaden sposób wymyślić od czego zacząć rozmowę, która powinna płynnie naprowadzić Irgę na myśl o wyświadczeniu mi nieodpłatnej przysługi.

— Eee... — zaczęłam, myśląc gorączkowo.

Otto przyszedł mi z pomocą:

— Słyszałem, że już dostałaś pracę. To prawda?

— Tak, w departamencie państwowym.

— Jakie to interesujące! — zawołałam, próbując naśladować piękną

heroinę z niedawno widzianego przedstawienia teatralnego. Widocznie przesadziłam, bo Irga popatrzył na mnie ze zdumieniem, a Otto zrobił straszną minę. Zaczęłam od nowa:

— To naprawdę ciekawe. Jak ci się udało? Przecież młodych nie biorą na takie dobre stanowiska.

— Może dlatego, że jestem taki zdolny? — Irga uśmiechnął się filuternie.

— Na pewno! — Obdarzyłam go niemalże kochającym spojrzeniem.

— A mnie Ola niedawno mówiła, że strasznie by chciała popatrzeć, jak pracuje prawdziwy nekromanta! — Otto rozpoczął atak.

Nie podobało mi się takie szybkie przejście do rzeczy, ale musiałam iść za ciosem.

— Prawdziwy nekromanta! Och, Irga, ty jesteś taki mądry! Taki wspaniały. Już masz pracę! A przecież nawet jeszcze nie zrobiłeś dyplomu! — Popatrzyłam mu w oczy psim wzrokiem.

Irga coś przeczuwał.

— Nie podoba mi się sposób, w jaki wymieniacie spojrzenia. No, papużki nierozłączki, przyznawajcie się, o co chodzi.

Wnikliwie rozważyłam wariant „uderzyć w płacz” ale stwierdziłam, że na nekromantę to nie zadziała. Na wszelki wypadek napełniłam oczy łzami (widmo spódnicy machało mi na pożegnanie) i wymamrotałam:

— Partyk dał nam zadanie praktyczne... z nekromagii... a ja spódnicę chciałam kupić! — wyjęczałam dramatycznie. — Nie mam w czym chodzić!

Irga mruknął sceptycznie i zajrzał pod stół, by spojrzeć na mój przyodziewek — najulubieńszą spódnicę, znoszoną do stanu „kosztowna ścierka do podłogi”. Rozsądnie nie pisnęłam ani słowa o swojej szafie wypchanej rozmaitymi szmatkami, a Otto gryzł wargi, żeby zachować zewnętrzne pozory absolutnego spokoju.

— Zgoda, wezmę cię ze sobą — powiedział nekromanta. — Ktoś w końcu musi nieść łopaty...

\*

Następnego wieczoru, z planem pracy w torbie, czekałam na Irgę przy bramie cmentarza. Przyjaciele w akademiku zegnali mnie przed tą eskapadą tak, jakbym miała już nie wrócić. Otto próbował mi wetknąć do torby ciasteczka na drogę, a Lira nawet uroniła łzę. Jej to dobrze —



uzdrowiciele mają do czynienia z nekromagią tylko podczas przerabiania rozdziału „Leczenie urazów spowodowanych przez zombie”.

Irga przyszedł obładowany roboczymi narzędziami, w starych spodniach i brudnych butach.

— A spódniczka, widzę, inna — zauważył, wręczając mi łopatę.

— Ale wygląda nie lepiej od tamtej — odparłam szybko.

— I kolczyki nietanie — ciągnął Irga. — A bluzeczka...

Z pasją machnęłam łopatą, przyzywając natchnienie, by odpowiednio uzasadnić brak pieniędzy na haracz dla nekromantów.

— Dobrze, dobrze — powiedział Irga, uchylając się przed przelatującym niebezpiecznie blisko szpadlem. — Wszystko rozumiem. Idziemy kopać.

— Irga, a dlaczego ty jesteś tak ubrany? — zapytałam, drepcząc za nekromantą po cmentarzu.

— A jak powinienem być?

— No... W czarną szatę albo pelerynę, czarne pantofle ze szpiczastymi nosami...

— No-no... Mów dalej.

Złapałam wygodniej ciężką łopatę i ciągnęłam w zadumie, przypominając sobie widziane kiedyś wizerunki nekromantów.

— Żółte paznokcie, długie i twarde. Włosy — czarne, długie i rozczochrane. — Sceptycznie popatrzyłam na krótką fryzurę Irgi. — Czarny kot na ramieniu, albo nie, lepiej szczur, taki duży, i ogon...

— Też czarny — podsunął nekromanta z poważną miną.

— Może i czarny! — odparłam wyzywająco. — I bez łopaty!

— Dobrze. — Irga westchnął. — A jak w takim razie ten nekromanta wydobywa ciało spod ziemi?

— A tak! — Próbowałam efektownie przedstawić magiczny gest i przekłeta łopata spadła mi z ramienia, trafiając w nogę.

— I on, i wszyscy widzowie stoją przysypani ziemią — oświadczył nekromanta.

Wyobraziłam sobie scenę gwałtownego katapultowania spod ziemi potencjalnego zombi — grudy czarnoziemu lecące w różne strony, kwiaty z mogiły, lądujące na głowie czarnego kota... Tak, łopata jednak jest niezbędna.

— Szata, luksusowa, szeroka...

— Płacze się pod nogami, przeszkadza pracować, rękawy opadają na dłonie, trudno wykonać odpowiednie magiczne passy...

— A włosy? Czarne i długie...

— A zombi w ataku szau łapie je ręką i odrywa głowę.

— Dlaczego zaraz w ataku szau?!

— A właśnie, że tak! — sprzeciwił się Irga. — Nikt, nawet sam stwórca, nie wie, w jakim nastroju zombi się przebudzi! Albo w jaki wypadnie później. To są najczęściej stworzenia nieprzewidywalne!

— A paznokcie... — czepiałam się resztek iluzji.

— Paznokcie! — próbowałaś coś zrobić z takimi paznokciami? Bardzo niewygodne.

— Niewygodnie to długimi paznokciami w nosie dłubać! A nekromanta takie powinien mieć!

— Jasne — westchnął Irga. — Do obrony przed zombi. Nie podchodź, bo rozszarpię...! Koniec, jesteśmy na miejscu. Kop.

— Ja?

— Ty, ty. Przecież miałaś poznać pracę nekromanty od strony praktycznej. A ja się zajmę pracą intelektualną.

— Boję się martwiaków — spróbowałam zagrać na litość.

— Nie szkodzi — uciął nekromanta okrutnie. — Wpierw się musisz do niego dokopać.

Po czym zapalił ogień, bezceremonialnie wyszperał w mojej torbie zadania na praktykę, torebkę ciastek (Och, ten Otto, mama-kwoka!) i wygodnie rozłożywszy się na sąsiednim grobie, zaczął skrobać piórem po papierze, od czasu do czasu pojadając ciasteczko.

Ziemia była dobrze ubita i sucha — dawno nie było deszczu. Głęboko wrastające korzonki trawy spajały grunt lepiej od kleju. Napierając ze wszystkich sił na łopatę, przeklinałam w myślach swoje skąpstwo. Do diabła ze spódnicą! Siedziałabym teraz z Ottonem w jakiejś knajpce, piła piwo i pogryzała solone precelki...

— Słuchaj, jeśli korzenie są za mocne, to podcinaj motyką, będzie wygodniej — poradził Irga, nie odrywając się od swojego zajęcia.

— Po co w ogóle siać tyle trawy na grobie?! — rozzłościłam się.

— Wierzenia ludowe. Ludzie mają nadzieję, że jeśli nieboszczyk zechce samowolnie wyleźć, to może się rozmyśli, jak mu będzie za ciężko. A ty kop, kop...

Po jakimś czasie postanowiłam chwilę odpocząć.

— A czemu akurat tutaj? — zapytałam.

— Bo taką mam pracę. Dali mi zadanie. Potrzebny materiał. Syneczek tego tu obywatela wykończył paru ludzi i dał nogę. Spróbujemy go poszukać zdalnie — ostatecznie połowę krwi ma po tatusiu. Może coś z tego wyjdzie.

Kopałam, przypominając sobie, co wiem o zdalnym poszukiwaniu. Częstka ciała, włos lub obcięty paznokieć poszukiwanego umieszcza się w specjalnej kolbie, mag odprawia rytuał i specjalny kompas pokazuje kierunek oraz przybliżony dystans do celu. Co prawda trzeba to powtarzać dość często, bo poszukiwany przestępca rzadko kiedy siedzi na jednym miejscu.

Wyrzucać ziemię było ciężko — dół robił się coraz głębszy. Jutro będą mnie boleć wszystkie mięśnie.

„Będę leżeć na łóżku i narzekać! — pomyślałam mściwie. — Wszyscy będą skakać dokoła mnie, pocieszać i masować.” — Myśl o rękach Irgi, masujących moje ramiona, została oddalona jak nierealna. Prędzej będzie to Lira, ona ma to w zakresie obowiązków zawodowych.

Wtem łopata wbiła się w coś z bardzo nieprzyjemnym chrupnięciem. Spod ziemi ukazał się skrawek tkaniny.

„Trup!” — Momentalnie wygramoliłam się z grobu, wczepiając palce w osypujące się ścianki i marząc o długich mocnych, może nawet złotych paznokciach.

Kiedy już rozpląszczyłam się na ziemi, zobaczyłam, że Irga najspokojniej drzemie, podłożywszy sobie pod głowę moją torbę.

— Wstawaj, hej, słyszysz?! Dokopałam się!

Irga przeciągnął się sennie, wstał i podszedł do grobu.

— No, prawie. Może jeszcze troszeczkę pokopiesz?

Kategorycznie odmówiłam.

— No jeszcze ciut ciut. Mam szufelkę, oczyścisz...

— Tam jest umarłak!

— To nic, zawinięty w całun, nic nie zobaczysz.

— Zimny...!

— A ty lubisz gorących mężczyzn? — zapytał Irga złośliwie.

— Tak! — odparłam, siadając na jego legowisku i przybierając stanowczą postawę. — Albo chociaż ciepłych. I miękkich, a nie

zesztywniały. Nawet ty jesteś lepszy od tego tam, na dole.

— Taaak? — przeciągnął Irga. — Nawet jaaa? Jakoś to, słonko, niezbyt dobrze zabrzmiało. Ja się przecież mogę obrazić.

Zrozumiałam, że lepiej się zmywać. Wsunąwszy długi zapisany zwój do torby — podziękowania potem — szybko zerwałam się na nogi.

— Czyli jestem aż tak odpychający? — Irga podchodził, dzierżąc uniesioną łopatę.

— Teraz tak! — wrzasnęłam i puściłam się pędem przez cmentarz, klucząc niczym zajac.

Z tyłu rozległ się demoniczny śmiech. Nie wytrzymałam i się obejrzałam. Prawdziwy nekromanta — w czarnej chlamidzie, z rozwianym włosiem, z długimi rękami o żółtych paznokciach i z oczami gorejącymi zielonym blaskiem — biegł w moją stronę. Pognałam jeszcze szybciej, patrzeć pod nogi nie było kiedy. Naturalnie potknęłam się o coś i machnęłam kozła na ziemię.

Kiedy otworzyłam oczy, odkryłam, że moja głowa spoczywa na kolanach Irgi, a on sam w zadumie przeczesuje moje włosy palcami.

— Co to było? — odezwałam się.

— Zwyczajna iluzja. Wszyscy nekromanci mają takie w zapasie, żeby straszyć mieszczuchów. A ty czemu zaczęłaś uciekać?

— Myślałam, że mnie uderzysz łopatą. Za to, co powiedziałam.

— Dlaczego?

Poruszyłam się. Było mi wygodnie i nie chciało mi się wstawać.

— Obraziłam twoją męskość. Otto by mnie pewnie zabił za coś takiego.

Irga westchnął.

— Nie zabijam małych dziewczynek za to, że mówią głupstwa. Wstawaj, muszę wracać do pracy.

Podniosłam się i wzięłam torbę.

— Napisałem twoją pracę — oznajmił Irga.

— Dziękuję. — Zmieszana, wzięłam go za rękę, zamknęłam oczy i wyszeptałam: — Wiesz, przecież ty jesteś sympatyczny i pociągający, nawet bardzo. I jednocześnie złowrogi i wredny.

Irga powoli powiódł dłońią po moim brudnym, podrapanym policzku.

— Chodźmy, odprowadzę cię do bramy. Jeszcze zabłądzisz tutaj...

dzieciaku.

Obraziłam się.

— Sama dojdę.

— I nie boisz się nieboszczyków? Coś podobnego! — zdumiał się Irga kpiąco.

— Tutaj tylko ciebie się trzeba bać — oznajmiłam stanowczo i poszłam.

— Wyjście jest z drugiej strony! — krzyknął za mną Irga, zaśmiał się i dodał: — podziękuj ode mnie Ottonowi za ciastka.

\*

— Wasze prace są koszmarne! — Partyk patetycznie uniósł ręce. — Skąpi i bezmyślni wałkonie! Jedyne prace Olgierdy Lachy zasługują na uwagę. Komu za nią zapłaciłaś?

— Nikomu — odrzekłam szczerze i wzruszyłam ramionami.

Partyk długo świdrował mnie spojrzeniem. Patrzyłam na niego spokojnie. Sumienie miałam czyste, jak nigdy. Przecież rzeczywiście nikomu nie płaciłam.

— Akurat! Nikomu! Mógłbym przysiąc... Ale on by nigdy bezpłatnie... Dobrze! Automatyczne zaliczenie z nekromagii! Zuch!

Zdecydowanie, dla tego warto było parę godzin pokopać, a potem trzy dni cierpieć bóle mięśni!

## Rozdział 8. Silnie działający środek

Po zakończeniu sesji nagle zauważyliśmy, że już od dawna trwa lato. Że noce są ciepłe, a woda w rzece jak mleko prosto od krowy, a na plażach prezentują się masy przystojnych młodych mężczyzn.

Wylegiwałam się na piasku, czekając na Ottona i uważnie obserwowałam, jak Irga uczy pływać swoją najnowszą przyjaciółkę. Umiałam pływać, ale nie tak dobrze jak on. Tak więc pierwotny plan, żeby podpłynąć cichcem, obryzgać tę zdzirowatą blondynę i oddalić się bez strat własnych był mało realny w tej ostatniej części.

— Co tam? — zapytał Otto, który właśnie nadszedł. — Zawiść wobec konkurentki?

— Akurat! — parsknęłam. — Czego tu zazdrościć? Bezkarne łapanie zimnymi rękami?

— Tego, że nie umiesz tak porywająco i podniecająco piszczeć, tego, że masz gorszy kostium kąpielowy i zdecydowanie skromniejszy rozmiar tego, co pod kostiumem — wyliczył Otto.

— Otto, zaważyłeś ostatni egzamin?

— Nie.

— To czemu jesteś taki wściekły?

— Popatrz na mnie! — poskarżył się krasnolud.

Obejrzałam jego krępą figurę o szerokich barach, muskularne ramiona, ultramodne kąpielówki oraz krótkie, bardzo owłosione nogi. Kąpielówki — różowe w zielone kwiatuszki — malowniczo podkreślały wszystkie Ottonowe niedostatki. Nogi wydawały się w nich krzywe i jeszcze bardziej włochate. Spod długiej brody kokieteryjnie wyglądał krągły brzuszek. Generalnie nie było tu widać nawet sugestii męskiej godności. Przełknęłam okrzyk „Co ty masz na sobie?!“ i odpowiedziałam spokojnie:

— No i? Wyglądasz normalnie. Może tylko spodenki masz... hm... trochę jaskrawe.

— Zabijają całą moją seksualność — wysyczał Otto.

— To czemu je założyłeś?

— Mama mi je podarowała — odparł mój przyjaciel, pograżając się

odmętach rozpaczy.

— Uspokój się, to ostatni pisk mody. Popatrz co mają na sobie inni.

Otto obrzucił posępnym spojrzeniem plażę. Wszyscy mężczyźni paradowali w kąpielówkach w najbardziej niemożliwych zestawieniach kolorystycznych. Co prawda na nikim nie wyglądały jak tekstylne bluźnierstwo.

— Irga ma czarne.

— Pozostaje wierny ukochanej barwie. Jeśli kiedykolwiek zobaczę go w czymś jaskrawym, będzie to oznaczało, że dostałam białej gorączki i majaczą — oznajmiłam.

— Czasami po prostu nienawidzę swojej mamy — westchnął Otto.

— Stara się jak potrafi najlepiej. Chce, żebyś wyglądał modnie i pociągająco...

— ...a wychodzi jej zupełnie odwrotnie — dokończył półkrasnolud.  
— Chodźmy się napić, póki nie masz jeszcze białej gorączki.

Przy piwie rozmyślałam, dlaczego nasi rodzice w swojej gorliwości uszczęśliwiania dzieci, tak często przesadzają? Moja mama ubierała mnie w modne kostiumy, które wyglądały na mnie jak siodło na krowie. Mama Ottona również regularnie kupowała mu modniarskie nowości, które były projektowane ewidentnie nie na jego typ urody i charakteru.

— Kiedy zaczynasz letnią praktykę? — Po dwóch kuflach piwa Otto poweselał i zmienił temat.

— Bef wzywa mnie do siebie jutro. Ale co nam mogą zaproponować po drugim roku? Będziemy siedzieć w bibliotece.

— My mamy gorzej. Będziemy pracować w kuźni — poskarżył się półkrasnolud.

— A co jest gorsze: siedzieć latem całymi dniami w zatęchłej bibliotece czy zajmować się przyjemną pracą fizyczną z możliwością posiedzenia na słoneczku?

— To się zamieńmy.

— Bardzo doceniam twoją troskę o moje dobro — powiedziałam. — Ale jakoś nie wyobrażam sobie siebie, machającej młotem. Nie mój profil.

— Nabierzesz mięśni, figurę będziesz miała, że hoho!

— I będę musiała wymieniać całą garderobę — roześmiałam się. — Lepiej już zostawmy wszystko tak, jak jest.

Bef jak zwykle przechadzał się po gabinecie z kąta w kąt.

— Razem z tobą będą pracować dwie praktykantki z Sofipilia.

— Co?!! — zawyłam. — Z mojego miasta?!

— Myślałem, że się ucieszysz — zdziwił się Bef.

— Może jeszcze z Liceum Magicznego?

— Tak. Uria Naut i Tiaka Cal.

Huknęłam czołem o profesorskie biurko. Sytuacja nic a nic się nie polepszała. Stuknęłam jeszcze raz i cicho zajęczałam. Cały miesiąc z dziewczynami, które dręczyły mnie w liceum, jak tylko mogły!

— Przestań histeryzować! — krzyknął Bef. — Co się stało?

— Gwarantuję panu, profesorze, że jeszcze przed końcem praktyki ktoś kogoś zabije. Nie lubimy się od pierwszej klasy liceum. A nawet nienawidzimy.

— To były głupie przepychanki małolatów — skrzywił się Bef. — Dawno już z tego wyrosłyście.

— Małolatów, akurat! One były ode mnie starsze! A uczyły się ze mną w jednej grupie! I maltretowały mnieeee! — zawyłam.

— To, że są od ciebie starsze oznacza, że nie są tak utalentowane magicznie, jak ty. A to, że ty się uczysz u nas, a one tam, też o czymś świadczy. — Bef usiłował przerwać moje skamlanie. — Jakim cudem chcesz zostać wykwalifikowana magiczką, skoro boisz się dwóch dziewczynek?

— Wolalabym dwa wściekłe zombi!

— Skieruję cię na praktykę do nekromantów! — zagroził profesor.

— Niech pan skieruje!

— Dość tego! — Befowi skończyła się cierpliwość. — Ze lękiem należy walczyć, inaczej zje cię żywcem. Koniec rozmowy.

\*

— Kiedy przyjeżdżają? — Moja współlokatorka głąskała mnie po plecach.

— Jutro — powiedziałam w poduszkę. Trzy ostatnie dni minęły mi na jękach i oczekiwaniu najgorszego.

— Może poprosisz Ottona, żeby się odprowadził? Albo ja nie pójdę jutro na praktykę i posiedzę z tobą w bibliotece.

— Jestem! — Otto wszedł do naszego pokoju niosąc wielką butlę. — Nowa receptura, specjalnie dla ciebie. Środek na uspokojenie. Dwa łyki i



jesteś spokojna, jak trup w mogile.

— To nie jest trujące? — zapytała Lira.

— Dawaj! — Wyrwałam półkrasnoludowi butlę i chciwie przyssałam się do szyjki.

— Oddaj! Tylko dwa łyki! W razie potrzeby! Ola, Ola ty mnie słyszysz?

Moja świadomość tonęła w miękkiej, ciepłej rzece. Słyszałam rozmowę przyjaciół jak przez warstwę waty.

— Za duża dawka! — To Lira.

— Nie szkodzi, prześpi do jutra, tylko ją rano obudź. — Otto.

— A rano jej to dać?

— Dwa łyki! I schowaj butlę, bo a nuż to uzależnia?

— Co ty tam wymieszałeś?

Głosy oddalały się i tonęły w rzecznych falach.

— Magia, waleriana, melisa, peonia...

\*

— Ola, wstawaj! — Lira tarosiła mnie za ramię. — Te twoje już przyjechały. Pora iść na praktykę.

— Aha... — Przeciągnęłam się z zadowoleniem. Wyspałam się wprost wspaniale. — A gdzie moje kropelki?

— Masz. Odmierzyłam ci. Więcej nie wolno.

— Daj jeszcze! Inaczej nigdzie nie pójde! — Próbowałam wylizać kubek, ale język nie sięgał dna.

Lira westchnęła, wydostała butelkę spod łóżka i ostrożnie kapnęła mi do podstawionego kubka.

— Tylko dlatego, że mam miękkie serce. Pamiętaj!

Szłam do biblioteki, uśmiechając się do całego świata.

Stareńki bibliotekarz instruował dwie modnie ubrane dziewczyny.

— Olgierdo, dołącz. Będziecie pracować w dziale starych manuskryptów. Żadnej magii, bo się rozsypią. Ostrożnie, po trzykroć ostrożnie! Jeśli choć jeden rękopis ucierpi, czekają was poważne konsekwencje. Olgierdo, ty będziesz dowodzić. Pokaż tu wszystko naszym gościom. Dlaczego się tak uśmiechasz?

— Ja? Oj, przepraszam. — Nawet nie zauważyłam, że usta same mi się rozciągają.

— Do tej pracy trzeba się odnosić poważnie — pouczył mnie

bibliotekarz i poprowadził nas do działu manuskryptów.

Moim zadaniem było klasyfikowanie starych zapisów: te odkrycia są już przestarzałe, te się jeszcze przydadzą, tej wiedzy się nie wykorzystuje. Robota żmudna, należało nieustannie zaglądać do leksykonów i podręczników. Piękne dzięki, profesorze! Aleś mnie uszczęśliwił! Ze smutkiem pomyślałam o swoich koleżankach i kolegach z grupy, którzy siedzieli teraz w sali wspólnej biblioteki i udawali, że zajmują się katalogami, a w rzeczywistości większą część czasu śmieją się i plotkują.

— A więc tak... — Wysypałam ze swojej torby potrzebne do pracy utensylia. — Wy robicie swoje, a ja swoje. Dobrze?

— Olgierdo, nawet się z nami nie przywitasz? Jak to tak? — zamruczała Uria.

— Dziewczyny, bardzo mi miło was widzieć, ale jeśli zaraz nie zabierzemy się do roboty, będę musiała zameldować o tym, że się objacie i przeszkadzacie w pracy.

Wiem, że to zabrzmiało nieładnie, ale nie miałam zamiaru wdawać się w słowne przepychanki.

Po upływie dwóch godzin za moimi plecami rozległy się szepty i chichot. Czuliście kiedykolwiek, że ktoś się z was skrycie wyśmiewa? O, uwierzcie, że to o wiele gorsze, niż kiedy śmieją się otwarcie. Wtedy przynajmniej się wie, co jest nie tak i z jakiego powodu. Jednak śmieszki za plecami doprowadzają człowieka do szału. Kiedy się odwracasz do szyderców, ci prezentują całkowitą powagę. A potem znów rozlega się chichot. Istnieje też kategoria „życzliwych”. „Wiesz, oni się z ciebie śmieją. Nie, nie wiem dlaczego. Ja nie jestem z nimi. Ja jestem twoim przyjacielem, ale oni już od dawna się z ciebie wyśmiewają. I wiesz, na razie chyba nie powinnaś pokazywać się w tym towarzystwie”.

Wszystko to przeżyłam w latach licealnych, wypracowałam w sobie odporność, dodatkowo jeszcze wzmocnioną dziś środkiem uspokajającym, więc trudno mnie było wyprowadzić z równowagi zwykłymi śmieszkami. Pierwszy dzień roboczy zakończył się stosunkowo spokojnie.

Kiedy wychodziłam z biblioteki, Uria wzięła mnie pod rękę.

— Olgierdo, przecież jesteśmy twoimi przyjaciółkami. Opowiedz nam, jak tu ci się żyje. Widzę, że masz inny styl ubierania. Czyżbyś w

końcu zaczęła chodzić z jakimś chłopakiem?

— Moja droga — odpowiedziałam jej identycznym tonem. — Moje życie osobiste nie powinno cię zupełnie obchodzić. A przyjaciółkami nie byłyśmy nigdy. Do jutra.

Lira czekała na mnie z pudełkiem czekoladowych cukierków.

— Jak poszło? — zapytała.

— Lepiej, niż się spodziewałam — wybełkotałam z pełnymi ustami.  
— Mogę jeszcze jednego?

— Jedz, jedz. To wszystko dla ciebie. Czekolada jest dobroczynnym środkiem. Mówię ci to jako lekarz.

Przez trzy dni nawet nie korzystałam z uspokajacza. Intensywnie pracowałyśmy, nie odrywając się na prywatne sprawy. Trzeciego dnia moje krajanki zobaczyły mnie z Ottonem.

Następnego ranka w bibliotece powitała mnie cisza pełna wyczekiwania.

— To był twój chłopak? — zapytała Tiaka.

— Kto?

— Ten niski z czarną brodą. Taki okropny.

— Otto nie jest okropny!

— To półkrasnolud — oznajmiła Uria. — Rozpytałam paru ludzi.

— Masz chłopaka półkrasnoluda?

— On nie jest moim chłopakiem — odparłam.

— O, to na ciebie nawet półkrasnolud się nie połaszczył?

— Tak, nawet półkrasnolud — powiedziała Tiaka z ubolewaniem. — Ona przez dwa lata w ogóle nie miała chłopaka.

— Znów między wyrzutkami, kruszynko? — zapytała Uria.

— Nie znów, a ciągle — mruknęła Tiaka. — Jej przecież nikt nie chce.

— Nigdy nie chciał.

— Straszydełko bez gustu.

— Ja bym się powiesiła...

— Skończyła ze sobą...

— Po co żyć tak nędznie?

Dziewczyny, jak drapieźniki czujące krew, nacierały powoli, zaganiając mnie do kąta.

— Jestem całkowicie zadowolona ze swojego życia — broniłam się.

— Jakiego życia?

— Ty masz jakieś życie?

— To nazywasz życiem?

— Tak, ja to nazywam życiem! Życiem! I ono mi się podoba!!! — wrzasnęłam, wyrywając się z kąta.

Uciekać, ratować się. Schować ze strachu i ze wstydu. Dlaczego jestem takim tchórzem? Dlaczego zamiast osadzić te dwie chamki celną repliką, wolałam uciec?

\*

— Wyłaż spod kołdry! — zażądał Otto. — Patrz jak wyglądasz! Dać ci lusterko?

— Nie trzeba — wyszłochałam. — I tak wiem, że jestem okropna i nikt mnie nie chce.

— Kto ci powiedział, że jesteś okropna?

— Sama wiem!

— Nie jesteś okropna.

— Okropna. I nikt mnie nie chce. Kompletnie! Nikt!

— Jasne, jasne. A teraz to nie ja przyszedłem od ciebie, rezygnując z możliwości wizyty u rodziny? Dylizans właśnie odjechał, nawiasem mówiąc. I to nie Lira podtyka ci pudełko chudorskiej czekolady?

Czekolada ze stolicy? Straszliwie droga i niebiańsko smaczna? Podniosłam zaryczaną twarz z poduszki.

— My cię chcemy. Nam jesteś potrzebna — powiedział Otto miękko.

— Nie poddawaj się tak szybko. Jesteś przecież mądra, złotko. Masz, trzymaj chusteczkę. Wytrzyj oczy i jedz czekoladę. No, proszę, zrobi ci się lżej.

— Ja się ich boję — przyznałam. — W liceum było łatwiej, bo nie byłam jedyną ofiarą. A teraz...

— A kto im dał prawo znęcania się nad tobą? Wyśmiewania twojego stylu życia? Nie daj im się.

— Łatwo ci mówić, Otto. O ile pamiętam, rok temu ty sam byłeś w takiej sytuacji.

Otto szarpnął się za brodę.

— Nie w takiej. Po pierwsze, to nie były widma przeszłości, wredne dziewczynki, tylko banda. Po drugie przeciwstawiałem się im, a nie opuszczałem rączek, jak ty. I już na pewno nie ryczałem godzinami ze

strachu. Masz, wypij.

Łyknęłam nalewki na uspokojenie.

— Coś wymyślę. — Otto znów targał się za brodę. — Tylko się nie poddawaj, dobrze? Dokuczają ci, myślałby kto. Kim one są ostatecznie?

Potrząsnęłam butelką, po czym łyknęłam znowu i przymrużyłam oczy z zadowoleniem. Otto coś wymyśli, jak dobrze, że mam przyjaciół! Środek rozchodził się po organizmie. Życie wracało do normy.

— Powiem ci coś, jak kobieta kobiecie — rzekła Lira. — Jesteś ładna i masz twarzowy styl ubierania. A to, że nie masz chłopaka, oznacza tylko tyle, że jesteś zbyt zajęta, żeby mu poświęcać czas. To wszystko, idę do kuchni, powinnaś coś zjeść.

Podrapałam się w zamyśleniu.

— Zarabiasz na sobie — dodał Otto. — Dobrze się uczysz, Bef cię docenia. Najlepszą robotę podsuwa!

— Akurat, najlepszą... — Poskrobałam się paznokciami po plecach, żałując, że nie dysponuję mocnymi, szponiastymi pazurami zasłużonej wiedźmy-weteranki.

— Pewnie! Stare rękopisy! Szukaj czego chcesz, przepisuj i korzystaj!

Drapałam się po brzuchu obiema rękami.

— O tym nie pomyślałam.

— Na szczęście masz przyjaciół, którzy myślą za ciebie. Nawiasem, kiedy się ostatnio myłaś?

— A co? — Uch, szkoda, że nie mam dziesięciu rąk!

— Podobno mycie pomaga na swędzenie.

— Ola! — krzyknęła Lira od drzwi. Rondelek z zupą wypadł jej z rąk i potoczył się po podłodze z żałobnym brzękaniem. — Annie Miłościwy! Co z tobą?!

Miłościwego Anna, patrona magów-uzdrowicieli, Lira wspominała skrajnie rzadko. Mawiano, że ów patron jest wyjątkowo leniwy i nie przepada za zbyt częstymi wezwaniami. Lekarze oczywiście zaprzeczają, mówiąc, że należy liczyć na swoje siły, a nie na pomoc bóstwa.

— Co? — Nawet przestałam się drapać.

— Spuchłaś!

— Nie zauważyłem — powiedział mój najlepszy przyjaciel ze skrucą.

— Oczywiście, przecież nawet na nią nie patrzyłeś. Nie drap się, bo będzie gorzej!

— Urok! Pójdę i pouryvam łby tym dwóm idiotkom!

— To nie urok, tylko alergja. Widocznie twoja nalewka plus czekolada dała taki efekt.

— Przecież już jadłam czekoladowe cukierki po wypiciu nalewki!

— Ale to była miejscowa czekolada. A nie wiemy, co wytwórcy w stolicy dodają do swojej! — Lira grzebała w swoich medycznych zapasach. — Tym bardziej, że wtedy to było rozciągnięte w czasie — środek uspokajający rano, a czekolada wieczorem.

— Ona od tego umrze? — zapytał Otto z przestrawieniem.

Jego ton sprawił, że rzuciłam się do lustra. O, Siły Niebieskie!

— Sukin kot! — zawylałam.

— Nie przeklinaj, jeszcze przywołasz! — skarciła mnie Lira.

— Sukin kot!!! — Z lustra patrzyła na mnie rozdęta morda o barwie prosięcego różu. Moje oczy niemal całkiem znikły między poduchami nabrzmiątych policzków i niskiego trollowego czoła. Szyja rozdęła się tak bardzo, że rzemyki od amuletów, wcześniej luźne, teraz werżnęły się w ciało. Ogromny biust rozrywał bluzkę. Palce przypominały serdelki, a uszy — do tej pory małe i zgrabne — wyglądały jak uszyska goblina.

— Nie umrze! — Lira podała mi słoiczek. — Wypij.

— Poczekaj! W leku na uspokojenie była magia. A co, jeśli skłóci się z twoją?

— Nic nie szkodzi — odparła uzdrowicielka ciut niepewnie. — Gorzej już nie będzie.

Łyknęłam gorzkiego eliksiru. Postałam, wsłuchując się w swój organizm.

— Chyba trochę przechodzi.

Otto wydobył z siebie zdławione chrypienie i złapał za brodę.

— Sukin kot — wyszeptała Lira.

To było pierwsze przekleństwo, jakie usłyszałam z jej ust. Powoli odwróciłam się do lustra i zaparło mi dech. Różowa skóra pokryła się pięknymi, asymetrycznymi niebieskimi plamami.

— Nie Sukin kot... — powiedziała z resztką opanowania. — SUKIN!!!

Otto przycisnął mnie do piersi, hamując atak hysterii, jednocześnie

robiąc ręką znak ochronny.

Rano oryginalne ozdoby na mojej twarzy zbladły i wyglądały jak zwyczajne sińce — fioletowe plamy z granatową otoczką.

— Za to przestałaś się drapać — pocieszyła mnie Lira. Kiedy ja odpracowywałam atak hysterii, ona zalewała się gorzkimi łzami, winiąc o wszystko siebie. Otto uspokoił mnie, uspokoił Lirę, a potem uspokoił się sam całym dostępnym w pokoju zapasem alkoholu. Teraz spał na moim łóżku, chrapiąc tak, że na parapecie podrygiwała doniczka z kwiatkiem.

— On ma dziś wolne, nie ma po co go budzić — powiedziała Lira. — Dasz sobie radę?

Uśmiechnęłam się smętnie. Było mi już absolutnie wszystko jedno, mogłam przejść morze na piechotę.

Urii i Tiace, które osłupiały na mój widok, powiedziałam sucho:

— Urok. Od konkurencji. Jak mi będziecie dokuczać, to go przerzucę na was.

Wieczorem po drodze do akademika spotkałam Irgę. Obejrzał mnie w milczeniu i powiedział rozmarzonym tonem, lekko rozciągając samogłoski.

— Czy już ci mówiłem, że mi się podobasz?

Pokręciłam głową.

— Podobasz mi się. — Młody nekromanta pogłaskał mnie po policzku. — Przypominasz mi moje najlepsze zombi, a ja tak kocham swoją pracę. Cudowna karnacja! Ej, ej! Ostrożnie, to moja ulubiona koszula! — Błyskawicznie zerwał z siebie płonący element garderoby.

Obserwując dopalającą się na ziemi koszulę, Irga powiedział:

— Ożenię się tylko ze zwyczajną kobietą. Żadnych magiczek w domu! Przynajmniej będę miał jakąś gwarancję, że domowe awantury obejdą się bez przemocy i odrywania członków.

— Odrywanie członków? Świetny pomysł! — Nacieralam na nekromantę, zaciskając kułaki.

— Ola! — Chłopak prędko się uchylił. — Ten akurat organ bardzo sobie cenię.

— Zamarynujesz sobie na pamiątkę! — W końcu mogłam się na kimś wyładować. — Jak zombi, tak?!

— Jak najlepszy zombi! — bronił się nekromanta. — To był komplement! Tylko bez iskier! Ja nie jestem ognioodporny! Ola!

— Olgierdo, czy mogłabyś nie realizować swoich erotycznych zamierzeń na oczach otoczenia? — rozległ się za mną suchy głos Befa.

— Przepraszam, profesorze! Irga jako obiekt erotyczny mnie nie interesuje! Chcę go zabić!

— Olgierdo, nie interesuję się życiem osobistym studentów. Proszę mi darować szczegóły. Nawiasem, za zamordowanie najlepszego nekromanty na wydziale z całą pewnością zostaniesz relegowana z uniwersytetu, więc radzę to przemyśleć.

Bef przyjrzał mi się z zainteresowaniem, po czym spytał:

— Co ci się stało w twarz? I... hm... w całość ogólnie?

— Alergia. Spotęgowana przez konflikt magiczny.

— Do Domu Uzdrawień.

— Nie chcę! — wystraszyłam się.

— Biegiem. To rozkaz. Irronto, proszę zostać.

Pokazałam Irdze język i poczłapałam do budynku uzdrowicieli.

Następnego dnia miałam już prawie normalny kolor (o ile można za normalny uznać jednolicie liliowy odcień twarzy) i poprzednie rozmiary. Obecna przy leczeniu Lira zapisywała w notesie wszystkie czynności swojego opiekuna i pocieszyła mnie:

— Teraz już możesz pałaszować czekoladę i zapijać ją nalewką na uspokojenie. Zapisałam wszystko, co trzeba.

— Dzięki, wolę nie — wyburczałam. — Komuś przypominam zombi, patrzcie go! Drań!

Drań czekał na mnie pod biblioteką z malutką, czerwoną różyczką w dłoni,

— Nie lubię róż.

— Wiem. To lizak. W charakterze przeprosin za niezręczny komplement.

— Lizak... — Nie potrafiłam przybrać surowego wyrazu twarzy. — Daj!

— Wybaczasz mi?

— Pewnie! Daj już!

Irga uśmiechnął się i cmoknął mnie w rękę.

— Kto to był? — zapytała mnie Uria.

— Yy? — zamyczałam, usiłując rozdzielić sklezione lizakiem szczęki.

— Wczorajszy półnagi przystojniak. To on ci podarował różyczkę?



— Yhy.

— No dalej, Olgierda! Spotykasz się z nim?

— Iee!

— Zapoznasz nas, co?

— Jaki piękny! — westchnęła Tiaka marzycielsko. — Pół życia za takiego faceta!

— Yhia?

— Olgierda, głuptasie! Nic nie rozumiesz! To najpiękniejszy chłopak ze wszystkich, jakich tu widziałyśmy! Jest niesamowity! Jak przewodnik stada!

Spróbowałam sobie wyobrazić Irgę jako największego byka w stadzie, ale marnie mi to wyszło. Prędzej wilk samotnik. Bezczelny, omijający pułapki i terroryzujący całą okolicę.

— Olgierduniu! Błagamy! — podlizywały się Tiaka i Uria.

Machnęłam ręką. Zapoznam je z Irgą, niech się tylko odczepią.

\*

Wieczorem Irga objawił się na płocie koło biblioteki, z torebką herbatników, które przeżuwał melancholijnie.

— Irga! — Podeszłam do niego pewnym krokiem. — Poznaj moje byłe koleżanki ze szkoły: Urię i Tiakę.

— Miło mi poznać. — Nekromanta był uosobieniem grzeczności. Całowanie w rączkę i komplementy... Splunęłam w myślach i odeszłam.

Irga dogonił mnie koło akademika.

— Nie narzekam na brak dziewczyn. Nie musisz mi jeszcze podsuwać tych dwóch prowincjonalnych gąsek.

Obraziłam się w imieniu swojego miasteczka.

— Znaczy, ja też jestem prowincjuszka?

— Prowincjuszkami są te, które się zachowują jak prowincjuszki. A ty się zachowujesz jak dzieciak. Wystarczyło, żebym pstryknął palcami na te dwie...

— I wskoczyłyby ci do łóżka — dokończyłam. — Nie musisz mówić, cały dzień to knuły.

— Moja droga, tego jeszcze brakowało, żebyś się zajmowała stręczycielstwem. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

— Próbuję zrozumieć, co one w tobie widzą — odrzekłam ucziwie.

Irga wyprostował się godnie.

— Nie chcę się przechwalać, ale większość dziewcząt uważa, że jestem piękny.

Krótkie czarne włosy z długą grzywką. Uszy w porządku, nie odstają — w lewym maleńki kolczyk-kółeczko. Błękitne oczy. Długi nos, cienkie wargi. Figura wysoka, chuda ale zarazem muskularna. Co w nim takiego niezwykłego?

— Muszę cię rozczarować, ale nie uważam cię za pięknego. Ani nawet atrakcyjnego — odpowiedziałam.

Nekromanta filozoficznie wzruszył ramionami.

— Otto też komuś powinien się podobać.

— Otto mi się nie podoba, w każdym razie nie jako mężczyzna.

— W takim razie kto? — zapytał Irga podstępnie. — Opowiedz o swoich preferencjach.

Sama jestem ciekawa...

— A po co ci to?

— Mógłbym cię z kimś poznać. Żebyś nie czuła się samotna i pozbawiona męskiej uwagi.

— Dlaczego miałabym być pozbawiona męskiej uwagi?

— Twoje przyjaciółeczki tak powiedziały. Że pewnie różyczkę podarowałem ci z litości.

Poczułam się, jakby na mnie ktoś wylał wiadro pomyj. To było okropne, występować przed Irgą jako żalosna bieduła.

— I co im na to odpowiedziałeś? — spytałam, przełknąwszy gulę w gardle.

— Nic — odparł Irga. — Nie mogłem im przecież powiedzieć prawdy. Że dałem ci różę, żeby się przekonać, jak szybko zdołasz rozlepić szczęki. Niestety, uciekłaś do biblioteki i nici z mojej uciechy.

Spojrzałam na nekromantę podejrzliwie. Beztrosko strzepywał topolowy puch z czarnej koszuli.

— W takim razie, zanim mi coś podarujesz, następnym razem uprzedź o swoich planach — powiedziałam ze złością i poszłam do domu.

\*

Dziewczyny przez cały tydzień obskakiwały Irgę i snuły plany, jak zaciągnąć go do łóżka. I były w coraz gorszych humorach. Widocznie nekromanta ignorował wszystkie ich usiłowania.

— To ty jesteś wszystkiemu winna! — zasyczała Tiaka. — Dlaczego nam nie powiedziałaś, że serce Irgi jest już zajęte?

— Skąd mogłam wiedzieć, że on jest zakochany? — zdziwiłam się. — Zmienia dziewczyny, jak rękawiczki.

— Wiesz, o czym on z nami rozmawia? Co tam u was w bibliotece? Jak tam Ola? Opowiedzcie, jak uczyłyście się razem? — Uria przedrzeźniała śpiewną wymowę nekromanty. — Nami się zupełnie nie interesuje.

— Rozpytałyśmy się między ludźmi i co? Okazuje się, że Irga woli ciebie!

— Mnie??? — zdumiałam się.

— Oczywiście, nam o tym nie raczyłaś powiedzieć. A teraz śmiejesz się z nas razem ze swoim kumplem, tak? Niech dwie dziewczyny z prowincji robią z siebie idiotki przed wszystkimi studentami!

— Każdy sądzi po sobie — powiedziałam w oszołomieniu. — Nigdy nie sądziłam, że Irga...

— Nie udawaj, on poważnie się tobą interesuje! Może nawet jest zakochany...

— Choć w to trudno uwierzyć — dodała Tiaka. — Ale wiele na to wskazuje.

— Ja nie...

— Jeszcze nam za to zapłacisz — powiedziała Uria mściwie.

Moje życie zmieniło się w koszmar. Pożerane przez złość i zawiść, moje krajanki dokuczały mi jak tylko mogły. Każdego dnia szłam do biblioteki jak na ścięcie. Lirze i Ottonowi niczego nie mówiłam. Było mi wstyd, że nie potrafię sobie poradzić z bezpodstawnymi złośliwościami dwóch jędz. Lira całymi dniami przepadała na praktykach w klinice, a Otto uszkodził sobie rękę w kuźni i sam miał problemy. Dlatego też przyjaciele nie zauważyli, co się dzieje. Żywiłam się praktycznie środkiem na uspokojenie, co powodowało, że chodziłam jak we mgle. Staruszek bibliotekarz parę razy wysyłał mnie do uzdrowiciela, lecz ja tylko odmownie kręciłam głową. Postępowałam, jak większość ofiar terroru — milczałam i chodziłam w kieracie do upadłego.

Pewnego razu zatrzymałam się dłużej w sali manuskryptów, w półśnie patrząc przez okno na zachód. Uria i Tiaka wyszły już dawno. Rozmyślania o moim gorzkim losie przerwał zapach dymu. Dymu?

DYMU??? Poderwałam się. Salę wypełniał dym — coś się paliło.

— O Siły Niebieskie! — wyjęczałam, kaszląc. Gdzie jest źródło ognia?

Otworzyłam na oścież okno, łyknąwszy świeżego powietrza, rzuciłam się w głąb pomieszczenia. Jest! Ogień leniwie pożerał stary pergamin zwoju z zaklęciami. Resztką sił, dusząc się i kaszląc, wyszeptałam zaklęcie, wyczytane zupełnie niedawno w jednym z rękopisów. Na ogień runął słup wodospadu.

— Dosyć! — krzyknęłam i straciłam przytomność.

Ocknęłam się na trawniku obok biblioteki. Stary bibliotekarz płaczącym głosem wyliczał straty.

Uria i Tiaka wykrzykiwały do dziekana, wskazując w moją stronę:

— To ona! Ostatnio chodzi zupełnie nieprzytomna! Ona w ogóle jest nienormalna, my ją znamy od lat! Niech ją pan ukarze!

— To nie ja! — chciałam zawołać, ale zaniosłam się kaszlem.

— Ukarzemy z całą surowością. — Dziekan we wzburzeniu potrząsał rękami.

Nikt na mnie nie patrzył. Podniosłam się na czworaki, płacząc się w długiej spódnicy i popęzłam jak najdalej od biblioteki. Moje życie było skończone. Uczepiłam się jakiegoś płotka, podniosłam z trudem i powlokłam ulicą, myśląc, że gdzieś muszę się schować, zanim kierownictwo uniwersytetu zabije mnie za zniszczenie cennych zbiorów. Wpierw mnie zabiją, a dopiero potem będą zadawać pytania...

\*

— Ona tam jest — odezwał się ktoś, leniwie rozciągając samogłoski.

— Jesteś pewien? — zabasował ktoś w odpowiedzi.

Patrzyłam przez okienko piwnicy niedokończonego domu, w którym ukrywałam się przez ostatnie dni, na dwie pary nóg. Jedna para odziana była w eleganckie czarne wysokie buty ze sznurówkami, a druga w ciężkie kamasze, w których Otto chodził i zimą, i latem.

— Ola, wyłaż — odezwał się Irga niecierpliwie.

Starąłem się nawet nie oddychać.

— Wyłaż, wiem, że tam jesteś.

Niby skąd? Na te peryferie rzadko kto się zabłąkał. Ja sama natknęłam się na ten budynek czystym przypadkiem. Wczesną wiosną wysadzono mnie niedaleko stąd z dylizansu, kiedy się okazało, że

zapomniałam pieniędzy na przejazd. W tej piwnicy przeczekiwałam nieoczekiwaną zawieję śnieżną, a potem, przejęta troską, żeby nie zachorować, całkiem zapomniałam opowiedzieć o swojej przygodzie.

A może oni tak sprawdzają każdą piwnicę? — zaświtała mi nadzieja.

— Ola, złotko, nie bój się, wyjdź — powiedział Otto łagodnie. — A może ona śpi? Albo jest nieprzytomna?

— Zaraz sprawdzimy — westchnął Irga i uklęknął. Jego zaniepokojone spojrzenie zetknęło się z moim — wystraszonym. Nekromanta natychmiast poweselał.

— Chodź tu, miła moja! Szybko!

— Ola, złotko! — Otto zamiatał ziemię brodą. — Wychodź, wszystko już się skończyło, nikt na ciebie nie będzie krzyżeć. I nie wyrzucą cię z uniwersytetu.

— Dlaczego mnie oszukujecie? — Głos miałam ochrypy od długiego milczenia, w gardle mnie drapało.

— Przecież ci mówiłem — rzekł Irga spokojnie do Ottona. — Ona musi obowiązkowo pocierpieć. Ola, możesz nie wyłazić. Jeśli wyjdiesz, zarugają cię na śmierć, a twoje zwłoki powieszają na bramie uniwersyteckiej ku przestrodze innym naruszyicielom regulaminu. A jeśli nie wyjdiesz, będziesz żyć sobie cicho i spokojnie, Otto raz na tydzień będzie ci przynosił tutaj jedzenie i picie, a potem cię kanonizują, jako sławną ascetkę. Będziesz twórczynią nowej mody pustelniczej — piwnicznej, bo do tej pory popularne były tylko jaskinie.

Obraziłam się, że Irga się ze mnie natrząsa, ale nie wiedziałam co mu odpowiedzieć.

— Opowiecie, co tam się działo?

— Najpierw wyjdź.

— Kiedy nie mogę.

— Daj ręce, wyciągniemy cię.

Otto mnie objął i pocałował w policzek, łaskocząc wąsami.

— Już myślałem, że cię straciliśmy na zawsze. Strasznie się niepokoiłem. Nie rób tak więcej!

— Opowiedzcie mi wszystko!

Usiedliśmy na ziemi, Otto podał mi manierkę z mlekiem i kawałek chleba. Kiedy jadłam, trzymał mnie za spódnicę, jakby się bał, że znów gdzieś ucieknę.

— A co tu opowiadać? — Irga swoim zwyczajem rozciągnął się na trawie, podkładając ręce pod głowę. — Twoje przyjaciółeczki podłożyły ogień w bibliotece. Dobrze, że przynajmniej miały tyle rozumu, żeby podpalić wybrakowany zwój. A winę zrzuciły na ciebie.

— Po co im to było?

— Bo ty jesteś od nich mądrzejsza. Ty studiujesz na uniwersytecie, a one są zwykłymi laborantkami w liceum. Masz swój własny biznes. Masz przyjaciół. I adoratorów. Twoim opiekunem jest znany mag. I na koniec — masz swój styl.

— Mam adoratorów? Ja?

— Szkoda, Otto, że się z tobą nie założyłem, że ona się uczepi właśnie tej frazy. Wygrałbym co najmniej złocisza!

— Irga! Jakich ja mam adoratorów?

— Powiedz mi, dziecko, czy ty w ogóle zauważasz coś dokoła, poza swoim desperowaniem, że jesteś brzydka?

— Eee, no, ten... Ottona, Lirę, ciebie... A ty mnie porównywałeś do zombi! A te dwie kretynki wymyśliły, że się do mnie zalecasz! Nawiasem, to przez ciebie się nade mną znęcały!

— Ja bym na twoim miejscu to docenił — zauważył półkrasnolud, ale szybko ucichł pod moim spojrzeniem.

Nekromanty to nie obchodziło. Niecierpliwie zamachał nogą w powietrzu.

— Nieważne. Należy być bardziej uważnym. Tak jak na przykład ten twój Bef. Kiedy przybiegł na pogorzelnisko, błyskawicznie ustalił, jak było naprawdę.

— Sprawdził magiczne ślady — wyjaśnił Otto. — Nikomu, poza nim, nie przyszło to do głowy. Twoja wina była zbyt oczywista. W dodatku twoja ucieczka pogorszyła tylko sprawę. A dziewczyny użyły magii, żeby napuścić dymu. Miały nadzieję, że się tam po prostu udusisz.

— A potem Bef użył Zaklęcia Prawdy — powiedział Irga.

Rzeczywiście miałam wyśmienitego opiekuna — Zaklęcie Prawdy było bardzo skomplikowane i nie każdy mag potrafił je zastosować. Po aurze zwykłego człowieka można poznać, czy mówi prawdę czy kłamie, ale magów uczono, jak ukrywać swoje aury.

— Bef był wściekły — dodał Otto z zadowoleniem. — Dziewczyny miały jeszcze szczęście, że spłonęły tylko trzy zwoje...

— A kilka innych zmieniło się w kaszę po twoim wodospadzie — uśmiechnął się nekromanta.

— Tiakę i Urię odesłali z miejsca do domu, a do ich liceum wysłali oficjalną skargę.

— Zostałaś zrehabilitowana! — oświadczył Irga. — Pozostawało tylko cię znaleźć. A to już był problem.

— Impulsy poszukiwawcze cię nie rejestrują — powiedział Otto. — Dlaczego?

Spośród artefaktów, które wisiały na mojej szyi, wybrałam maleńki gliniany dzbanuszek.

— Kiedyś zamierzałam uciec z domu, daleko-daleko. Po prostu tak, bo się na wszystkich obraziłam. I kupiłam za wszystkie oszczędności ten artefakt — odchyła zaklęcia poszukiwawcze. Rzadki, nawiasem mówiąc, i bardzo drogi. Od tamtej pory noszę go na pamiątkę własnej głupoty. Jak mnie znaleźliście?

— To on. — Otto wskazał na Irgę.

— Głupstwo — odpowiedział tamten niedbale.

— Jak? — zdziwiłam się.

— Tajemnica zawodowa.

— Uduszę!

— Dotknij mnie, o piękna! Twoje delikatne rączki... — zaśpiewał Irga. — Nie, nie, żartowałem! Złaż ze mnie! Masz zimne ręce! Zostaw moją szyję!

— Z powodzeniem możecie pozować do grafik erotycznych — zajadowicił Otto. — Pozycja „na jeźdźca”.

— Nie rumień się tak — powiedział Irga. — Pomogła mi twoja apaszka, której nie chciało ci się uprać. I którą dobrowolnie oddałaś jako zapłatę.

— Uprałeś ja i oddałeś!

— Nie, Olu. Kupiłem identyczną, a tamtą zostawiłem sobie.

— Fetyszysta!

— Możliwe. — Nekromanta ani trochę się nie zmieszał. — My, nekromanci, jesteśmy zagadkowi. To podnieca kobiety.

— Nie mnie!

— No i dobrze. A więc, twój zapach, wzmocniony moimi magicznymi umiejętnościami i proszę bardzo, jesteśmy w tym pięknym miejscu!

Proszę o brawa!

— Jacy to my skromni!

— Najważniejszy jest rezultat — odparł Otto. — Nie chciałabyś chyba umrzeć tu z głodu? Chodźmy do domu. Musisz jeszcze napisać sprawozdanie z praktyki.

Całą drogę Otto opowiadał mi najnowsze plotki, a Irga milczał. Koło akademika zaczęliśmy się żegnać. Irga wziął mnie za rękę i powiedział:

— Dam ci dobrą radę. Rozglądaj się częściej dokoła siebie. Uważnie. To bywa pożyteczne. I przestań dokarmiać i dopieszczać swoje kompleksy. Co jak co, ale to na pewno jest szkodliwe.



# Trzeci rok

## Rozdział 9. Czapka

— Miałam jedną ciotkę, co wódeczkę piłaaa...

Ech, hulaj dusza, piekła nie ma! Obchody zakończenia zimowej sesji były huczne. Teraz radośnie śpiewałam na całe gardło, robiąc konkurencję wszystkim okolicznym kotom. Co prawda musiałam wyjść wcześniej z zabawy, gdyż Otto zmusił mnie do przysięgi, że nie będę śpiewać w towarzystwie. Mój talent śpiewaczy wywoływał tiki nerwowe u wszystkich słuchaczy, którzy posiadali choćby śladowy słuch muzyczny. Obecnie wracałam z powrotem do akademika bocznymi uliczkami, żeby nikt mi nie przeszkadzał w realizacji pragnień wokalnych.

— ...i z tego powodu sto dwa lata żyyyłaaa! — Poprawiłam spadającą na nos czapkę.

Owo dzieło sztuki rękodzielniczej — kanarkowo żółte z ogromnym jaskrawo malinowym pomponem i zielonymi tasiemkami — podarowała mi jedna z młodszych sióstr. Dzieło było trochę krzywe, z prawej długie, a z lewej dość krótkie. Jednak siostrzyczka jednoznacznie starała się zrobić mi przyjemność. Czapkę tę nosiłam wyłącznie na przekór wszystkim nadwrażliwym estetom i od czasu do czasu płoszyłam się na widok własnego odbicia w sklepowych witrynach.

— Gdybym ja wiedziaaałaaa, bym nie studiowaaałaaaa! Za mąż bym wyszłaaa, bo tu cięęęzkoooo! — Nie do rymu, za to z głębi duszy.

— Ejrinn! — Zdałam sobie sprawę, że ktoś mnie woła i to już nie po raz pierwszy.

Odwróciłam się i z rzeczową miną zakomunikowałam końskiemu pyskowi:

— Ejrinn to uprzejmy elficki zwrot do młodej dziewczyny.

— Dlatego właśnie zwracam się do pani „ejrinn” — rozległo się z góry.

— O, elf — ucieszyłam się.

Przede mną na koniu siedział dumnie elf o charakterystycznym cienkim nosie, dużych migdałowych oczach i złocistych włosach, które wyglądały jak ciężka jedwabna zasłona. Koniuszki spiczastych elfich uszu poczerwieniały od mrozu.

— Muszę z panią porozmawiać. W bardzo ważnej sprawie — oznajmił elf śpiewnie.

Potrząsnęłam głową, próbując odegnać szum w uszach.

— Ola, tu jesteś! Szedłem na dźwięk, a ty raptem umilkłaś, już się wystraszyłem... — Otto ostrożnie ominął konia i popatrzył na mnie badawczo.

— Rozmawiam z elfem.

— Owszem — wycedził ostrouchy chłodno. — Prowadzimy prywatną rozmowę o interesach.

— Rozmowy o interesach może pan prowadzić tylko w mojej obecności — odparł półkrasnod. — Ja zarządzam jej finansami.

— Chłopca miałam ja ludzkiego, pokochałam elfickiego! — Naszło mnie na nową piosenkę.

Otto ze współczuciem popatrzył na zwijające się w cierpieniu elfie uszy.

— Chodźmy do kafejki za rogiem — zaproponował, próbując mnie powstrzymać przed całowaniem końskiej mordy. Zawsze kochałam konie.

Kiedy usiedliśmy w ciepłym, miło pachnącym kawą wnętrzu, rozebrało mnie do reszty.

— Czy ja mówiłam, że moją pierwszą miłością był elf? — zapytałam elfa konfidencjonalnym tonem.

Pokręcił głową, grzejąc dłonie na filizance z herbatą.

— Okazał się wyjątkową szują. Zdeptał moje uczucia.

— Jakże ja go rozumiem — wymamrotał elf.

— Słucham? — zapytał Otto złowróżbnym tonem.

— Nic, nic — powiedział elf szybko. — Przejdźmy do rzeczy. Jestem Migripael z Kwiatu Atremilei.

— Otto, Ola — przedstawił nas półkrasnod krótko, podsuwając mi filizankę z napojem. — O co więc chodzi?

— Chciałbym kupić czapkę Oli.

— Po co?! — Otto osłupiał. Jak każdemu, kto choć raz widział moją czapkę, nie mieściło się w głowie, że ktoś mógłby chcieć kupić rzecz tak koszmarną.

Wytrzeszczyłam oczy na elfa, a potem stwierdziłam:

— Otto, on jest po prostu pijany.

— Ja nie piję alkoholu! — oburzył się Migripael.

— W takim razie nienormalny — uznałam. Kontakty z szaleńcami mnie nie denerwowały, jak to mówią „czuje swój swego”. — Elfy są przecież koneserami piękna i wytworności!

— Jestem obeznany ze zwyczajami elfów — odrzekł uprzejmym tonem nabywca. — Zapewniam, że jestem w pełni zdrowym na umyśle, pełnoletnim elfem. Oraz koneserem piękna i wytworności.

— Proszę chwilę poczekać — poprosiłam, czując, że zaczyna mi się gotować mózg.

Musiałam iść do łazienki i wsadzić głowę pod strumień zimnej wody. Po tej operacji zaczęłam myśleć zdecydowanie bardziej logicznie.

— Jeszcze raz od początku — zażądałam, wracając do stolika.

Migripael wzniosł oczy do sufitu, ale cierpliwie powiedział:

— Jechałem w swoich sprawach. Usłyszałem niezrozumiałe dźwięki. Postanowiłem popatrzeć, co to takiego. Zobaczyłem pani nakrycie głowy. Spodobało mi się. Chcę je kupić. Przyszedłem do kawiarni. Prowadzę z wami negocjacje. Wszystko jest zrozumiałe?

— Nie musi pan ze mną rozmawiać jak z idiotką — warknęłam. — Już wytrzeźwiałam. Wszystko rozumiem.

— Ile pan proponuje? — Skoro do targów przystąpił Otto, mogłam się odprężyć.

W końcu stanęło na pięciu złociszach, co było bardzo znaczną sumą.

— Proszę pamiętać, że to rzecz ekskluzywna. Nigdzie więcej czegoś takiego pan nie znajdzie — wymruczał Otto, przeliczając pieniądze.

— Właśnie dlatego ją kupuję. — Elf ostrożnie włożył czapkę do torby.

— Ale dlaczego? — zapytałam. — Po prostu proszę mi powiedzieć, czemu pan to zrobił? Na co panu ona?

— Jestem kolekcjonerem. Zbieram wszelkie bezsensowne i okropne rzeczy. Pani umiejętność śpiewu również chętnie bym umieścił w swojej kolekcji. Przyjemnie było poznać.

I elf oddalił się z nieprzeniknionym, uprzejmym wyrazem twarzy.  
Z głośnym kłapnięciem zamknęłam usta.

— Wiesz co...? — Otto w zadumie obracał w dłoniach pusty kubek.  
— Może warto byłoby namówić twoją siostrę, żeby wydziergała coś jeszcze? No dobrze, tak czy owak, należy oblać tak dobry interes. Tylko błagam, nie śpiewaj, inaczej zabiorę twoją dolę jako odszkodowanie za uszczerbek na zdrowiu!

Zadławiłam się rwącą na zewnątrz zwrotką.

## Rozdział 10. Odrobina romantyzmu

Otto wtargnął do mego pokoju, wnosząc ze sobą zapach mroźnego powietrza i grudki śniegu.

— Zapomniałaś! — zawołał oskarżycielsko. — Ubieraj się, no już! Idziemy szybciej, wszyscy już na nas czekają!

— Ja nie idę.

Półkrasnodł przysiadł na skraju łóżka i zauważył moje łzy.

— No, złotko, kto cię obraził? Co się stało?

— Nic!

— Na pewno?

— Tak.

— Hmm... — zamyślił się mój przyjaciel. — Wyglądasz normalnie. Ale coś tu jest nie tak.

Zerwał się żwawo, poszperał pod kocem i z triumfalnym okrzykiem wyciągnął książkę.

— Czułem, że na czymś siedzę. Elficki romans? — Otto popatrzył na mnie z przerażeniem. — Ty TO czytasz?!

— Tak, i nigdzie nie pójdę, dopóki się nie dowiem, jak się ta historia zakończyła. Akurat przerwałeś mi w miejscu, gdzie ją wydają za męża za tego, którego nie kocha i ona tak rozpacza...!

Otto prędko przebiegł wzrokiem po stronicy.

— „Z jej cudownych oczu płynęły łzy. Ukochany — krzyknęła Lalilel, przyłgnąwszy do jego męskiej piersi”... To elfy mają męskie piersi? — Półkrasnodł przerzucił kilka kartek. — „Ach! — Na widok jego męskiego oręża nieszczęsna omdlała”. Nie sądziłem, że elfy mają je takie straszne.

— Ona jest niewinną dziewczyną — próbowałam usprawiedliwić bohaterkę. — Zemdlą od... z... ze zdziwienia!

— Aha! To elfy mają ten „oręż” nie tylko straszny ale jeszcze zdumiewający! Teraz już wiadomo, dlaczego tak słabo się rozmnażają!

— Oddaj książkę! — wrzasnęłam.

— Zaraz, zaraz. O, masz koniec: „Moja cudowna żono — wyszeptał Usmirieli, biorąc ją w objęcia. — Mój jedyny! — Była absolutnie

szczęśliwa”. Koniec, dwa serca złączone, idziemy.

— Na początku książki ona go nie kochała! Chcę przeczytać, gdzie się podział jej poprzedni ukochany.

— Zjedli go! — Półkrasnolud wyszczerzył zęby. — Co ty możesz wiedzieć o ukrytych wadach elfów? — I rzucił we mnie futerkiem.

Kiedy szliśmy po udeptanym śniegu w stronę krasnoludzkiego akademika, mój przyjaciel próbował ustalić, dlaczego czytam romanse.

— Brakuje mi romantyzmu — broniłam się. — Wielkiej miłości, gorących uczuć...

— Uczuć? To znajdź sobie chłopaka!

— Otto, jesteś tępym bałwanem. W zwykłym życiu wszystko jest takie proste i nieciekawe. A tam pojedynki, naręcza kwiatów, bale...!

Doszliśmy do pokoju Ottona żarliwie się spierając.

— Nie potrzebuję dziewczyny, która będzie mdleć na widok mojego męskiego oręża! — krzyczał Otto, nie dostrzegając opadłych szczęk świadków.

— Hm... A co, był precedens? — zapytał Trochim.

Otto poczerwieniał i zwałił całą winę na mnie.

— Ola czyta romansidła. Romantyczności jej brakuje!

— Zacznijmy już pić! — powiedziała, machnąwszy na niego ręką.

\*

Półkrasnolud nie dawał mi się rozkoszować w spokoju literaturą, więc chowałam się przed nim w kącie ulubionej knajpy „Pij Więcej!”, zatopiona w nowej powieści.

— Znowu! — jęknął mi ktoś nad uchem, wyrywając z marzeń o męznym kochanku, gotowym zrobić dla mnie wszystko.

— Otto... — powiedziała, wczepiwszy się w książkę obiema rękami. — Jeśli świat nie jest w stanie zapewnić mi odpowiedniej dozy romantyzmu, jestem zmuszona zdobywać go sama. Nie ruszaj mnie!

— Ach tak?! — oburzył się Otto. — Nie obchodzi cię, co się u mnie dzieje? Najlepszego przyjaciela wymienić na jakąś książczynę!

Nic na to nie odpowiedziałam. W tym akurat momencie główny bohater wyznawał miłość głównej bohaterce i nie miałam głowy do Ottona oraz jego pretensji.

Minęło kilka dni. Cały ten czas przesiadywałam w piwiarni, ignorując wykłady i wszystko inne, tylko pochłaniałam romanse.

— Panienko! — Do mego stolika ktoś się przysiadł.

— Zajęte!

— Proszę wybaczyć, panienko, ale pani mi się tak spodobała, że nie mogę sobie odmówić przyjemności posiedzenia tutaj.

— Co? — Podniosłam głowę.

— Pani ma czarujący profil! Jaki cudowny nosek! Kształtne rączki! A blask pani oczu przyćmiewa światło dnia! — W czasie, kiedy nieproszony gość nabierał tchu po wygłoszeniu tej tyrady, ukradkiem popatrzyłam w wyciągnięte z torby lusterko. O ile pamiętałam z kursu medycyny ogólnej, jaskrawe światło z oczu było efektem pogryzienia przez wampira, albo występowało u ofiar złego uroku.

Wyglądałam normalnie, więc przeniosłam uwagę na niespodziewanego wielbiciela. Był to młody człowiek z cienkimi wąsikami, długimi granatowoczarnymi włosami, związanymi w ogon na karku, w purpurowej jedwabnej koszuli. Miał szczupłe wytworne palce z akuratnym manicure.

— Don Alberto — przedstawił się.

— Olgierda Lacha.

— Czy pozwoli mi pani ucałować dłoń?

— Nie. — Schowałam pod stół ręce z manicure bynajmniej nie tak doskonałym, jak u don Alberta.

— Pani jest przepiękna — powiedział don Alberto niskim głosem.

Obejrzałam się.

— Czy pan mnie z kimś myli?

— Nie — odparł zalotnik, urażony. — Widzę, kto siedzi przede mną — prześliczna wróżka!

Prześliczną wróżkę przypomiinałam w niewielkim stopniu: figura bynajmniej nie filigranowa, włosy byle jak zwinięte w węzeł, luźna ciepła bluzka i zimowa spódnica robiły ze mnie nieforemny kłoc, ale komplement mi się spodobał.

— Czy mogę panią odprowadzić do domu? Jest już dość późno.

Zgodziłam się, podejrzewając, że i tak się nie uwolnię od don Alberta.

Wielbiciel wstał od stołu, ukazując muskularne nogi w obcisłych spodniach z czarnej skóry.

„Że też mu nie zimno!” — zdziwiłam się.

Podał mi futerko, sam przyodział się w szeroki czarny płaszcz i otworzył przede mną drzwi.

Kiedy powoli szliśmy po zaśnieżonym chodniku, przy czym don Alberto podtrzymywał mnie pod łokieć, myślałam: „To sen. Takie rzeczy się nie dzieją naprawdę”. Sytuacja wymagała jak najszybszego wyjaśnienia.

— Don Alberto! Dlaczego pan się do mnie przyczepił?

— Przyczepił się? — Don Alberto przycisnął dłoń do piersi. — Czy to przestępstwo, że spodobała mi się dziewczyna?

— Nie, ale...

— Żadnych ale! — przerwał mi łagodnie. — Obserwuję panią już od kilku dni i pani mi się bardzo podoba. To wszystko. Jeżeli jestem dla pani odstręczający, rozstaniemy się.

— Wszystko w porządku. — Wzruszyłam ramionami. Ostatecznie, czy ja kiedykolwiek miałam coś przeciwko wielbicielom?

Ceremonialnie pożegnaliśmy się obok bramy, chociaż, co tu kryć, miałam nadzieję na pocałunek.

Rano rozbudził mnie głośny krzyk Liry.

— Jakie cudowne! Ola, Ola, wstawaj szybko!

— Co...? — wymamrotałam.

— Kwiaty właśnie przynieśli. Dla ciebie. Od don Alberta. Masz pojęcie? Zimą! Ogromny bukiet. Wiesz, ile to kosztuje?

Rozmiary bukietu były pochlebne. Dlatego też wybrałam się po wodę do kuchni z największym dzbankiem, jaki miałyśmy. Defilując po korytarzu żółtym krokiem, postarałam się powiadomić wszystkich napotkanych po drodze sąsiadów, że „dostałam bukiet, więc idę po wodę, chociaż tak sobie myślę, że on do tego dzbanka się nie zmieści”.

Następnego wieczora don Alberto zabrał mnie do teatru. W czasie przedstawienia gładził moją rękę. Cała w tęczy nadziejach oczekiwałam pocałunku przy pożegnaniu, ale bynajmniej nie w dłoń.

Musiały minąć jeszcze dwa dni cnotliwych przechadzek po zaśnieżonych parkach, by don Alberto zapytał:

— Czy mogę panią pocałować?

Zdławiłam w sobie ochotę, by powiedzieć „nareszcie!” i odpowiedziałam spokojnie:

— Naturalnie.



— Po prostu bałem się, że pani się zawstydzi, że to może być nieprzyzwoite...

— Zależy, gdzie pan zamierza mnie całować — odrzekłam kokieteryjnie.

— W usta — wyszeptał don Alberto. — Pani jest taka niewinna, delikatna. Jeśli ugną się pod panią nogi lub zacznie omdlewać, proszę się o mnie oprzeć. Bez skrępowania.

— Nogi mi się ugną tylko wtedy, jeśli odetnie mi pan dopływ powietrza — powiedziałam rzeczowo. — I nawiasem mówiąc, nie jestem taka znów niewinna. Przerabiamy medycynę ogólną. Tak, że w ogólnych zarysach jestem dość zorientowana w temacie.

— No i jak? — dopytywała się później Lira.

— Nic szczególnego. Zwykły pocałunek. Skąd mu przyszło do głowy, że zrobi mi się słabo?

— Może tak powinny się zachowywać wszystkie przyzwoite dziewczęta? — zastanawiała się Lira.

— Moja mama o niczym takim nie wspominała, a próbowała mnie wychowywać przyzwoicie, w każdym sensie tego słowa.

Kiedy ja szykowałam się do snu, Lira oddawała się intensywnej pracy umysłowej. Ledwo umościłam się pod kołdrą, kiedy odezwała się:

— Posłuchaj tego. „Pocałował Lalilel namiętnie. Język kochanka wniknął do jej ust, rozsuwając wypukłe wargi. Dziewczyna poczuła, jak nogi się pod nią uginają i była zmuszona uchwycić się klapy jego kubraka”.

— Coś znajomego — wymamrotałam.

— No tak, to ten romans, który czytałaś trzy tygodnie temu. Poczytuję go sobie w wolnych chwilach.

— Rzeczywiście, we wszystkich tego typu powieściach dziewczynom od pocałunków słabną nogi. Nawet myślałam, że to głupie!

— Czyli są jeszcze na świecie idioci, którzy uważają, że tak się należy — podsumowała Lira.

Zasypiając, rozmyślałam: trzy tygodnie temu! Wtedy Otto wyciągnął mnie na imprezę. A potem się pokłóciliśmy w „Pij Więcej!”. Od tak dawna nie widziałam swojego najlepszego przyjaciela. Wciąż jeszcze boczy się na mnie, przez te głupie romansidła!

Następnego dnia don Alberto oznajmił:

— Jako człowiek przyzwoity powinienem poznać pani rodziców.

— Po co? Masz zamiar się ze mną żenić?

— Na razie nie, ale uważam, że powinienem otrzymać błogosławieństwo i zgodę pani ojca na dalsze zaloty.

— Moi rodzice mieszkają daleko stąd — próbowałam się wykręcić.

— Nie szkodzi. Pojedziemy razem.

Wyobraziłam sobie tę scenę: mama z tatą pod rączkę za stołem, złośliwie uśmiechnięte twarzyczki młodszych sióstr, pośpiesznie przybywające na rodzinną naradę babcie, sąsiedzi zaglądają przez okna... Po tym wszystkim musiałabym wyjść za niego — niezależnie, co bym myślała na ten temat. Czysty koszmar!

— Nie — odparłam stanowczo. — Moich rodziców na razie nie trzeba w to włączać.

— Nalegam!

— Don Alberto! Jestem dorosła i mam prawo robić wszystko, co chcę, bez wtrącania się rodziców! A już tym bardziej całować się z tobą pod drzwiami akademika!

— Olgierdo! Uwielbiam twój niepokorny charakter, ale jednakowoż nalegam! Inaczej będę zmuszony zrobić to bez pani udziału!

— Co?! Nie waż się łązić do moich rodziców, inaczej pożałujesz! Słowo maga! — wrzasnęłam ze złością.

Don Alberto smętnie pocałował mnie w rękę i oddalił się. Popatrzyłam w ślad za nim i zrozumiałam, że pilnie jest mi potrzebna męska pomoc.

Znalazłam swojego najlepszego przyjaciela w krasnoludzkiej knajpie.

— Otto, potrzebna mi twoja pomoc.

— A co, romanse ci się skończyły? — zapytał złośliwie. — Pomóc kupić nowe?

— Nie — zmieszałam się. — Potrzebna mi pomoc w sprawie osobistej.

— No coś ty! Jak pamiętam, całkiem niedawno wolałaś towarzystwo głupich książeczek.

— A ty mi przeszkadzałeś czytać, tak nawiasem mówiąc!

— No to poproś o pomoc te swoje książki!

— A ty myślisz, że sama sobie nie poradzę? Też mi coś, pępek

świata!

— To spływaj stąd i mi nie przeszkadzaj.

— W czym? W chlaniu?

— Lepsze to, niż zapychanie sobie głowy bredniami, zamiast cieszyć się życiem.

— To co robię, to tylko moja sprawa — odparłam dumnie, chociaż najbardziej ze wszystkiego chciało mi się wtulić w kosmatą brodę Ottona i się z nim pogodzić. — A ty się nie wtrącaj!

— A wcale nie muszę!

Wypadłam z knajpy, mało nie przewracając w progu dwóch krasnoludów. Czułam się paskudnie.

\*

— Widziałam się z tym twoim donem — rano Lira objawiła mi nowinę. — Wypytywał, jak dojechać do ciebie do domu i czy mogę wysłać do twoich rodziców magicznego gołębia z wiadomością, że przyjeżdża.

— I co mu powiedziałaś? — zapytałam odrętwiałymi wargami.

— Oczywiście, że mogę. Hej, nie mdlej mi tu! Obiecałam mu, że cię namówię, żebyście pojechali razem, jak się ociepli. Dlatego też wysyłanie wiadomości również zostało odłożone.

Z ulgi stanęły mi łzy w oczach.

Następnego dnia dopadłam Trochima na ulicy i poprosiłam o pomoc w pozbyciu się kłopotliwego adoratora. Z uśmiechem obiecał mi pomoc. Kiedy omawialiśmy plan działania, na horyzoncie pojawił się don Alberto.

— Wyzywam pana na pojedynek! — ryknął, rzucając się do Trochima.

— Za co? — zdziwił się tamten.

— Pan śmie dotykać damę mego serca! Zhańbił pan ją i obraził mnie!

Trochim pospiesznie zabrał rękę z mojej talii i zapytał mnie:

— A ten co? Psychiczny?

— Zapewne. Don Alberto, Trochim to mój przyjaciel, prawie jak brat! Zadnego rozlewu krwi, proszę! Pojadę z tobą do swoich rodziców!

Don Alberto dał się ułagodzić.

— Wybacz. — Dotknęłam rękawa jego płaszcza. — Musimy odejść

dosłownie na minutkę.

— Widzisz? — szeptałam Trochimowi. — On jest nienormalny! Pomóż mi się od niego uwolnić, jak najprędzej!

— A dlaczego nie pójdziesz z tym do Ottona? On jest z wyglądu bardziej imponujący.

— Pokłóciliśmy się — westchnęłam. — To jego вина i ja nie będę pierwsza wyciągać ręki na zgodę!

— No i masz. — Trochim pokiwał głową. — Dobra, zobaczę, co się da zrobić.

Don Alberto odprowadził mnie do domu, oświadczając po drodze, że gotów jest zabić każdego, kto mnie dotknie.

Spałam źle. Śniło mi się, że w wytwornej długiej sukni siedzę w złotej klatce i udaję orgazmy wedle wszelkich prawideł powieści miłosnych — z jęczeniem, drzeniem, łamaniem w kościach i utratą przytomności. Utyłam na czekoladowych ciasteczkach i cukierkach — pożywieniu prawdziwej damy, oczy miałam czerwone od ciągłego przelewania łez, a rąk nie mogłam unieść z powodu ciężaru złotej biżuterii.

Nie, tak dalej żyć nie można! Ukrywając się przed natarczywymi zalotami Alberta, zatopiłam się w nauce. Chociaż od czasu do czasu romantyczny don pojawiał się pod oknami, ku uciesze studentów, to mroz przedko zaganiał go pod dach. Z wykładów i biblioteki wracałam dopiero wtedy, gdy się upewniłam, że mego adoratora nie ma w pobliżu.

— Czego ty chcesz? — dziwiła się Lira. — Taki mężczyzna w naszych czasach to typ praktycznie wymierający.

— No to go sobie zabieraj — zaproponowałam. — Niech pojedzie do twoich rodziców, będzie cmokać cię po rękach i oczekiwać, że padniesz po jego pocałunku. Niech wyzywa na pojedynki chłopaków z twojego wydziału. Przy okazji, weź pod uwagę, że większości tematów do rozmowy on uważa za nieodpowiednie dla pięknej żeńskiej główki. Dlatego rozmawiać z nim nie ma o czym. Będziesz milczeć albo dyskutować o nowym rodzaju cukierków. Lub o modzie. Na nic więcej ci nie pozwoli.

— Eee... — zmieszła się Lira.

— O to to! Może jest i dobry jako bohater powieści, ale nie jako realny mężczyzna. W każdym razie nie dla mnie.

W środku nocy obudziła nas głośna muzyka.

— Co za idiota urządza imprezę o tej porze? — wyjęczałam, próbując schować się pod poduszką.

— My — powiedziała Lira drewnianym głosem.

— Co?! — W samej koszuli nocnej podbiegłam do okna. Przyjaciółka wskazała malowniczą grupę muzyków, którymi dyrygował don Alberto.

Zobaczywszy nasze twarze w oknie, don Alberto zaczął śpiewać okropnie nosowym głosem. Widocznie jednak się przeziębził w tym swoim fircykowatym stroju — ucieszyłam się.

Na pierwszym piętrze otworzyło się okno i ktoś cisnął z niego ognista kulą w muzyków. Artyści, z minami poważnymi jak na pogrzebie lub święcie narodowym, zgrabnie się uchyliłi. Za drugim pociskiem poszedł drugi.

— Chłopaki mają niemałe doświadczenie! — skomentowała Lira z szacunkiem. — Patrz, nie każdy mag bojowy by tak umiał.

— Co to za kretyni?! — wyjęczeli sąsiedzi z prawej, również otwierając okno w mroźną noc i posyłając w muzyków kolejną ognistą kulę. — I to jeszcze z artefaktami, przebijają tarczę wygłuszającą!

Wciąż jeszcze miałam nadzieję, że o moim udziale w tej sprawie nikt się nie dowie. Niestety...

— Olgierdo, gwiazdo na niebie!!! — zawył w natchnieniu mój wielbiciel. — Olgierdo, tak kocham ciebie!!! Oooo, Olgierdo!!!

W nasze drzwi zaczęto się gwałtownie dobijać. Kiedy ja aktywizowałam zakłęcia ochronne, Lira magią przesuwiała szafę.

— Poszedł won!!! — krzyczałam w rozpaczy przez okno do don Alberta, wiedząc, że drzwi długo nie wytrzymają i wówczas nie ominie mnie rozprawa z wdzięcznymi słuchaczami nocnego koncertu. — Proszę cię! Idź sobie! Bo ze mnie tu strzepy zostaną!

— Obawiam się, że nawet strzepów nie zostanie — powiedziała Lira smętnie, obserwując próby włamania do naszego pokoju.

Na szczęście don Alberto usłuchał błagań i się wyniósł. Za drzwiami ludzie jeszcze trochę pokrzyczeli i poszli.

Resztę nocy spędziłam tworząc wielkie obwieszczenie, które wywiesiłam na drzwiach akademika. Na uczelnię poszłam bardzo wcześnie rano, kiedy jeszcze wszyscy spali, bojąc się pokazywać na oczy sąsiadom.

Dzień przeszedł bez większych problemów — zadziałała obietnica napojenia wszystkich niewyspanych na koszt firmy.

Wieczorem złapałam na mieście don Alberta i uprosiłam go, by nie urządzał już takich efektownych scen. Pokrył pocałunkami moje ręce, kajał się i nawet padał na kolana. Dokoła nas zebrała się grupka chętnych na darmowe przedstawienie. Poczułam się jak zaszczute zwierzę.

— Oj, don Alberto, zobacz, jaki kapelusik! Ja też chcę taki! — Kiedy się odwracał, trzasnęłam go zaklęciem obezwładniającym i rzuciłam się pędem do ucieczki. Miałam pięć minut przewagi.

Tłum zawył radośnie.

Niebawem zwolniłam. W długiej spódnicy i futrze ciężko biegać po śliskich zaułkach. Po prostu szybko szłam, przytrzymując spódnicę w garści.

— Olgierdo! — rozległo się całkiem niedaleko.

Przypomniałam sobie, że don Alberto uważał, że niegrzeczne dziewczynki należy karać klapsami w miękkie miejsce. Był głęboko przekonany, że lanie powinno mnie niesłychanie podniecać.

Co robić? Co robić?

— Na razie, piękniszu! — Za rogiem rozległo się smaczne cmoknięcie.

— Żegnam. — Głos znajomy do bólu.

— Irga! — Rzuciłam się w stronę nekromanty. — Ratuj mnie!

Stojąca w drzwiach potężnych rozmiarów kobieta podparła się pod boki i popatrzyła na mnie groźnie.

— To twoja kochanka? — spytałam Irgę szeptem.

— Tak — oznajmiła baba twardo. — I będę walczyć o swoje szczęście.

Makabra. Irga skrzywił się i pociągnął mnie za rękę.

— Lubie swoją twarz i nie chcę, żeby jakaś tłusta baba się na niej wyżywała — szeptałam z rozpaczą.

— Uspokój się — powiedział Irga chłodno. — Co się stało?

— Tam poszli! — rozległ się głos grubaski.

— Dziękuję pani! — Kroki don Alberta przybliżały się nieubłaganie, niczym sesja.

Próbowałam stopić się ze ścianą, ale zaklęcie jak zwykle mi nie wyszło.

— Schowaj mnie! — zawyłam.

Irga machnął ręką i moją postać spowił mrok.

— A gdzie Olgierda?

— Nie wiem, — spokojnie powiedział Irga.

— Wedle moich informacji, poszła z panem.

— A według moich, nie.

— Pan się wtrąca w nieswoje sprawy! Jestem zmuszony wyzwać pana na pojedynek!

Siły Niebieskie! Żeby się tylko nie wymordowali! Nie miałam pojęcia, nad którym z nich będę szlochać z rozpacz, ale wiedziałam na pewno, że nie mam ochoty zapaprać sobie spódnicy krwią.

— Nie będę się z panem bił — wycedził Irga. — Zdaje się, pan nie wie, z kim ma do czynienia. Jestem nekromantą. A teraz jest już prawie noc. Proszę oszacować swoje szanse. Czyżby chciał się pan pożegnać z życiem i — co gorsza — duszą z powodu dziewczyny?

— Olgierda jest warta tego, by za nią umrzeć! — wykrzyknął Alberto patetycznie.

— To niepokażne stworzenie? Dobrze, jestem gotów.

Niepokażne stworzenie? No, Irga, jeżeli zostaniesz przy życiu, ja sama cię utłukę!

— Eee, no dobrze... — Don Alberto raptownie się rozmyślił. — Jeżeli ją pan zobaczy, proszę przekazać, że jej szukałem.

Po kilku chwilach mrok opadł.

— Odszedł — zakomunikował Irga. — A teraz bardzo chciałbym usłyszeć twoje wyjaśnienia.

— Niepokażne stworzenie?! Ty świni! Ja jestem niepokąźnym stworzeniem? — syczałam, nacierając na nekromantę. W tej chwili było mi wszystko jedno, kim on jest i o ile mnie przewyższa siłą. Został urażony najwrażliwszy element mego jestestwa — kobieca godność.

— Hej, hej, nie tak szybko na zakrętach! — Irga cofnął się, a w jego oczach błysnął zielony ognik. Przygotowywał się do obrony.

— Ja ci pokażę niepokąźne stworzenie! Ja ci pokażę, że o mnie nie warto się bić!

— Słuchaj! — Irga oparł się plecami o ścianę domu. Nie miał dokąd uciekać. — Jeśli ty jesteś w takim nastroju, to może lepiej zawołać twój wielbiciela?

— Wielbiciela! To zwykły świr! A ty...! — Cisnęłam w Irgę ognistą kulą. Niestety, zawsze miałam problemy z celowaniem. — Pewnie, że jestem niepokąźna! W porównaniu z tym babiszczem, twoją kochanicą! Utyję tak ze sto kilo, to będę pokąźna, tak?!

Irga wykonał nagły ruch i nagle znalazłam się na plecach. Nekromanta, siedząc z wierzchu, przytrzymał moje ręce.

— Sceny zazdrości będziesz urządzać później! — krzyknął. — Co to za typ i dlaczego się przed nim chowasz?

— A co cię to obchodzi?! Idź się całować z tą swoją słońicą!

— Ola, a tobie nie zimno tak leżeć?

Widzicie, jaka troskliwość...!

— Zachoruję i umrę! Ależ się będziesz cieszył! Ze swoją tłustą babą!

— Wskrzeszę cię — obiecał Irga mrocznie.

— Po co?

— Żeby... — Irga pochylił się i pocałował mnie w nos. Jego wargi były ciepłe, a pieszczota tak nieoczekiwana, że cała para ze mnie uszła momentalnie. Leżałam, wstrzymując oddech.

— A wam to już łóżko nie wystarcza? — rozległ się głos mojego byłego najlepszego przyjaciela.

Ten to sobie umie wybrać moment!

— Otto, co się tu dzieje? — Irga pomógł mi wstać.

— Ja też jestem ciekaw. O tym, że Ola zabiła swojego kawalera, a sama uciekła, plotkuje już pół miasta!

— Niedaleko uciekła, zawsze miała słabą kondycję. Ja ją ukryłem. Otto, nie wydaje ci się, że pora się wtrącić?

— On ze mną nie rozmawia — powiedziała, starannie nie patrząc w ich stronę.

— Dlaczego?

— Dlatego, że... Dlatego, że jestem głupia — zachlipałam. — Obraziłam go, a tak mi go brakuje!

Łzy pociekły mi po twarzy dwiema strużkami.

— No, dosyć, złotko. — Otto pogłaskał mnie po plecach. — Ja też przeszarżowałem. No to jak, zgoda?

— Zgoda. — Poczułam ogromną ulgę. No proszę, nawet nie wiedziałam, że cały ten czas nosiłam na sercu taki ciężar!

— Chodźmy, ogrzejemy się i pogadamy. — Irga przerwał scenę



pojednania.

W najbliższej karczmie zajęliśmy stół przy samych drzwiach. Podczas gdy ja się uspokajałam i raczyłam grzanym winem, Irga streścił Ottonowi ostatnie zajście.

— No tak... — Półkrasnolud w zadumie pociągnął się za brodę. — Nie sądziłem, że to tak daleko zajdzie.

— Co masz na myśli? — zapytałam podejrzliwie.

Otto poczerwieniał.

— No... To ja wynająłem don Alberta.

— Wynająłeś? — Szczeka mi opadła.

— Wynająłem. — Otto targał się za brodę, co było u niego oznaką silnego zdenerwowania.

— A skąd miałeś na to pieniądze? — Nie mogłam uwierzyć, że przyjaciel zrobił mi taką niespodziankę.

— W odróżnieniu od ciebie, nie trwonię zarobionych pieniędzy na różnie fintifluszki. Dlatego mam ich wystarczająco dużo.

— Nie trwonię na fintifluszki — odparłam niepewnie.

— Tak? A co kupiłeś za pieniądze z ostatniej partii alkoholu?

— Co, co... — Dobre pytanie. Czekoladki, dwie pary nowych kolczyków, szaliczek... a potem pieniądze tajemniczym sposobem się rozeszły nie wiadomo gdzie. — Dobrze, zostawmy ten temat!

— A oto bohater twojego romansu we własnej osobie — zauważył Irga. — Zawołać go?

Istotnie, w głębi sali smętnie siedziała znajoma postać.

— Zawołaj — powiedziałam. Bezzwłocznie chciałam wyjaśnić całą tę sytuację.

Don Alberto przysiadł się w milczeniu. Na wszelki wypadek odsunęłam się od niego.

— To było tak — zaczął Otto. — Widząc, że Ola nie na żarty wciągnęła się w romantyczne powieści, doszedłem do wniosku, że trzeba ją ratować. To przecież jak narkotyk! Dlatego zapłaciłem don Alberto, żeby się do niej poumizgiwał tak, jak ona lubi — pięknie i romantycznie.

— Przeczytałem kilka takich powieści! — potwierdził don Alberto z godnością. — Żeby się zorientować.

— Ale ja zapłaciłem tylko za kwiaty, teatr i dwa dni! — powiedział Otto. — Myślałem, że potem Ola wróci do normalnego życia, a don się

cicho ulotni.

— A mnie się spodobało — wyjaśnił don Alberto. — To znaczy Olgierda bardzo mi się spodobała i postanowiłem kontynuować już w własnej inicjatywy.

— Ach, więc jesteś wariatem z własnej inicjatywy? — Nie miałam pojęcia jak się odnieść do całej tej sytuacji.

— Przecież myślałem, że chcesz takich zalotów. Jak w romansach! — zawołał don Alberto. — I odpowiednio do tego się zachowywałem! Po prostu chciałem zdobyć twoją sympatię.

Odetchnęłam z ulgą.

— Wybacz, Alberto! Ty mi się nie podobasz. Pozostańmy po prostu przyjaciółmi, dobrze? I rzecz nawet nie w zalotach, ty mi się nie podobasz. Ja w ogóle nie gustuję w brunetach — dodałam mściwie pod adresem Irgi.

Irga nie zareagował. Otto mruknął ironicznie, ale nic nie powiedział.

— Szkoda — rzekł ze smutkiem don Alberto. Były zalotnik ucałował mnie w rękę na pożegnanie i odszedł.

Popatrzyłam na Irgę. Nekromanta z zadowoloną miną odprowadzał mego kawalera wzrokiem. A ja nagle rozżłościłam się na cały męski gatunek.

— Otto, on nazwał mnie niepokązną! — poskarżyłam się. — A przecież mogę się podobać!

Otto wzruszył ramionami.

— W tamtym momencie okryłem kogoś zasłoną mroku, i ten niewdzięczny ktoś był rzeczywiście w tamtym momencie NIEPOKAŹNY — powiedział Irga szyderczo.

Otto kiwnął głową.

— I jeszcze, Otto, niektórzy uważają, że za mnie nie warto się bić — poskarżyłam się.

Otto ze współczuciem rozłożył ręce.

— Wyobraź sobie, przyjacielu, że po tym zamierzałem przelewać krew za pewne bezwstydnne osoby — powiedział nekromanta gniewnie.

Otto poszarpał się za brodę.

— Otto, on ma kochankę — babę, która z trudem przechodzi przez drzwi!

Otto otworzył usta ze zdumienia.

— Wyobraź sobie — zwrócił się Irga do półkrasnoluda. — Poszedłem do klientki, biednej wdowy, chcącej wywołać ducha zmarłego męża, i już mnie oskarżają o nie wiadomo co!

— Powiedziała, że jesteś jej kochankiem! — Zerwałam się z miejsca.

— Ona mi zapłaciła, żeby sąsiedzi uważali, że jestem jej kochankiem!

— I ty się zgodziłeś!

— Biedna kobieta potrzebuje podniesienia na duchu! — Irga też się podniósł i od razu zrobił się wyższy ode mnie.

— Na twój rachunek!

— Na swój. Ktoś tutaj też się dopiero co podnosił na duchu, nieprawdaż? I to absolutnie bezpłatnie.

— Nic sobie nie podnosiłam! — Dumnie usiadłam z powrotem.

— Jasne, jasne. Zmusiłaś mnie do wyjaśnienia, dlaczego uważam cię za niepokązną.

— A uważasz?

— Nie! — ryknął Irga. — Uważam, że jesteś bardzo sympatyczna! Nawet ładna! Starczy?

— Nie starczy!

— Ola... — Irga odetchnął parę razy. — Nie powinnaś być o mnie zazdrosna. Nie masz do tego podstaw.

— Ja nie jestem zazdrosna — oburzyłam się. — Otto potwierdzi. Otto? A gdzie on się podział? Irga, widziałeś, kiedy odszedł?

— Nie — warknął nekromanta. — Cała moja uwaga była pochłonięta...

— Mną? — zapytałam kokieteryjnie.

— Piwem — odparł Irga i upił wielki łyk.

\*

Otto wszedł do mojego pokoju, otrząsnął brodę ze śniegu i rzekł marzycielskim tonem:

— Jak pięknie na dworze! Śnieg pada, takie mięciutkie płatki. Ludzie bawią się śnieżkami. A ty siedzisz w domu. Co?! ZNOWU?!

— Nie, Otto, to nie romans! A raczej, nie elficki romans. Tak sobie czytam, dla ogólnego rozwoju.

Otto wziął książkę i obrócił ją w rękach.

— Seria „Powieść miłosna dla trolli”? Tytuł „Namiętny seks”... Nie

wiedziałem, że trolle umieją czytać.

— Coś ty, mamy wiek oświecenia. Może nie wszystkie, ale miejskie trolle umieją czytać. I pisać, jak zauważyłeś.

— „Złapał ją za włosy. — Ty dokąd? — Rych rzucił Ur na łóżko. Rozerwał na niej sukienkę. Rych wbił w nią swój wielki członek. Ona dała mu w pysk z zadowolenia”. Wiesz, Ola, chyba pożyczę od ciebie tę książeczkę.

Ubrałam się i już czekałam na przyjaciela przy drzwiach.

— Tylko uprzedzam z góry, że zaloty tam opisywane absolutnie mi się nie podobają!

## Rozdział 11. Oddziaływanie zewnętrzne

Sesja w tym semestrze zgodnie ze swymi zwyczajami nadeszła jak zwykle — znienacka. Przebudziwszy się pewnego pięknego ranka leniwie spojrzałam na kalendarz i z przerażeniem uświadomiłam sobie, że za trzy dni mam pierwszy egzamin, o czym bardzo wymownie przypominała narysowana na dacie czerwona czaszka.

— No i co my tu mamy? — zapytałam sama siebie, podchodząc do kalendarza.

Grafik egzaminów rozpisałam już miesiąc temu, obiecując sobie, że jutro na pewno zacznę się przygotowywać. „Jutro” zaś przesuwało się ciągle, gdyż byłam pochłonięta wesołym spędzaniem czasu i pogonią za pieniędzmi.

Pierwszy egzamin — „Zasady transmisji magii”. Z tym nie powinnam mieć problemów, poduczę się trochę teorii i na „dobry” mogę liczyć. Transmitować magię czyli kierować magiczną energię w odpowiednie miejsce, na przykład do artefaktu, nauczyłam się jeszcze na drugim roku.

Drugi egzamin... Poczułam, jak ze zgrozy skręcają mi się jelita. Jak mogłam zapomnieć, że mam zdawać elficki! I to jeszcze dwa egzaminy — język ogólny i zaklęcia! O pozostałe trzy egzaminy w tej sesji mogłam się nie martwić, ale bez zaliczonego elfickiego nie przepuszczą mnie na czwarty rok.

Ze zmiennym powodzeniem dwa i pół roku wojowałam z językiem elfów, nienawidząc go każdą cząstką duszy i ze zgrozą oczekując ostatecznego egzaminu. Wziąwszy swoje konspekty z pokręconymi zakrętasami, mającymi przedstawiać wytworne elfickie pismo, kilka minut patrzyłam w nie tępo i padłam na łóżko, zakrywając twarz zeszytem.

Po jakimś czasie potrzaskał moim ramieniem Otto.

— Widzę, że przygotowujesz się całą parą do sesji.

— Zostaw mnie — wymamrotałam spod konspektu. — Chcę umrzeć.

— Marnie się starasz, więc do egzaminu raczej nie umrzesz —

powiedział półkrasnolud. — Co tu masz? Elficki? I jak ci idzie?

— Nijak — powiedziałam. — O ja nieszczęsna, zawalę sesję i wygonią mnie z uniwersytetu.

— Skąd wiesz, że zawalisz?

— Otto! — Usiadłam na łóżku. — Ja po elficku nie umiem sklecić sensownego zdania. Na widok profesora Łomitorieła wpadam w stupor. Zabij mnie!

— Szybko i bezboleśnie czy powoli i w mękach? — zapytał rzeczowo mój przyjaciel, zacierając ręce.

— Wiem, że zawsze mogę na ciebie liczyć. — Zamknęłam oczy i zaryłam się w poduszki.

— A o czym ty myślałaś... — zaczął Otto.

— Proszę cię — jęknęłam. — Już to słyszałam tysiące razy od swojej mamy: do egzaminów trzeba się przygotowywać zawczasu, kolokwia i zaliczenia trzeba zdawać terminowo, nie wolno się kłócić z wykładowcami... Sama to doskonale wiem.

— Kiedy ja nie o tym. O czym myślałaś kiedy tak się pokładałaś na łóżku?

— O tym, jaka jestem nieszczęśliwa.

— O właśnie! To wszystko przez negatywne myślenie. Myślisz o tym, że nie zdasz i rzeczywiście nie zdasz, bo już tak z góry zdecydowałaś. Trzeba zmieniać nastawienie, wmówić sobie, że się nie boisz i wszystko pójdzie jak po maśle.

— Łatwo ci mówić. Wy, krasnoludy, nie musicie zdawać elfickiego.

— To czysta dyskryminacja — oburzył się Otto.

Otto uczył się elfickiego wraz z grupą studentów-ludzi ze swojego wydziału. Co prawda, wykładał u nich nie złośliwy Łomitoriel, a półelfka Adel. Ottonowi wymknęło się jakoś, że do nauki tego języka zmusił go dziki zachwytny na widok zupełnie nie elfickich kształtów wykładowczyni. Powierzchność Adel odziedziczyła po swoim ojcu, znanym mistrzu artefaktów — wysokim, grubym i ociężałym. O domieszce elfickiej krwi przypominały duże migdałowe oczy (których piękno, niestety, przyćmiewał kartoflowaty nos) i spiczaste uszy, przykryte twardymi kędzierzawymi rudymi włosami.

— Nam, rzemieślnikom, potrzebna jest znajomość elfickiego, by godnie konkurować z tamtejszymi producentami artefaktów. — Takie

było oficjalne objaśnienie żarliwości półkrasnoluda w studiowaniu języka.

Potem Otto zamykał oczy i oddawał się marzeniom o potężnej tuszy wykładowczynie.

— No dobrze, przepraszam — wymamrotałam. — Nie chciałam cię urazić, po prostu jestem taka nieszczęśliwa!

Otto poszarpał się za brodę, a potem powiedział:

— Wiem, co robić. Przygotowuj się do translacji i niczym nie martw.

Po południu rzuciłam podręcznik translacji w kąt i siadłam do pisania ściągawek na egzamin z języka — tabelki z końcówkami i prawidłami wymiany samogłosek.

Zasady translacji zdałam na „celująco”. Powiodło mi się z losowaniem pytań — nie na darmo nosiłam pieniądze do świątyni Pani Pomyślności. Wieczorem zaś Otto zjawił się u mnie w towarzystwie Irgi.

— Co zamierzacie? — spytałam nieprzyjaźnie. — Przyspieszony kurs elfickiego?

— Nie — odparł mój przyjaciel, rozpromieniony. — Hipnoza!

— Hipnoza?

— Tak. Irga ci wmówi, że nie boisz się Łomitoriela i dobrze zdasz egzamin! No i jak, fajnie to wymyśliłem?

— Fajnie — przyznałam. — Tylko ON nie będzie mi niczego wmawiał.

— Chcesz, to przysięgnę, że nie będę sugerował ci niczego, poza rzeczami dotyczącymi elfickiego? — zapytał „on”.

Jeśli Irga sądził, że szlachetnie odmówię, to się pomylił.

— Przysięgaj — zgodziłam się i wyciągnęłam ze szkatułki czerwoną nić. Jeśli nekromanta złamie słowo, nić przetnie mu to miejsce, na którym została zawiązana. — A zawiążemy na... — W zadumie obrzuciłam spojrzeniem jego figurę.

— Tam się nie zgadzam! — powiedział szybko, śledząc kierunek mojego wzroku. — Może lepiej na rękę?

— Phi, Irga... — Udałam obrażoną niewinność. — O czym ty myślisz? Przecież miałam na myśli właśnie rękę.

Otto za plecami Irgi chrząknął, dławiąc śmiech.

— Nie będę wam przeszkadzać, pójdę do „Pij Więcej!” — Z tymi słowami półkrasnolud mrugnął do mnie i poszedł.

— Kładź się na łóżku i odpręż! — zakomenderował Irga, wyciągając z torby gruby foliał i przerzucając stronicę. — Tu nie, tu nie... Aha, jest!

— Irga, a ty się kiedykolwiek wcześniej zajmowałaś hipnozą? — zapytałam podejrzliwie.

— Krzywdzisz mnie — powiedział nekromanta, próbując naśladować pozę z rysunku w księdze. — Ja jednak jestem nekromantą, a nie absolwentem wydziału mediów. Ale znam ogólne zasady!

— Rozmyśliłam się. — Prędko zeskoczyłam z łóżka.

— Ej, dokąd to?! — oburzył się Irga. — Popatrz to jest bardzo droga i rzadka książka. Wszystko tu napisano szczegółowo o hipnozie. Sprzedaż i rozpowszechnianie zabronione, żeby się ludzie zwracali do specjalistów, a nie zajmowali samoleczeniem.

— Taaak? A skąd ją masz?

— Trzeba znać odpowiednie miejsca — rzekł nekromanta tajemniczo.

— Legalne przynajmniej?

— Absolutnie. Właścicielka mi pożyczyła. Kładź się.

— A może jednak nie?

— Co to za sabotaż? — Irga złapał mnie ręką za talię i powalił na posłanie. Zawierzałam nogami, a moja spódnica się zadarła.

— Ach to tak! — rozległo się od drzwi. — Ty draniu! Ty oszuście!

Do mego pokoju wdarła się dziewczyna o roztrzepanych włosach i zaczęła młócić nekromantę kułakami po grzbiecie.

— Do doświadczeń z hipnozą potrzebowałaś książkę, tak? Rozpustnik! Chciałeś ją uspić i...

— Cicho, spokojnie... — Irga przykrywał głowę foliałem. — Ja nie muszę do tego żadnej usypiać, same dadzą!

Leżałam spokojnie, napawając się sceną.

— Same dadzą! Babiarcz! Podlec! Prostack! — Dziewczyna poczerwieniała z wysiłku, próbując wymyślić coś jeszcze bardziej obelżywego. — Sukin-kot-syn! — wypaliła.

Irga skrzywił się.

— Proszę bez scen, dobrze? Ty mi przeszkadzasz, porozmawiamy później. Odprowadził dziewczynę do drzwi, nałożył zaklęcie na klamkę i powiedział:

— Teraz nam nikt nie przeszkodzi. To nie jest śmieszne!



— Właścicielka książki? — zapytałam, wyśmiawszy się.

— Wiesz, ile ta książka kosztuje? A tak ta panna mi jej użyczyła bezpłatnie. — Widząc moje sceptyczne spojrzenie, nekromanta poprawił się. — Za parę pocałunków. Widzisz, jakie ofiary dla ciebie ponoszę?!

— Rozpłacz się — poradziłam. — I tobie było przykro ją całować, tak?

Irga westchnął.

— Ja...

— Zaczynaj. Jestem ciekawa — przerwałam mu, bojąc się, że będzie próbował mnie całować „dla porównania”.

— Dobrze — westchnął Irga ponownie. — Kładź się i odprężaj. Przestań się wreszcie śmiać!

Nekromanta stanął w pozie, dokładnie skopiowanej z podręcznika i zaczął machać przede mną medalionem zdjętym z szyi.

— Śpisz już?

— Jeszcze nie — odpowiedziałam. Sympatycznie ma rozpiętą tę koszulę...

— Odpręż się i skup, patrz na medalion... — wymamrotał Irga, starannie czytając tekst z książki.

Spróbowałam się odprężyć, lecz zamiast tego ogarnął mnie śmiech.

— Ola!

— Chwila, już nie będę, chi chi chi...

Irga pogroził mi pięścią.

— Już wiem, dlaczego zostałem nekromantą. Moi pacjenci w czasie pracy przynajmniej się nie śmieją, kiedy nie trzeba. Nie rzyj! — Nekromanta kartkował tomisko. — O, znalazłem. „W razie nieodpowiedniego zachowania pacjenta można użyć wobec niego siły fizycznej”. Zrozumiano?

Pokręciłam głową, starając się nie śmiać.

— Zaraz oberwiesz książką po głowie, żeby ci nie było do śmiechu — wyjaśnił Irga.

— Nie trzeba, już nie będę się śmiać.

Nekromanta ponownie przyjął odpowiednią pozę i kołysząc medalionem, zaczął czytać. Patrzyłam na medalion i rozmyślałam o egzaminie, o profesorze Łomitorielu i o tym jak ładnie wygląda pierś Irgi pod rozpiętą koszulą...

\*

Obudziłam się rano, troskliwie przykryta kołdrą z łóżka Liry. Głowę miałam pustą i lekką. Myśl o elfickim nie wzbudzała już przerażenia i dygotania kolan. Otworzyłam konspekt i z łatwością przeczytałam kilka zdań, zdumiona ich melodyjnością. To należało uczcić.

Zadowolona z życia, przeliczyłam posiadaną gotówkę i poszłam do najbliższego baru na śniadanie. Na poręczy przy drzwiach wyjściowych siedziała właścicielka książki o hipnozie.

— Cześć! — Pomachałam ręką. Należały się jej podziękowania. — Pójdziemy na śniadanie? Ja stawiam.

Dziewczyna markotnie kiwnęła głową. Jej nieuczesane włosy mysiego koloru wyglądały jeszcze gorzej, niż wieczorem.

— Jak poszło? — zapytała mnie.

— Cudownie! Irga to czarodziej. Ma złote ręce i nie tylko ręce!

— Powiedział, że go zamęczałaś — powiedziała dziewczyna.

— Ciekawe kto kogo! — oburzyłam się.

— Nie mam szczęścia w życiu — westchnęła moja rozmówczyni. — Wiesz, że według wszystkich horoskopów i przepowiedni Irga to dla mnie najlepszy partner?

— Tak, nie masz szczęścia — odparłam.

Kiedy przypadł ci z woli gwiazd bardzo mądry, bardzo czarujący i bardzo niezależny mężczyzna, uważający się za naj-naj, a ponadto nie zamierzający wchodzić w poważny związek, to można tylko współczuć.

— Za to ty masz szczęście! — krzyknęła dziewczyna z rozpaczą. — Dlaczego jedni mają wszystko, a inni — nic?

Wzruszyłam ramionami i poszłam na śniadanie.

Wieczorem usłyszałam pukanie do drzwi. Oderwałam się od układania krótkiego przewodnika po języku elfickim w ściągawkowym wariantcie i zawołałam:

— Kto tam?

— Cześć! — Irga wsunął głowę do pokoju. — Przyszedłem przed pracą dowiedzieć się, jak tam sprawy stoją. Jak samopoczucie?

— Dziękuję, w porządku. Właśnie przygotowuję się do egzaminu, będzie pojutrze.

— Oła, co ty powiedziałaś?

— Że właśnie.... — Zamarłam. — Powiedziałam to po elficku! Po

elficku! Och, Irga!

Zawisłam nekromancie na szyi. Ten zachwiał się pod moim ciężarem i powiedział:

— No, za taką wdzięczność jestem gotów hipnotyzować cię każdego dnia!

— Stop, stop, stop, zawiązałeś nitkę?

— Wszystko jak chciałaś. — Irga pokazał nadgarstek, nadal przewiązany zaklętą nitką. — To był po prostu przejaw twojej wdzięczności za pomoc.

Uśmiechnęłam się do niego.

— Może wejdiesz, co tak stoimy na korytarzu?

— Nie na długo, dobrze?

Kiedy zamykałam drzwi, zauważyłam, że moja poranna rozmówczyni stoi w końcu korytarza.

— Wielbicielka na ciebie czeka.

Irga wzruszył ramionami.

— To Marta, studentka-medium. Wymyśliła sobie wielką miłość.

— Według horoskopu jesteś jej przeznaczony — powiedziałam, nalewając do kubka zimnej herbaty.

Nekromanta parsknął.

— Znasz moją datę urodzin? Nie. Ona też nie zna. Więc o jakim horoskopie może być mowa?

— Ale jednak ją całowałeś. Za książkę.

— Ola, czego ty ode mnie chcesz?

— Nic. Po prostu ona cierpi. Dziś mi mówiła, że ja mam szczęście, a ona nie.

— To się ciesz — odrzekł Irga z pełnymi ustami, dojadając moje ulubione herbatniczki, które miałam schowane przed gośćmi. — Znaczący, twoje życie nie jest aż takie okropne, jak ci się wydaje.

— Ach, ty... Skąd wzięłaś herbatniki? Dawałam ci je?

— Z szafy — oznajmił bezczelnie gość, siejąc okruszkami. — Przewaga wysokiego wzrostu. Dobrze, idę. Dzięki za poczęstunek.

Wsunąwszy mi do ręki torebkę z resztkami ciasteczek, Irga posłał mi w powietrzu całusa i zamknął za sobą drzwi.

— Trzeba znaleźć inny schowek — powiedziałam do siebie po elficku i powróciłam do przygotowań.

\*

Poranek w dniu egzaminu przywitał mnie drobną paskudną mżawką. Podkasawszy długą spódnicę, przeskakiwałam kałuże i mamrotałam pod nosem zasady deklinacji przymiotników. Przed samymi drzwiami głównego budynku kałuża przypominała niewielkie jezioro. Przypomniałam sobie, że wczoraj we wspólnej kuchni słyszałam, iż jakiś pechowy mag bojowy, pomylił się wypełniając zadanie egzaminacyjne. W wyniku czego na wybrukowanej kamieniami ścieżce powstała ogromna jama. Przechodzący po tejże ścieżce wykładowca z Wydziału Mediów trafił do Domu Uzdrawień. Zdążył jeszcze wyprorokować nieszczęsnemu studentowi wieczyste niezaliczenie i niedopuszczenie do sesji.

Póki rozmyślałam, czy obejść kałużę, czy sforsować ją na przełaj — lato, woda ciepła — poczułam nagły odpływ magicznej energii z otoczenia.

„Co jest?” — zdążyłam jeszcze pomyśleć, po czym spadł na mnie magiczny cios o takiej sile, że amulet ochronny od złego oka, kupiony jeszcze na pierwszym roku, spalił się doszczętnie, pozostawiając mi oparzenie na piersi. Upadłam na kolana, spazmatycznie łapiąc powietrze.

— O Świetlista Ellanar! — usłyszałam śpiewny okrzyk. — Co się stało? Słyszysz mnie?

— Słyszę — wyszeptałam, z trudem zachowując świadomość i próbując odegnąć okropny ból w całym ciele.

— Tak lepiej? — Zimny metal dotknął mego karku. Poczułam ulgę, a mgła zasnuwająca mi oczy nieco zrzędła.

— Trochę lepiej, dziękuję. Ooooch, co to było?

— Sądzę, że skierowany konkretnie na ciebie cios zguby.

— Cios zguby? — Chlapnęłam sobie na twarz wodą z kałuży. — Na mnie?

— Tak sądzą — powiedział profesor Łomitoriel. — Możesz wstać? Pomógł mi się podnieść.

— Musisz iść do uzdrowicieli. Dojdziesz?

Próbowałam kiwnąć głową, ale zachwiałam się i wczepiłam w jego rękę.

— Nie jestem pewna.

— Pomogę. — Złowiłam jego nieoczekiwanie szczerze współczujące

spojrzenie. Łomitoriel uśmiechnął się i spytał: — A co w kwestii elfickiej magii?

— Nie wiem — odparłam uczciwie. — Zgadzam się na wszystko, byle tylko tak nie bolało.

Elf zaśpiewał, gładząc mnie po plecach. Poczułam się, jakby wlano we mnie energię, żywą i przyjazną.

— Proszę iść — powiedział profesor.

— A egzamin?

— Proszę uważać go za zaliczony. Czekam na panią na zaklęciach.

— Zdałam...?

— Nie zauważyła pani? Cały czas rozmawialiśmy po elficku.

Łomitoriel skinął mi głową i lekko przeszedł po powierzchni kałuży, niczym po suchej ziemi.

Dobrnęłam do uzdrowicieli, obmyślając zemstę na nieznanym (jeszcze) wrogu.

— Poszarpana aura, spadek sił życiowych, zapalenie płuc, oparzenie, zadrapania i siniaki po upadku — wyliczyła uzdrowicielka Mateczka Ella.

— Czy ty, kochanie, nie nosisz artefaktów ochronnych?

— Kiedy nie musiałam — usprawiedliwiałam się.

— Będziesz musiała u nas trochę poleżeć. Z uszkodzoną aurą nie zdasz żadnego egzaminu. Uprzedzę twoich wykładowców.

Patrzyłam na deszcz za oknem i litowałam się nad sobą. Ludzie właśnie wychodzili z egzaminu i zgodnie szli całą gromadą do najbliższej knajpy... A ja tu leżę, sama i biednaaaa...

— Ola, boli cię? No nie płacz, nie płacz, moja kochana... — Lira objęła mnie za ramiona. — Prędko cię postawimy na nogi.

— Nie boli mnie, tylko jestem nieszczęśliwa. Skąd ty tutaj?

— Powiadomili mnie. Przyleciałam z drugiego Domu Uzdrawień, dowiedzieć się co z tobą. — Przyjaciółka obdarzyła mnie rześkim uśmiechem profesjonalnego uzdrowiciela, którego nie były w stanie zepsuć nawet mokre, przyklapnięte włosy. — Wszystko będzie dobrze. Może przynieść ci coś słodkiego?

Chlipnęłam. Miło kiedy cię żałują.

— Nic mi nie trzeba.

— No, no, moja ty biedna...

Ledwo nastawiłam się na urządzenie koncertu pod tytułem

„Pożałujcie mnie, biedną!”, kiedy rozległo się pukanie i wszedł mój opiekun, Bef. Obrzucił mnie surowym spojrzeniem, przed którym odruchowo próbowałam schować się za plecami Liry.

— Szczyt absolutnej głupoty: nie nosić artefaktów ochronnych! — Bef przechadzał się po pokoju, założywszy ręce za plecy i rugał mnie, nie dając wtrącić ni słówka. — Magiczka na trzecim roku! Nie chroniona niczym! Jakimś talizmanikiem za pół grosza! Prędko oblicz, jakie obrażenia zadałby ci ten cios, gdybyś miała na sobie chociażby zaklęcie obronne Nimbusa.

— Nie wiem, jaka była siła ciosu... — wybełkotałam.

— Nie wiesz? Ty, spec od translacji magii? Ty nie możesz obliczyć? Za co ja ci na egzaminie postawiłem „celujący”? Do poprawki!

— Zaraz obliczę. Już zaraz...

Szturchnęłam Lirę w plecy: ratunku!

— Profesorze, Ola jest chora... — odezwała się moja przyjaciółka.

— Na głupotę! — krzyknął Bef. — Na nic innego!

Zrobił dwa wielkie kroki i powiedział do Liry:

— Przyniesiesz mi jej wyliczenia nie później, jak za godzinę. A ty — opiekun spojrział na mnie groźnie — po wypisaniu ze szpitala do mnie! Z artefaktami ochronnymi! Jasne?

— Kto to był? — zawołałam za odchodzącym Befem.

— Marta, wydział mediów — odrzekł, nie odwracając się.

— To czupiradło! Jak stąd wyjdę, to jej wszystkie kości połamię! Kłaki powyrywam!

Lira westchnęła.

— Ona sama nie mogła tak poszarpać twojej aury. Kto jeszcze miał na ciebie wpływ?

— Irga!!!

Przyszedł Otto, a jego bladość była widoczna nawet przez gęsty zarost.

— Ola, jak się czujesz?

— Umieram — oznajmiłam posępnie. — A wszystko przez twojego kochanego Irgę.

Półkrasnolud ze zdumienia otworzył usta. Lira krótko wyjaśniła mu sytuację.

— Przecież on przysięgał, że żadnej krzywdy...

— Otto, każda zewnętrzna sugestia, tym bardziej przeprowadzona przez obiekt z tak silną aurą, jak u Irgi, oznacza ingerencję w strukturę aury. A on w dodatku nie jest specjalistą. Oczywiście, nic by się nie zdarzyło, gdyby Marcie nie przyszło do głowy nasłać na Olę tak silny urok.

Otto gorączkowo szarpał się za brodę.

— W porządku, przecież chciałeś jak najlepiej — pożałowałam go. — A Łomitoriel zaliczył mi egzamin. I pomógł! Gdyby nie on, pewnie bym tutaj nie doszła. I rozmawiałam z nim po elficku!

— Nie trzeba mnie uspokajać — martwił się półkrasnolud. — Gdyby nie mój pomysł z hipnozą, nic by się nie stało.

— Otto... — Wyciągnęłam do niego ręce, by objąć. — Nie obwiniaj się. Widzisz, nawet się uśmiecham.

\*

Do wieczora odwiedziło mnie jeszcze wiele osób — ktoś widział to, co się zdarzyło, do kogoś doszły pogłoski, a wszyscy byli ciekawi szczegółów. Irga nie przyszedł.

Następnego dnia ani Irgi, ani Ottona również nie było wśród gości. Wieczorem uciekłam do internatu, zapewniwszy lekarzy, że przypilnuje mnie Lira.

Rano do drzwi mojego pokoju ktoś naskrobał. Niechętnie oderwałam głowę od poduszki.

— Wejść! Kogo tak wcześnie przyniosło?

Ostrożnie, oglądając się nieustannie, weszła Marta. Wyglądała tak, jakby przyszła z wizytą do samego Sukina. Ze zdziwienia nawet opuściłam przytulne legowisko na łóżku i poczęstowałam dziewczynę herbatą, dyskretnie dolewając do niej sporą dawkę środka uspokajającego. Magicznie trzęsły się ręce, a zęby stukały o krawędź filiżanki. Wszystkie myśli o zemście wywietrzały mi z głowy.

— Nie bądź na mnie zła. — Marta próbowała paść na kolana, ale zdążyłam ją powstrzymać. — Postąpiłam tak głupio... Byłam zazdrosna... Chciałam cię skrzywdzić...

Dziewczyna upuściła filiżankę i usiłowała całować mnie po rękach. Naczynie złapałam, lecz skruszonej dziewczyny nie dałam rady podnieść.

— Przebacz mi! — zawyła Marta, czepiając się mojej koszuli nocnej.

Z niepokojem pomyślałam, że nie mam na sobie żadnego amuletu

ochronnego.

— Marta, nie gniewam się na ciebie. Każdemu się może zdarzyć. Puść moją koszulę! Marta!

Cienka tkanina zatrzeszczała. Dziewczyna tak natarczywie próbowała całować moje stopy, że pomyślałam iż na wargach ma truciznę. Zostawiając w rękach Marty rąbek koszuli, wskoczyłam na łóżko i wrzasnęłam:

— Ratunku!!!

— Chcę przeprosić — powiedziała Marta groźnym tonem, podchodząc do łóżka na czworakach. — Przebacz mi.

— Przebaczam, przebaczam! — odgrodziłam się od przyszelej medium poduszką. — Wszystko ci przebaczam. Jak chcesz, to możesz jeszcze raz na mnie rzucić klątwę, tylko wstań z kolan!

— Teraz będę przepraszać! — oznajmiła Marta, wstając. Wyglądała jak furia — rozwiane włosy, palce zagięte niczym szpony, piana na ustach, szalone oczy.

Nie miałam dokąd uciekać. Zapiszczałam, zaciskając powieki i kopiąc na oślep. Marta złapała mnie za nogę i szarpnęła. Runęłam na łóżko, nie przestając krzyczeć.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do pokoju wpadli Otto z Irgą, złapali Martę i z trudem oderwali ją ode mnie. Jej paznokcie zostawiły na mej skórze zadrapania. Dziewczyna syczała, kopała i drapała, ja z kolei skowyczałam na łóżku, kryjąc się pod kołdrą. Otto przeklinał na czym świat stoi. Poprzez otwarte drzwi zaczęli zaglądać ciekawscy sąsiedzi.

Irga wymierzył Marcie mocny policzek i nareszcie przestała histeryzować. Otto wykopał mnie z pościeli. Ciekawscy z zainteresowaniem zaczęli się przyglądać mojej koszuli.

— Co się tu dzieje? — Nekromanta potrząsnął Martą jak szmacianą lalką.

— Nie chciała przyjąć moich przeprosin — poskarżyła się, pocierając policzek.

— Wszystko przyjmuję! — rzuciłam pośpiesznie, ledwo powstrzymując się od łez. — Zabierzcie ją ode mnie!

Irga wywlókł Martę na korytarz, rozpychając gapiów i zamknął drzwi. Otto podał mi butelkę z nalewką uspokajającą. Wypiłam kilka łyków i zapytałam:



— A co się stało?

— Irga mała nie oszalała, kiedy się dowiedział, co się z tobą stało — powiedział Otto. — Myślałem, że zabije tę Martę, ledwo go utrzymałem. Dlatego do ciebie nie zaglądał. Ogólnie, wyjaśnił jej co i jak, i wysłał do ciebie z przeprosinami.

— A jak wyjaśnił? — zaciekawiałam się.

Otto wykonał nieokreślony gest ręką.

— Nie zmuszał jej, nawet nie myślał. Irga to prawdziwy mężczyzna. Po prostu wyjaśnił co i jak.

— Niech sobie wyjaśnia. To wszystko przez ten jego seans hipnozy.

— Nie masz pojęcia, jaki on się czuje winny. Jeszcze go takiego nie widziałem — rzekł Otto z powagą.

— Po nim wszystko spływa, jak woda po gęsi. — Próbowałam przyłożyć do koszuli oderwany kawałek. — Jak myślisz, przyszyć czy kupić nową?

— To z ciebie wszystko spływa — westchnął Otto. — Ściągnij z Marty odszkodowanie za straty moralne.

Zastanowiłam się. Życie wracało do normy. Na zaklęciach Łomitoriel nie będzie mnie jakoś mocno wałkował, ostatecznie nie jestem jeszcze całkiem zdrowa. Poza tym już się go nie boję. Na pewno zdam na „dobrze”. I resztę egzaminów też zaliczę. Sprzedaż alkoholu powinna iść dobrze — tylko głuchy nie słyszał jeszcze o ostatnich wydarzeniach. Na pewno ludziska przyjdą popatrzeć i przy okazji kupią flaszkę.

— Z Irgi też ściągnę pieniądze — postanowiłam. — Kupie sobie nocną koszulę z elfickiego jedwabiu.

— Ze złotym haftem — dodał Otto zjadliwie. — I będziesz się w niej przechadzać po korytarzach.

— Nic nie rozumiesz — rzuciłam, ryjąc w głębinach szafy.

— Gdzież nam, facetom, do takich subtelności jak jedwabne nocne koszule. O, herbatniczki!

— Otto! — wrzasnęła, odwracając się. — To moje ulubione!

— A dlaczego je chowasz pod materacem? — zdziwił się półkrasnolud, wsypując sobie do paszczy resztę herbatnika.

## Rozdział 12. Zaliczenie letniej praktyki

W tym tygodniu studentom Uniwersytetu Nauk Magicznych przydzielano letnie praktyki. Ubiegłoroczna letnia praktyka okazała się dla mnie, delikatnie mówiąc, niezbyt udana, dlatego obecnie miałam „szczęście” wysłuchać od profesora Befa całej litanii odnośnie mojego zachowania, dalszego losu, niedobrego charakteru i innych morałów, okraszonych groźbami. Odczekawszy, kiedy przyjmę do wiadomości (lub udam, że przyjmę) wszystko, co zostało powiedziane, Bef łaskawie zezwolił mi odejść. Nie musiałam znać sztuki teleportacji, by natychmiast wyparować i pojawić się w najbliższej placówce z wyszynkiem — po tym wykładzie pilnie musiałam odświeżyć sobie mózg.

Piwiarnia okazała się gniazdem magów-praktyków. Samotnie siedziałam za stolikiem, nieuważnie słuchając ich gadaniny — wszystko jest lepsze, niż gromy i błyskawice, miotane przez Befa.

Praktyków niezbyt lubiłam. Oni zresztą odpłacali teoretykom tą samą monetą. My ich uważaliśmy za tępe góry mięśni, a oni nas za tchórzy i mole książkowe. Oczywiście, w razie potrzeby każdy mag mógł zastąpić innego — na przykład ja, teoretyk, umiem rozkopywać groby na cmentarzach i upiora w razie czego zabiję... hm... chyba zabiję.

Cicho piłam swoje piwo i starałam się nie rzucać w oczy.

Praktycy zajmowali się tym, co zwykle, czyli przechwalali się.

— Dla swojej dziewczyny zrobię wszystko! — mówił drągał o różowiutkich policzkach. — Stanę przeciwko całej armii, upiora rozedrę gołymi rękami, w przepaść skoczę...

— A po co na upiora z gołymi rękami? Magią go i pozamiatane! — wtrącił się drugi, jasnowłosy.

— Serce jej oddam, dosłownie! — Trzeci tłukł się kuflem w pierś.

Obiekt tych wszystkich deklaracji trzepotał rzęsami i uśmiechał się do wszystkich po kolei. Potencjalna właścicielka serc powyrywanych z piersi raczej nie grzeszyła urodą — była chuda jak bezdomna kotka, miała brudne włosy i wielki nos na drobnej twarzy.

„Do czego to doprowadza normalnych chłopaków brak dziewczyn na wydziale” — pomyślałam.

— Oddałbym życie za ciebie! — próbował przekrzyczeć roślejszych rywali drobny, chudy studencik.

— Wybierasz sobie kawalera? — wyszeptał mi ktoś nad uchem, charakterystycznie rozciągając samogłoski.

— Irga, ty mnie znajdujesz po zapachu, czy co?

— Nie, po prostu przechodziłem obok — odrzekł nekromanta, niezmierny. — Co ty robisz w knajpie praktyków?

— Płuczę sobie mózg, po tym, jak go Bef wyprał. Irga, oddałbyś za kogoś życie?

— Dziwne pytanie.

— Jestem ciekawa. W sumie jesteś praktykiem, a ci tutaj wręcz płoną pragnieniem złożenia się w ofierze.

Irga parsknął.

— Jestem zbyt drogocenny, żeby się poświęcać. W dowolnej sytuacji najpierw uratują własną skórę, a potem się zobaczy.

— A gdyby twoja ukochana powiedziała: rzuć się w przepaść?

— Odpowiedziałbym jej: a u ciebie z głową wszystko w porządku?

— Nie masz nikogo takiego wyjątkowego, kogo byś zasłonił własną pierś w razie śmiertelnego niebezpieczeństwa?

— Nie — odparł Irga spokojnie. — Instynkt samozachowawczy mam nie mniejszy, niż inni. Tylko rozumu więcej, niż większość ludzi. Nie nadaję się na bohatera ballady. Co ci powiedział Bef?

— Nic konkretnego.

— Bez obaw. Na praktykę cię wyślą z Ottonem, będziecie tam grzecznie siedzieć i segregować papierki.

— A ty skąd wiesz?

— Moja droga, informacja w tych czasach to władza. Wiem i już.

— No to mnie uspokoiłeś — westchnęłam. — Może jeszcze wiesz, dokąd nas wyślą?

— Daleko, hen daleko. Żebyście nie kłuli ludzi w oczy swoim radosnym wyglądem.

— A ty?

— Co ja? Ja skończyłem studia rok temu, mnie praktyki nie dotyczą.

— Ja nie mówię o praktyce. Co będziesz robić latem?

— O, ciebie to interesuje?

— Nie — odparłam stanowczo, postawiłam pusty kufel na stole i

wyszłam na ulicę.

Irga mnie dogonił.

— Urlop mam zimą, latem pracuję. Ale jeśli chcesz mi coś zaproponować...

— Irga! Dzień, w którym nie widzę twojej złośliwej fizjonomii, uważam za wyjątkowo udany! — powiedziałam z pasją.

Nekromanta nachmurzył się.

— Skoro tak uważasz, to nie będę ci przeszkadzać. Powodzenia.

Wzruszyłam ramionami. Chce się obrażać — niech mu będzie, nie mam zamiaru go gonić i przeproszać. Słońce jasno świeciło, topolowy puch opadał niczym ciepły śnieg. Jeżeli Irga nie skłamał, jadę na praktykę z moim najlepszym kumplem! To znaczy, że miesiąc minie szybko i ciekawie, bez żadnych psychicznych wstrząsów.

Ach, gdybym wtedy wiedziała, jak bardzo się myłę!

— Po co obrażałaś Irgę? On do ciebie z sercem... — powiedział mi Otto, kiedy trzęśliśmy się w niewygodnej taradajce po drodze na praktykę.

— Niepotrzebne mi jego serce — opędziłam się.

— Czasem jesteś taka tępa, że aż mam ochotę tobą porządnie potrząsnąć, żeby ci klepki powpadały na swoje miejsca — powiedział Otto tonem starszego brata.

— Ile razy mam ci mówić, żebyś nie włożył z butami w moje życie osobiste.

— Przecież nie włożę. Trudno wleźć w coś, czego nie ma!

— No i wcale nie potrzebuję!

Otto mruknął ironicznie, odwrócił się i zaczął w milczeniu obserwować niekończącą się zakurzoną drogę.

Zagłębiłam się w czytaniu zadań na praktykę.

Jechaliśmy do odległej wioseczki, w której dwieście lat temu znajdowała się strażnica graniczna magów — garnizon od czasu do czasu wyjeżdżał podszczypać piórka nieprzyjacielskim sąsiadom. Kiedy granice naszego państwa przesunęły się po wojnie, w dwóch wieżach zostawiono dwóch magów-staruszków. Przez okrągły rok do byłych strażnic, rozrzuconych po całym państwie, wysyłano studentów na praktyki. Nasze zadanie miało polegać na pracy z archiwalnymi dokumentami, objaśniającymi zasady wyrobu i użytkowania artefaktów bojowych w

przeszłości. Jeżeli nam się poszczęści, możemy nawet znaleźć coś wartościowego. „Bądźcie czujni i ostrożni” — dopisał na dole arkusza Bef swoim kaligraficznym charakterem pisma.

Po dwóch dniach podróży przy wieżach przywitał nas stareńki magister Romon. Obok niego stało dwoje młodych magów.

— Wan. Rawi — przedstawili się. — Chudorska Akademia Nauk Magicznych, Wydział Magii Bojowej, piąty rok.

— Picusie ze stolicy — burknął Otto za moimi plecami.

Mnie ta para na pierwszy rzut oka nie wydała się wyniosła, uśmiechali się sympatycznie.

— Jesteście naszymi pierwszymi praktykantami od dwóch lat — powiedział magister Romon, kiedy wszyscy zebraliśmy się w okrągłym pokoju na parterze Wieży Wschodniej. Drugi mag, magister Fred, był już tak wiekowy, że nie opuszczał swoich pokoi. — Bądźcie ostrożni, dobrze? I zajmujcie się swoimi zadaniami.

Po namyśle dodał:

— W piwnicach nie ma alkoholu, wasi poprzednicy wszystko wypili. Tak więc nie ma co tracić czasu na szukanie.

— My nie pijemy — powiedział Wan.

— Nigdy nie ufałem ludziom, którzy nie piją — szepnął mi na ucho półkrasnołud, idąc za pozostałymi studentami do kuchni.

— Żyjemy tu prosto. — Rawi z uśmiechem rozkładała kaszę na talerze. — Dyżury w kuchni — po kolei, sprzątanie — codziennie. Dostaliśmy zadanie doprowadzić tu wszystko do porządku, wszystko wyczyścić, opróżnić pomieszczenia. A wy?

Przebiegłam wzrokiem po spisie.

— My mamy się zająć całą dokumentacją i znalezionymi artefaktami. I to samo co u was — opróżnić pomieszczenia.

— Dokumenty? Aha, teoretycy.

— Ja jestem rzemieślnikiem! — nadał się Otto. — To co innego! I w ogóle, mówi się, że w waszej akademii studiuje tylko ludzie!

— Tak — powiedziała Rawi niepewnie. — No i co?

— A to, że naruszacie prawa mniejszości rasowych!

— Kiedy krasnołudy i elfy uczą się na swoich uczelniach.

— Znaczy, izolujecie ich!

— Nie mówmy o tym! — wmieszał się Wan. — Rozumiem twoje

uczucia, ale przecież jesteś człowiekiem!

— Ja jestem krasnoludem!!! — wrzasnął Otto i zerwał się od stołu, przewracając krzesło.

— Nie wiedziałam, że krasnoludy mogą być czarnowłose i takie wysokie — zdumiała się Rawi.

— On jest półkrasnoludem — postanowiłam wyjaśnić wszystko hurtem. — Ale lepiej mu o tym nie przypominać. On uważa się za krasnoluda. Jego matka jest bardziej krasnoludzka niż najbardziej rasowe krasnoludziny, tyle, że dwa razy wyższa.

— Nikt nas nie uprzedził. Jakoś niezręcznie wyszło...

— Nie szkodzi, ochłonie — uspokoiłam ich.

Jednak Otto nadal się dąsał. Z Rawi i Wanem starał się rozmawiać jak najmniej, tylko w razie konieczności, a na próby przeprosin nie reagował. Po tygodniu chudorczycy zostawili go w spokoju.

Wieczorami półkrasnolud wyłaził z piwnicy, gdzie cały dzień segregował zawartość schowanych tam skrzynek i marudził:

— Te stołeczne cacusie nic nie umieją... Też mi coś, magowie bojowi... I to ma być praktyka przeddyplonmowa...

— Otto, ja z nimi rozmawiam. To bardzo przyjemni ludzie.

— No właśnie! Ludzie!

— Otto, od kiedy to ty nie lubisz ludzi?

— Od wtedy, kiedy zrobili akademię tylko dla siebie!

— Otto, a co mają z tym wspólnego Wan i Rawi? Oni się tam tylko uczą...

— Jesteś taka sama!

Nie miałam do niego cierpliwości i wychodziłam, włączając się wieczorami samotnie po okolicy. Chudorczykom się nie narzucałam — ślepy by zauważył, że są w sobie zakochani i świat dokoła czasami zwyczajnie dla nich nie istniał. Oczywiście mnie nie przeganiali, ale w ich towarzystwie czułam się zbędna.

Pewnego cichego wieczora, kiedy rozkoszowałam się lekkim wiatrem po całodziennym duchocie, przede mną pojawiła się osobliwa, masywna figura w brudnoszarej opończy. Z zaskoczenia odskoczyłam, potknęłam się i upadłam.

— Otto, co to za dowcipy! — rozżłościłam się.

— Zabierajcie się precz z moich wież, przekłęci zdrajcy! Inaczej

spadnie na was mój gniew! Czeka was wszystkich śmierć!

Ów ktoś złapał mnie zimnymi rękami i z rozmachem cisnął w krzaki.

Kiedy pokiereszowana, zapłakana i wściekła pojawiłam się w wieży, Rawi odruchowo rzuciła się do mnie z pomocą, a Ottonowi i Wanowi synchronicznie opadły szczęki.

— Jakiś truposz wrzucił mnie w chaszczę! — Otarłam łzy. — Cała jestem podrapana, a moja druga co do najlepszości spódnica nadaje się na śmietnik! Znajdę tego typa i zabiję go drugi raz, tym razem na dobre!

— Słyszałem o tym widmie — powiedział Wan. — Chodźmy do Romona.

— To nie widmo — orzekł magister, kiedy usłyszał, co mi się przytrafiło. — To infernal. Miałem nadzieję, że się z nim nie zetkniecie.

— Co znaczy „miałem nadzieję”? — oburzył się Otto. — Wiedział pan o istnieniu tej zjawy, istoty czy co tam jeszcze i niczego nam nie powiedział? A gdyby on Olę zabił?

— To dla niego nie pierwszozna — przyznał Romon. — Dwa lata temu pożarł żywcem trzech nekromantów, którzy tu odbywali praktykę przeddyplomową. Próbowali go zlikwidować... Nie pokazywał się tak długo, że uznaliśmy...

— A czym jest infernal? — zapytałam, pogrzebawszy w pamięci i niczego tam nie odkrywszy. Zdaje się, że ten wykład przespałam. Albo byłam na wagarach... A na egzamin, jak zwykle, wykułam tylko połowę zagadnień.

— Nie przerabialiście infernali? — zdziwił się Wan.

— Możliwe, że akurat byłam nieobecna na wykładzie — odparłam. — Oczywiście z ważnych przyczyn.

— Infernal to nieżywa istota, posiadająca postać fizyczną — wyjaśnił magister. — Jest przywiązana do konkretnego artefaktu. Wypełnia program, jaki założył twórca, dopóki artefakt nie zostanie zdezaktywowany.

— A kto był jego twórcą? I dlaczego do tej pory nie zdezaktywowano tego artefaktu?

— To był chłopak, wasz rówieśnik. Niedouczonego mag spośród ostatnich obrońców wież w wojnie na pograniczu. Podpisanie traktatu pokojowego uznał za zdradę wobec wszystkich poległych na tej wojnie i klęskę ideałów. Nie wiemy, gdzie jest ten artefakt, ani jak on wygląda —

artefaktów jest tu niezliczone mnóstwo, a infernal może kryć się w każdym z nich.

— A jeśli poobserwować zaburzenia pola magicznego? — błysnęłam erudycją.

— Wieże stoją w miejscu nieustannych zaburzeń magicznego tła, właśnie dlatego je tutaj zbudowano! — zawołał stary mag. — Amulety, które robiono dwieście lat temu, w większości są samoładowalne. Nie możemy śledzić wszystkich! Dlatego wysłano was, żebyście tu wszystko wyczyścili. Może wam się poszczęści...

— A ci nekromanci, których zabił infernal. Oni coś znaleźli? — zapytał Wan ostrożnie.

— Prawdopodobnie znaleźli. Zarozumiałe dzieciaki! Nic nam nie powiedzieli, postanowili wszystko sprawdzić sami. Za co przypłacili życiem. Dlatego, jeśli wam coś przyjdzie do głowy, zaraz mi meldujcie!

— Zrozumiałaś, Ola? — rzekł Otto znacząco.

Drgnęłam, łapiąc się na tym, że wyciągnęłam usta w dziobek, co zwykle robiłam gdy intensywnie nad czymś rozmyślałam.

— Tak, zrozumiałam. Nie jestem taka głupia, żeby leżeć w paszczę potwora, który zezarł trzech nekromantów.

Półkrasnodud sceptycznie pokręcił głową.

\*

— Ciekawy widok — powiedział Wan po paru dniach, zobaczywszy naszą malowniczą parę.

Rozpuściłam długie, faliste włosy Ottona i płynnie wodziłam po nich grzebieniem. Zwykle krasnodudy zaplatały włosy w ścisły warkocz, wzmacniały go cienkimi srebrnymi spinkami do włosów na całej długości i przez tydzień, albo dwa, nie dotykały. Potem ze skrzypieniem i jęczeniem rozplątywały kołtun, próbowały rozczesać i znowu mocno zaplatały. Długie do pasa włosy i puszysta broda były dumą każdego krasnoduda. Tyle, że włosy rasowych krasnodudów są twarde i mocne, niczym koński ogon, i prawie się nie plączą. Zaś mojemu przyjacielowi przypadły w udziale włosy po ludzkiej matce: czarne, puszyste, kędzierzawe. W okresach głębokiego zamyślenia lubiłam Ottona czesać — to pomagało mi się skupić. Półkrasnodud uwielbiał takie momenty, ale ja uważałam, że jeśli myśleć za dużo, to prędko wszystkie myśli się zużyją. Dlatego też Otto dość rzadko doznawał pieśczoły grzebienia. Za



to cierpliwie znosił początkowe dziesięć minut rozczesywania kołtunów.

— Nie boisz się, że dostaniesz od tego zmarszczek — zapytała Rawi, patrząc na moje ściągnięte usta.

Otto syknął na nich. Brzmiało to niemal przyjacielsko i zaskoczeni studenci umilkli i tylko obserwowali nas z szacunkiem.

Bez pośpiechu zaplotłam warkocz, pospinałam spinkami i oświadczyłam:

— Wiem, co to za artefakt. No, w przybliżeniu.

— Poważnie?

— Jak najbardziej. Co powiedział magister Romon? Chłopiec! Dokładnie to: chłopak, nie dorosły facet. Dlatego artefakt znaleźli trzej nekromanci jeszcze przed dyplomem, a nie mogli go wyniuchać najlepsi magowie! Tego i owego dowiedziałam się też od magistra Freda. Ten chłopak, niedouczony mag, Danbot, miał głowę nabitą książkami, bohaterami i ich czynami. Chciał, żeby o nim opowiadano legendy, a dziewczyny całymi stadami padały mu do nóg. Dlatego uciekł z akademii do tych wież — żeby wojować i dokonywać wielkich czynów.

— Chwila! A skąd ty to wiesz?

— Przecież mówię, że od magistra Freda. Jest okropnie stary i służył w tej strażnicy jeszcze w tym czasie, kiedy Danbot pojawił się tutaj z na wpół pustym workiem na plecach i w dziadowej kolczudze. Fred pracował wtedy jako intendent, bo tu się przecież mieścił garnizon. Potyczki z wrogiem zdarzały się praktycznie codziennie...

\*

Danbot ze złością szorował podłogę starą szczotką na kiju. Znów się z niego śmiali! Znowu! „Jesteś jeszcze za mały — powiedział dowódca garnizonu, wąsaty weteran Tolik. — Podrośnij, to cię weźmiemy ze sobą”. Podrośnij! A przecież on jest najsilniejszym magiem ze wszystkich tutaj obecnych. Trzej to kalecy, których jedyną przewagą był wiek i dyplomy ukończenia akademii. A czwarty w ogóle woli zajmować się liczeniem worków z kaszą i różnym barachłem! A jemu, Danbotowi, nauczyciele mówili, że jest silny. Bardzo silny! I mądry. Nie na darmo jego mateczka codziennie mu powtarzała; „Danbot, o tobie jeszcze będzie głośno. Będiesz sławny”. I przecież jest dorosły, pełnoletni! No i co z tego, że jest niski! W dzieciństwie dużo chorował, za to bardzo dużo czytał, przykuty do łóżka. Pochłaniał całe tony książek, wyobrażając

sobie siebie na miejscu ich bohaterów. No i jeszcze pozostawała sprawa dziewcząt. Każdy bohater ma swoją ukochaną, i to czasem niejedną. Niedawno mama przysłała list, że ojca zabiły przekłete elfy. Danbot nie rozpaczał po ojcu, znamienitym żołnierzu wysokiej rangi, który podczas rzadkich wizyt w domu nie zwracał uwagi na swojego chorowitego syna. Jednak każdy bohater obowiązkowo powinien się za kogoś mścić! Tak więc tej samej nocy Danbot zebrał dobytek i uciekł do Forbittenńskich Wież. Z nikim się nie pożegnał — swoich kolegów z akademii magicznej uważał za ograniczonych i nudnych, nie potrafiących docenić porywów jego duszy. Danbot szedł do celu prawie tydzień, żywiąc się marzeniami i kradzionym po wsiach jedzeniem.

Pchała go naprzód nadzieja, że w wieżach nareszcie odnajdzie swoje miejsce. Jednak rzeczywistość okazała się koszmarna. Najpierw próbowali Danbota odesłać do domu, a potem zmusili do wykonywania czarnej roboty: mycia, czyszczenia, sprzątania.

Danbot skończył mycie podłóg i rzucił szczotkę w ką. Teraz do kuchni, pomóc kucharzowi przygotować posiłek dla żołnierzy. W miski im napluć, czy co?

Tego wieczoru wąsaty Tolik nie dowcipkował. Wrogie siły kuborskie unicestwiły dwóch magów na raz.

— Kuboria jeszcze za to zapłaci, bądźcie pewni! — warczał wąsacz podczas kolacji. — Nasz król ich rozdusi jak pluskwy!

— Tak, tak, jasne — narzekał mag bojowy Arsen. — Ale ja nie zamierzam w pojedynkę kryć wam tyłów, kiedy wy będziecie szarpać Kuborian. Tak więc będziecie siedzieć w wieżach, dopóki nie przyślą uzupełnienia.

— Głupstwo, mamy jeszcze jednego maga.

— Proszę wybaczyć — wtrącił się Fred. — Ale ja nie jestem magiem bojowym. I nikt mnie nie zmusi, żebym pojechał z wami na potyczkę.

— To czas wojenny! — wyrąbał Tolik.

— Być może. Ale jeśli wasze amulety i artefakty odmówią posłuszeństwa w najmniej odpowiednim momencie, to proszę mnie za to nie winić.

Tolik zastanowił się. Wiedział, że z tchórzliwego teoretyka będzie mało pożytku, ale z drugiej strony wyjazd na patrolowanie granicy z jednym tylko magiem równał się samobójstwu. Przygraniczne oddziały

wroga miewały od trzech do czterech magów.

— Hej, mały!

Danbot podniósł głowę.

— Znasz się na zaklęciach bojowych?

— Studiowałem na wydziale magii bojowej! — Danbot zerwał się z ławy. — I byłem najlepszy!

— Ciekawe, jakim cudem cię tam przyjęli — wymamrotał Arsen pod nosem.

Oczywiście z pomocą mamusi, ale Danbot wołał o tym milczeć.

— Dobrze — westchnął Tolik. — Pojedziesz pojutrze z nami na patrol.

— Poważnie? — Danbot nie wierzył własnemu szczęściu.

— Poważniej się nie da. — Tolik spochmurniał. — Toczy się wojna, synu.

Kiedy Danbot, podśpiewując, zbierał naczynia ze stołów, podszedł do niego Arsen. Złapał mocną garścią za szczupłe ramię chłopaka i wycedził, patrząc w bok.

— Słuchaj, smarkaczu. Nie będę cię niańczył, jasne? Jakies problemy w terenie to cię własnymi rękami załatwię gdzieś w lesie i powiem, że to Kuborianie. Masz mnie słuchać bez żadnego gadania, rozumiano? — Mag potrząsnął wystraszonym Danbotem, który bąknął: „Tak, oczywiście”. A potem odwrócił się i wyszedł, zamiatając podłogę połamami długiej szaty.

Danbot nie spał całą noc. Najpierw wyczyścił kolczugę, żeby błyszczała, potem szukał zaklęć w konspektach. Za dnia dobrał sobie kilka artefaktów, nie zauważając, jak podśmiewają się za jego plecami doświadczeni wojownicy.

Tak, to będzie jego triumf! Na pewno zabije kilku wrogów i uratuje Tolika od niechybnej śmierci. Danbot widział w marzeniach sceny z chwalebnej przyszłości: dowódca garnizonu na oczach całej akademii ogłasza go bohaterem. Burmistrz wręcza mu order... nie, sam król! Mamusia płacze ze szczęścia. Dziewczyny patrzą na niego zakochanymi oczami. A inni studenci, jakże będą zazdrościć i żałować, że się z nim nie przyjaźnili, że go wyśmiewali... A on będzie dumnie przechodził obok, błyszcząc orderem.

Danbot w nocy nie mógł spać. Mętne senne widziadła mieszały się z

chwilami podnieconej aktywności. W jednym z takich momentów chłopak usłyszał cichy sygnał z gołębnika — przyleciał gołąb pocztowy.

„Do komendanta Forbittenńskich Wież” — widniało na cienkim zwitku, przywiązanym do nóżki gołębia. Komendantem w dany momencie był Arsen — to stanowisko automatycznie przechodziło na najstarszego maga.

— Co się dzieje? — zapytał sennie mag Danbota. — Nie chce ci się spać, chłopcze?

— Gołąb przyniósł. — Danbot podał mu list. — Ze stolicy.

Arsen wyszeptał zaklęcie, przebiegł wzrokiem wersy, które pojawiły się na papierze i uśmiechnął się.

— Wczesnym rankiem zadzwonisz na walne zebranie — poleciał i odszedł w głąb pokoju.

— Co było w liście?

— Król zawarł pokój z Kuborią. Jutrzejszego wypadu nie będzie. Możesz zbierać rzeczy — część garnizonu rozpuszczę po domach. Ktoś dostarczy cię z powrotem do akademii. — Arsen zastanowił się i dodał: — I pomówi z rektorem. O twojej karze za ucieczkę ze szkoły.

Zgroza ścisnęła Danbota za gardło. Długo stał w milczeniu przed dawno zamkniętymi drzwiami pokoju komendanta. Koniec marzeń o sławie! Koniec snów o dziewczynach! Znowu będzie wyrzutkiem, znów nie będzie końca szyderstwom, z marzeniem o dziewczynie wypadnie się pożegnać. I mamusia też go nie pochwali...

Zdrajcy! Zdrajcy! Jak oni mogą tak łatwo zapomnieć wszystko, co się stało? Jeden kawałek papieru — i żołnierze z garnizonu radośnie jadą do domów, zapomniawszy o tym, że jeszcze wczoraj do nich strzelano! A jego wysyłają na rozszarpanie rektorowi! Po co w takim razie uciekał? Żeby myć podłogi i talerze? Jaki był sens tygodniowej głodówki i pokaleczonych stóp, kiedy on uporczywie szedł z akademii do wież? Żeby nawet z daleka nie zobaczyć wroga?

Wściekłość — nie złość, a mianowicie wszechogarniająca wściekłość — ogarnęła Danbota. Zazgrzytał zębami i zacisnął pięści. Dobrze! Nie chcieliście wierzyć, że jestem magiem bojowym, więc to udowodnię, i jeszcze pożałujecie...!

\*

— Rano Danbota odwieźli do akademii. Po drodze on i jego eskorta

zniknęli bez śladu. Poszukiwania nic nie dały. A pierwsze poselstwo z Kuborii, które zatrzymało się w wieżach, w nocy straciło połowę swoich ludzi. W ten sposób dowiedziano się o istnieniu infernała — zakończyłam swoją opowieść.

— Czyli Danbot stworzył infernała...

— W ciągu zaledwie połowy nocy, i to oszalały z wściekłości — przerwał Wanowi Otto. — Czyli nie zrobił samego artefaktu, a tylko wypełnił go mocą.

— I nikt nie mógł zrozumieć zasad jego pracy, dlatego że tej zasady po prostu nie ma? — upewniła się Rawi.

— Reguła istnieje — odpowiedziałam. — Dlatego, że nie przy wszystkich obcych artefakt zaczyna działać. Tyle że ta reguła jest probabilistyczna. Niezwykle trudno coś takiego wykryć, za to bardzo łatwo zrobić.

— I co to jest?

Pokazałam ręką do góry. Wszyscy zgodnie zadarli głowy, parę minut uważnie oglądali niebo, po czym znów zagapili się na mnie.

— Patrzycie nie tam, gdzie trzeba. To wiatrowskaz nad gołębnikiem. Ponownie w milczeniu popatrzyli na wiatrowskaz z kutego żelaza.

— I co? — Otto postanowił przerwać pełne napięcia milczenie.

— Po prostu ruszyłam głową. Jeśli jestem wściekła, tak jak Danbot, co jest przedmiotem mojego gniewu?

— Król? — zaryzykował Wan.

— Arsen?

Pokręciłam głową.

— Spróbowałam postawić się na miejscu tego chłopaka. Rzucam się do izby — tam wyczyszczona kolczuga, przypominająca o niespełnionych marzeniach, kuchni nienawidzę, w piwnicy wiecznie ktoś chleje. W rozpacz i złości biegnę na górę, do gołębnika. A tam jest ptak, który tak nie w porę przyniósł wieść o pokoju! Choćby na nim się odegrać, skrócić mu kark! Myślę, że właśnie w gołębniku przyszło Danbotowi wyleźć na dach. Może chciał się z niego rzucić, ale zobaczył wiatrowskaz i olśniło go, jak się może zemścić na wszystkich. To przecież rzecz, którą wszyscy widzą, ale nikt właściwie nie zauważa. Sprawdziłam go. Magiczne pole lekko się tam zmienia.

— Jak to zrobiłaś? — zdziwił się Wan.

— Gdybyście się uczyli w normalnej magicznej uczelni... — wtrącił swoje trzy miedziaki półkrasnolud.

— Jestem teoretykiem — przerwałam mu szybko. — I razem z Ottonem czasami robimy artefakty. Tak więc umiem dostrzegać zmiany w polu magicznym.

— Ale magister Romon powiedział, że tu jest tak dużo artefaktów, że one nieustannie zmieniają pole!

— Aha. Otto, a gdzie leży najwięcej artefaktów?

— W piwnicy — rzekł ponuro półkrasnolud, który spędzał tam lwią część czasu.

— Dlatego mnie zdziwiło, że pole jest zniekształcone dokoła wiatrowskazu.

— Możesz się mylić — powiedział Wan ostrożnie, na wszelki wypadek odsuwając się od Ottona.

— Zaraz to sprawdzimy! Moim zdaniem artefakt działa przy odpowiednim ustawieniu wiatrowskazu — kiedy obraca go wiatr. W pewnym momencie wahania pola będą największe. Wan, ty wchodzisz na górę i kręcisz tym żelastwem w różne strony. Ja kreślę na dole schemat i mierzę. Otto zapisuje, a Rawi dokładnie zapamiętuje położenie wiatrowskazu przy największych wahaniami pola.

— A dlaczego jak na dach to od razu Wan? — nastroszyła się Rawi.

— Bo jest praktykiem i ma to wpisane w zakres obowiązków — odparł Otto z zadowoleniem.

— A jeśli infernal wylezie?

— Na pewno nie wylezie. Zaklęcie wykonywano nocą, tak więc Danbot przywiązał je do nocy. Do dowolnej pory doby byłoby ciężiej. Nawiasem mówiąc, staremu wyjadaczowi by nie przyszło do głowy użycie jako artefaktu zwyczajnego przedmiotu. Oni są przyzwyczajeni do tego, że jako artefakty stosuje się specjalne przygotowane rzeczy!

Po kilku minutach kręcenia wiatrowskazem powiedziałam:

— Jest!

— Zarejestrowałam położenie — odpowiedziała Rawi.

— Teraz już możesz spadać! — zawołał Otto do Wana.

Oczywiście magistrowi Romonowi nic nie powiedzieliśmy. Rada wojenna zebrała się w ściśle studenckim składzie.

— Zdezaktywować artefakt i cześć pieśni! — powiedział Wan.

— Ale dezaktywować go trzeba w czasie działania. — Przeglądałam książki, znalezione w wieżach.

— A co na to infernal?

— Teoretycznie powinien się rozpaść.

— A z kogo on jest w ogóle zrobiony?

— Myślę, że z któregoś z martwych magów. Danbot by go nie robił z zabitego żołnierza, magów nie lubił bardziej.

— Aha, a jego trupa nikt nie odkrył.

Spojrzałam na Ottona podejrzliwie. Zdaje się, że on też zwagarował z tego wykładu o infernalach.

— Do stworzenia infernala nie są konieczne zwłoki. Artefakt po prostu przywiązuje się do danego ciała i tyle. A potem w razie potrzeby to ciało wstaje z grobu i działa — powiedział Wan.

— Tak jak zombi? — błysnął wiedzą Otto.

— Nie, zombi nie może działać aż tak długo, inna zasada wytwarzania. — Przypomniałam sobie zajęcia z nekromagii. — Ale jest dużo cech wspólnych.

— A więc tak... Zaczynamy po północy. Wan, ty zamocujesz wiatrowskaz w odpowiednim położeniu, my z Ottonem dezaktywujemy artefakt, Rawi będzie nas ubezpieczać z dołu, a ty z góry. W razie niespodzianek.

— A może jednak powiemy Romonowi? — Rawi wykazała zdrowy rozsądek.

— Nie, nie, on nam wszystkiego zabroni! — spłoszył się Otto.

— Ja w ogóle nie rozumiem, dlaczego się za to bierzemy — upierała się dziewczyna. — Chcecie zginąć?

Zastanowiłam się.

— Po pierwsze nas jest czworo, a nie troje. Po drugie, tu jest nudno. Po trzecie, jeśli nam się uda, pomyślcie, jakie będziemy mieć świetne oceny z praktyki!

„I Bef będzie mnie szanował, i komuś nosa utrę, żeby nie myślał, że jest najmądrzejszy” — dodałam w myśli.

Rawi te argumenty nie przekonały. Wan, patrząc na nią, też zaczął się wahać.

— Też mi praktycy! — powiedział mój przyjaciel ze wzgardą. — Gdzie wy macie zamiar nabrać doświadczenia? Szorowanie podłóg i

donoszenie magistrum — niewielka nauka!

Wan wybuchnął, a ja się uśmiechnęłam. Postanowione.

\*

W nocy obudził mnie Otto.

— Wstawaj! Idziemy do roboty.

— Odczep się, ja chcę spać. — Naciągnęłam kołdrę na głowę.

— A ci, sama wiesz kto, nawet się nie kładli! A ty...

Zrozumiałam, że jednak się nie wyśpię. Gdyby Wan i Rawi też spali...

— Jak sobie wywichniesz szczękę, nie będę jej wstawiać — burknął Otto. — Masz dwie minuty, żeby się ubrać.

Zatrzasnęłam usta, przygryzając sobie język. Mój przyjaciel rzucił we mnie spódnicą i pilnował, żebym znów nie wlaźła pod kołdrę.

Moje pojawienie się przerwało zażartą kłótnię dwojga praktyków. Wan próbował odebrać Rawi miecz i zapędzić do bezpiecznego schronienia w piwnicy.

— Strój z kołdry to nowa metoda dezaktywowania artefaktów? — spytał Wan ironicznie.

— Jak będziesz się śmiać, to rzucę na ciebie klątwę — warknęłam. — Zimno mi!

— Dalej, dalej. — Otto szturchnął mnie z tyłu. — Znam cię. Zaraz położysz się na ziemi i zaśniesz. Zdejmuj tę kołdrę.

— Dobra — ziewnęłam. — Wan, włącz na dach. Zaczynamy.

— Magister Romon śpi — powiedziała Rawi. — Dolaliśmy mu do mleka wyciągu z maku.

Zaczęłam kreślić pentagram. Dzięki piaszczystemu gruntowi i księżycowi, który świecił niczym latarnia na głównej ulicy, linie były dobrze widoczne. Otto rozstawiał w odpowiednich miejscach artefakty wybrane z piwnicznych zapasów.

— Jestem na dachu! — rozległ się krzyk Wana.

— Jesteśmy gotowi! — odpowiedziałam. — No, Siły Niebieskie, pomóżcie!

Ośmiokątny pentagram zapłonął zielonym światłem. Zerwała się wichura. Wanem szarpało na wiatrowskazie, niczym skarpetką na sznurku. Podnosząc głos do krzyku, recytowałam zaklęcie dezaktywacyjne — moje ulubione. Używałam go często, gdyż eksperymenty moje i Ottona czasami miały nieoczekiwane rezultaty.



Tylko nigdy nie kreśliłam w tym celu pentagramu — siła działania naszych artefaktów była o wiele niższa.

— Wan, złaź! — wrzasnął półkrasnolud na całe gardło. — Szybko!

Praktyk czym prędzej zsunął się z dachu. Wiatrowskaz wybuchnął zielonym światłem i rozsypał się w proch. Bez sił osunęłam się na ziemię — no pewnie, skro przepuściłam przez siebie taką ilość magicznej energii... Kiedy za mną rozległ się ryk, nawet się nie obejrzałam. Może infernal zeżre kogoś innego? Nawiasem, dlaczego cholernik nie zdechł? Obejrzałam się, stojąc na czworakach. Potwór był kilkakrotnie większy, niż wcześniej. To mi dodało energii i popęzłam do najbliższego drzewa, żeby się za nim schować. Rawi wyciągnęła miecz z pochwy i rzuciła się na infernala.

— Oj mamó, mamusiu... — szeptałam, próbując wycisnąć ze spanikowanego umysłu jakiegokolwiek zaklęcie.

Infernal niedbale opędził się od Rawi i zdecydowanie ruszył na Ottona. Półkrasnolud, z braku lepszego pomysłu, rzucił w potwora artefaktem, stojącym w pentagramie i co sił w nogach pognął za wieżę. Infernal popędził za nim. Rawi rzuciła mu się pod nogi i twór Danbota wywinął kozła.

— Ratunku! — wrzasnęłam w nadziei, że któryś z magistrów mnie usłyszy.

Niestety, pomoc w takich chwilach nadchodzi tylko w dziecięcych bajkach.

Infernal podniósł się, pochwycił Rawi wielkim łapskiem i uniósł w powietrze.

W uszach zadzwoniło mi od przenikliwego pisku. Po chwili zorientowałam się, że wydobywa się z mojego gardła i zatkałam sobie usta dłonią.

— Rawi! — krzyknął Wan, pojawiwszy się w wejściu do wieży. — Rawi!

Rzucił w infernala włócznie.

— Weź mnie, gadzino! Mnie, skurczybyku!

Potwór odwrócił się, odrzucił Rawi i pokłusował na Wana. Włócznie sterczała z jego boku, jak patyczek. Wan cisnął w niego ognistą kulą. Infernal zawył i odpowiedział powietrzną ścianą.

Fala uderzeniowa cisnęła mną o drzewo. Nie wiem, na jak długo

straciłam przytomność. Kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam taki obraz: Rawi leży na ziemi, bezwładna jak połamana lalka. Wan czołga się do niej, zostawiając za sobą krwawy ślad. A przed infernałem stoi, unosząc ręce, szczupła postać w czerni.

Otworzyłam oczy po raz drugi pod wpływem natarczywych żądań:

— Obudź się, starczy tego udawania. Nie bój się, już wszystko skończone. Ola, jeśli zaraz nie wstaniesz, naleję ci zimnej wody za kołnierz.

— Otto, ty sadysto... — wychrypiałam.

— Żyje, skoro wyklina — odezwał się czyjś zmęczony głos.

— Otto — jęknęłam. — Umieram.

— Co?!

— Mam hal... hale... Słyszę dziwne rzeczy.

— A nie, to akurat rzeczywistość. Dasz radę wstać?

— Nie. Podnieście mnie!

— Mam złamaną rękę — powiedział Otto. — Sama wstawaj.

— A...

— Głupia — wyszeptał mi w ucho, łaskoczając brodą. — On teraz nawet pisklęcia nie podniesie.

— Bohaterowie, Sukin kot! — Namacałam ręką pień drzewa i spróbowałam się podnieść.

Obok siedział Irga i oglądał pole bitwy. Infernal zniknął, pozostawiając po sobie krater na dziedzińcu. Przy Rawi i Wanie krzątał się magister Romon.

— Co. Ty. Tu. Robisz?

Irga nie zaszczycił mnie swoją uwagą. Odpowiedział za niego Otto:

— Siedzi.

— To widzę. Jak się tu w ogóle znalazł?

— Przyjechał.

Machnęłam na niego ręką.

— A co z nimi?

— Przeżyją.

\*

Następnego dnia magister Romon zebrał pokiereszowanych pogromców infernala w pokoju Wana. Chłopak w posępnym nastroju leżał w łóżku, gdzie miał spędzić jeszcze parę długich miesięcy.

— Pewne obecne tu osoby, nie zważając na moje prośby, postanowiły samowolnie zniszczyć infernala.

— To straszne! — Otto przewrócił oczami.

Obie z Rawi patrzyłyśmy na magistra psim wzrokiem.

— I gdyby nie jego ingerencja — Romon wskazał rozwalonego w fotelu Irgę — to wasi rodzice dostaliby wasze kości, ładnie opakowane i przewiązane wstążeczką!

— Pan jest po prostu estetą! — zachwycił się Otto. Reszta skwapliwie pokiwała głowami.

— Milczeć! — rozsierdził się magister. — Jesteście nieświadomi, niedojrzali, nie myślicie o innych...

— Strasznie nam wstyd — przyznałam.

— Ale wyrażamy skruchę — dodał Otto, gładząc złamaną prawą rękę.

— Jesteśmy tak skruszeni, że bardziej już nie można — potwierdziła Rawi, piastując złamaną lewą rękę i spoglądając na stojącą obok kulę. Chciała się nią bronić przed magistrem, czy co?

— Proszę nam przebaczyć! — zawyłam, padając na kolana. Zerknąwszy na Irgę, stwierdziłam, że wręcz rozkoszuje się spektaklem. No cóż, nie jemu mają tu podpisać sprawozdanie z praktyki. Warto się postarać.

— Eee, no... — Romon cofnął się przede mną.

Podrapane i obite o drzewo plecy odezwały się takim bólem, że zalałam się prawdziwymi łzami:

— Proszę nam wybaczyć...!

— Ależ dziecko, ja się na was nie gniewam. Chciałem tylko was skarcić za samowolę — powiedział szybko Romon. Taaak, żadnego doświadczenia ze studentami... Bef by mnie wywalił z gabinetu na zbity łeb i jeszcze poprawił kopniakiem w cztery litery.

— A nasze oceny z praktyki...? — Otto kuł żelazo, póki gorące i wyciągnął do magistra błagalnie rękę. Gips przeważył i półkrasnolud mało nie spadł ze stołka.

Magister poddał tyły.

— Wszystko podpiszę. Po prostu nie chciałem was stracić. Dobre z was dzieciaki...

Wymieniliśmy zwycięskie spojrzenia.

Irga zaklaskał i wstał z fotela.

— Ola, Otto, jutro wracamy na uniwersytet, tak więc na waszym miejscu bym się pośpieszył z pisaniem sprawozdania.

— Lubisz psuć miłe momenty — westchnęłam.

Nekromanta wzruszył ramionami.

\*

— No i dlaczego ja jestem leworęczny? — westchnął Otto, utknąwszy na trzeciej stronie.

— Żeby było sprawiedliwie — wyjaśniłam ochoczo. — Wykręciłbyś się od sprawozdania, a tak piszemy razem. Dlaczego Wan rzucił się na infernala? Przecież mógł go ostrzelać z okna?

— Idź, zapytaj go. — Na Ottona spłynęło w końcu natchnienie i nie chciał się rozpraszać na rozmowy.

Poszłam do pokoju Wana i zadałam mu nurtujące mnie pytanie.

— Dlatego, że kocham Rawi — odpowiedział wprost. — I musiałem ją natychmiast ratować.

— Czyli byłeś gotów poświęcić za nią życie?

— To ona jest moim życiem. Więc ja nie poświęcałem życia, tylko je ratowałem.

Pobiegłam odszukać Irgę.

Znalazłam go na dziedzińcu, gdzie wystawiał na słońce swoje blade ciało.

— Przyjechałeś, żeby mnie ratować?

— Nie — ziewnął nekromanta. — Dostałem polecenie służbowe, że mam spróbować zniszczyć infernala. Magister Romon już dawno się tego domagał. No to przyjechałem. Po prostu tak wyszło, że trafiłem akurat na moment waszej sławetnej porażki.

— Taaak? — przeciągnęłam z rozczarowaniem.

— Nic osobistego. Idź, zasłaniasz mi słońce.

Całą drogę do domu się dąsałam, lecz na Irgę to nie działało — spałam całe dwa dni podróży. Też spałam, lecz mało, żeby mieć możliwość robienia fochów. Otto był w doskonałym humorze. Przed odjazdem przeprosił stołecznych studentów za swoje zachowanie, przyznawszy, że „ogólnie jesteście fajni, ale wasza Akademia i tak ogranicza prawa...”. Ja zaś pożegnałam się z praktykami bardzo serdecznie.

\*

Wylegiwałam się na łóżku. Po zaliczeniu praktyk można było pojechać na kilka dni do domu, do rodziców. A można było i nie jechać, a spacerować całymi dniami, nie zwracając sobie głowy nauką. Plecy się zagoiły, a lato rozpieszczało piękną pogodą.

— Idziesz ze mną? — Mój najlepszy przyjaciel jak zwykle wpadł do mego pokoju.

— Nie chce mi się.

— Przecież nawet nie wiesz dokąd.

— Tak czy siak mi się nie chce.

— Burmistrz wręcza Irdze nagrodę.

— Nie mogę patrzeć na jego gębę — ożywiłam się.

— Burmistrz nie jest od tego, żeby się podobać. Ale Irdze trzeba pogratulować!

— Mówiłam właśnie o Irdze. On...

Otto mnie nie słuchał.

— Nagradzają go za pobicie rekordu prędkości na dystansie Czystiakowo — Forbitteńskie Wieże.

— Czyżby?

— To znaczy, moja droga, że kiedy tylko otrzymał polecenie — a nie tyle otrzymał, co wydebił je od władz — to poleciał do wież, ustanowiwszy rekord prędkości.

Nie zareagowałam.

— No co, zupełnie niczego nie rozumiesz? — rozgniewał się Otto. — Sprawa z infernałem ciągnęła się już całe wieki. Nie zastanawia cię to, że właśnie Irga i właśnie wtedy, kiedy tam byliśmy, otrzymał polecenie zniszczenia go?

— No...

— Nie no! Jak tylko dowiedział się o tej historii z infernałem, od razu zaczął próbować dostać się do wież. A kiedy tylko otrzymał zlecenie, postarał się jak najszybciej dotrzeć do obiektu westchnień.

— Do infernała?

— Do ciebie! — ryknął Otto. — Tak się bał, że wpadniesz w łapy infernała, że nawet nie zachodził do domu po swoje rzeczy!

— Świetnie dał sobie radę.

— Irga zajmował się problemem zniszczenia infernała od momentu twojego wyjazdu na praktykę — powtórzył półkrasnolud pieszczotliwie i

powoli, jak niemowlęciu. — A to znaczy...

— Dobrze, dobrze, nie musisz mnie tak piłować. Idę z tobą.

W miasteczku studenckim panowała cisza i spokój. Ludzie porozjeżdżali się na praktyki i po domach. A ci, którzy zostali, w dzień odsypiali nocne hulanki.

— Dlaczego on mi nie powiedział, że zrobił to dla mnie? Dlaczego powiedział, że to było odgórne polecenie? „Nic osobistego” — dokładnie tak powiedział.

— A ty byś to doceniła? — Otto, mrużąc oczy z zadowolenia, raczył się morelami, znacząc naszą drogę pestkami.

Popatrzyłam z ukosa na jego wielką torbę.

— Pewnie, że bym doceniła. To bardzo przyjemne, kiedy ktoś dla ciebie robi coś takiego.

— Nie rozumiałaś — wybełkotał Otto z pełnymi ustami. Sok pociekł mu po brodzie, więc podałam mu chusteczkę i zauważyłam:

— Oto do czego prowadzi zachłanność.

— Nie prowadzi. Mam tylko jedną rękę i to zajęta morelami. Nie mam jak ich zaproponować.

— Och, nierozwiązywalne zadanie!

— No dobrze. A więc, nie rozumiałaś — ciągnął Otto, podając mi torbę z owocami. — Ty byś oceniła to jako postępek Irgi w odniesieniu do ciebie. Konkretnie Irgi konkretnie dla ciebie. W sensie: Irga po raz kolejny udowodnił swoje wielkie uczucie dla mnie — głupiej i tępej pannicy.

— Niczego mi nie mówić o uczuciach.

— On nie mówi, tylko działa, a to jest znacznie lepsze.

— I nie jestem tępą.

— Jesteś tępą, jeśli chodzi o sferę stosunków międzyludzkich.

Zatrzymałam się, wzięłam pod boki i powiedziałam stanowczo:

— Otto, póki Irga nie padnie przede mną na kolana i nie wyzna mi miłości aż po grób, ja w to twoje gadanie nie uwierzę.

— Mówicie o mnie? — rozległo się za mną.

Zgrzytnęłam zębami.

— Oj — powiedział Otto cieniutkim głosem.

Odwróciłam się, zaciekawiona.

— Oj.

Zamiast swojego zwykłego uniformu — wysokich sznurowanych butów, czarnych skórzanych spodni i czarnej koszuli — Irga miał na sobie eleganckie brązowe spodnie i białą (!) koszulę. Jego długa czarna grzywka, zwykle spadająca na oczy, była zaczesana do tyłu i ułożona za pomocą brylantyny, ukazując wysokie czoło nekromanty. Błękitne oczy patrzyły nie złośliwie, a wesoło i zadziornie.

— Ty, ten... — wybąkał Otto.

— Już wszystko dostałem. Blachę do powieszenia na ścianie i pięć złociszy, co jest dla mnie znacznie istotniejsze. Prosiłem burmistrza, żeby nie robił oficjalnego przyjęcia, jeszcze by mnie potem chcieli wykorzystywać jako kuriera. A ja w końcu jestem nekromantą.

— Nie widać — powiedziała, oblizując palce lepkie od soku.

— Czyli co, mam paść przed tobą na kolana? — zapytał Irga.

— A co, masz mi coś do powiedzenia?

— Pewnie, że mam.

— Naprawdę? — Poczulałam, że płoną mi uszy. Ottonowi opadła szczęka, sok znów mu pociekł po brodzie, ale nawet tego nie zauważył — gapił się na Irgę wybałuszonymi oczami.

— Tak! — oznajmił Irga radośnie. — Że chętnie przełożyłbym cię przez kolano i zlał po tyłku różgą: a nie leż w łapy infernalowi, a nie leż!

Gorąco mi się zrobiło już nie tylko w uszy. Robiąc zamach, żeby wlepić nekromancie policzek, słyszałam śmiech Ottona.

# Czwarty rok

## Rozdział 13. Cierpienia z powodu figury

Czasami — no dobrze, będę szczerą — często chciałabym być bardzo piękna. Przyciągać zachwycone spojrzenia. Słyszeć, jak mężczyźni gwizdzą na mój widok. Wzbudzać dziką zazdrość osób płci żeńskiej. Ach, jakie szczęście mają te, które los obdarzył urodą!

Pragnienie upiększenia swojej niczym nie wyróżniającej się powierzchowności osiągnęło u mnie apogeum podczas koncertu dla wysoko postawionych gości, od których nasz rektor miał nadzieję wyciągnąć kilkaset (a może nawet tysiąc) złotych na potrzeby uniwersytetu. Najpopularniejsi i najbardziej utalentowani studenci demonstrowali swoje umiejętności na scenie, a zwykli śmiertelnicy, którym nie udało się wykręcić od obecności na koncercie, udawali doskonale wychowanych i wykwalifikowanych przyszłych magów, którym można powierzyć każde zadanie.

Oboje z Ottonem starannie klaskaliśmy po każdym występie, chociaż subtelne tańce miejscowych ślicznotek, podobnych do elfów i wrózek, wywoływały u mnie ostre poczucie niedowartościowania, a demonstracje siły i umiejętności chwackich młodzieńców powodowały, że dusiła mnie zawiść wobec tych, do których owi młodzieńcy się uśmiechają w czasie wolnym od nauki.

W końcu nagromadzone we mnie uczucia zaczęły domagać się ujścia.

— Otto — wyszeptałam ze złością. — Dlaczego to nie my występujemy dzisiaj na tej scenie?

— Hm... — Półkrasnolud podrapał się w kosmatą brodę. — Pewnie dlatego, że nam daleko do tych wzorcowych profesorskich ulubieńców.

— O czym ty mówisz? Popatrz na nią. — Wskazałam brodą w stronę sceny. — Przecież to Frolla. Ma dwie szare komórki, które szukają się wzajemnie wewnątrz jej czaszki. Jaka tam z niej ulubienica?



— Medium rozum nie jest potrzebny. Starczy, że powtarzają to, co im duch mówi. Za to popatrz na ten uśmiech! Na figurę! Oczywiście twoja podoba mi się bardziej, jesteś taka apetyczna!

Zdławiwszy w sobie nienawiść do własnego łakomstwa, zapytałam;

— A więc, jeśli porównać mnie, utalentowaną i inteligentną, z tą tępą wychudzoną laleczką to ona jest lepsza?

— W czymś ją na pewno przewyższasz — mruknął półkrasnolud kpiąco. — W skromności.

Nadęłam się i przez resztę koncertu oddawałam się rozpaczcy z powodu swojego wyglądu.

— Nie martw się — powiedział Otto. — Chodźmy lepiej na piwo. Po dwóch kufkach świat się zrobi jaśniejszy.

Westchnęłam. Jakie tam „jaśniejszy”!

Wakcje spędziłam w domu, gdzie starałam się najeść na zapas maminych smakołyków, nim przejdę na zwykłą dietę studencką: w dni tłuste kiełbasa i piwo, a w chude — kompot, kasza i suchary. Dlatego też po powrocie odkryłam, że pozostawiona w akademiku garderoba jest dla mnie przyciasna. Komplementary przyjaciela półkrasnoluda też raczej nie były pocieszające. Od dwóch tygodni miałam zadyszkę, kiedy wciągałam na drugie piętro swoje utuczone cielsko. Rozpaczliwie chciałam powrócić do poprzedniego stanu średniej tuszy, ale rozciągnięty żołądek domagał się jedzenia i nie potrafiłam mu odmówić.

— Oła, Otto, cześć! Tak dawno was nie widziałam. — Z gracją podpłynęła do nas Tomna, pierwsza spośród uniwersyteckich elegantek. — Taka jestem ostatnio zajęta — to przygotowanie do koncertu, to pokaz mody. A co tam u was?

— Jakoś leci — powiedziałam, oglądając Tomnę. Jej chudziutka figurka teraz stała się jeszcze chudsza.

— A ciebie co, w orczych kamieniołomach trzymali? — Otto wypowiedział głośno moje myśli. — Mówią, że tam w ogóle nie karmią.

Tomna zadarła nosek.

— Tak też myślałam, że nie zrozumiesz. W tym sezonie popularne są bardzo szczupłe figury. Trzeba podążać za modą.

— A co, król ma nową kochankę elfkę? — zapytałam.

— Nie, wróżkę. Dwa tygodnie temu byłam w stolicy i widziałam — powiedziała elegantka dumnie.

Wróżki — filigranowe, niemalże bezcielesne istoty, posiadające skrzydełka, podobne do skrzydeł ważek, znawcy uważali za bardzo pociągające seksualnie. Może dlatego, że w ludzkich siedzibach wróżki pojawiały się bardzo rzadko, a może dlatego, że owi znawcy byli zwykle mizernymi wymoczkami.

— Nawiasem — Tomna obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem — wydaje mi się, że bardzo utyłaś.

Przemilczałam to.

— Nie chcesz spróbować nowej diety? — zapaliła się Tomna.

Pokręciłam głowa odmownie.

— Ona nie wytrzyma diety — odpowiedział za mnie Otto. — Łatwiej jej rozpaczać i pożerać przy tym kilogramy pączków.

Westchnęłam, pożegnałam się z Tomną i powlokłam w stronę wyjścia.

— Ola?

Opierając się na dotychczasowych doświadczeniach, kiedy Irga pojawiał się w moim życiu, czekały mnie nie najlepsze dni. Dzięki ci, losie, jesteś dziś wyjątkowo dla mnie dobry...

— No co?

— Dawno się nie widzieliśmy. Chciałem się przywitać.

— Nie jest w nastroju — powiadomił Irgę mój osobisty sekretarz. — Przeżywa z powodu nadmiarowych kilogramów. A do tego jeszcze spotkaliśmy Tomnę. Widziałeś, jaka się zgrabna zrobiła? Tak więc, Irga, nie radzę Oli podchodzić pod rękę.

— Nadmiarowych kilogramów? — Nekromanta obejrzał mnie i powiedział, wzruszając ramionami: — Mnie się podoba. Kładziesz się takiej kobiecie na brzuchu i śpisz jak na puchowej poduszce, kołyszany miarowym burczeniem trawionych kalorii. Z kolei w razie głodu można jej długo nie karmić. Jeden feler, jak umrze od otyłości, to ciężko będzie przetransportować trumnę na cmentarz. Trzeba będzie wynająć dodatkowych tragarzy. I zamawiać większą trumnę. I większy grób ko...

Zrobiło mi się okropnie żal samej siebie i uciekłam, żeby nikt nie widział moich łez żalu i złości na samą siebie.

Pochlipawszy do woli, odnalazłam w akademiku Tomnę i wzięłam od niej przepis na nową dietę.

— Co ty robisz? — zapytał Otto, kiedy jak zwykle zaszedł do mnie

bez uprzedzenia.

— Wyprawiam w ostatnią drogę swoje zapasy na czarną godzinę — odpowiedziałam, ładując do płóciennej torby paczkę herbatników.

Półkrasnlud ocenił rozmach siły destrukcji.

— A po co rozbebeszałaś łóżko? — Otto, położywszy materac na miejsce, próbował odszukać prześcieradło.

— Pod poduszką miałam pierniki, a pod materacem elfickie słodycze.

— Postanowiłaś przejść na dietę? Poważnie? Coś się stało?

— Tak. Nie chcę być dla nikogo poduszką. Bo jeszcze trzeba będzie wydawać pieniądze na tragarzy i trumnę.

— Nie myślałem, że między wami jest aż tak poważnie, aż do grobowej deski...

— Nie mówię o Irdze! — wrzasnęłam, wpychając do pełnej torby ostatnie pokuszenie — tabliczkę czekolady.

— No tak, jasne, jakże mogłem tak pomyśleć — wymamrotał Otto.  
— A co zamierzasz zrobić z tą torbą?

— Oddam biednym.

— Ja jestem biedny! — oznajmił właściciel całkiem dobrze prosperującego przedsiębiorstwa wyrobów spirytusowych. — Ja to zjem. U nas, krasnoludów, korpulentność jest uważana za zaletę. Powiedz o tej diecie.

— Krótka: sok, sałatki i kiełki.

— Piwa nie wolno?

— Nie.

— A kiełbasę?

— Nieee.

— Cukierki?

— Neeeeee...

— Bułeczki?

— Nie. Długo mnie jeszcze będziesz torturować?

— Po prostu jestem ciekaw, jak prędko oszalejesz z głodu i chcę przedsięwziąć odpowiednie kroki.

— Jakie?

— Uprzedzić Lirę i zacząć pić środek uspokajający. Twój charakter w stanie permanentnego głodu... Ja nie jestem świętym męczennikiem.

— Jaki znowu święty męczennik?

— Nie wiem. Pewnie taki, co się męczył, męczył, aż w końcu umarł. A potem został świętym.

— Lira przyjeżdża dopiero za trzy tygodnie — powiedziałam. — Tak więc będziesz musiał pocierpieć w pojedynkę. Za to, że napuściłeś na mnie Irgę.

— Ja napuściłem? — oburzył się Otto. — Ja napuściłem?! A to za mną on biega jak piesek na smyczy, tak? To ja mu się tak podobam, że gotów jest...

— Tak, tak, wiem. Gotów jest nająć dodatkowych tragarzy.

Otto szarpnął się za brodę, odebrał mi torbę z łakociami i poszedł.

Dwa dni diety przeszły jako tako. Za to potem zauważyłam u siebie jedzeniowe halucynacje. A to pieczony kurczak machał do mnie skrzydełkiem zza węgła, a to przefrunęły obok trzy tłuściutkie kielbaski... Kufle piwa zwidywały mi się na każdym parapecie. Mierzenie obwodu talii przed lustrem nie przyniosło żadnej pociechy — widocznie dwa dni to jeszcze nie ten okres, podczas którego zbędne centymetry tają, niczym śnieg na słońcu.

Po kolejnych dwóch dniach przyśniła mi się tabliczka czekolady, przytulona do pączka. Śmiercionośne dla szczupłej talii produkty zawodziły unisono: Dla kogo nas opuściłaś!!! Rano pod drzwiami znalazłam prezent — książkę „Magowie — asceci”. Metodyczne darcie każdej stronicy na kawałki wydatnie poprawiło mi humor.

Wieczorem Otto znalazł mnie w audytorium, posępnie wpatrzoną w niewielką marchewkę — mającą stanowić moją dzisiejszą kolację.

— Dlaczego tu siedzisz? Wszyscy już dawno poszli do domu.

— W akademiku takie zapachy idą z kuchni, że mam ochotę kogoś zamordować.

— Ile ci zostało do końca tej diety?

— Póki nie zapnę spódnicy. Na razie zatrzymuje się pośrodku bioder.

Otto westchnął z takim smutkiem, że przestałam hipnotyzować warzywo i przeniosłam wzrok na niego.

— Co jest?

— Postawiłem na ciebie złocisza. Stawki na razie są pięć do jednego.

— Jakie stawki?

— Ludziska stawiają przede wszystkim na to, że nie wytrzymasz i kupisz sobie nowe ciuchy. A ja, doceń mój heroizm!, ja postawiłem na ciebie! Na twoją siłę woli.

— Jakie, mówisz, stawki? He-he, kiedy kończy się u nas partia porzeczkówki? Postaw cały zysk na mnie! Mam nadzieję, że nie jesteś bukmacherem?

— Nie, to Riak zorganizował, twój ulubiony wróg. — Otto zatarł rękę.

Marchewka wydała mi się słodka jak cukier.

— Szkoda, że nie mogę postawić na ciebie wszystkich pieniędzy — posmutniał półkrasnolud. — Pożyczysz mi?

— A na co ci się rozeszły?

— Chcę iść na striptiz, a wstęp sporo kosztuje — powiedział Otto.

— Jaki striptiz?

— Wszyscy o tym mówią, dziwię się, że nie słyszałaś. Klub „Ostra Strzałka” się szarpnął i zaprosił najpopularniejszą striptizerkę ze stolicy, z niesamowitym widowiskiem. Będzie za dwa tygodnie.

— „Ostra Strzałka”? To ten elficki klub na peryferiach? Podobno bardzo modny. I kto idzie?

— Większość starszorocznych. Ja, Irga i Trochim już zamówiliśmy stolik.

— Ja będę czwarta. Ile mam się dołożyć?

— Ola, striptiz to nie jest kobieca sprawa. To znaczy, nie, kobieca, ale jakby nie patrzeć... W ogóle to po co ci to?

— Chcę się podszkolić, a potem jak zaprezentuję swoją odchudzoną figurę w „Pij Więcej!”... — Marzycielsko przymknęłam oczy.

— Beze mnie! — Otto przywrócił mnie do rzeczywistości. — Nie mam zamiaru podczas tej prezentacji odciągać od ciebie stada pijanych trolli! Żebyś wiedziała!

\*

— Nasi sponsorzy uznali, że należy was rozwijać kulturalnie! — Czwartoroczni sennie słuchali wypowiedzi rektora. — I kierownictwo uniwersytetu zgodziło się na to. — Rektor zrobił pauzę, by do studentów dotarła w całej pełni powaga tej chwili.

— Jakie my mamy troskliwe kierownictwo — wyburczałam. Śniadaniowa połówka grejpfruta utrzymywała mnie w złośliwym

nastroju.

W ciszy audytorium moje słowa zabrzmiały niczym uderzenie dzwonu o północy.

— Kto to powiedział? — ocknął się rektor.

— Olgierdo, miło nam, że pani nas tak wysoko ceni — zaskrzyphiał dziekan.

Rozpoznał! Na drugi raz nie siadać tak blisko „wierchuszki”!

— Olgierda? Proszę wstać — powiedział rektor.

Wśród studentów rozpoczęło się nieznaczne poruszenie. Nudny wykład o kulturze przeistaczał się w coś bardziej rozrywkowego, więc co bardziej przytomni już szturchali śpiących.

Wstałam czując się jak grzesznica na przyjęciu u złego demona Sukina.

— Olgierdo. — Rektor uśmiechał się po ojcowsku. — Kiedy ostatnio uczestniczyła pani w jakiejś imprezie kulturalnej?

Czy picie samogonu z trzema krasnoludami liczy się jako impreza kulturalna?

— Nie pamiętam, panie rektorze.

— A kiedy pani planuje?

— Za dwa tygodnie — zachichotał ktoś z rzędów zajętych przez praktyków.

— Co będzie za dwa tygodnie? — zapytał rektor szeptem.

— Przyjeżdża striptizerka ze stolicy — odpowiedział nekromanta Partyk. Stary piernik, pewnie sam się tam wybiera!

Ojcowski uśmiech rektora natychmiast zbladł.

— Zamierza pani iść na striptiz?

— Tak — odpowiedziałam żalonym tonem. — To impreza kulturalna. Będzie muzyka, taniec...

Ludzie w sali zarzeli jak stado koni. Otto, parszając w brodę, uściskał mi rękę w geście dodającym otuchy.

— Do czego to doszło! Co za brak gustu! — wykręcił się rektor z niezręcznej sytuacji. — Już nawet studentki uważają striptiz za wydarzenie kulturalne!

Usiadłam, czerwona jak rak. Dwie minuty stania przed obliczem zarządu uniwersytetu spaliło mi więcej kalorii, niż tygodniowa głodówka.

— Pan! — wrzasnął rektor, wskazując na jakiegoś biednego studenta. — W jakim pan był muzeum?

Student wykonał rozpaczliwą pracę umysłową, po czym odpowiedział:

— W anatomicznym.

— Chodził oglądać gołe baby! — rozległ się krzyk z rzędów nekromantów.

Teraz śmiali się również wykładowcy.

Rektor wpadł w gniew, co spowodowało, że już całkiem utracił wszelkie podobieństwo do dobrego tatusia i wyglądał bardziej jak troll cierpiący na kaca.

— Wszyscy studenci z czwartego roku idą w przyszłym tygodniu do muzeum, a potem do teatru. A jeśli kogoś zobaczę na striptizie, może się uważać za wyrzuconego z uczelni! Rozejść się!

— Czyli pan pójdzie na striptiz? To trzeba przecież jakoś skontrolować — zamruczał ktoś w tłumie i studenci czwartego roku Uniwersytetu Nauk Magicznych opuścili wykład o rozwoju kulturalnym zgięci w pół ze śmiechu.

\*

Trochim wszedł do „Pij Więcej!” z miną wyrażającą głęboką rozpacz. Bez słowa usiadł przy naszym stoliku i zapatrzył gdzieś w przestrzeń.

Otto spojrzał na mnie, pytając unosząc brwi. Wzruszyłam ramionami. Trochim wszędzie miał swoje źródła informacji, dlatego czekaliśmy na złe nowiny.

— No, starczy tego, jesteśmy już nasiąknięci depresją jak gąbki. Wypij. — Półkrasnod podsunął Trochimowi kufel z piwem.

— Przyjaciele moi, wszystko przepadło — rzekł Trochim tragicznym tonem, osuszony kufel dwoma potężnymi łykami. — Żaden ze studentów nie dostanie się na striptiz.

Studenci przy sąsiednim stoliku usłyszeli to i podniosła się wrzawa. Odczekawszy, aż w knajpce się uspokoi, Trochim oznajmił dramatycznie:

— Rektor naniósł linię graniczną dokoła „Ostrej Strzałki”. Żaden ze studentów, nawet zaocznych, nie da rady jej przekroczyć. Linia po prostu go odrzuci na parę metrów.

Obecni jęknęli. Każdy mag nosił na swojej aurze pieczęć — swego rodzaju legitymację. I dokładnie ze studencką pieczęcią rektor związał

linię demarkacyjną. Do klubu obecnie można było trafić tylko dwoma sposobami: złamawszy zaklęcie arcy maga pierwszego stopnia, członka rzeczywistego Akademii Nauk Magicznych, et cetera, et cetera, albo oficjalnie zrezygnować ze studiów.

— Właściciel „Strzałki” wystosował notę protestacyjną, ale kto go tam będzie słuchał. Przepadła nasza forsa, pozostaje nam tylko iść do muzeum.

— A my pójdziemy inną drogą — powiedziałam. Przez miniony tydzień dwa razy dziennie po pół godziny biegałam w akademiku po schodach, w dół i w górę. Nadmiarowe kilogramy topniały jak śnieg na wiosnę. Pechowy bukmacher Riak zmierzał ku ruinie, a ja ku nowej spódnicy z elfickiego jedwabiu. Humor miałam wręcz wspaniały. Nie mógł go zepsuć nawet sok, który piłam zamiast piwa.

— Złamiesz zaklęcie rektora? — zapytał Trochim świszczącym szeptem. — Wiem, że jesteś geniuszem magii wykreślnej, ale żeby aż tak? Jak?

Obecni w knajpie ożywili się. Złowiłam oszołomione spojrzenie Ottona i wzruszyłam ramionami.

— Jak? Przecież powiedziałam jak!

Nim wróciliśmy do akademika, całe miasteczko studenckie już wiedziało, że zamierzam dostać się na striptiz. Uśmiechając się tajemniczo, szłam do siebie z dystynkcją królowej. Otto z Trochimem stanowili mój orszak. Kiedy tylko zamknęły się za nami drzwi, Otto powiedział:

— Jeśli to zrobisz, okryjesz się nieśmiertelną sławą byłej studentki.

— Otto, ja oczywiście jestem specjalistką od magii wykreślnej, ale chyba nie sądzisz, że starczy mi sił i wiedzy, żeby przełamać tarczę rektora? Pochlebiasz mi, mój drogi.

— Złotko, co ty zamierzasz zrobić?

— Jutro pójdziemy popatrzeć, co tam nasze kierownictwo postawiło — powiedziałam, wyciągając z szafy książki. — Otto, potrzebna mi twoja pomoc. Weźmiesz sprzęt. A teraz mi nie przeszkadzajcie, muszę pomyśleć.

— Jedno pytanie — odezwał się Trochim. — Jeżeli jednak dostaniemy się na striptiz, to może warto wziąć ze sobą innych? Za osobną opłatą?



Zawahałam się. Półkrasnoludowi chciwie zabłyśły oczy. Do jedwabnej spódnicy z powodzeniem mogłabym dodać również bluzkę.

— Mama mi mówiła, że nadmierna zachłanność jest szkodliwa — westchnęłam. — Mam rację, Otto?

Mój przyjaciel się zawahał, ale skinął głową potakująco.

Nieco później, w budynku uniwersyteckim złapał mnie Bef.

— W jaką awanturę masz zamiar wplątać się tym razem? — zapytał. Zrobiłam minę pod tytułem „wzorowa uczennica”.

— Jak się narazicie rektorowi, ja nie będę was wyciągał z kłopotów — uprzedził mnie opiekun. — Jak zamierzasz złamać jego zaklęcie?

— Nijak — przyznałam się. — Zamierzam je obejść.

Bef się uśmiechnął.

— Twoje wypracowanie o kierowaniu potoku energii magicznej ma być gotowa najpóźniej na poniedziałek.

Skinął mi głową i odszedł, pozostawiając mnie w niepewności: popiera moje zamiary czy nie?

\*

Kreślenie pentagramu naprzeciw „Ostrej Strzałki” przerwało mi pojawienie się nekromanty.

— Czeeeeść — zaśpiewał mi nad uchem. — Nie rozumiem, po co ci ten striptiz. Istnieją mniej pracochłonne sposoby, żeby wylecieć z uczelni.

— Twój pojedynczy zwój mózgowy, ze strzałką nastawioną na najbliższy cmentarz, nie jest w stanie pojąć pragnień kobiety — powiedziałam, nie odrywając się od kreślenia.

— Dlaczego mnie obrażasz? — zapytał Irga spokojnie. — Chcesz podyskutować, kto z nas jest mądrzejszy? Czy kto silniejszy magicznie? Tego chcesz?

Aha, już lecę. Po co wdawać się w słowny pojedynek, który na pewno przegram? Całkiem jakby jakiś zły duch mnie ciągnął za język, kiedy ten zadowolony z siebie osobnik jest obok. Ale jak mu to wyjaśnić? Szkoda wysiłku.

— Jej po prostu potrzebna jest silna męska ręka, a zrobi się potulna jak owieczka. Pokaz jej, kto tu rządzi — „pomógł” mi Otto. Miałam ochotę w niego czymś rzucić, ale szkoda mi było psuć przybory.

— Ktoś się tu naraża — powiedziałam, kończąc wykres.

No i co my tu mamy? Linia wykreślona przez rektora, zabłysła błękitnym światłem. Aha, zwyczajnie obrysował dokoła (dosyć krzywo) budynek klubu. Doskonale!

— Mógłby poprosić o wykreślenie okręgu któregoś z krasnoludów — burknął Otto. — Ja bym się nie skompromitował czymś takim. I to jeszcze rektor!

— Nie czepiaj się — powiedziałam. — Pozbierajmy narzędzia. Już zobaczyłam to, co chciałam. Teraz pójdziemy do naszej knajpki omówić co dalej.

— Otto, bądź tak dobry, pozbieraj linijki sam. Ja muszę porozmawiać z Olą — oznajmił Irga.

Półkrasnolud skwapliwie posłuchał. Zdrajca.

— Ja nie rozumiem pragnień kobiet? — zapytał mnie Irga, podchodząc powoli. — Ty RZECZYWIŚCIE tak uważasz?

Cofałam się, gorączkowo próbując wymyślić jakąś odpowiedź.

— Ola... — Niski głos z czającym się gdzieś w głębi pomrukiem sprawił, że zadrżały mi kolana. — Pomówmy o pragnieniach.

Pokręciłam głową, nadal się cofając.

— Dlaczego przede mną uciekasz?

Ściana. Dlaczego tutaj tak ciasno stawiają domy?! Irga podszedł tak blisko, że mogłam poczuć jego zapach — nieco cierpki, ostry zapach silnego, zdrowego mężczyzny. Jego ubranie pachniało trawą. Pewnie znów wylegiwał się gdzieś na polance, z rękami pod głową i marzycielsko zagapiony w niebo.

— Ola... — Patrzyłam teraz na jego cienkie wargi. — Ja nie potrafię odgadnąć pragnień kobiety? — Nekromanta odsunął kosmyk włosów, który opadł mi na policzek, przesunął szczupłym palcem po uchu i szyi. Poczułam gorąco w dole brzucha. Mimowolnie zmrużyłam oczy. Gdyby nie ściana, w którą próbowałam się wcisnąć, na pewno bym upadła.

— Kobiece pragnienia to materia delikatna — szeptał mi Irga na ucho. Jego oddech łaskotał zakończenia nerwowe, co sprawiało, że po całym ciele przebiegały mi ciepłe fale. — W tej chwili chce jednego, w następnej — czegoś całkiem innego. Wiesz, jak określać pragnienia? Trzeba patrzeć człowiekowi w oczy.

Nekromanta przebiegł palcami po mojej ręce od nadgarstka do łokcia. Całe moje ciało pokryło się mrówkami.

— Otwórz oczy, moja droga, popatrz na mnie i powiedz, że moja intuicja nie odgadła, czego pragniesz?

Moje wargi zachowywały się, jakby użądliła je osa — napuchły i mrowiły.

— Odczep się ode mnie! — pisnęłam.

— Otwórz oczy i powiedz, że tego chcesz. — Czułam oddech Irgi na swoim policzku.

Bałam się spojrzenia jego błękitnych kpiących oczu. Co wyrażały w tej chwili? Lepiej nie wiedzieć.

Mocno zacisnęłam pięści, co pomogło mi trochę dojść do siebie. „No, koleżanko, wpadłaś w tarapaty” — przemknęło mi przez głowę. Irga dotknął wargami mego policzka i polizał go.

„To się musi skończyć!” — stwierdziłam. Nie miałam zamiaru padać w objęcia człowieka, który miał więcej dziewczyn, niż ja kolczyków w szkatułce. Gwałtownie przykucnęłam, zanurkowałam w bok, zerwałam się i pobiegłam ulicą, leciutko się zataczając.

— Jeszcze nie skończyliśmy! — krzyknął za mną nekromanta.

Otto przyszedł do knajpy, kiedy już zdążyłam osuszyć kufel piwa.

— Ty, ten... on... to znaczy... — zaczął niezbornie.

— Jedno słowo o tym... tym... nekromancie, a wyrwę ci brodę, włos po włosku! — wrzasnęłam.

— Ale ja... Chciałem zapytać... Rzuciłaś dietę? Piwo pijesz.

— Wszystkie stare spódnice już ze mnie spadają. Możesz iść do Riaka po forszę — odparłam. — Trzy tygodnie głodówki! Bieganie o świcie! Zrobiłam to! Teraz mogę się uczyć striptizu.

— A jak się dostaniemy do „Strzałki”?

— Jako kontrabanda. Klub stoi na peryferiach. Głowę dam, że mają tam podziemne przejście. Zresztą, co tu dużo gadać, nawet tutaj jest podziemne przejście.

Otto klepnął się w czoło. Że też nie domyślił się pierwszy!

Całkiem niedawno zaczęliśmy sprowadzać z Gór Beskidzkich żelazinówkę — wódkę, nastawianą na żelazie, najnowszy zdrowotny wynalazek krasnoludów. Dostawy organizował młodszy brat Ottona, któremu handel podobał się znacznie bardziej od machania młotem w kuźni. Jak każdy praworządny (lecz biedny) obywatel, nie płacił państwowej akcyzy, tylko odpalał działkę „komu trzeba” ze straży

miejskiej. Wódka w beczkach trafiała do gospodarza „Pij Więcej!” przez sekretne podziemny tunel. Jako pośrednicy, dostawaliśmy niewielki, ale stały udział.

— Obiecamy właścicielowi „Strzałki” dostawy żelazinówki ze zniżką i wejdziemy na striptiz przez tajemne przejście. Rektor zwyczajnie przeprowadził linię po wierzchu, a pod ziemię ona już nie sięga.

— A to jest tego warte? — zwątpił Otto.

— Tracimy złocista miesięcznie i zyskujemy szacunek ludzi z uniwerku. Sam rozważ.

— Brat będzie zadowolony ze zwiększenia sprzedaży — powiedział Otto po chwili wahania. I z autorytetu i z zysku było mu równie trudno zrezygnować.

\*

Irga czekał na nas za wspólnym stolikiem w „Ostrej Strzałce”.

— A wyście z jakiego grobowca wyleźli? — zdziwił się, oglądając nasze zakurzone i pokryte pajęczynami postacie.

— Szukaliśmy dla ciebie przytulnego miejsca na przyszłość — odgryzłam się.

— Przy okazji, Ola, zapomniałem ci powiedzieć. Ależ schudłaś! Twoich żeber można używać jako tary do prania! — Nekromanta nie pozostał mi dłużny. — Albo oddać do jatki jako kości na zupę.

— Stop! — powiedział Otto. — Jesteśmy na wydarzeniu kulturalnym. Kłócić się możecie na ulicy.

— Jest tu sporo naszych! — Trochim zagwizdał. — Zaraz rozpytam.

— Teleportacja, lewitacja, podkop pod linią graniczną i przełamanie zaklęcia — wyliczył po powrocie.

— Przełamanie? Kim był ten mądrała? — zdziwił się Otto.

— Ja — przyznał się Irga skromnie.

— Ty? Przecież już nie jesteś studentem, więc po co ci to? — zdumiałam się, starając się zdławić atak zawiści o jego zdolności.

— Pieniądze, moja droga, pieniądze. Złamałem ochronę i przez „dziurę” przepuściłem wszystkich chętnych.

— Mogliśmy przejść normalnie, a nie czołgać się i zbierać po drodze pająki — powiedział Trochim, naburmuszony. — Trzeba było iść do Irgi!

— Mogłeś iść! — zezłościłam się i rzuciłam na Ottona. — Wiedziałeś! Wiedziałeś o tym i nic mi nie powiedziałeś! A ja, tak

nawiasem, spódnicę sobie upaprałam!

— Próbowałem — usprawiedliwił się Otto. — Ale ty powiedziałaś, że mi wyrwiesz brodę.

Uśmiech Irgi aż się prosił o przywalenie czymś ciężkim. Odwróciłam się i zaczęłam patrzeć na scenę. Spojrzenie błękitnych oczu paliło mi tył głowy.

Nareszcie zagrała muzyka, widzowie zaczęli gwizdać i klaskać. Pojawiła się tancerka.

— Co?!! — zawyłam. — Przecież ona jest gruba!!!

Sąsiedzi zasyczeli na mnie, a Otto siłą posadził z powrotem na krześle.

Przez całą drogę powrotną do domu milczałam, wstrząśnięta. Trzy tygodnie na marchewce, grejpfrutach, kiełkach i soku! Wyczerpujące biegi po schodach! I po co to wszystko? Żeby zobaczyć jak na scenie przy akompaniamencie zachwyconych okrzyków rozbiera się baba trzy razy grubsza ode mnie? Obiektywnie rzecz biorąc, widowisko było warte zapłaconych pieniędzy: piękne, feeryczne i niezwykle barwne. Możliwe, że nawet podniecające — chłopcy dokoła mnie niemalże się ślinili. Chociaż Irga, zdaje się, zmieniał drwiący wyraz twarzy tylko wtedy, kiedy chciał się napić piwa.

— To dopiero kobieta, to kobieta... — mamrotał obok Otto, kiedy szliśmy w stronę akademików. — Tak bym wziął, tak bym objął...

— Zamknij się, dobra?

— Ciii, Ola, nie bądź zazdrosna!

— Nie bądź zazdrosna! Ktoś tu mówił o najmowaniu dodatkowych tragarzy do niesienia trumny. A sam mało się na scenę nie rzucał!

Nekromanta się uśmiechnął.

— Wcale tak na nią nie reagowałem, doskonale o tym wiesz.

— Niby dlaczego? — zakipiałam.

— Dlatego, że przez cały wieczór nie spuszczałaś ze mnie oczu.

— Nawet nie spojrzałam! Akurat miałabym na co!

— Mam pomysł. — Trochim oderwał się od przeżywania striptizu. — Zróbmy zakłady: jak szybko się pozabijacie po ślubie. I kto zabije kogo.

— Oczywiście, że ja jego — oświadczyłam stanowczo. — Co?! Nie, nie to chciałam powiedzieć! Nigdy nie wyjdę za Irgę!

— A tak nawiasem, wcale tego nie proponowałem — odrzekł nekromanta.

— No i nie trzeba.

— No i nie będę. Niepotrzebne mi w domu gnaty. Kobieta powinna być jak bułeczka, apetyczna.

— Właśnie. — Otto się oblizał. — Jak bułeczka. Żeby tu pomacać, i tam pomacać... taka ciepłutka, mięciutka... A sterczące żebra zostawiamy królom. I różnym zboczeńcom.

— Policzki z dołeczkami — poparł go Trochim. — Krągły brzuszek... Poczułam się oszukana.

— A dlaczego, kiedy byłam na diecie, nikt nic takiego mi nie powiedział?

— No, miałaś niedużą nadwagę, było ci ciężko — usprawiedliwił się Otto. — A potem...

— A potem uznaliśmy, że samoudręczenie to prywatna sprawa każdego człowieka — mruknął nekromanta.

— Irga powiedział, że może ty lubisz się męczyć w imię wyższych celów — rzekł Otto. — Nawet chciał ci podarować...

— Pejcz. Bardzo ładny i drogi — powiedział znawca kobiecych pragnień. — Wszystko powinno być piękne.

— Namówiłem go, żeby dał spokój — pochwalił się Otto.

Miałam ochotę zabić ich obu na miejscu, ale tylko powiedziałam:

— Chodźmy zjeść jakieś parówki. A pejczyk sobie życzę — tylko drogi i z naturalnej skóry. Przyda mi się do wychowywania niektórych osób.

— Konwencja praw mniejszości rasowych... — zaczął Otto.

— Uspokój się. — Irga klepnął go po ramieniu. — Nic ci nie grozi. Ola ma po prostu erotyczne fantazje.

Myślałam gorączkowo, co by tu odpowiedzieć, żeby mu w pięty poszło, ale nic mądrego mi nie przychodziło do głowy. Widocznie z powodu niedożywienia.

— Jesteś ładna w każdej postaci — powiedział Trochim, by załagodzić sytuację i przerwać tę bezsensowną rozmowę. — Lepiej chodźmy coś zjeść, dobra?

## Rozdział 14. Nikomu niepotrzebna?

Obrzydliwa pogoda, z uporem utrzymująca się od początku jesieni, z początkiem zimy zmieniła się na bardzo obrzydliwą. Zamiast puszystego śniegu wypluwało niekończące się porcje deszczu wymieszanego z gradem. Wiatr radośnie strząsał z drzew lodowate prysznice na wszystkich przechodzących. Woda zastygała na ziemi w cieniutką warstwę lodu, gwarantującą każdemu przechodniowi bezpłatny trening utrzymywania równowagi.

Na terenie miasteczka studenckiego było szczególnie ohydnie. Wykładowcy, uśmiechając się po ojcowsku, oznajmili, że „jeśli komuś nie podoba się pogoda, może ją sobie zmienić”. Czy marni zaklinacze nie przewidzieli gigantycznej powodzi magii i przecinania się linii energetycznych na tym obszarze, czy może czyjeś zaklęcie splotło się z pogodowym — w każdym razie rezultat był przerażający. Huraganowy wicher to chłostał twarz, to pchał w plecy, a deszczu nie potrafiły zatrzymać nawet zachwalane elfickie płaszcze nieprzemakalne. Z gołoledzią, pokrywającą wszystkie dróżki jednolitą warstwą, walczyli wszyscy, lecz na razie bez powodzenia.

Wlokłam się smętnie po lodzie ciężką torbę, przytrzymując się jedną ręką dekoracyjnego płotka. Byłam przygnębiona — wracałam właśnie z rodzinnego domu, gdzie zdecydowałam się pojechać w odwiedzin, nie przemyślawszy należycie tego kroku. Rodzina bardzo się ucieszyła na mój widok i natychmiast zalała mnie potopem plotek. A kiedy plotki się skończyły, starsi krewni zaczęli mnie pouczać, jak mam żyć — oczywiście wyłącznie dla mojego dobra. Tyle że pojęcie owego dobra mieliśmy całkowicie różne. W życiowych pouczeniach przodowała babcia. Pod wpływem jej gorzkich, łzawych przepowiedni o moim ciężkim losie starej panny miałam ochotę schować się w piwnicy, zakopując w stercie ziemniaków. Niestety, tam z kolei siedział dziadek, przebierający zimowe zapasy warzyw. On nie mówił niczego, za to bardzo ciężko i głośno wzdychał.

Mama wspierała babcię. Moja rodzicielka, mieszając zupełnie, nieustannie rozprawiała o tym, jak cudownie ułożyło się życie moim

byłam szkolnym koleżankom. Że już zameżne. Że dzieci porodziły, niektóre nawet już dwoje. I jak pomyślnie robią karierę w zawodzie więdźmy — nawet bez wyższego wykształcenia. I jakie są przeokropnie szczęśliwe.

— Nie wiem, za co na mnie spadło takie pokaranie — perorowała mama, podczas gdy ja obok kroiałam jarzyny na sałatkę. — Wszyscy mają normalne dzieci, tylko mnie się nie poszczęściło.

— Mamo! — zajęczałam, wściekle operując nożem. — Przecież cię nie biję, jak syn sąsiadki z prawej strony. Ani nie żyję z elfem, który mnie uzależnił od ziół narkotycznych, jak córka sąsiadki z lewej!

— Oni są normalni! — oznajmiła mama twardo. — No owszem, mają swoje wady, ale przynajmniej są tutaj, przy rodzicach, jako pomoc i oparcie.

Prychnęłam sceptycznie.

— Aha, czyli ja jestem nienormalna? Może w takim razie powinnam urządzić tutaj awanturę, albo orgię? Dlaczego by nie, w pierwszym z brzegu domu na pewno mnie radośnie poprą.

— Coś ty się gadatliwa strasznie zrobiłaś! Nie pyskuj matce! — Mamusia znalazła „odpowiedni” argument. Zamilkła na sekundę, a potem zaczęła od nowa: — Przecież jesteś najstarsza. Powinnaś mi pomagać wychowywać młodsze siostry. Jesteś za nie odpowiedzialna.

— Pomagam — wymamrotałam. — Wyjechałam i nie daję im złęgo przykładu.

— A wychowywać...

— Mamo, to są przecież twoje dzieci, nie moje — próbowałam protestować.

— Jesteś niewdzięczna. Robimy dla ciebie wszystko, a ty...

Tata działał inaczej. Prowadził ze mną długie rozmowy o mojej przyszłości, podkreślając, że pragnie błyskotliwej kariery dla swojej pierworodnej, która oczywiście go nie rozczaruje. Pierworodna tymczasem liczyła godziny do odjazdu dylizansu.

Teraz po oblodzonych kałużach taszczyłam torbę z wałówką („Jak ty schudłaś, dziecko!”) oraz kompleks niższości razem z żalobą po bezpowrotnie zmarnowanym życiu.

Pokój w internacie przywitał mnie pustką i chłodem. Lira najwidoczniej wybrała się na kolejną eskapadę — roboczą albo miłosną.



Moje marzenia o gorącej herbacie ziołowej z zaklęciem na przeziębienie upadły z hukiem, jak również ulubiona filiżanka, którą przypadkowo straciłam łokciem ze stołu.

Nie chciało mi się iść do Ottona, więc umościłam się pod ciepłym kocem, popłakałam trochę i zasnęłam.

Rano okazało się, że zasnęłam na wykłady, drapie mnie w gardle, Otto nie przyszedł sprawdzić co się ze mną dzieje, a moja przyjaciółka śpi snem sprawiedliwym, po zjedzeniu połowy zapasu domowych pierożków. Zazwyczaj oczywiście dzieliliśmy wszystkie produkty na pół, ale teraz zrobiło mi się tak szkoda, że znowu zalałam się łzami.

Na zajęciach okazało się, że kolokwium z magii wykreślnej napisałam okropnie. Bef zafundował mi natchniony wykład o lenistwie (moim), nieodpowiednim stosunku do przyszłości (też mojej), o cierpliwości i tolerancji (jego).

Na kursie z magii rzemieślniczej, na który uczęszczałam z powodu nacisków rodziny Ottona, też nie czekało mnie nic dobrego. Doprowadzony do rozpaczę moją niezdarnością profesor Swingdar zakrzyknął:

— Na Młot i Kowadło! Jak możesz być tak nierozgarnięta?!

I w ten sposób ostatecznie pogrążyłam się w czarnej otchłani rozpaczę i litości nad sobą.

Wisienką na torcie w tym koszmarnym dniu był upadek po drodze do akademika. Prawie się nie zdziwiłam, odkrywszy dziurę w spódnicy — padając, zaczepiłam ubraniem o krzak.

Otto się nie pojawił, a Lira nie wróciła na noc.

Leżałam w łóżku i rozmyślałam o swoim życiu. A im więcej rozmyślałam, tym mroczniejsze i beznadziejne mi się wydawało. Bezsensowne. Nieprawidłowe. A co najważniejsze — zupełnie nikomu niepotrzebne.

— Umrę — postanowiłam w końcu. — I wtedy zobaczycie! Przekonacie się, jak mnie kochaliście. Będziecie żałować, ale będzie już za późno!

Im dłużej nad tym myślałam, tym śmierć wydawała się bardziej kusząca. Zasnęłam, wyobrażając sobie, jak pięknie będę wyglądała w trumnie.

Rano zrobiłam rewizję w szafie. Okazało się, że pochówek,

odmalowany przez wyobraźnię, nie może się na razie odbyć, z powodu braku stroju odpowiedniego dla tak uroczystej chwili. Wyciągnęłam pieniądze z pudełka i poszłam w kurs po sklepach. Na głównej ulicy, denerwującej czystością i piękną pogodą, zderzyłam się z Ottonem.

— Ola! — ucieszył się. — Jak podróż?

Otworzyłam usta, ale nie zdążyłam nic powiedzieć.

— Normalnie? To fajnie. Jak sprawy? A, widzę, że na zakupy? Coś ty taka ponura? Nie wydawaj za dużo. Dobra, miło było cię widzieć, muszę już lecieć.

— Fatalnie — powiedziałam w stronę jego oddalających się pleców.

Nawet najlepszego przyjaciela zupełnie nie obchodzę! Dobra, dobra, umrę i jeszcze będziesz płakać. Jaki zajęty, patrzcie go. Ja tu zamierzam umrzeć, a on...

Zakupy trwały bardzo długo. Sprzedawczynie prawdopodobnie uznały, że przygotowuję się do nocy poślubnej. W każdej sukience kładłam się na ustawionych w rząd krzesłach i pytałam:

— I jak to wygląda? Podkreśla biust? Brzucha nie widać?

Z pantoflami do kompletu miałam trudności. Piękne elfickie pantofle, owszem, pasowały pod kolor sukni, ale nie miałam ochoty wydawać na nie pięciu złociszy.

— Są nie do znośnienia — namawiała mnie sprzedawczynie. — Tanio je sprzedajemy, bo już po sezonie. Jeszcze niedawno kosztowały dziesięć.

— Dziesięć! — przeraziłam się.

— Elficka jakość. Prawdziwy Versaczel! Proszę zobaczyć, jaka miękka skóra. Zakłęcia przeciwodciskowe. Panienska popatrzy, jaki zgrabny obcasik, mówię pani, że są nie do zdarcia!

— Wezmę za trzy.

— Przecież pani w nich ze trzy lata pochodzi! Za cztery.

— Za trzy i ćwierć.

— Na każdą okazję. I na spacer z kawalerem, i do pracy.

— Trzy i ćwiartka to moje ostatnie słowo.

— Ja je i tak sprzedaję po cenie kosztów! Jeszcze pani córki będą je nosić! Trzy i ćwiartka srebrem.

Zasępiłam się. Nie do zdarcia, a jakże... Przecież ja w nich nigdzie nie będę chodzić. Ostatecznie mogę chyba choć na ostatnią drogę włożyć pantofle Versaczel? Oddałam sprzedawczynie trzy złocisze, dodałam

srebro, zdławiwszy skąpstwo i poszłam do domu. A teraz będę umierać.

Ludzie przyjdą, a ja leżę. Tak piękna. No tak, a na suficie pajęczyna, na szafce nocnej brudna filiżanka po herbacie, kawałek pierożka pod stołem... Nikt nie będzie żałował mego młodego utraconego życia, tylko gapił się po kątach na bałagan.

Resztę dnia spędziłam na sprzątaniu pokoju. I tak się zmęczyłam, że padłam na łóżko i zasnęłam w ubraniu.

Skoro los podarował mi jeszcze jeden dzień, należało go zużytkować na przygotowania do pięknej śmierci. Poszłam więc kupić kwiaty. W kwiaciarni jednak czekała mnie przykra niespodzianka.

— Ile...?!

— Teraz nie lato, panienko. Sprowadzamy kwiaty aż z elfickich lasów.

— Aha, niech pan kłamie dalej. Te dzwonki u nich nie rosną, to wiem na pewno. Są z tutejszych cieplarni.

— Teraz rosną — odparł kwiaciarz bez mrugnięcia okiem. — Za elfami nie trafisz.

Zamyśliłam się. Nie, za taką cenę niech sobie sam umiera w kwiatach. Obejdę się.

Wróciwszy do domu, zaczęłam szykować się na śmierć. Przebrałam się, rozpuściłam włosy i zaczęłam szperać w szafce z medycznymi preparatami Liry. Dawno temu, kiedy dopiero co się wprowadziłam, poprosiłam, żeby popodpisywała słoiczki — nie chciałam się pomylić i przypadkiem wypić coś szkodliwego.

Gdzie to jest...? O!

Wyciągnęłam ciemnozielony flakonik, na którym była krzywo przyklejona karteczka z napisem „Trucizna”. Ile tego wypić? Żeby nie ryzykować — wszystko!

Położyłam się na łóżku, artystycznie rozłożywszy włosy na poduszce i wypięłam całą gorzką zawartość naczynka.

Zamknęłam oczy i przygotowałam się na śmierć.

Najpierw zaburczało mi w żołądku. Potem skręciło kiszki. Zemdliło. Zerwałam się z łóżka i ledwo zdążyłam dopaść do pustej miski na stole. Ale na tym działanie trucizny się nie zakończyło. Musiałam lecieć do toalety na końcu korytarza. Elfickie pantofelki rzeczywiście okazały się dobre — wygodnie się w nich biegło. Gdyby tylko nie skręcało mi tak

wnętrznosci! Oj-ojej!

Do pokoju wróciłam zupełnie wyczerpana. Padłam na łóżko z miską w objęciach.

Lira weszła do pokoju podśpiewując popularny szlagier.

— Ola, co ci się stało? — Rzuciła się do mnie.

Zastękałam.

— Opisz symptomy — zakomenderowała przyjaciółka, kładąc chłodną rękę na moim czole.

Opisałam.

— Zatrucie — oznajmiła Lira profesorskim tonem.

Jakbym sama nie wiedziała!

— Coś ty taka wystrojona? — Uzdrowicielka przy świetle magicznego ognika grzebała w zapasach leków. — Byłaś na potańcówce? Mówiłam ci przecież, żebyś nie jadła byle czego!

— Nie na potańcówce — zaczęłam tragicznym tonem.

— Masz, wypij. — Lira podała mi kubek. — Zasypiam na stojąco. Miłość to jednak strasznie męcząca rzecz!

Przełykając obrzydliwie woniejący roztwór, byłam coraz bardziej zła. Miłość, kurka wodna! Tu człowiek umiera, a ona zakochana! No dobra, umrę i wszyscy będziecie po mnie płakać!

Jestem przesądna. Skoro nie udało się otruć, widocznie nie to było mi pisane. Lira wyszła raniutko, przelotnie tylko sprawdziwszy, czy nie mam gorączki i wymawiając się od pogawędek. Pozostawiona sama sobie, zaczęłam obmyślać nowy sposób samobójstwa. Należy... należy... Podciąć sobie żyły, o!

Na miękkich nogach (wieczorna przygoda dawała jeszcze o sobie znać) powlokłam się do sklepu z bronią, należącego do znajomego krasnoluda.

— Ulrich, daj mi, proszę, najostrzejszy nóż, jaki masz.

— Po co? — zaciekawiał się krasnolud, wydobywając coś krzywego i pordzewiałego.

— Potrzebuję.

— Chcesz kogoś zabić? O, proszę, orczy jatagan, akurat do tego.

— Nie mam nastroju do żartów — powiedziałam. — Potrzebuję bardzo ostrego noża.

— Dobrze, dobrze. — Krasnolud wyciągnął nóż. — Ten może być?

Z mądrą miną rzuciłam na ostrze chusteczkę.

— Nie. Powinien tę chustkę rozciąć.

— Mnie tam nie szkoda, ale tobie nie starczy pieniędzy.

— Starczy, starczy. — Już pogodziłam się z tym, że piękne samobójstwo to przedsięwzięcie nie należące do najtańszych.

— Otto będzie na mnie wściekły — wyburczał Ulrich.

— To nie zdzieraj ze mnie — poradziłam.

— Jakże bym mógł!

Wyszłam ze sklepu z „osą” — ulubionym ostrzem najemnych zabójców. Pomyślałam, że powinnam napisać testament, żeby tak drogocenny nożyk nie dostał się w nieodpowiednie ręce. Tyle problemów z tą śmiercią!

W domu przebrałam się, rozpuściłam włosy i uniosłam nóż nad ręką. Nie, zachłapię krwią całą sukienkę. Przebrałam się w stare ciuchy. Uniosłam nóż nad ręką...

Przeciąć własną skórę okazało się zadaniem zbyt trudnym. Okropnie się boję widoku krwi. Dlatego też włożyłam elegancki strój do torby i poszłam szukać w akademiku kandydata na swojego zabójcę.

— Wlazł! — ryknął Riak w odpowiedzi na moje nieśmiałe pukanie do drzwi.

— Ola? — Wytrzeszczył oczy. — Co jak co, ale ciebie się nie spodziewałem.

— Ale jestem — powiedziałam, rozglądając się.

Stan pokoju sugerował, że Riak tutaj nie sprzątał od momentu, kiedy był pierwszorocznym, a to było wiele lat temu.

— Zabijałeś już? — przeszłam do konkretów.

— No pewnie! Jestem magiem bojowym! — Gospodarz pokoiku wyprostował się dumnie. — A co?

— Zabij mnie. — Wyciągnęłam nóż w jego stronę. — Tylko szybko i bez bólu.

— Coś ty, dziewczyno, ogłupiała? — Riak zamrugnął, oszołomiony.

— Nie, poważnie. A potem przebierzesz mnie w te szmatki, tylko dokładnie. I nie pomył się! Sznurowanie ma być na piersi, a nie na plecach!

Chłopak potrząsnął głową i poprosił:

— Jeszcze raz, tylko powoli.

— Za-bij mnie — powtórzyłam. — A sznurowanie...

— A co na to ten twój nekromanta?

— Żaden „mój”! — zezłościłam się. — Bierz nóż!

— Kiedy on mnie zabije, tylko nie szybko i nie bez bólu!

— On nie ma nic wspólnego z moim życiem. — Szturczałam nożem Riaka w pierś. — No już, zabijaj! Dam ci dwa złocisze.

— A potem mnie ożywi i będzie się znęcał — rozwinął myśl Riak.

— Nic ci nie zrobi. Jemu jest wszystko jedno!

— Ważne nie to, co ty myślisz, a to, co on. — Riak pociągnął mnie do wyjścia.

— Trzy złocisze! Cztery! Dziesięć!

Drzwi zatrzasnęły się przed moim nosem. Kopnęłam je ze złością.

— A tobie co, forsa nie jest potrzebna?

— Potrzebna — odparł Riak ze środka. — Ale spokojne życie o wiele bardziej.

— Nienawidzę was wszystkich! — oznajmiłam i naplułam praktykowi na kłamkę.

Musiałam uznać, że wariant z przecięciem żył okazał się niefortunny. Mnóstwo czasu straciłam na zwrot „osy” Ulrichowi. Chciwy krasnolud nie chciał przyjąć towaru z powrotem, twierdząc, że nóż wygląda „nie tak”.

— Zarżnę — obiecałam. — Jestem teraz w takim stanie, że zarżnę.

— Złożę skargę w gildii płatnerzy! — oświadczył handlarz.

— Skargę? Martwy nie będziesz mógł się nigdzie skarżyć! Oddawaj pieniądze! — Zamierzyłam się nożem.

— Rabują! — pisnął Ulrich, wykładając na ladę monety.

— Dziesięć srebrników brakuje!

— To za szkody moralne. Groziłaś mi. To poważnie zaszkodziło mojemu zdrowiu psychicznemu!

Zrozumiałam, że o te pieniądze krasnolud będzie walczyć do upadłego, więc machnęłam na niego ręką i w mrocznym zdecydowaniu poszłam na rynek.

— Niech mi pan da linkę. Najtrwalszą. I żeby zawiązywała się dobrze w węzeł.

— Dwa srebrniki.

Westchnęłam. Okazuje się, że tanie i dobre rozwiązanie miałam pod

nosem, a straciłam niepotrzebnie tyle czasu (i pieniędzy!).

— Trochę większy sznur, dobrze? I proszę mnie nauczyć zawiązywać pętlę.

— Powiesić się pani chce? — zażartował młody sprzedawca.

— Tak.

Uśmiech chłopaka zbladł.

— Pani poważnie? Ale dlaczego?

— Mam swoje powody.

— Jakie?

— Moje życie jest bez sensu. Nikt mnie nie kocha i nikomu nie jestem potrzebna!

— A może ja panią pokocham? Teraz zaraz, mieszkam tu niedaleko.

Popatrzyłam na subiekta ponuro. Kwestia życia i śmierci, a ten myśli tylko o swojej własnej przyjemności!

— Położę czyste prześcieradła... Pani nie myśli, że ja jestem biedny, skoro sznurkami handluję. Prześcieradła mam elfickie, jedwabne! Z przemytu!

Pokusa powylegiwania się na jedwabnych prześcieradła z kontrabandy była naprawdę wielka. Podobno niezapomniane wrażenia! Złapałam się na tym, że uważnie oglądałam figurę chłopaka od sznurków i z trudem powróciłam do rzeczywistości.

— Nie, dziękuję. Pójdę już.

— Szkoda. Ale skoro tak... Przyda się pani jeszcze stołeczek — powiedział sprzedawca. — O, akurat mam. Odstąpię za dwadzieścia srebrniaczków.

— Kiedy stary i nieładny — oceniłam.

— A po co pani nowy? Do tego celu i taki wystarczy. Najważniejsze, że lekki. Przecież nie będzie się pani wieszać tutaj. I kawałek mydła, za miedziaka. Węzeł będzie się lepiej ślizgał.

Machnęłam ręką i zabrałam taboret oraz mydło.

\*

Ze stołkiem w objęciach szłam brzegiem rzeczki w Gaju Zakochanych. Myśl o tym, że umierać należy pięknie, nie dawała mi spokoju. Chciałam wisieć na brzegu rzeczki, widoczna ze wszystkich stron. I żeby wierzby smutnie szeleściły liśćmi... Stop. Jakie liście? Przecież jest zima. A może odłożyć to do wiosny? Nieee, będzie błoto.

Lepiej teraz. Liści nie ma, więc moje ciało w pięknej sukni będzie doskonale widoczne ze wszystkich stron.

W końcu miałam dość dźwigania stołka, który z każdym krokiem robił się coraz cięższy. I nogi w pantofelkach mi zmarzły. Odpoczęłam troszkę i zaczęłam przywiązywać sznur do gałęzi.

Stary taboret pod nogami trzeszczał złowróżbnie.

„Oj, żebym tylko nie spadła i nie skręciła karku” — pomyślałam.

Wybrałam jedną z grubszych gałęzi, żeby uniknąć niespodzianek, ale umocowanie liny okazało się trudnym zadaniem — w rękawiczkach było niewygodnie, a bez nich palce marzły i sztywniały. W końcu jakoś sobie poradziłam. O, nie! Starannie zawiązana pętla, jak się okazało, dyndała gdzieś na wysokości mojego pępka. Po prostu jakieś fatum!

Usiadłam na stołku i zaczęłam płakać. Jakiego ja mam koszmarne pecha! Nawet wisielczego sznura nie mogę porządnie przywiązać. Łzy zostawiły mi na policzkach dwie palące ścieżki. Należało się pospieszyć, jeśli nie chciałam po tych wszystkich przygotowaniach wisieć z odmrożoną twarzą. Ponownie wlałam na stołek, żeby odwiązać sznur. A potem przywiązać od nowa... Cała spotniałam, rozpięłam futerko. Gotowe. A teraz trzeba wygłosić Ostatnie Słowo.

— Żegnaj, okrutny świecie! — Ech, szkoda, że nikt tego nie słyszy!  
— Podkładałeś mi na drodze życiowej wszelkie świństwa. Jestem nieszczęsną, nikomu niepotrzebną nieudacznicą! Wszyscy się ode mnie odwrócili! A teraz odejdę i wszyscy zrozumieją, jak byłam im droga!

Na tym wyczerpałam temat. Nogi w pantofelkach zlodowaciały mi ostatecznie. Machnęłam nogą, przewracając stołek. Na gardle momentalnie boleśnie zacisnęła się pętla. Zdążyłam jeszcze usłyszeć, jak z suchym trzaskiem łamie się mój kark...

\*

Cóż mogę powiedzieć? Podróż na tamten świat jest dość bolesna. Plecy bolały mnie okropnie. I szyja. W głowie mi huczało. Dokoła panowała cisza. Ociągałam się z otwieraniem oczu, obawiając się, że zobaczę przed sobą Sukina, który z zadowoloną miną powiadomi mnie, że za swoje sprawki zasłużyłam jedynie na piekło. W końcu jednak uniosłam powieki i zobaczyłam dwie znajome fizjonomie — gładko ogoloną i kosmato-brodatą.

— I co teraz? — zapytała brodata.



— Dobijemy — zaproponowała ogolona.

Nie, zdecydowanie nie jestem w Niebiosach. Jeśli co do Ottona byłam pewna, to Irga na pewno nie mógł tam trafić.

— Gdzie cię boli? — zapytał Otto.

— Co to...? — zachrypiałam. Bolało mnie gardło i z trudem mówiłam.

— Próbowalaś ze sobą skończyć — powiedział Irga spokojnie. — Nie udało ci się.

Otworzyłam usta.

— Gałąź się złamała — wyjaśnił Otto. — Też wymyśliłaś, wieszac się na oblodzonej gałęzi. Mogłaś mi powiedzieć, to bym ci wkręcił mocny hak w sufit.

— I w ogóle, wieszac się! — Dotarło do mnie, że spokój nekromanty był sztuczny. W rzeczywistości jego niebieskie oczy miały błyskawice, i kurczowo zaciskał pięści. — Co ci strzeliło do głowy?

Spróbowałam wzruszyć ramionami. Nie chciało mi się odpowiadać.

— Podnieśmy ją, bo do reszty tu zamarznie — powiedział Otto. — Potem na nią nakrzyczysz, kiedy się rozgrzeje.

Zajęczałam, okropnie bolały mnie plecy.

— Nic dziwnego, że boli. Rąbnąć o ziemię kością ogonową... Dobrze, że futro złagodziło upadek — burczał Otto, pomagając mi wstać.

— Wszystko widzieliście? — wyszeptalam.

— Widzieliśmy — potwierdził mój przyjaciel. — Riak przyleciał do Irgi, zdenerwowany, że kazałaś mu się zabić. Zanim się rozejrzeliśmy, zanim cię znaleźliśmy... A potem Irga zaproponował, żebyśmy popatrzyli, co będzie.

— Było wam wszystko jedno — powiedziałam żałośnie.

— Nie było! — odparł nekromanta, łapiąc mnie za ramię. Zachwiałam się.

— Nie było nam wszystko jedno. — Otto ostrożnie oderwał ode mnie Irgę. — Po prostu każdy człowiek ma prawo rozporządzać swoim życiem wedle własnych zapatrywań. A to, co zrobiłaś ze swoim życiem, było głupie. I musieliśmy się wtrącić.

— I wbić ci do pustełki łepetyny, że nie wolno myśleć tylko o sobie! — ryknął Irga.

— Nogi mi zamarzły — poskarżyłam się.

Nekromanta westchnął i gwałtownie porwał mnie na ręce, aż spadł mi jeden pantofelek. A potem biegiem pognał do akademika.

Cieężko dysząc, rzucił mnie na łóżko. Pisnęłam. Mógłby być delikatniejszy!

— O, buty kupiłaś. — Otto wszedł po chwili, z zainteresowaniem oglądając mój pantofel. — Dobrze są. Mój brat je robi.

— Co?! — wrzasnęłam z oburzeniem. — To przecież elficka marka!

— Elficka marka to Versaczel, a to jest Versaczal. Widzisz, tu jest taki zakrętas.

— Niezauważalny.

— Mój brat nie jest głupi — oznajmił Otto z dumą. — Nakładów prawie żadnych, a zysk idzie. Ale jakoś też nienajgorsza, nie myśl sobie. W mojej rodzinie wszystko robi się solidnie!

— Brat! — zołądkowałam się, wspominając, ile mnie kosztowały te pantofle.

— Stryjeczny bratanek mojego ojca! — uściślił półkrasnolud. — Chcesz, pogadam z nim, to ci podaruje jeszcze parę? A następną sprzeda za pół ceny.

— Versaczal! — Rzuciłam się na poduszki.

— I sukienka też nowa — oszacował Otto. — Poważnie się zabrałaś do tematu. Z rozmachem.

— Teraz powiem! — Irga nareszcie nabrał tchu. — Teraz wszystko wygarnę pewnej idiotce, która postanowiła umrzeć. Przez głupotę! Nikt jej nie kocha! To ona nikogo nie kocha! Ty, ty, ty...

Półkrasnolud posadził nekromantę na krześle.

— Generalnie, uważamy, że kończenie ze sobą w tak młodym wieku do szczyt głupoty. I nikt, złotko, nie będzie po tobie płakać. Odwrotnie, będą stać przy trumnie i szeptać: Ale głupia! Jeszcze by żyła a żyła, a ona... No głupia kompletnie. I na stypę większość przyjdzie tylko z powodu darmowego żarcia. A potem się schleją i będą śpiewać nieprzyzwoite piosenki. A o tobie zaraz zapomną.

Zaczęłam płakać.

— Jesteś potrzebna nam. Po prostu racz to zauważyć. Bardzo potrzebna. Żadne pierożki czy darmowe piwo cię nie zastąpią.

Otto łagodnie pogłaskał mnie po głowie.

— Nie możemy ciągle żyć twoim życiem, złotko, mamy jeszcze

własne. I zainteresuj się nim od czasu do czasu, dobrze?

— Jestem wam potrzebna? — wychlipałam.

— Chcesz, to wymaluję plakat i powieszę ci go nad łóżkiem? — powiedział mój najlepszy przyjaciel.

Zastanowiłam się, popatrzyłam na Ottona i mrocznego Irgę, i zapytałam:

— A czym byliście ostatnio zajęci?

— Sądziłem się z elfami! — poweselał krasnolud. — O płaszcze. Gwarantują nieprzemakalność, a na terenie miasteczka studenckiego płaszcze przemakają natychmiast, sama wiesz.

— I co?

— Dostałem niezłą sumkę — odparł Otto z zadowoleniem. — Przeprowadzali eksperyment sądowy, wszystko uczciwie!

— Ale oczywiście nie powiedziałaś, że wcześniej działali tu zaklinacze pogody spośród miejscowych studentów?

— Skąd. Śladów zaklęć nikt nie znajdzie, tyle tu ich w powietrzu lata, że głowa mała. Teraz wielu naszych procesuje się z elfami, wzięli przykład ze mnie. Za każdą wygraną sprawę dostają procent.

Roześmiałam się.

— Ola — odezwał się Irga. — Jeżeli następnym razem będziesz chciała się zabić, to weź pod uwagę, że wyciągnę cię z tamtego świata. I wtedy pożałujesz.

O tym jakoś nie pomyślałam.

— Dobra, chłopaki, przepraszam. Już więcej czegoś takiego nie zrobię, obiecuję — powiedziałam, myśląc jednocześnie o tym, że mam mnóstwo spraw do załatwienia. Muszę napisać poprawkę z wykreślnej, wyklócić się o zwrot pieniędzy za pseudo-elfickie pantofle... I jeszcze lepiej: zażądać odszkodowania za straty moralne. Otto mi pomoże.

## Rozdział 15. O tym, jak poszłam na randkę

Pewnego razu mój najlepszy przyjaciel zauważył:

— Wydaje mi się, że powinnaś skupić się na swoim życiu osobistym.

— Dlaczego? — spytałam leniwie.

— Wiosna, do sesji daleko — powiedział Otto. — Nudzisz się. A kiedy ty się nudzisz, ja muszę znosić twoje humory.

— Wybacz — odrzekłam, zupełnie nie czując wyrzutów sumienia. — Ja się nie nudzę.

— Ale nie masz też rozrywek. O, na przykład, kiedy ostatni raz byłaś na randce? — naciskał Otto, pykając fajkę.

— Eeee...

Trzeba przyznać, że to był cios poniżej pasa. Ale cóż począć, moje ostatnie randkowe doświadczenie było delikatnie mówiąc nieudane. Może oczywiście to ja mam swoiste poczucie humoru, ale kiedy młody człowiek już na pierwszym spotkaniu zaczyna mi opowiadać o cechach, które chciałby widzieć w swojej żonie, a potencjalna ofiara (czyli ja) ma przy tym silne poczucie własnej bezużyteczności (owszem, nie potrafię upiec gęsi z jabłkami, nie lubię wędkowania i nie uważam za świetną rozrywkę ręcznego prania męskich skarpet)...

Otto przerwał moje rozmyślenia.

— Niedawno zaznajomiłem się z takim jednym typem od praktyków. Jest sam, przystojny, odważny, inteligentny i nie nudny. Z piątego roku. Złych nawyków nie zauważyłem. Może pójdiesz z nim na randkę, co? Zabawisz się. Na przykład w piątek, co?

— Drogi przyjacielu, czy ty przypadkiem nie zająłeś się stręczycielstwem? Ten przystojniak nie zaproponował ci czasem pieniędzy?

Otto ze zmieszaniem podrapał się w kosmatą brodę.

— Aha, czyli zaproponował. I za ile mnie sprzedałeś?

— Za złocisza.

Całe stypendium. Całkiem nieźle. A jeśli wziąć pod uwagę, że krasnolud na sto procent przemilczał jeszcze kilkadziesiąt srebrników, to poczułam się dumna. Miło jest znać swoją cenę.

— Połowa dla mnie.

— Rozbój w biały dzień! — oburzył się półkrasnod. — Ja tu ci proponuję ekstra chłopaka, a ty jeszcze za to chcesz kasę? Bezczelna!

— Mam ci przypomnieć, kto sprzedał swoją najbliższą przyjaciółkę za złocisza?

— Jedna trzecia i ubieram cię na tę randkę!

— Na swój koszt?

— Na twój. Za to z moimi cennymi poradami.

— Już ja znam twoje krasnodzkie poczucie piękna!

— Nie, moja droga, ja się dobrze przygotowałem — odrzekł mój przyjaciel z dumą, pogrzebał w torbie i wy dobył z niej stos kartek, czasopism i książek. Były tam ostatnie numery „Nowoczesnej Mody”, „O strojach kobiecych”, „Jak się spodobać mężczyźnie” i w końcu „Mężczyźni. Zwabienie i zniewolenie” Milli Utratyskiej.

— O! — ucieszyłam się. — A ja ją znam.

— Kto nie zna Milli? — warknął półkrasnod, przeglądając notatki. — Jednak nie możesz zaprzeczyć, że o wabieniu wie wszystko.

Milla w ciągu trzydziestu lat swego burzliwego życia była pięć razy zamężna, uważana była za faworytę króla i miała pół setki tylko oficjalnych kochanków. Milla spędziła około miesiąca na naszym Wydziale Magii teoretycznej, studiując w bibliotece starożytne metody zachowania urody i powabności. Podchodziła do tematu bardzo rzeczowo: przepytowała wszystkie dziewczyny, wykładowczynie, opiekunki i nawet personel techniczny o ich prywatne sposoby. Wszystko zapisała i odeszła, pozostawiając po sobie dziekana ze złamanym sercem.

Tak więc Otto zaczął mnie przygotowywać na randkę. Umyłam głowę wywarem z szaławii, żeby moje kasztanowe włosy błyszcząły, wyszorowałam się całą mieszaniną soli i płatków owsianych. Musiałam nawet nałożyć makijaż, co trwało bardzo długo. Nie miałam w tym wprawy, więc do roboty wziął się Otto, mamroczący coś o dziewczynach z dwiema lewymi rękami.

Potem półkrasnod wywalił z mojej szafy całą zawartość i zaczął przymierzać do mnie bluzki, tłumacząc z mądra miną:

— Dla faceta ważniejsza jest nie golizna, a tajemnica. Założysz tę niebieską bluzeczkę, tu można odpiąć dwa guziczki i twój biust będzie kusząco wyglądał. A pod spód włożysz czarną, koronkowa bieliznę. Co

masz pod spódnicą?

Otto widywał mnie już w rozmaitych stanach i sytuacjach, więc to, co nosiłam pod swoją szeroką spódnicą, nie było dla niego żadnym sekretem — cienkie spodenki dla wygody — a nuż spódnicę mi podwieje? Jednak usłyszawszy to pytanie, wczepiłam się w spódnicę jak dziewczyna w obliczu mężczyzny ogarniętego żądzą.

— Zadzieraj kieckę!

— Nie! Pójdę tak, jak jestem!

Otto pociągnął za skraj, a spódnica zatrzeszczała niebezpiecznie.

— Nie chcę, żeby mi cokolwiek stamtąd kusząco wyglądało! — Próbowałam za pomocą magii odczepić palce Ottona od swojej własności.

Rozległo się stukanie do drzwi, po czym w szparze natychmiast ukazała się kudłata głowa Trochima.

— O rany! — ucieszył się. — A mówiliście że się tylko przyjaźnicie!

Otto odczepił się od mojej spódniczki i naburmuszony usiadł na łóżku.

— Ona nie pozwala mi zajrzeć pod spódnicę! — poskarżył się Trochimowi.

— Straszne! A mnie pozwolisz?

— Odwalcie się ode mnie obydwaj! Koniec, nigdzie nie idę!

— Nie masz prawa! Oddawaj w takim razie pieniądze! — oburzył się Otto.

— A kto kogo kupił? — zainteresował się Trochim.

— Nie kupił. To on mnie sprzedał. — Wzmianka o pieniądzech trochę mnie otrzeźwiła. W zamyśleniu przeglądałam zawartość szafy. Oprócz fałdzistych spódnic znajdowała się tam jeszcze para spodni, kupa jakichś szmatek, których ani razu nie włożyłam. Sama nie wiedziałam, co tam jest. Krótko mówiąc: nie miałam co na siebie włożyć.

— Jak się nazywa twój nabywca?

— Bringem.

— Bringem, Bringem... Coś o nim słyszałem. Zdaje się, że ma jakieś swoje dziwactwa. Tylko jakie, nie pamiętam.

Mniej pij, to ci się pamięć poprawi — oznajmił Otto, wybierając najbardziej uwodzicielski z moich płaszczy.

— Nawiasem... — Trochim się ożywił.

— Jest koktajl według nowej receptury! — odrzekłam migiem. — Pyszny! Ostry! Robi niesamowite wrażenie!

W samej rzeczy owej nowości nikt jeszcze nie próbował. Dla eksperymentu dodałam do koktajlu podsłuchane zaklęcie dziekana pod nazwą „A żeby was!”, którego używał wobec studentów, którzy przychodzili na zajęcia lekko zawiani.

Trochim przyssał się do butelki. Otto zaś wyszeptał:

— Umiesz okazywać pierwszą pomoc?

Niepewnie kiwnęłam głową. Trochim czknął. Jego twarz poróżowiała, otworzył usta i zajęczał:

— Wody!

W tejże chwili jego usta się zatrzasnęły i mimo wysiłków biedak nie był w stanie ich otworzyć.

— Oła, a jak działało zaklęcie dziekana? — zaciekawiał się Otto, obserwując, jak Trochim myczy i przewraca oczami. — Trzeba sypać mniej pieprzu.

— Wtedy cały efekt przepadnie.

Gorączkowo szukałam amuletu neutralizującego. Podarował mi go ojciec Ottona, doskonały płatnerz, kiedy zrozumiał, że chociaż nasz biznes przynosi dochody, to często trzeba eksperymentować na sobie. Amulet zdejmował zaklęcia przy aktywacji. Identyczny miał też Otto.

— Obiecay, że nie będziesz bić! — uprzedziłam Trochima i skierowałam na niego amulet.

Trochim wytchnął obłoczek pary i padł na łóżko.

— Dobrze — wyszeptał po jakimś czasie w rozanieloną miną. — Tylko pieprzu faktycznie trochę za dużo, piecze i nie ma jak popić. Masz, trzymaj.

Wzięłam z jego dłoni kolczyki. Ale jakie! Malutkie srebrne kulki, wypełnione magią „pod korek”.

— Nekromagia??? Skąd to u ciebie?

— Spotkałem Irgę, prosił, żeby ci przekazać. Powiedział, że to pożyteczny drobiazg. Chroni przed złymi, głodnymi martwiakami.

— Milczeć i nie dyszeć przetrawionym alkoholem — odezwał się raptem mój przyjaciel.

— Co?

— Dziekan nie znosi, jak chuchają na niego przepici studenci, a jak

jeszcze przy tym bredzą głupoty, to w ogóle dostaje szału. Na drugi raz podsłuchaj coś ciekawszego. Jak myślisz, ile możemy ściągnąć z Irgi za randkę z tobą?

— Poczytaj mądre książki, to się dowiesz, że przyzwoite dziewczyny nie zadają się z nekromantami — warknęłam. — Poza tym on nie będzie chciał płacić. Może tu przyjść i napić się herbaty za darmo. No i najwyraźniej nie chce mnie widzieć, skoro przekazuje prezenty przez osoby trzecie.

— Nie jestem osobą trzecią! — powiedział Trochim, rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu popitki. — Jestem bliskim przyjacielem!

— Wiem, że on nie chce cię widzieć — wygadał się Otto.

— Co???

— Prawdę mówiąc, obraził się na ciebie.

— A wiesz co się robi z obrazami? Na ścianie wiesz!

— Jeśli chcesz znać moje zdanie...

— I tak je znam. — Machnęłam ręką. — Tak nawiasem, sprzedałeś mnie na randkę!

Otto wywrócił oczami.

W końcu, po zażartej batalii, w czasie której Trochim dyszał na nas parą, odpowiedni strój został dobrany. Spódnica — szeroka, efektowna, z paskiem podkreślającym „krzywiznę bioder”, uwodzicielska bluzeczka, lekki żakiecik i nawet pantofelki na niskim obcasie.

— Nieprzepisowe — zawyrokował półkrasnolud. — Obcas powinien być wysoki, ale nie będziemy ryzykować, że się przewrócisz i zabijesz.

Upięłam włosy, chwyciłam torbę i byłam gotowa do wyjścia.

— Z tym workiem nigdzie nie pójdziesz. — Otto wczepił się w moją malutką i akuratną torebkę.

— To nie worek! — wysapałam, próbując odebrać mu torbę. Mój przyjaciel był ode mnie znacznie silniejszy, ale nie na darmo już trzy lata prowadziliśmy wspólny interes.

— Wór! Psuje ci cały wizerunek.

Trochim kibicował Ottonowi. Nagłym szarpnięciem półkrasnolud zdobył mój skarbiec rzeczy najpotrzebniejszych w życiu codziennym.

— Otto, z ciebie jest kawał szowinisty — obraziłam się. — Kobieta ma prawo do torebki!



— Mam ją wytrząsnąć? Z tą torebką mogłabyś przeżyć rok na bezludnej wyspie!

Uroniłam demonstracyjnie łzę. Otto się odwrócił, za to Trochim się ulitował.

— A ty idź nie tylko bez torebki, ale też bez portmonetki. Niech ten cały Bringem ci funduje.

Mój nastrój uniósł głowę i się oblizał. Poszłam na randkę, rozmyślając po drodze o życiu, miłości, stosunku Irgi do mnie i mojemu stosunkowi do mężczyzn w ogóle. Wychodził z tego zupełny mętlik.

Randka szła jak po maśle. Wszystko było tak cudowne, że czułam się jak w bajce. Bringem był uprzejmy, miły, ujmujący, z poczuciem humoru. Poczęstował mnie pysznym koktajlem. Oczywiście najdroższym, chi-chi.

A potem poczęstował znowu koktajlem. I siebie również. Parę razy.

Rozmiękczyłam się do reszty, a on — wiadomo, mężczyzna! — dostał ataku heroizmu.

— Boisz się spacerować po nocy? — wyszeptał do mnie konfidencyjnym tonem.

Zdziwiłam się. Większość studentów wiedziała, że jestem przyjaciółką Ottona i jestem niejako pod protektoratem Irgi. Krasnoludzka obrona i kuratela nekromanty — czego jeszcze potrzeba dziewczynie, żeby nie bała się o późnej godzinie wracać do akademika?

No ale przecież jestem na randce!

— Jasne, że się boję — odpowiedziałam, starając się wygnać z głosu sceptycyzm i wypełnić go rozmarzeniem.

Co należy mówić w takich sytuacjach? Przypomniałam sobie urywki wskazówek, jakie czytał mi Otto, kiedy ryłam w szafie.

— Ale przecież jest ze mną taki bojowy chłopak. Z tobą niczego się nie boję.

Zatrzepotałam rzęsami, czując się jak kompletna idiotka. Nieznośny nekromanta miał jedną niezaprzeczną zaletę — w jego obecności nie musiałam robić z siebie nie wiadomo czego.

Bringem niezwykle się zapalił.

— Chodźmy.

— Dokąd?

— Pospacerujemy po okolicy.

Oczywiście mądra myśl może przyjść do głupiej głowy, lecz to

będzie z jej strony krok raczej nierozsądny. Dlatego się zgodziłam.

Tak więc poszliśmy na spacer. Po ulicach, uliczkach, zaułkach, ścieżkach... Stop, a dokąd właściwie idziemy?

Tak, możecie się śmiać. No dobrze, wypiłam trochę, rozproszyłam się, zapatrzyłam na blond czuprynę... I znalazłam się na cmentarzu. Chwilowo jeszcze żywa, naturalnie.

— A dokąd ty mnie przyprowadziłeś? — zapytałam złowrogim tonem, zapomniawszy o rozmarzeniu.

— Cmentarz Warragiński, popatrz, jak tu pięknie!

Cmentarz Warragiński naprawdę wyglądał bardzo pięknie. Na marmurowych grobowcach odbijał się księżyc, klęczące figury malowniczo skrywały się za zaroślami burzanu, a cisza, wydawało się, aż dźwięczała. Stary cmentarz, rzadko odwiedzany, ze swoją niepodrabialną starą aurą. Jeszcze nigdy na nim nie byłam.

— ...Romantycznie tu, prawda? — mówił mój kawaler z natchnieniem.

— Jesteś wampirem? — zapytałam z nieśmiałą nadzieją.

— Coś ty?!

— Wilkołak? Zombi? A może chociaż inkub?

Bringem gapił się na mnie z wyrazem skrajnego zdziwienia.

No tak, oczywiście, on przecież jest praktykiem! Jak mogłam zapomnieć! Uspokołam się i wyjaśniłam:

— Wierzę, że po starych cmentarzach należy chodzić ze znajomą pomroką. Tak więc chciałam zapytać na wszelki wypadek.

Romantyczny nastrój został wskrzeszony. Powoli przechadzaliśmy się po cmentarzu. Bringem miał na tym cmentarzu praktykę w zakresie niszczenia żywych trupów i opowiadał mi o mieszkańcach tutejszych grobowców. Ludzi bogatych zazwyczaj balsamowano i zombi z nich, według słów mojego towarzysza, wychodziły przywidłe i nieciekawe.

— Ja w niego zakłębem — bach, a ten się nawet nie próbuje uchylić. Tuman.

— A po co się z nich robi zombi?

— Niepocieszeni krewni a to skarbu szukają, to jakiegoś dokumentu, to znów chcą porady... Gdybyś miała utalentowanego pradziadka, czy byś go nie podniosła w poszukiwaniu dobrego pomysłu, w razie kryzysu?

Nawiasem, jak już mówimy o pomysłach... W naszą stronę spokojnie

i rzeczowo lekkim truchcikiem zbliżał się całkiem rzeński zombi.

— Co robimy? — zapytałam Bringema, szarpiąc go za rękaw i pokazując na zombi.

Prawie dyplomowany mag-praktyk wywrócił oczami i zemdłał.

Zaciągając nadwrażliwego kawalera w cień grobowca I mając nadzieję, że zombi nas nie zauważył, myślałam ze złością: „Diabli by wzięli płatne studia, kiedy nie wyrzucają beznadziejnego studenta, bo im szkoda kasy!”. Nie mogłam wyczarować nawet wody, żeby oblać nią Bringema — cała koncentracja, niezbędna do magicznych działań, spłynęła mi w szczękę i zajmowała się stukaniem zębami.

Felerny praktyk otworzył oczy i kłapiąc zębami jeszcze głośniejsze ode mnie, wczepił się w moją rękę. Ból mnie otrzeźwił. Oddzierając od siebie palce Bringema wysyczałam:

— Ty jesteś praktyk! Praktyk! Rób coś!

— Ja się boję zombi! Jestem magiem bojowym, mam niszczyć wrogów, a pomroka to nie mój profil!

Przekonałam się na własnej skórze, co w istocie znaczy „dławić się wściekłością”. Bałam się okropnie, ale jeszcze bardziej miałam ochotę oddać tego „maga bojowego” zombi i nawet pomóc go rozczłonkować. Jaka szkoda, że nie ma tu Irgi! Mógłby swoim zwyczajem dowcipkować, mógłby mnie doprowadzać do białej gorączki, ale przynajmniej by wiedział co robić i mnie uratował!

— To po jakie licho mnie ciągnęłaś na cmentarz, skoro się boisz pomroki?! — Złapałam Bringema za kołnierz i potrząsnęłam. Głowa mu się majtała bezwolnie, a zęby postukiwały melodyjnie.

Zrozumiawszy, że niczego z niego nie wydębuję, postanowiłam odpełznąć z niebezpiecznego terytorium. Podniosłam wzrok... No tak, nasz nowy znajomy nie mógł nie zauważyć szamotaniny przy grobowcu.

— Cześć! — Nie przyszło mi do głowy nic mądrzejszego, jak pomachać zombi ręką.

Zombi pomachał w odpowiedzi. Kolczyki od Irgi w moich uszach zrobiły wyraźnie ciepłe.

W swojej eleganckiej spódniczce, energicznie poruszając „krzywizną bioder”, próbowałam odczołgać się od zombi. Bringem bardzo wiarygodnie udawał martwego. Nawet zębami nie szczękał. Zaraza.

Cudzy wskrzeszony krewny pochylił się i prędko capnął mnie za

spódnicę sinozieloną ręką.

„Ładny zestaw kolorów” — zdążyło mi przemknąć przez głowę, nim nadpłynęła fala oburzenia.

— Moja najlepsza spódnica! — wrzasnęłam, kopiąc zombi z całej siły.

Pantofle zaprezentowały się w całej swojej krasie. Obcasik, choć malutki, był za to ostry i ręka martwiaka nadziała się na niego niczym szaszłyk na rożen. Parę razy bezskutecznie szarpnęłam nogą i zastanowiłam się: a może zostawić pantofel zombi i uciec boso? Przed oczami natychmiast pojawił mi się cennik:

Spódnica, jedwabna, z falbanami — 1 zł

Pantofle, skórz. dam. — 25 sr

I to się nazywa „poszła na randkę”. Same straty!

Zombi widocznie w tym czasie również oddawał się rozmyśleniom. Zdecydowawszy się na coś, złapał moją nogę i kilkakrotnie szarpnął. Spódnica zgramoliła mi się wyżej, niż bym chciała. Ech, szkoda, że nie ma nikogo, kto by docenił ten widok.

Zupełnie ogłupiała ze strachu, odezwałam się:

— Szanowny panie! Natychmiast proszę zostawić moją nogę! Nie zapłacił pan za nią!

Widocznie słowo „zapłacił” było dla mego nowego znajomego kluczowe. Wbił we mnie spojrzenie okrągłych oczy i powiedział nawet całkiem wyraźnie:

— Podatków nie płaciłem i płacić nie będę.

Bringem przestał udawać trupa i czknął. Popatrzył na naszą malowniczą grupę pod tytułem „Zombi i goła noga dziewczyny, siedzącej przy grobowcu” i ponownie umarł. Wszystko to przypominało zły sen w pijanym widzie.

Pomyślałam, że chyba powinnam mniej pić. Od siedzenia na ziemi było mi zimno. Grzały mnie jedynie kolczyki od Irgi, ale ogrzewanie uszu to jednak za mało. Bez szczególnej nadziei poszarpałam nogą i pomyślałam: jak wrócę do domu to zabiję Bringema, a Ottona po prostu stłukę na kwaśne jabłko.

— Piękny widok — rozległo skądś z góry.

Podniosłam wzrok. Irga! Oparł się łokciem o grobowiec i bezczelnie przyglądał się moim nogom. Nigdy jeszcze nie cieszyłam się tak na widok

nekromanty!

— Nie zimno ci tak siedzieć na ziemi? — zapytał Irga. — Do lata jeszcze daleko.

— To twoje głupie żarty? — zapytałam, wskazując żywego nieboszczyka.

— Zombi — mój. Mieliśmy obrzęd, z urzędnikami ze skarbówki. Próbowali wydobyć od niego pozwolenie na płacenie podatków przez jego rodzinę. Ten przystojniak napisał testament, w którym przeklął wszystkich potomków, którzy będą płacić podatki. Tak więc próbowaliśmy go przekonać, pośmiertne przekleństwo to fatalna sprawa.

„Przystojniak” zaczął gładzić moją nogę. Zawylałam — to było zimne, obrzydliwe i zupełnie nie erotyczne.

— Zabierz ode mnie tego drania, zabierz! Co za ohyda!

Irga wyszeptał parę zaklęć i zombi zamarł. Nekromanta ostrożnie uwolnił moją nogę i pomógł mi wstać.

— O, widzę, że nosisz nowe kolczyki.

— Dlaczego mnie nie obroniły przed zombi? Trochim powiedziały...

— Przecież martwiak cię nie zjadł. Tylko głaskał — odpowiedział nekromanta logicznie. I paskudnie zachichotał.

— Zabijmy go, dobrze? — powiedziałam z nadzieją.

— Nie mogę, jeszcze nie dał zgody na podatki.

— Ja nie mówię o zombi. — Wskazałam na podnoszącego się z burzanów Bringema.

— O, Bringem! — ucieszył się Irga. — Tak sobie myślałem: czy to nie ty tam leżysz w krzakach? Co, chodzisz z nim? — zapytał mnie nekromanta obojętnym tonem.

— Nie, oczywiście, że nie! — oburzyłam się. Nogi jeszcze pode mną drżały, ale nie przeszkadzało mi to sprawdzać uszkodzenia na mojej spódnicy. — Otto zorganizował mi z nim randkę. Dostałam za to pieniądze.

— I ty, oczywiście, nie wiedziałaś, że on panicznie boi się wszelkiej pomroki, i dlatego powlokłaś go na cmentarz?

— Ja powlokłam?! — Z oburzenia zleciały ze mnie resztki łagodnej kobiecości. — Ten cholernik sam mnie tutaj przyprowadził!

— Byłem pewien, że tu nikogo nie ma! — zajęczał Bringem. — Nie

mów nikomu, proszę!

— A co z praktyką w niszczeniu żywych trupów?! Patrz, jak wygląda moja spódnica!!!

— Ja za niego zaliczyłem — uśmiechnął się Irga. — Parę złociszy i wszystko załatwione. Wykładowcy też chcą jeść, jak i ja. A jako bojownik Bringem jest dobry przeciwko ludziom, więc przymknęli na to oko.

Zmarkotniałam. Ach, gdzie są prawdziwi mężczyźni? Bohaterowie, którzy działają bezinteresownie? (Irga, uwalniając mnie od zombi, bezpłatnie potrzymał mnie za nogę i na pewno ponapawał się widokami). Trzęsłam się ze zdenerwowania. Bardzo mi brakowało mojej torby, w której zwykle nosiłam leczniczą nalewkę z całkiem niedużą — najwyżej dwadzieścia procent — zawartością alkoholu. Było mi tak smutno, że nawet odechciało mi się walnąć Bringema, który przygarbiony brnął w kierunku cementarnej bramy. Spódnicy szkoda, pantofle trzeba będzie wyczyścić, zmarzłam, nerwy stargane... No, Otto, sporo mi jesteś dłużny! Nawiasem...

— Irga — odezwała się. — Ile zapłacisz, żeby iść ze mną na randkę?

— A to co znowu? — Irga uniósł brwi. — Z jakiej racji powinienem za to płacić?

— Zapomnij — rzuciłam.

No i masz! A ja myślałam, że mu się podobam. Mógłby zapłacić, a ja bym radośnie z nim szczebiotała cały wieczór. Hmmm-tak... Coś takiego z Irgą nie przejdzie.

— Oła — powiedział nekromanta łagodnie. — Z miłą chęcią pójde z tobą na randkę, ale nie w sensie komercyjnym, tylko uczuciowym, dobrze? Powiedz mi tylko, kiedy będziesz na to gotowa.

Zmarszczyłam nos.

— Po dzisiejszych wydarzeniach raczej nie będę miała ochoty z kimś gdzieś chodzić.

— No i dobrze! — ucieszył się Irga. — Przynajmniej będę miał pewność, że nie wpadniesz w łapy zimnym i sinym kawalerom. Jeszcze się przeziębisz.

Pogroziłam dowcipnisiowi kułakiem i oddaliłam się z godnością.

## Rozdział 16. Nekromantyczne kolczyki

Wróciwszy z wykładów, zastałam swoją współlokatorkę na progu, gapiącą się do wnętrza pokoju. Byłam od niej wyższa, więc bez trudu spojrzałam ponad jej ramieniem — i zastygłam w identycznej pozie.

Nasze lokum, do tej pory i tak nie wyróżniające się czystością i porządkiem, wyglądało jak śmietnisko. Wszędzie walały się wyrzucone z szaf ubrania, biżuteria ze szkatułek, słoiczki z eliksirami... Nawet pościel na łóżkach była przewracana. Pobjowisko, włamywacze nie oszczędzili niczego.

Myśl, która w danym momencie zaprzętała moją głowę, nie brzmiała wcale „okradli mnie!”. Nie wiem co tam sobie myśleli owi wandalę, ale u mnie nie było czego kraść. Cała większa gotówka leżała w krasnoludzkim banku, czekając, aż skończę uniwersytet. Pomyślałam: „Borze Szumiący, ile tu trzeba będzie sprzątać!!!”.

— No dalej, posuńcie się. — Dźwięczny głos Ottona było słychać już z końca korytarza.

Odwróciłam się. Za naszą malowniczą dwójką zebrał się już niezły tłum, próbujący ciekawie zajrzeć do środka. Teraz rozgarniały go mocarne ramiona Ottona, za którym szedł beztrąsko — serce mi zadrżało — mój obecny chłopak.

Całkiem niedawno jakimś cudem udało mi się poderwać Stefana, przystojniaka z wydziału magii stosowanej i obecnie znajdowałam się w stanie ciężkiego zakochania. Otto z jakiegoś powodu żywił do Stefana uczucia wręcz przeciwne, których nie próbował nawet ukrywać. Ja natomiast napawałam się zazdrosnymi spojrzeniami dziewczyn z naszego wydziału i praktycznego.

— No tak... — powiedział półkrasnolud, obejrzawszy ruiny. — Wiedziałem, że nie lubisz sprzątać, ale żeby doprowadzić pokój do takiego stanu...

— Otto! — odezwała się Lira karcącym tonem, gdyż ja akurat byłam zajęta całowaniem się ze Stefanem. — Kiedy wychodziłam na zajęcia, tu było posprzątane! Hm... To znaczy panował normalny chaos, a nie to!

— Skarbie — odezwał się Stefan. — Widać, że grzebali głównie na

twojej połowie.

Przyjrzelśmy się. Otto stanowczo wepchnął nas do pokoju i zatrzasnął drzwi przed nosami gapiów. Po czym nałożył na nie zakłęcie ciszy.

— On ma rację — przyznał mój przyjaciel niechętnie, zaczynając się we wzburzeniu szarpać za brodę.

— I co nam to daje?

— A to, że szukali u ciebie czegoś cennego, skarbie. Przypomnij sobie, masz masz takiego, co zmusiło złodziei do takiego ryzyka? Mogłaś przecież w każdej chwili urwać się z wykładow i się tu pojawić.

Stefan miał rację. Wagarowałam regularnie, załatwiając różne swoje sprawy, albo zwyczajnie mając ochotę pospać.

— Cennego, cennego, cennego... — mamrotałam, rozglądając się po pobjowisku.

Czyżbym coś przegapiła i miałam jakąś rzeczywiście cenną rzecz? Zrobiło mi się nijako od tej myśli — niewesoło jest wiedzieć, że posiadało się skarb, o którym dowiedziałam się dopiero wtedy, kiedy go skradziono.

Tymczasem Otto zabrał się za sprzątanie. Często okazywał mi wydajną pomoc w tej trudnej pracy, zwłaszcza kiedy ciało pedagogiczne miało kontrolować stan naszych pokoi, dlatego orientował się, co gdzie należy schować.

— To nie ciuchy, bo takie można kupić w każdym sklepie — mamrotał, wpychając moje liczne bluzki i spódniczki do szafy.

— I nie buty. — Dołączyłam do gry „Odgadnij motywy złoczyńcy”.

— A może to coś, co mogłaś schować u mnie? — zainteresowała się Lira, próbując skierować uwagę Stefana na siebie.

— Ciekawa teoria — zgodził się i zaczął jej pomagać sprzątać.

Poczułam ukłucie zazdrości i zaczęłam porządkować ze zdwojoną energią. W końcu na podłodze zostały tylko porozrzucane artefakty i biżuteria.

— Tu trzeba ostrożniej — uprzedził Stefan. — Złodzieje prawdopodobnie szukali czegoś pomiędzy nimi.

— Wśród biżuterii? — powiedziałam z niedowierzaniem. — Ależ ja nigdy w życiu nie miałam żadnych drogich klejnotów, tylko biżuteria za grosze i różne podróbki z pchlego targu.



Nie dlatego, że byłam biedna, bo pieniądze miewałam. Po prostu tania biżuteria często była bardzo oryginalna, o wiele ciekawsza od standardowych ozdób ze sklepów jubilerskich. Dlatego też o moim nadejściu z daleka uprzedzały ozdóbki dzwoniące przy każdym kroku.

— A artefakty? Jesteś przecież teoretyczką, powinnaś mieć mnóstwo artefaktów.

— No tak, ale wszystkie tutaj są standardowe, kupione w sklepiku dla studentów. Wszystko co wartościowe, noszę na sobie!

— Aaaa... — powiedział Stefan w zadumie. — No cóż! W takim razie możemy założyć, że złodzieje odeszli z niczym!

— Dziwne, że weszli do pokoju bez naruszenia zaklęcia ochronnego. — Krasnoludzka część osobowości Ottona zawsze myślała mądrze i logicznie.

Lira poczerwieniała.

— Byłam spóźniona na wykład i zapomniałam je nałożyć...

Ucieszyłam się.

— W takim razie ty zamiatasz podłogę!

\*

Od nadprogramowego sprzątnięcia minęło kilka dni. Nikt nas nie niepokoił, Stefan i Otto uspokoili się i przestali mnie wszędzie odprowadzać. Obie z Lirą uznałyśmy, że był to zwyczajny głupi dowcip.

Akt drugi komedii pod tytułem „Bogata Ola” wydarzył się późnym wieczorem. Poziewując, wlokłam się do swojego akademika. Tu i tam drogę oświetlały magiczne ogniki — powinni je po kolei wywieszać studenci, ale jak zwykle się lenili. Wracałam z zajęć magii rzemieślniczej, bez reszty nieszczęśliwa. Krasnoludzka rodzina Ottona, przyzwyczajony się do naszej przyjaźni i — co ważniejsze — wspólnego biznesu, przyjęła mnie do swego grona. Mama Ottona, Walina, w ogóle uważała mnie za swoją czwartą córkę. Dlatego też moi „krewni” — a krasnoludy twardo popierały swojaków — zaproponowali mi zajęcia w zakresie magii rzemieślniczej, czyli przygotowywania artefaktów i innych magicznych drobiazgów. Już na początku się okazało, że mam dwie lewe ręce. Krasnoludy-wykładowcy rwali sobie włosy z głowy, przeklinali moją niezdarność, a ja zalewałam się łzami przy kowadle. Nie byłam aż taka tępa, nawet pomyślnie zaliczyłam kurs „Magia rzemieślnicza dla teoretyków”, ale tam nie zmuszano nas do

przygotowywania artefaktów własnoręcznie! Dlatego zapadła decyzja, by uchronić mnie i nauczycieli przed sobą nawzajem i ograniczyć kurs do pracy nad artefaktami. Całkiem nieźle mi szło określanie zaklęć, nałożonych na poszczególne przedmioty, jak również samodzielne tychże zaklęć nakładanie. Jedyną rzeczą, jaką udało mi się samodzielnie wytworzyć, była duża, trochę niezgrabna srebrna szpilka. Nosiłam ją na okrągło — szpilka przytrzymywała moje włosy, skręcone w węzeł, gdyż często zasypiałam na zajęcia i nie miałam czasu zajmować się układaniem fryzury. Tę szpilkę, jako twórczość własną, powolutku ulepszałam, odrabiając na niemym przedmiocie wszystkie praktyczne zaklęcia. W obecnej chwili szpilka była napakowana taką ilością różnorodnych zaklęć, że sama nie wiedziałam, co ta moja ozdoba potrafi.

Tego dnia męczyłam się ze starą tabakierką, która w żaden sposób nie chciała się otworzyć. Moje wysiłki wynagradzane były ironicznymi komentarzami profesora Swingdara, które zmieniły się w wybuch zdrowego śmiechu, kiedy tabakierka zręcznie uszczypnęła mnie w nos. Zła na cały świat, obiecałam głośno, że jeśli tabakierka się nie otworzy, to ją osobiście przetopię. Po tych magicznych słowach wredny przedmiot otworzył się ze szczęknięciem, wypuszczając na zewnątrz obłoczek pyłu — sądząc po zapachu, ostatni właściciel przechowywał w niej z jakiegoś powodu lawendę. Profesor zaczął kichać, mówiąc, że ma alergię i tym samym zdradził, że sam tabakierki nie otwierał, a mnie kazał się z nią użerać wyłącznie ze złośliwości.

Stuknąwszy tabakierką o stół, od czego (oczywiście całkowicie przypadkowo) resztki lawendy uleciały w powietrze, uprzejmie się pożegnałam i poszłam spać.

Wlokłam się do domu, zamiatając spódnicą dróżkę, kiedy nagle szpilka w moich włosach zawibrowała. Nie wiedziałam, co to oznacza i dlaczego zaklęcie zadziało, ale na wszelki wypadek otoczyłam się Tarczą.

Tego zaklęcia używałam wręcz automatycznie i wychodziło mi najlepiej ze wszystkich. Po chwili zastanowienia dołożyłam jeszcze zaklęcie ciszy, żeby moje liczne łańcuszki i bransoletki nie brzęczały. Podkasałam spódnicę i ostrożnie zaczęłam się przekradać dalej. Szpilka wibrowała coraz mocniej. Czyżby czyhały tam na mnie jakieś nieprzyjemności?

Nie bałam się w ogóle — co mi się mogło stać na terenie miasteczka studenckiego? Jednak byłam zaciekawiona. Wyjrzałam za róg budynku i zobaczyłam trzy postacie, według wszelkich bandyckich prawideł zakutane w czarne płaszcze.

Jedna z postaci akurat ogłuszająco kichnęła. Druga ze złością stuknęła pierwszą po grzbiecie.

— Cicho! Nic nie słychać przez ciebie. Zaraz powinna przechodzić. On mówił, że będzie dzwonić jak krowa na pastwisku.

„No, niech tylko ON wpadnie mi w ręce!” — obraziłam się, że nie doceniono mojego stylu.

Postacie nasłuchiwały.

— Nie brzęczy. Może krasnolud ją zatrzymał?

Te słowa rozwiały resztę wątpliwości, czy aby na pewno czekano tu właśnie na mnie.

— Powtarzam — zarządziła główna figura. — Wychodzi z za rogu, ty walisz ją po głowie, a ty z niej wszystko szybko zdejmujesz. Tylko delikatnie — on powiedział „żadnej krwi!”.

„On” zyskał nieco mojej sympatii — nie lubię wywabiać plam krwi. Nie miałam zamiaru wpadać w łapy gamoniowatych bandytów, więc poszłam do siebie okrężną drogą. U drzwi swojego akademika dostrzegłam jeszcze parę ciemnych figur, rozkoszujących się pogodną nocką. Okropnie mi się chciało spać, ale jakoś nie wydawało mi się dobrym pomysłem, żeby podejść i zapytać: „Ej, chłopaki, na mnie czekacie? No to szybciej, zdejmujcie ze mnie co tam chcecie, bo ja idę do łóżka”. Odezwał się we mnie zdrowy rozsądek — owszem, posiadam coś takiego, chociaż najczęściej śpi krzepkim snem.

Nie zdejmując Tarczy, przekradłam się do budynku Ottona. oczywiście, już spał — jego chrapanie było słychać z daleka. Westchnęłam, wyszeptałam zakłęcie i wdrapałam się po drabince sznurowej na pierwsze piętro. Tę drabinkę powiesiliśmy i zamaskowaliśmy z Ottonem już dawno, kiedy jeszcze zakradałam się w tajemnicy do jego pokoju. Potem babcia-dozorczyni, sucha krasnoludzina z obfitymi siwymi bakenbardami, przyzwyczała się do mnie i wpuszczała bez problemów. Jednak wizyta o tak późnej porze wywołałoby niepotrzebne pytania.

— Otto! — wysyczałam mu nad uchem.

Obudził się natychmiast.

— Cała jesteś?

— Tak. Otto...

— To po co mnie budzisz?

— A dlaczego ty zadajesz takie głupie pytania? — Rozpłakałam się. Tak czy owak, jednak nieprzyjemnie, kiedy szykują na ciebie zamach.

Otto podał mi swoją chustkę do nosa.

— A o co powinienem zapytać, kiedy zwalasz mi się na głowę w środku nocy przez okno? Biorąc pod uwagę, że niedawno ktoś próbował cię ograbić? Nie wyj. Mów co się stało.

Mój przyjaciel z westchnieniem zdjął z półki starannie chronione przed moimi zakusami pudełeczko i wydobył z niego dwa kawałki kandyzowanej dyni. Natychmiast poprawił mi się humor. Nic się ostatecznie nie stało, a tu jeszcze częstują mnie słodyczami.

— A to dopiero! — Otto pokiwał głową, wysłuchawszy mnie, a potem nagle zapytał: — A dlaczego nie poszłaś do Stefana? On przecież mieszka na parterze i jako przysły mag bojowy lepiej by cię obronił.

Zamarłam z otwartymi ustami. Dziwne, dopiero teraz przypomniałam sobie o Stefanie.

— Tak też myślałem! — triumfował Otto, rzucając we mnie poduszką. — Na górze róże, na dole fiołki... Miłość dobra do posiadówek przy księżycu i... ekhm... paru innych rzeczy. A jak przyjdzie co do czego, to najważniejsza jest przyjaźń!

Wygłosivszy to, mój najlepszy przyjaciel szybko wymamrotał zaklęcia ochronne i walnął się spać. Położyłam się na sąsiednim łóżku. Współlokator Ottona, gruby i dobroduszny Was, nie przepadał za akademikiem z powodu chronicznego niedostatku jedzenia w pokoju, więc najczęściej nocował w mieście u krewnych — tak samo kulistych krasnoludów, prowadzących zajazd. Co jak co, ale tam żywności nigdy nie brakowało.

Dziwne, ale po tej przygodzie zasnęłam od razu. Chrapanie mi nie przeszkadzało — mój tata w domu chrapał tak, że Otto mógłby się od niego uczyć. I nie śniły mi się żadne koszmary. Przepite nerwy, jakby powiedziała moja mamusia.

\*

Następnego dnia wieczorem w „Pij Więcej!” zebrała się narada

wojenna. Naradzie przewodził Stefan, Otto siedział obok Liry i ponuro cedził piwo.

— Pytanie dnia: co ci obywatele chcieli z ciebie zdjąć? — To pytanie Stefan zadawał już chyba setny raz, ale nie miałam żadnego przebłysku genialności.

— Zdjąć, zdjąć, zdjąć... — powtarzałam na głos, intensywnie pracując głową i przeglądając rozłożone na stole wszystkie moje artefakty i amulety.

Podzieliliśmy je na trzy kupki: potrzebne ale tanie, drogie i aktywowane tylko przeze mnie. Skanowałam je już po raz trzeci, próbując odkryć jakiś przeoczony magiczny trik. Tanie błyszczały obojętną szarą aurą produkcji seryjnej, drogie gdzieniegdzie przebłyskiwały żółcią i purpurą — już zaczynały się nastawiać na mnie, dobrze wydane pieniądze... Nastrojone wyłącznie na mnie były tylko dwa: specyficzny amulet teoretyka, mogący służyć za przekaźnik magicznej energii oraz neutralizator eksperymentalnych zaklęć — podarek od ojca Ottona. Ich aury lśniły purpurą na całego.

— Tak — powiedział Stefan. — Ta tandeta nikogo nie interesuje. Te dwa możesz wykorzystać tylko ty, nikt inny ich nie aktywuje. A co masz tutaj?

— O, znalazłam! — ucieszyłam się, popatrzyłam na wystraszone twarze przyjaciół i wyjaśniłam: — Ten artefakt, który mi podarował Irga. No ten, który podpowiada runy na nekromagii i potrafi leczyć katar. Może któregoś z bandytów męczył katar?

Twarze wystraszone zmieniły się w żądne krwi.

— No dobra, dobra... — mieszałam się.

Nagle pewna myśl wpadła mi do głowy, ale wystraszyła się ilości przebywającego tam alkoholu i zaraz schowała, nie domyślawszy się do końca.

— Skarbie — rzekł Stefan przymilnie. — Czy to jedyne artefakt, który podarował ci twój przyjaciel nekromanta?

— Nie musisz być zazdrosny — najeżyłam się. — Jasne, że nie jedyne. O, jeszcze amulet od złego oka. Nekromanci są w tym specjalistami. I...

— I...? — ciągnął Stefan cierpliwie.

— Kolczyki przeciwko zombi — pisnęłam, odłowiwszy myśl-

uciekinierkę.

— Może właśnie tego szukają? — ożywił się Otto. — Skanowałeś je? Co one potrafią?

— Nie — jęknęłam. — Nie skanowałam, śpieszyłam się na randkę, a potem zapomniałam.

— I gdzie one są? — Stefan nie potrafił do końca ukryć radości. — Może schowamy je u mnie, albo u Ottona — i przeczekamy? Do nas się nie odważą wleźć.

Poczułam się jak idiotka w otoczeniu akademików, którzy wyjaśniają, że tak, mózg znajduje się w głowie, a nie znacznie niżej.

— Wtopiłam je w szpilkę — wyszeptałam żałośnie.

— A-ha! — zatryumfował Otto. — Wygrałem! Założyliśmy się z profesorem o zmianę wzoru szpilki — on uważał, że sama odlałaś te detale, a ja mówiłem, że wzięłaś gotowe i po prostu je przyczepiłaś, mój ty leniuszku. Nie zepsułaś kolczyków?

— Nie — odparłam z urazą. — Aż tak beznadziejna nie jestem. Jednak teraz oddzielić własności akurat kolczyków jest bardzo trudno. Musiałabym je wytapiać z powrotem.

— A co, twoja szpilka to artefakt? — zainteresował się mój kawaler. — A dlaczego nie położyłaś jej na stole?

— Jakoś o niej całkiem zapomniałam.

— No to oddaj mi szpilkę. W czym problem?

— Ona nie pozwala się nikomu brać do rąk, poza mną. Potrzebna jest specjalna pułapka na artefakty. — Musiałam wyjaśnić Stefanowi subtelności obchodzenia się z magicznymi wyrobami.

Stefan posepniał.

— Skoro tak, trzeba będzie cię odprowadzać pod same drzwi.

\*

Przez parę dni było spokojnie. Stefan wszędzie mnie odprowadzał — nie mogę powiedzieć, że to mi się nie podobało — a Stefana z kolei śledził Otto, co z kolei mi się nie podobało. Ani się pocałować normalnie, ani poobejmować...

— Spotkajmy się dzisiaj wieczorem w knajpce obok „Pij Więcej!” — szepnął mi Stefan na przerwie. — Tylko musisz zgubić ogon, dobrze? A tam Otto nas nie znajdzie.

Przyszłam na umówione miejsce, pełna nadziei na niezapomniany

wieczór. I rzeczywiście, wieczór mnie nie zawiódł — miałam go zapamiętać na długo.

Stefan nie przyszedł. Jego kolega z roku powiedział, że mój chłopak został dłużej na praktyce i poprosił mnie, żebym wróciła do domu, zanim się ściemni.

Zrobiło mi się smętnie na duszy, ale niespodzianie pojawili się znajomi z piwem. Krótko mówiąc, zabawiłam tam dość długo. I naturalnie polazłam potem do domu sama, nie domyśliwszy się, żeby poprosić kogoś o odprowadzenie.

Nasz ulubiony lokal odznaczał się jeszcze tym, że stał w sporej odległości od miasteczka studenckiego. To było bardzo wygodne — po drodze do akademika upojenie alkoholem powoli się rozwiewało i docierało się przed oblicze maga dyżurnego w przyzwoitym stanie. Uraza i złość na Stefana już dawno mi przeszły, maszerowałam wesoło, nieco się zataczając i śpiewałam popularną piosenkę. I raptem zostałam dość nieuprzejmie zatrzymana.

— Ależ ty koszmarnie śpiewasz!

Dzięki temu, że nie zamarłam w miejscu, a odruchowo się cofnęłam, pałka skierowana w moją głowę przeleciała obok. Jej świst podziałał na mnie lepiej, niż zakłęcie otrzeźwiający. Bez słowa odwróciłam się i rzuciłam do ucieczki wzdłuż ulicy, pozbywając się w biegu dłuchachnej spódnicy. Wystarczyło, że szarpnęłam za tasiemkę, a płat lekkiej tkaniny z szelestem został z tyłu. Napastnicy nie spodziewali się po pijanej dziewczynie takiej zwinności. Na chwilę zamarli i dopiero potem z głośnym tupotem rzucili się w pościg.

„Żegnaj spódniczko za jednego złocisza...” — pomyślałam.

Chłód zaczął kłuć mnie w gołe nogi. Co za szczęście, że zawsze wkładałam pod spódnicę krótkie spodenki!

Artefakty przestały podskakiwać w takt biegu i pociągnęły mnie w tył.

„A to co?! Włączyli pułapkę!”

Sprawy przybierały zły obrót — magiczną pułapkę nastrojono na szerokie spektrum artefaktów i teraz je niepowstrzymanie ciągnęło do niej, ograniczając mi ruchy.

„Żegnajcie, zdrowie jest mi droższe” — Zrywałam w biegu łańcuszki tanich amuletów i artefaktów, żeby zmniejszyć siłę przyciągania. Szpilka

w moich włosach wibrowała, ale trzymała się. Artefakty nastrojone na właścicieli zawsze najślabiej reagują na pułapki.

— Stój, wiedźmo, nie zabijemy! — wrzeszczeli za moimi plecami.

Stłumiłam ochotę, żeby pokazać im figę i tylko przyspieszyłam.

Nie-bę-dę-już-ni-gdy-wa-ga-ro-wać-z-wu-e-fu — wdech-wydech-wdech-wydech... Pocieszało mnie to, że prześladowcy też najwyraźniej nie byli w czołówce uniwersyteckich biegaczy, a do tego jeszcze powinni rzucić palenie, sądząc po sapaniu.

„Szybciej, słoneczko, szybciej, trzeba się od nich oderwać” — powtarzałam sobie. Kłuło mnie w boku, nie mogłam złapać tchu. Coś świsnęło obok — Sukin kot, strzała z kuszy! Widocznie chłopaki mieli dość biegania i postanowili mnie zatrzymać radykalną metodą. Ta myśl dodała mi skrzydeł, choć zdawało się, że szybciej biec już nie mogłam. Jeszcze jeden pocisk drasnął mnie w lewe ramię.

Wyścig zakończył się niespodziewanie — skręciwszy za róg, z rozpędu wpadłam na kogoś i odruchowo zaczęłam się bronić, tłukąc pięściami i gryząc. Otrzeźwił mnie mocny policzek. To był Irga.

— Czeeść... — zaczął, jak zwykle rozciągając głoski.

Powitania trzeba było skrócić do minimum.

— Zaraz mnie zabiją! — wrzasnęłam, słuchając zbliżającego się tupotu.

Pozostałe artefakty wrzynały mi się łańcuszkami w szyję, próbując polecieć w stronę pułapki. Szpilka we włosach wibrowała tak, że groziła mi łysina.

Oto za co lubię Irgę — za szybkość reakcji i konsekwencję działań.

Raz — odepchnął mnie pod ścianę domu.

Dwa — nakrył ciężką pokrywą zaklęcia ukrycia.

Trzy — grabieżcy, którzy wybiegli z za węgła we dwóch taszcząc pułapkę i sapiący jak dziurawe miechy, natknęli się na mur powietrzny.

— To jej kumpel nekromanta, współnik! — wrzasnął obywatel z kuszą, próbując wycelować.

Znajomy głos. To on krytykował mój śpiew!

Cztery, pięć, sześć — agresorów rozrzuciło w różne strony, niczym kręgle.

Siedem — pułapka się zatrzaskuje.

Osiem — Irga podchodzi do mnie, zdejmując zaklęcie ukrycia.



— Mocno cię zranili? — zapytał, przysiadając przede mną w kucki.

Po tym pytaniu w końcu dogonił mnie szok. Zatrzęsłam się od płaczu, zęby mi szczękały, wykrzykiwałam coś, tłukąc rękami po bruku... Irga poobserwował to kilka minut, po czym z rozmachem wlepił mi jeszcze dwa policzki.

— I nie trzeba mnie bić — powiedziałam i zaczęłam cicho płakać. Okropnie się bałam.

Irga popatrzył na leżących bandytów, na mnie, wzruszył ramionami, wyjął z torby jakąś fiolkę i podał mi. „Gorzej mi już od tego nie będzie” — stwierdziłam i spróbowałam łyknąć. Okazało się, że w środku był proszek, który należało wdychać. W rezultacie zasnęłam, rozpaczliwie kaszląc.

\*

Budziłam się z trudem, coś mnie uciskało w bok, przeszkadzając rozciągnąć się wygodnie. Łóżko było dziwnie twarde. Oczy uparcie nie chciały się otworzyć. Nadpływały i oddalały się znajome głosy.

— ...Skąd mam wiedzieć, komu wychlapała...

— ...Pleciuga...

— ...Moja wina, nie upilnowałem...

Próbowałam się przeciągnąć i krzyknęłam — ramię przeszył mi ostry ból.

— Otwórz oczy, złotko — odezwał się nade mną Otto, pieszczotliwie, jakby mówił do niemowlęcia.

Obu na raz nie dałam rady, ale lewym uważnie obejrzałam srebrne zapinki w brodzie przyjaciela.

— Zuch! — ucieszył się. — leż i nic się nie martw, nikt cię tu nie skrzywdzi. Nie jesteś ciężko ranna. Tylko nogi cię jutro będą boleć.

Podniosłam się ze stękaniem i rozejrzałam już dwojgiem oczu.

— Gdzie jestem? — Głos miałam ochrypły.

— U mnie w domu, a niby gdzie? — odpowiedział Irga.

Siedziba nekromanty! A to dopiero! Pokręciłam głową.

Mieszkanko mnie rozczarowało: malutkie, ciasne, zwyczajny pokój, jaki przydziela się biednym pracownikom państwowym jako lokal służbowy.

— E, ładnie tu... — wykrztusiłam nieprzekonująco.

— Przysięgam uroczyście — powiedział Irga, wznosząc oczy ku

sufitowi. — Jak tylko będę miał własny dom, obwieszę wszystkie ściany czarnymi kotarami, i wszędzie porozkładam szkielety i czaszki dla ozdoby. I zahoduję czarnego kota.

Zalałam się rumieńcem. Właśnie tak wyobrażałam sobie miejsce, gdzie powinien mieszkać nekromanta.

— No, to opowiadaj, przez kogo dzisiaj nie poszedłem do pracy?

— Przez Stefana — powiedziała nieoczekiwanie dla samej siebie.

Reakcje moich przyjaciół były rozmaite. Irga ironicznie uniósł brew, a wzburzony Otto potargał się za brodę.

— A kim jest Stefan? — zapytał nekromanta. — To coś, co się z tobą regularnie liże?

Zdziwiło mnie to, bo od początku mojej znajomości ze Stefanem Irga znikł z horyzontu. Skąd wiedział?

— Ola, ja też go nie lubię, ale co ci przyszło do głowy? — powiedział Otto.

— Stop, stop, najpierw wy mi wszystko opowiedzcie.

— Co tu opowiadać? — westchnął Irga. — Idę sobie do roboty, a ty ty wylatujesz z za węgła, a co dalej już wiesz. Potem zawlokłem cię do siebie, bo było bliżej, posłałem wiadomość Ottonowi. Otto zawiadomił twojego Opiekuna i przyleciał tutaj. Siedzimy, czekamy, kiedy się ockniesz.

Ciekawe, jakim sposobem nekromancki posłaniec — malutki magiczny latacz z wiadomością — przeniknął na teren akademika krasnoludów? Pewnie zaalarmował wszystkie zakłęcia ochronne. Ależ tam teraz musi być rechwach...! Przyjemnie być znowu bohaterką dnia.

Usiadłam wygodniej i wyłożyłam swoje argumenty:

— Po pierwsze, Stefan od samego początku naszej znajomości interesował się artefaktami. Po drugie, zaproponował, żebym mu je oddała na przechowanie. Po trzecie, tylko on, Otto i Lira wiedzieli, że kolczyki wtopiłam w szpilkę, do której jest potrzebna magiczna pułapka. Po piąte, on sam mi wyznaczył spotkanie, na które nie przyszedł — pewnie po to, żeby przygotować zasadzkę.

— Kiedy zdążyłaś rozpaplać o magicznej pułapce? — nachmurzył się Otto.

— W knajpie, kiedy ty robiłaś słodkie oczy do Liry — odgryzłam się.

— Jaaa? Do ludzkiej kobiety? Oczy? Myśmy omawiali plan ratowania

ciebie!

— Aha, to się teraz tak nazywa?

— Wyrwę ci ten ozór...

Kłótnię stłumił w zarodku Irga, który na prawach pana domu zaproponował nam ostudzenie się w lodowatej wodzie.

— A kolczyków nie mogła ściągnąć na przykład Lira?

— Mogła je ukraść z dziesięć razy jeszcze wtedy, kiedy się walały u mnie w pokoju, albo poprosić mnie o szpilkę. Ja bym jej dała, a szpilka traktuje Lirę przyjaźnie. W ogóle ciężko mi sobie wyobrazić Lirę w gronie bandziorów. Nawiasem, mam pytanie do hojnego darczyńcy: co to za kolczyki, że z ich powodu od tygodnia żyć mi nie dają różni osobnicy?

— No, takie dobre kolczyki. — Irga próbował się wykręcić.

— Irga!

Nekromanta westchnął.

— Nie podnoś na mnie głosu! To nie ja całuję się z kim popadnie i nie ja latam potem półgoły po ulicach!

— Zazdrosny?

— Jeszcze czego! Jestem po prostu zniesmaczony twoim zachowaniem.

Otto parsknął. Zastanowiłam się i zaczęłam mękościć:

— No, Irga, ale powiedz! Zabiją mnie, a ja nawet nie będę wiedzieć dlaczego!

— Nie zabiją cię — oznajmił nekromanta stanowczo. — To dość potężny artefakt, chroniący przed pomroką. Każdą. Reaguje na energię powłoki cielesnej.

— Jak ochrania? — Otto przestał się dąsać i zainteresował tematem.

— Uprzedza, że jest blisko.

— Przecież takich artefaktów jest od groma. Każdy mag bojowy ma ich pełno.

Irga skrzywił się.

— Oła, aktywowany artefakt może ogłuszyć do pięciu sztuk pomroki. I nawet nie potrzebuje ładowania u Mistrza Artefaktów — sam się podładowuje energią właściciela, przy czym nie ciągnie całej od razu tylko po troszeczkę.

Otto zagwizdał, a mnie się usta otworzyły ze zdumienia, więc zamknęłam je prędko, przygryzając sobie język.

Kiedyś, sto lat temu, samoładujące się artefakty zrobiły się niepopularne. Ich wytwarzanie wymagało ogromnej magicznej energii i skomplikowanych zaklęć. Poza tym, nastrajane na jednego człowieka, bardzo niechętnie przechodziły z rąk jednego właściciela do drugiego. O wiele prościej było seryjną metodą natrzaskać artefaktów, które po użyciu rozładowywały się i wymagały pójścia do warsztatu Mistrzów Artefaktów, gdzie siedziała para magów — teoretyk i rzemieślnik. Teoretyk transmitował energię, a rzemieślnik kierował ja tam gdzie trzeba. Dlatego tak ważne były dla mnie zajęcia z magii rzemieślniczej — to by mi pozwoliło w przyszłości samodzielnie ładować artefakty i z nikim nie dzielić się zyskiem.

I wszystko ładnie. Tylko kiedy w nieprzyjemnej sytuacji majta ci się na szyi garść pustych artefaktów, zdajesz sobie sprawę, jak dobrze byłoby mieć jeden, choćby malutki, samoładujący się.

— A dlaczego kolczyki siedziały cicho, kiedy twój zombi mnie capnął za nogę? — oburzyłam się.

— Dlatego, że artefakt nie był aktywowany! Tym bardziej, że ja byłam jego poprzednim właścicielem i zombi podniosła moja magia. Nawiasem, kolczyki tak czy owak zareagowały.

Rzeczywiście, niepotrzebnie się na Irgę gniewałam.

— Oła... Nie chcesz problemów, to mi je oddaj — powiedział Irga przymilnie.

— O nie! — Chciwość po raz kolejny wzięła u mnie górę nad rozsądkiem. — te kolczyki słicznie wyglądają na mojej szpilce. Nie oddam!

\*

Rano nasza malownicza kompania powędrowała w mury rodzimego uniwersytetu. Ja otulałam się płaszczem Irgi, jęcząc i kulejąc. On w milczeniu wymyślał wiarygodne usprawiedliwienie nieobecności w pracy. Otto po bezsennej nocy był posępny i milkliwy.

Na uczelni czekało nas szczegółowe przesłuchanie u dziekana. Oświadczył, że trzech pierwszoz rocznych praktyków znalazło się w lazarecie, nieprzytomnych, a kiedy ich rozpoznam, niedoszłych rozbójników czeka kara.

Potem przyprowadzono Stefana. Konfrontacji domagał się Bef, a Irga gorąco go popierał.

Stefan absolutnie oznajmił spokojnie:

— Nie zorganizowałem zamachu na swoją dziewczynę.

— A kto zorganizował?

— Nie wiem.

Pod zaklęciem prawdomówności powtórzył to samo. Śledztwo zabrnęło w ślepy zaułek.

— Dobrze... — zaczął Bef złowieszczym tonem, ale cicho siedzący w kącie Irga nagle drgnął i zapytał:

— Kto pytał cię o artefakty Oli, które podarował jej nekromanta?

Stefan poczerwieniał z wysiłku, ale nie mógł nie odpowiedzieć.

— Rojtor Lewon.

— Czy pytał cię o własności artefaktu?

— Tak.

— Mówiłeś mu, gdzie może znajdować się Ola w takim czy innym momencie?

— Tak.

— Czyj był pomysł, żeby zaprosić Olę na randkę?

— Jego.

— Po co mu potrzebny artefakt?

— Chciał go sprzedać. Potrzebne mu pieniądze na narkotyki.

Dziekan się zachłysnął.

— Taki przyzwoity młody człowiek, z dobrej rodziny...

Irga beznamiętnie kontynuował:

— Co dostałeś za informację?

— Pięć złociszy. Dwa awansem, trzy obiecał po zakończeniu. Ja też potrzebuję pieniędzy. Zgrałem się w karty.

— Ale żeby sprzedać własną dziewczynę... — wyszeptał Otto.

— Nie sprzedałem dziewczyny, tylko jej artefakt. Nie wiedziałem, że będą do niej strzelać. A dług karciany to sprawa honorowa!

Jeszcze nigdy w życiu nie byłem tak urażona.

— Mnie! Za pięć złociszy!!! Jedna moja odświętna spódnica tyle kosztuje!

Bef się roześmiał.

Dziekan prędko mnie przekrzyczał:

— Tak, wszystko rozumiemy! Jesteście państwo wolni.

— Chwileczkę! — zawołałam i zapytałam Stefana: — Czy ty się ze

mną spotykałeś tylko dlatego, że mogłam mieć drogie artefakty?

— Tak mi powiedziano. Spotykałbym się nawet z krokodylem, gdyby to mi pomogło wyjść z długów! — odparł szczerze mój były chłopak. — Ale całujesz się dobrze.

Otto złapał mnie za łokieć i pociągnął do drzwi, nie pozwalając mi podbić oka zdrajcy.

Kiedy płakałam, siedząc na parapecie, nikt mnie nie pocieszał. Otto udawał, że rozczesuje brodę, a Irga w ogóle patrzył w okno i w żaden sposób nie reagował.

W końcu miałam dość płaczu. Uraza wobec męskiego rodzaju zataiła się gdzieś w głębi. Trzeba bardziej wierzyć przyjaciołom. Mówił mi przecież Otto, że jemu się Stefan nie podoba — ot, ładna buźka w obramowaniu jasnych loczków, nic ponad to.

— Nie będę się więcej prowadzić z byle kim — powiedziałam głośno. — Powinnam poważnie zająć się swoim życiem osobistym! Dlaczego trafiają mi się same męty?

— Nie tylko męty — zauważył nekromanta skromnie.

— Irga, oddam ci te kolczyki — oznajmiłam zdecydowanie. — Nie chcę, żeby mnie podrywali jedynie z powodu rzadkiego artefaktu!

Irga oderwał się od podziwiania nieba i uśmiechnął.

— Po pierwsze, o tym, że posiadasz artefakt o takiej mocy, wie niewiele osób i nie sądzę, że one komuś to wygadają. A po drugie, możesz uważać, że to prezent na nasz ślub, skoro już postanowiłaś poważnie pomyśleć o swoim życiu! — Nekromanta wesoło mrugnął do Ottona i odszedł korytarzem, nie czekając aż wróci mi boski dar mowy.

— Otto, słyszałeś?! — krzyknęłam, spadając z parapetu.

— Co? — zapytał mój przyjaciel niewinnie, po czym dodał: — Czego by Irga nie powiedział, wyraźnie ci to poprawiło humor.

## Rozdział 17. Wilk w owczej skórze

Siedziałam smętna w swoim ulubionym lokalu, oddając się rozmyśleniom i zapijając je piwem, kiedy ktoś raptem klepnął mnie z tyłu w plecy.

— Hej, laseczko, czego tak siedzisz? Nudzi ci się? — zapytał Trochim błaznując.

— Znów się zakochałaś, tak? — rozżłościł się Otto.

— Może i tak! — odparłam gniewnie. Jak tu oddawać się marzeniom w samotności, mając takich przyjaciół?

— Długo nie wytrzymałaś — zauważył Trochim, bezceremonialnie częstując się moimi solonymi orzeszkami.

Machnęłam na niego ręką. Ostatnimi czasy oznajmiłam wszem wobec o swoim obrzydzeniu wobec męskiego rodu i zamiarze prowadzenia się jak cnotliwa zakonnica. Irga założył się z Ottonem o termin zakończenia mojego celibatu. Nekromanta twierdził, że już za miesiąc się znudzę i pójdę szukać sobie nowej rozrywki. Półkrasnolud obstawał, że moja uraza będzie trwała przynajmniej dwa. Wytrzymałam pięć tygodni.

— Bydlę — odezwał się mój najlepszy przyjaciel. — Dwa złocisz psu pod chwost.

— Mówisz o mnie? — zapytałam podejrzliwie.

— Nie — odparł Otto dyplomatycznie. — W przestrzeń. Nie mogłaś wytrzymać jeszcze paru tygodni?

— Dziewczyna nie może wytrzymać. Dziewczyna musi gdzieś umieścić swoje uczucia — powiedział Trochim, pożarłszy wszystkie orzeszki.

— Znam doskonałą kandydaturę — rzekł Otto. — Ale niektórym tu obecnym damom brakuje rozumu.

Skrzywiłam się.

— Otto, nie zaczynaj.

— A co ja mam do tego? — Wzruszył ramionami. — To twoje życie i ty je psuj. Tylko żebyś się potem nie skarżyła.

— Powiedz chociaż, w kim się zakochałaś? — zapytał Trochim.

— Wcale się nie zakochałam. Jedynie odczuwam silne emocje, które popychają mnie... No dobra, dobra. W Illanie.

Otto zagwizdał. Illan był miejscową gwiazdą. Liczba biegających za nim dziewczyn mogła konkurować jedynie z liczbą studentów, chcących zdać sesję.

— Czarno to widzę — wymamrotał.

Otto nie lubił okresów mego zakochania. Po każdym trzeba było mnie uspokajać, pocieszać, zabawiać... I wszystkie te obowiązki spadały na jego kruche półkrasnodzkie ramiona.

— A niby dlaczego nie mogłabym go poderwać? — wzburzyłam się. — Jestem gorsza od innych?

— Mam nadzieję, że mowa o mnie?

No jasne, Irga... Jego umiejętność pojawiania się najmniej odpowiednim momencie była wyćwiczona do perfekcji.

— Porzuć tę nadzieję — odparłam. — Lepiej zamów piwa.

— Otto, nie martw się chłopie. Ola się nie zakochała, tylko po prostu zaczął się u niej sezon polowań i znalazła sobie ofiarę. A teraz będzie ją szcuć. Jak zwą tego nieszczęśnika?

— A nawet jeśli, to co? — najeżyłam się. — Tak, potrzebna mi nowa ofia... nowa miłość! Po wypadku ze Stefanem muszę sobie podwyższyć samoocenę. A zwą go Illan. Z Wydziału Sędziów.

— A dlaczego nie chcesz sobie podwyższyć samooceny ze mną? — zainteresował się Irga.

— Dlatego, że za każdym razem robisz ze mnie głupią — odpowiedziałam po chwili zastanowienia.

Nekromanta wzruszył ramionami.

— Dlaczego zaraz głupią. Po prostu czasami wskazuję ci twoje błędy, i tyle.

— A ja potrzebuję tego, żeby mnie ktoś podziwiał! Żeby wszystkim oczy płonęły z zawiści! I żeby nikt się obok nie wymądrzał!

— O, a Illan akurat idealnie się do tego nadaje — powiedział Irga.

Przewróciłam oczami, a Otto poweselał. Uczestniczenie w hazardzie było lepsze od wycierania moich łez.

— Nie poderwiesz go. — Trochim dopił moje piwo. — Widziałaś jakie dziewczyny się dokoła niego kręcą?

— A ja to niby gorsza?



— To już słyszeliśmy. Powiedz, co jest modne w tym sezonie?

— Wąskie spódnice, malinowe gorsety underbust i kręcone włosy — odrzekłam po namyśle.

— No właśnie! — wykrzyknął Trochim triumfująco. — A teraz popatrz, co masz na sobie.

Kiedy ja oglądałam swój strój — szeroka spódnica z grubej tkaniny, sandały i luźna bluzka, plus kupa błyskotek — Irga usiłował wyciągnąć od Ottona swoje dwa złociszki. Półkrasnolud zaś próbował udowodnić, że to jeszcze nie ten przypadek, to znaczy, że się niezupełnie zakochałam.

— Wąska kiecka i gorset — zmarszczyłam się. — Jak w tym można chodzić?

— Większość nie tylko chodzi — mrugnął do mnie Trochim. — To teraz powszechna damska moda.

— No dobrze, wcisnę się w wąską spódnice!

— On na ciebie nie spojrzy — powiedział Irga.

— Spojrzy! — oświadczyłam stanowczo, wstając z za stołu i kierując się do akademika.

Na początek wygrzebałam ze skrytki pod łóżkiem wszystkie pieniądze zachomikowane na niespodziewane wydatki. Potem zapewniłam sobie pomoc Tomny, opętanej na tle modniarskich nowinek. I razem poszliśmy na zakupy.

Tomna była uszczęśliwiona. No pewnie, mogła wykorzystać swoją obszerną wiedzę o szmatkach w praktyce, otrzymując do tego w zamian moją wdzięczność i kilka napisanych prac domowych, ale nie w tym rzecz.

Na pierwszy ogień poszedł sklep odzieżowy. Ubrali mnie tam w bardzo wąską, długą spódnice z drogiego materiału. Jak się okazało, nie można pod nią niczego nosić — gdyż bielizna się bardzo odznacza i przeszkadza w chodzeniu. Z tyłu spódnica trzymała się na sprytniej sznurówce, zakończonej pyszną kokardą. Chodzenie w tym było praktycznie niemożliwe.

— Jak ty w tym pięknie wyglądasz! — zachwyciła się Tomna.

Zazgrzytałam zębami. Tak, z popijawy, kiedy nogi się człowiekowi płaczą, w takiej kieckie nie wrócisz — chyba że turlając się, albo pełznąąc jak liszka.

Gorset był cudownym fatałaszkiem z malinowego aksamitu —

erotycznym i pociągającym. Kiedy mnie w nim zasznurowano, wytchnęłam na resztkach powietrza:

— Większy rozmiar...

— Tak trzeba! — oburzyła się ekspedientka. — O, nareszcie widać talię i proszę, jak się biust uniósł.

Popatrzyłam w lustro na swój biust uniesiony prawie do obojczyków, fizjonomię siniejąca z braku tlenu i osiłą talię. (Śniadanie próbowało wrócić do żołądka, nie dało rady, więc pokornie ucichło gdzieś w okolicach kości ogonowej).

— Dwa numery większy... umieram...

Ekspedientka rozsznurowała mnie z niezadowolona miną. Odetchnęłam pełną piersią. No to już wiem, dlaczego niemowlęta płaczą — chcą się wyrwać na wolność z mocno zawiązanych powijaków!

Włożywszy zakupy do torby, udałyśmy się do fryzjera. Tam mnie ufryzowali w stylu „młody baranek”, dali mnóstwo zaleceń i wyprawili do sklepu kosmetycznego.

Tomna uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy moja portmonetka opustoszała.

„Polowanie wymaga ofiar” — myślałam posępnie, patrząc na górę toreb na łóżku i starając się nie myśleć o tym, ile wydałam.

\*

Następnego dnia opuściłam pierwszy wykład. Byłam zajęta — usiłowałam rozczesać „młodego baranka”.

— Co ty robisz?! — Do mojego pokoju wpłynęła Tomna ze swoją przyjaciółką. — Takich loków się nie czesze, tylko wzbija palcami! O tak.

Umalowały mnie, wcisnęły w gorset i spódnicę, wetknęły w pantofle i wysłały w nowy, modny świat.

Poruszając się w ślimaczym tempie i chwiejąc na wysokich obcasach, pojawiłam się w audytorium dopiero na trzecim wykładzie. Muszę przyznać, że moje wejście wywołało piorunujące wrażenie. Koledzy gapili się na mnie jak na jakieś nierealne zjawisko — na przykład uprzejmą panią z dziekanatu. Uśmiechnęłam się z przymusem, pomachałam im rączką i próbowałam usiąść w ławce. Przeszkadzała mi w tym ta przekłeta kokarda, do tego kłująca przez tkaninę złotym haftem.

Nie mam pojęcia, o czym mówił wykładowca. To próbowałam rozluźnić sznurowanie gorsetu, to znów poprawić kokardę. Lektor, młody mag, bez przerwy gubił się w temacie, gdyż usiłował mnie dokładniej obejrzeć, nie robiąc przy tym zdziwionej miny. Studenci szeptali między sobą i chichotali.

— Olgierdo! — Wykładowca w końcu nie wytrzymał. — Pani dziś tak zadziwiająco... Czy może pani opuścić salę i nie rozpraszać studentów swoją urodą?

Dumnie (a w każdym razie próbowałam) wypłynęłam z audytorium, odprowadzana rzeniem Trochima. Debiut był zdecydowanie sukcesem.

Krótkimi przebieżkami, zadzierając nieco wyżej spódnicę i zdjawszy pantofle, dotarłam do budynku Wydziału Jasnowidzów i Sędziów. Akurat na koniec trzeciego wykładu udało mi się doprowadzić do olśniewającego wyglądu, wzbijając baranka przed lustrem i poprawiwszy lekko przekrzywioną kokardę z tyłu.

Illan pojawił się na korytarzu, jak zwykle w eskorcie stadka wielbicielek — sama „baranki” w wąskich spódniczkach. Bezwiednie rozkwitłam. Może on posługuje się jakąś magią? Taką wąskiego zakresu, skierowaną tylko na kobiety? Nie, poczułabym.

— Cześć!

Illan przeszedł obok, tylko lekko kiwnąwszy mi głową. Co jest? Zwykle się zatrzymywał i nawet zamieniał ze mną parę słów — ostatecznie to ode mnie zależało, jak zda kolokwia z magii teoretycznej. Wyprzedziłam grupę, ukradkiem zadzierając spódnicę przy tym manewrze, postarałam się robić niewinne spacerowe wrażenie.

— O, Illan, cześć.

Ponownie skinął mi głową, przesuwając po mnie zupełnie obojętnym spojrzeniem. Obiekt westchnień mnie zwyczajnie nie poznawał! No tak, kiedy otaczają cię zewsząd baranki, pojawienie się jeszcze jednego nie wywołuje żadnych emocji.

Zastanawiałam się ponuro, czy w sklepie przyjmą zwrot paradnego stroju, kiedy raptem zobaczyłam znajomą postać.

— Cześć, Irga — przywitałam się z idącym korytarzem nekromantą. Wzdrygnął się i zagapił na mnie, upuszczając niesione książki.

— Ola...? — upewnił się słabym głosem.

Potwierdziłam.

— Wiedziałem, że aspirantura jest szkodliwa dla zdrowia, ale żeby mieć od tego halucynacje...?

— Jakie halucynacje? — Znalazłam kogoś, na kim mogłam wyładować frustrację. — Ubrałam się ładnie i od razu muszę być przywidzeniem? Nawiasem, co ty tu robisz?

— Napawam się twoim widokiem — odparł Irga. — A tutaj przygotowuję się do egzaminu z prawa. Wiesz, ile prawnych subtelności czyha na nekromantę na państwowym stanowisku? No, przestań już się wściekać. Co się stało?

Uraza zalała mnie po czubek głowy. Wysłuchawszy bezładnej opowieści, sprowadzającej się głównie do „tyle czasu zmarnowałam!”, „tyle pieniędzy!”, Irga zauważył beztrosko:

— Przecież mówiłem, że on na ciebie nie spojrzy.

— Zapeszyłeś! — Zeskoczyłam z parapetu, żeby wyrazić cały bezmiar mego oburzenia za pomocą rękoczynów.

Zdradziecka kokarda zaczęła się o haczyk na ramie okiennej. Szarpanie nie pomagało. Irga odczepił mnie i powiedział:

— Chce mi się śmiać, ale obawiam się, że twój system nerwowy tego nie wytrzyma.

Rzuciwszy mu mordercze spojrzenie, próbowałam się oddalić.

— Oła. — Nekromanta przytrzymał mnie za rękę. — Podobasz mi się niezależnie od stroju, słowo honoru! I zawsze cię rozpoznam.

— Dopiero co nazwałeś mnie halucynacją — przypomniałam.

— Bo się zdziwiłem — przyznał Irga szczerze. — Nie sądziłem, że jesteś zdolna do czegoś takiego.

— O, ty jeszcze nie wiesz, do czego jestem zdolna!

— Jakoś się nie boję — odparł nekromanta, otwarcie gapiąc się na mój ulepszony gorsetem biust. — Odprowadzić cię do akademika, czy sama dopełniesz?

— Wytwornie dojdę — poprawiłam, myśląc jednocześnie, ile to będzie mnie kosztowało trudu.

\*

Jeśli sądzą, że łatwo jest rozsypać sprytnie zawiązaną sznurówkę, która znajduje się u was na... powiedzmy poniżej pleców, to się grubo mylicie. Utwierdziłam się w tym przekonaniu po półgodzinnych jałowych wysiłkach zdjęcia spódnicy. Mogłabym ją co prawda rozciąć,

lecz na to nie pozwalało mi skąpstwo i nadzieja, że uda mi się jen ciuch zwrócić do sklepu i odzyskać chociaż połowę ceny. Chciałam zwrócić się o pomoc do Tomny, ale niestety, dziewczyna gdzieś się ulotniła w swoich sprawach.

Otto i Trochim, którzy zjawili się, pchani chęcią poznania rezultatów dzisiejszej defilady, zastali mnie ryczącą wniebogłoso na łóżku. Trochim natychmiast sięgnął za szafę po przyjemnie bulgocący środek uspokajający, a Otto przysiadł obok.

— No, co oplakujemy tym razem?

— Mój nieszczęsny los kobiety! — zawyłam. — Starczyło, że się modnie ubrałam i już wszyscy się na mnie gapią jak na zwierzaka w zoologu! I nie mogę zdjąć spódnicy! A przystojni faceci w ogóle na mnie nie zwracają uwagi!

— Ola, a my ci nie wystarczamy? — zapytał Trochim, podając mi napitek, którego wcześniej przezornie spróbował.

— Nie! — Łyknęłam uspokajacza. — Słyszałam, jak się śmiałeś! Rżałeś jak koń na wypasie!

— To z podniecenia — powiedział Trochim, dławiąc się ze śmiechu. — Twój ty... tylna część ciała wygląda bardzo interesująco z tą kokardką!

— Cicho! — powiedział Otto, zabierając mi butelkę. — Nalewka na mięcie, melisie i walerianie! Najlepsza rzecz na ukojenie nerwów.

— I spódnicy zdjąć nie mogę! — poskarżyłam się, ponownie odbierając półkrasnoludowi flaszkę. On ma stalowe nerwy, jemu niepotrzebna.

— Spódniczkę zaraz zdejmujemy! — ożywił się Trochim.

— Spróbuj — pozwoliłam.

Dziesięć minut później Trochim otarł pot z czoła.

— To normalnie jakiś pas cnoty. Nigdy nie miałem problemów z dziewczynskimi kieckami, aż do tej pory! Otto, twoja kolej.

Półkrasnolud doświadczonym okiem rzemieślnika ocenił pole walki.

— Tu trzeba ciąć!

Moje rozpaczliwe westchnienie zostało przerwane czkawką — nalewka zaczęła działać.

— Nasmarować ją mydłem, sama się wyślizgnie! Albo zawołajmy Irgę, on ma cieńsze palce.

Oba pomysły Trochima wprowadziły mnie w przerażenie.

— Otto, tnij! Tylko ostrożnie!

— Obrażasz mnie! — wysapał mój najlepszy przyjaciel, operując nożyczkami do manicure i starając się przy tym nie wystrzyc sobie brody.

— Słuchaj! — Trochim miał dziś wyraźnie dzień objawień. — A może się trochę pochylisz, żeby jemu było wygodniej ciąć te sznureczki? One się wtedy tak apetycznie naciągną...

Dzięki przyjętemu wcześniej środkowi uspokajającemu tylko zaryczałam, chociaż miałam ogromną ochotę kopnąć troskliwego kolegę.

Tymczasem strumień pomysłów płynął dalej:

— Może by cię prowadzać w takim stanie po uniwerku i pokazywać za kasę? Albo nie, jeszcze lepiej sprzedać prawo ściągnięcia z ciebie spódnicy!

— Skończyłem — wyszeptał Otto z tyłu. — Możesz go teraz udusić.

Z radosnym wizgiem rzuciłam się na Trochima.

Otto wyłowił mnie z góry poduszek i koców. Śmiałam się. Nic lepiej nie poprawia humoru, jak porządna nawalanka. Trochim obmacywał gardło:

— Dlaczego nie poszłaś na magię bojową? Wzięliby cię z pocałowaniem ręki — jako broń drapiąco-piszczącą.

— Dobra spódnica! — Otto patrzył na sprawy praktycznie. — Nawet nie zleciała.

— No chyba. — Uważnie ciągnęłam spódnicę w dół. Spódnica nie poddawała się bez walki — ustępowała razem z kawałeczkami skóry. Przyjaciele śledzili proces z zainteresowaniem — Otto z fachowym, a Trochim — hmmm... Przypomniałam sobie, że pod spódnicą niczego nie mam i, pokazawszy koledze język, schowałam się za szafą.

Wieczór nasza zgodna kompania spędzała, jak zazwyczaj, w knajpie. Mój „baranek”, na rozczesywaniu którego strawiłam bitą godzinę, przekształcił się z sympatyczną falistą fryzurę. Spódnicę podarowałam Ottonowi — bardzo go zainteresował dziwnie czepliwy materiał. Gorset zdecydowałam się zostawić sobie — mimo wszystko, każda dziewczyna w dobrym gorsecie wygląda ładnie.

— Oła, co piszesz? — zainteresował się Otto, próbując mi zajrzeć przez ramię i nie rozlać jednocześnie piwa.

— Mądrości życiowe. Żeby nie zapomnieć.

— No i...?

— Mądrość życiowa numer jeden: nie warto polować na tego, kto cię nie akceptuje w prawdziwej postaci. Mądrość życiowa numer dwa: nie warto być młodą owcą. Mądrość życiowa numer trzy: jednym z warunków szczęścia jest wygodne ubranie.

— Głębokie — zauważył Otto. — Pisziesz list do młodszej siostry?

— Mhm... — Byłam zadowolona. Miło jest komuś przekazać osobiste doświadczenia, udając mądrą staruszkę.

— A co zamierzasz robić teraz?

— O! — Przewróciłam oczami. — Wpadłam na pomysł, jak spędzić z pożytkiem czas wolny!

— Z pożytkiem? — powtórzył półkrasnolud niedowierzająco.

— Z pożytkiem! — Pokiwałam głową stanowczo. — Trzeba się w końcu poważnie zająć nauką! Sesja za pasem!

Trochim z wrażenia upuścił kufel z piwem.

## Rozdział 18. Najlepszy wieczór w życiu

— Ola, Ola! Złotko, wiem, że tu jesteś! — Do mego snu wdarł się głos Ottona. Uh, koniec poobiedniej drzemki.

— Czego chcesz? Śpię! — burknęłam.

— Aha, czyli na Letni Bal nie idziesz? — Półkrasnolud z trzaskiem przedarł się przez zarośla w Gaju Zakochanych, gdzie postanowiłam pospać godzinkę na odosobnionej polance.

— Na jaki Letni Bal? — zapytałam, nie otwierając oczu.

— Ten, który wydaje burmistrz.

Corocznie nasz burmistrz wydawał Letni Bal — najbardziej prestiżowe wydarzenie roku. Tam nawiązywano kontakty biznesowe, spotykały się przyszłe pary małżeńskie, rodziły się intrygi, prezentowali się nowi faworyci i schodzili ze sceny dawni ulubieńcy. Jednym słowem: życie wyższych sfer.

— Nasze gęby nie pasują do tego balu. — Próbowałam powrócić do miłej drzemki.

— Może ty masz gębę — odparł Otto. — Ja mam twarz. A na bal i tak idziemy.

Zerwałam się ze swego posłania i wbiłam w niego wzrok.

— Wygrałam zaproszenie na loterii — powiedział, starannie ukrywając szczęśliwy uśmiech.

— Wygrałeś. Na loterii. Zaproszenie. — Powoli docierała do mnie oszałamiająca informacja.

Na Letni Bal można było dostać się trzema sposobami:

1. Być arystokratą, albo bardzo-bardzo bogatym i doskonale prosperującym przedsiębiorcą lub jego potomkiem

2. Być narzeczonym/narzeczoną któregoś z wyżej wymienionych

3. Wygrać na loterii jedno z dwudziestu podwójnych zaproszeń

Loteria każdego roku wносиła do kasy miejskiej sumę, pokrywającą z nadwyżką wszystkie dziury budżetowe. Nawet najbiedniejsi mieszkańcy Czystiakowa uważali za swój obowiązek kupienie losu — a nuż Pani Pomyślności uśmiechnie się właśnie do nich?

Ja akurat biletu loteryjnego nie kupiłam. Rok temu Otto podliczył



sumę, jaką straciłam na wszelakie loterie, akcje i rozmaite przedsięwzięcia z „nagrodami gwarantowanymi” i surowo zabronił mi tracić pieniądze na głupstwa. Dla pewności prawie cały mój zarobek ze wspólnego interesu wpłacał do banku „na starość”. Z taką koncepcją pogodziłam się nie od razu, ale kiedy spędziłam wieczór na rozliczaniu własnego budżetu i zastanowiłam się nad swoim talentem do rozpuszczania pieniędzy ku radości sklepikarzy, przestałam się oburzać.

— A ty mi zabroniłeś kupować los!

— Zrozum tu kobiety! — westchnął Otto. — Ja jej o balu, a ona o loterii. Ja to nie ty. I jeśli raz do roku kupię dwa losy, to nie pomrę z głodu. Mam ci przypomnieć o „szczęśliwym bilecie”?

— Nie musisz — burknęłam.

Któregoś razu przeprowadziłam rytuał, mający mi zdradzić szczęśliwe dla mnie numery biletów loteryjnych. Okazało się ich dużo. Uczciwie kupiłam wszystkie, wydając na to dwa stypendia i jeszcze pożyczając pieniądze. I wygrałam. Oczywiście, że wygrałam bo rytuał został odprawiony wedle wszelkich prawideł.

Cztery najzwyklejsze drewniane grzebienie. Pięć par sznurowadeł. Mydło. Dziecięcą grzechotkę. Takich drobiazgów zebrała się calutka spora torba. Jedyłą przyjemną wygraną okazała się torba landrynek. Otto, czkając ze śmiechu, przyniósł mi własnoręcznie zrobione podsumowanie mojego bankructwa. Zgrzytając zębami, stałam wtedy dwa dni na rynku, próbując sprzedać cokolwiek i odzyskać część pieniędzy. A potem zawiozłam „wygraną” do domu i oddałam siostrze. Mama dość podejrzliwie wtedy zapytała, czy jej najstarsza córka nie ograbiła przypadkiem jakiegoś ubogiego kramarza?

— Bal! — powiedziałam marzycielsko, kiedy szliśmy z Ottonem w stronę akademika. — Tańce! Suknie! Eleganckie fryzury! Klejnoty!

— Interesy! Kontrakty! Korzystne znajomości! — zawtórował mi półkrasnolud.

— Otto, potrzebne mi pieniądze! Nie mogę wyglądać na balu gorzej od innych!

— Wiedziałem, że to powiesz! — westchnął Otto. — Tu masz swoje pieniądze, wybrałem je z konta. Postaraj się rozporządzić się nimi rozumnie, dobrze?

Pokiwałam głową.

— Potrzebna mi twoja pomoc. Żeby nie dać się złapać na podróbki twoich krewniaków. Chcę mieć wszystko najwyższej klasy!

— Moi krewni robią podróbki wyłącznie najwyższej klasy! — obraził się półkrasnolud i sam zaczął się zastanawiać:

— Ja też przecież będę musiał ubrać się przyzwoicie. Krawat! — dotarło do niego. — Nienawidzę krawatów! Nowy surdut, trzewiki... Ech...

— I wszystko modne! — dobiłam go.

Otto w zadumie potargał się za brodę.

Nagle pewna myśl kazała mi się zatrzymać.

— A jeśli mnie nikt, zupełnie nikt nie poprosi do tańca? I przestoje pod ścianą najlepszy wieczór w moim życiu?

— Chciałbym mieć twoje problemy — machnął ręką Otto. — Do pierwszego tańca ja cię poproszę, a potem będziemy nawiązywać korzystne znajomości. Nie będziesz miała czasu się nudzić.

— Ty umiesz tańczyć? — zdziwiłam się.

Otto poczerwieniał i postanowiłam nie drażnić tematu.

Ostatnimi czasy zaczęłam dość często chodzić po modnych sklepach. Wydorosłam, czy co? Jak by nie było, do balowych przygotowań odniosłam się bardzo poważnie. I rzeczywiście kupiłam wszystko co najlepsze. Na prawdziwe brylanty nie było mnie stać, ale nabyłam naprawdę bardzo przyzwoitą biżuterię. Musiałam też oddać się w ręce fryzjerki, która długo czarowała nad moimi włosami, przy akompaniamencie ochów i achów Liry.

Przyodziałam się we wszystkie nowe wspaniałości na godzinę przed rozpoczęciem balu. Odwróciłam się do lustra i otworzyłam oczy, by zamrzeć w zdumieniu. Widziałam jednocześnie siebie i nie-siebie. Suknia, która kosztowała zawrotną sumę czterdziestu złociszy — moje czteroletnie stypendium! — leżała na mnie cudownie. Podkreślała to, co należało podkreślić i ukrywała to, co należało ukryć. Gdzieś się podział brzusek, talia wysmukłała, biodra zaokrągliły, a biust kusząco uniósł. Zdaje się, że odkryłam sekret elfek — starczy taka sukienka i każda jedna jest pięknnością! Przeszłam się po pokoju, przyzwyczajając się do zgrabnych pantofelków na niskim obcasiku. Suknia zamigotała błękitnymi cekinami, moje ruchy straciły zwykłą kanciastość, stały się płynne i taneczne. Znów popatrzyłam na swoje odbicie. Jakim cudem nie

zauważyłam wcześniej tej długiej, dumnej szyi? Dlaczego nie dostrzegałam łuków czarnych brwi i wyrazistych szarozielonych oczu? Zgrabnego noska? Wypukłych warg? Albo bujnych włosów, spadających na odkryte plecy pięknymi falami?

— O, Siły Niebieskie! — jęknęłam. — Sukin kot! Naprawdę jestem taka piękna?

Lira wzruszyła ramionami. Zazdrość ją zjadała.

Rozległo się pukanie. Do pokoju wszedł szacowny krasnolud w rzetelnym zielonym surducie, przepasanym szerokim skórzanym pasem ze srebrnymi ćwiekami. Na pasie wisiał niewielki toporek z artystycznie grawerowanym ostrzem. Brązowe spodnie do kolan i pończochy podkreślały krzepkie, muskularne nogi. Zgrabne zielone pantofle bezgłośnie stąpały po podłodze. Popatrzyłam na brodę, dziwacznie zaplecioną w warkoczyki, na których błyskały ozdoby, na starannie rozczesane włosy i spytałam niepewnie:

— Otto...?

— To ty, Ola? — odezwał się krasnolud.

— Ja.

— Co ty z sobą zrobiłaś?

— A ty?

— Spędziłem dzień u fryzjera — rzekł półkrasnolud dumnie. — Przepięknie wyglądasz.

— Ty też.

— Ile kosztowała ta kiecka? — zapytał przystojny i czarujący krasnolud, zmieniając się z powrotem w mojego przyjaciela Ottona.

— Dużo — odpowiedziałam oględnie. — Ja w niej jeszcze niejedyn raz za mąż wyjdę i jeszcze zostawię dzieciom w spadku.

— Niejedyn raz... — Otto uśmiechnął się pod nosem. Podeszedł bliżej i westchnął. — Jestem od ciebie niższy o głowę. Wyśmiej nas.

— Nic podobnego! — powiedziała Lira. — Teraz to jest w modzie, żeby być niższym od partnerki. Nowa kochanka króla jest od niego wyższa o półtorej głowy!

— Pocieszyłaś mnie — mruknął Otto. — Chodźmy już. Wynajęłam dorożkę, lecą pieniądze za postój.

— A po co ci topór? — zapytała jeszcze Lira.

— Oficjalny krasnoludzki topór rytualny. Dozwolony na imprezach

publicznych.

— Tępy, czy jak?

— Przecież ci mówię, że rytualny! — zdenerwował się półkrasnolud.  
— Żaden zdrowy na umyśle krasnolud nie użyje go niezgodnie z przeznaczeniem. On jest tylko do honorowych pojedynków albo zawierania braterstwa krwi.

— Ach, Otto, to będzie najwspanialszy wieczór w moim życiu — powiedziała, wchodząc do dorożki. — Wieczór, o jakim można tylko marzyć!

Mój przyjaciel się uśmiechnął.

— Poczekajcie! — rozległ się krzyk i podbiegł do nas Trochim. — Wy na bal? Podwieziecie mnie?

Mój kolega był ubrany wymyślnie i oficjalnie, choć jego mina nie wyrażała szczególnej radości. Siedząc w dorożce, z zainteresowaniem oglądaliśmy się nawzajem.

— Ty też na bal? — zapytał w końcu Otto.

— Tak. Lidia mnie zaprosiła. Nienawidzę oficjałek.

— Co za Lidia?

— Moja nowa dziewczyna. Córka zastępcy burmistrza.

Oboje z Ottonem wymieniliśmy zdumione spojrzenia.

— Od kiedy to biedny student-teoretyk może mieć za przyjaciółczkę córkę zastępcy burmistrza? Czy my czegoś o tobie nie wiemy?

— Od czasu, jak ją uratowałem, bo się topiła w rzeczce. Chciała się wykazać samodzielnością i sama wybrała się na spacer. A teraz wczepiła się we mnie jak rzep. A głupia jak but.

— To dlaczego z nią jesteś? — zdziwiłam się. — Skoro taka głupia?

— Bo ten but jest pełen pieniędzy — odparł Otto filozoficznie. — Poza tym pozycja jej tatusia wymusza co najmniej uprzejme traktowanie.

Trochim kiwnął głową smutnie.

— Nawiasem, ledwo was poznałem. Jakoś podejrzenie przyzwoicie się prezentujecie. A ty to już w ogóle wyglądasz jak normalna dziewczyna.

Już otworzyłam usta, żeby zaprotestować, kiedy powietrze przeszył przeraźliwy pisk:

— Trochiiiiim!!! — Źródło dźwięku zbliżało się do nas po schodach

miejskiego domu zebrzań.

— Lidia — westchnął Trochim.

Podczas gdy uszczęśliwiona dziewczyna obejmowała swojego kawalera, miałam okazję ją sobie obejrzeć.

Suknię miała najprawdopodobniej szytą na zamówienie. W każdym razie w żadnym ze sklepów nie widziałam takiego nagromadzenia różowych riuszek i koronek, tworzących razem kompozycję pod tytułem „Siodło na krowie”. Długie blond włosy Lidii były ułożone w skomplikowaną fryzurę, zdobną taką ilością drogich kamieni, że dziewczyna poruszała obciążoną głową z trudem i powoli, na wszelki wypadek podpierając ją ręką.

— Jakim cudem nie złamała sobie karku? — szepnął do mnie Otto, fachowym okiem oceniwszy globalny ciężar kamieni we włosach, diademu i kolczyków.

— Arystokratka — odszepnęłam. — Gdzie tam nam do niej.

Kiedy obejrzałam damy, obecne na balu, moje przekonanie o własnej niezwyklej urodzie zbladło. Dokoła widziałam blask klejnotów i słyszałam szelest kosztownych sukien. Stukot obcasów firmowych pantofelków na marmurowej posadzce. Każda z obecnych zachowywała się tak, jakby nie był to cudowny wieczór, a zwykłe spotkanie towarzyskie, jakie się zdarza każdego dnia. I jakby wyglądały tak nawet rano, wstając z łóżka.

— Ola... — Otto szarpnął mnie za rękę. — Popatrz na mnie. A teraz powtarzaj: jestem tutaj najpiękniejsza! Wszyscy faceci padną mi do stóp! Podpiszemy korzystne kontrakty!

— Jestem taka niepozorna! — Patrzyłam na siebie w ogromnym lustrze w holu. Suknia leżała jakoś krzywo, uczesanie zdążyło się lekko roztrzepać, a makijaż odznaczał się na bladej skórze.

— Patrz na mnie! — powtórzył mój przyjaciel. — I przestań się gryźć! Czy ty możesz wyglądać źle w takiej sukni? Ile za nią dałaś? A patrz na tę babę. Dam sobie rękę uciąć, że ma na sobie suknię z pracowni mojej wujecznej kuzynki! A ty masz prawdziwą elficką! I patrz tylko, jak ona ją pogrubia!

Zastanowiłam się. Potem popatrzyłam na siebie w zwierciadle. A jednak dobrze wyglądałam!

— No i ładnie, no i pięknie! — powiedział Otto, błyskawicznie

wyłowiwszy zmianę mego nastroju. — Jeszcze jedno pytanie: wzięłaś choć jeden artefakt? Nie boisz się, że ktoś rzuci na ciebie klątwę w tym kłębowisku zmij?

— Obrażasz mnie! — odrzekłam. — Przyjrzyj mi się dobrze.

Półkrasnolud przyjrzał się. Oczywiście wszystkie tanie artefakty musiałam zdjąć. Generalnie w sprzedaży były artefakty stylizowane na klejnoty, ale ja nie miałam na nie pieniędzy. A całkiem bez artefaktów nie mogłam się obejść, więc mój wytworny kok przytrzymywała ulubiona szpilka.

— No, będziemy mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze — powiedział Otto, próbując szarpnąć się za brodę, ale w porę cofnął rękę. Nagle zrozumiałam, że denerwuje się równie mocno jak ja, tylko stara się tego nie okazywać. Od razu zrobiło mi się źlej na duszy.

— Idziemy zdobywać szczyty — oznajmiłam rześko, biorąc go pod rękę.

Po krótkiej przemowie powitalnej burmistrza zaczęły się tańce. Otto zrobił krok w stronę sali, gdzie grano w karty, ale w porę go zatrzymałam.

— Obiecałeś mi taniec!

Otto się zmieszał.

— Ja źle tańczę.

— Otto!

— Umiem tańczyć tylko walca!

— Otto!

— Jestem od ciebie niższy!

— Rozejrzyj się dokoła! — zasyczałam.

Posłuchał. Lira miała rację. Wszystkie dziewczyny były wyższe od swoich towarzyszy. Niektóre musiały w tym celu pomóc sobie niebotycznie wysokimi obcasami, bardziej przypominającymi szczudła. Tu i tam ofiary mody w tańcu przytrzymywały się kurczowo swoich partnerów. Kołyszące się tam i sam wysokie damskie fryzury wyglądały jak brzozowy zagajnik na silnym wietrze.

Otto, z miną wyrażającą pokorę wobec okrucieństwa losu, podał mi rękę. Tańczył nieźle, ale marszczył się przy tym wściekle, co psuło efekt.

— A dlaczego...? — zaczęłam, jednak półkrasnolud nastąpił mi na nogę.

— Liczę takty! — warknął. — Raz-dwa-trzy! Raz-dwa-trzy! Patrzę, gdzie którą nogę postawić! A ty mi przeszkadzasz. Chcesz tańczyć czy nie?

— Dobrze, dobrze, nie wściekaj się, będę cicho.

Kiedy taniec się skończył, mój przyjaciel otarł pot i powiedział:

— Idę zająć się interesami. Jakby co, to cię zawołam.

Zostałam sama pośrodku sali balowej, pełnej nieznajomych.

— Do jakiego stopnia niektórzy kochają pieniądze! — zawarczałam.

— Olgierda?

Obróciłam się gwałtownie. Przede mną stał Blondas Lim we własnej osobie. Z jego łokcia zwisała dziewczyna, która jakby przed chwilą zesłała z okładki żurnala.

— Dobry wieczór — powiedziałam, gorączkowo przypominając sobie prawidła etykiety. — Piękna dziś pogoda, nieprawdaż?

— Daj spokój, Olgierda — roześmiał się Lim. — Nigdy nie byłaś światową damą.

Obraziłam się, ale nie mogłam sobie przypomnieć ani jednego światowego przekleństwa, więc milczałam.

— Zatańczymy? — zaproponował Blondas.

Dlaczego by nie? Zgodziłam się.

Lim odczepił od siebie ślicznotkę i objął mnie w talii.

— Mam nadzieję, że umiesz tańczyć? — zapytał.

— Oczywiście — odparłam z godnością. Kupię mamie nową spódnicę. Winna jej jestem dozgonną wdzięczność za to, że ganiała mnie na lekcje tańca.

Blondas tańczył bosko. Dosłownie płynęłam po parkiecie, krążąc jak piórko w jego silnych i umiejętnych rękach.

— Z pewnością jesteś tu jedyną zdrowo myślącą osobą płci żeńskiej — powiedział Lim. — Powspinały się na te obcasy, ani normalnie zatańczyć, ani pospacerować po ogrodzie...

Skinęłam tylko głową. Byłam cała owładnięta tańcem i niezależnie od tego, co mówiłby Blondas, i tak bym tylko kiwała głową i uśmiechała się.

— No dalej, Olgierda! Podtrzymuj rozmowę! Jak ci się podobają ostatnie cmentarne nowiny?

— Jakie?

— Nie słyszałaś? Twój fatygant nekromanta ci nie powiedział?

— On nie jest moim fatygantem! — oburzyłam się z przyzwyczajenia. Kiedy ostatni raz widziałam Irgę? Dawno. Jakies półtora tygodnia temu. Wybierałam wtedy sukienkę, nie mogłam się zdecydować i poprosiłam o radę. Irga z uśmiechem zaproponował, żebym poszła goła albo we włosiennicy — na pewno będzie oryginalnie. Obrażona, trzepnęłam go otrzymanym bukietem i więcej już nekromanta nie pokazywał mi się na oczy.

— Jeszcze jeden taniec? — zapytał Blondas.

Bardzo chciałam powiedzieć „tak”, ale duma mi nie pozwalała.

— Milczenie to oznaka zgody — oznajmił Lim i ponownie mnie objął.

— Jakie to nowiny? — spytałam, płonąc z ciekawości.

— Na miejskich cmentarzach pojawił się jakiś wariat. Rozkopuje mogiły, zbiera armię zombi i zabija wszystkich włóczących się po nocach. Nekromanci ze służb miejskich i strażnicy już od tygodnia patrolują cmentarze i ulice, ale na razie nikogo nie złapali.

— A ile jest ofiar?

— Na razie sześciu ludzi, ale myślę, że będzie więcej. Wieści się rozchodzą, pojawiają się chętni, by własnymi rękami złapać tego maniaka. A jemu w to graj. Tym bardziej, że przewidziano sporą nagrodę.

— I żadnych podejrzanych?

Lim wzruszył ramionami.

— Ja się tym nie zajmuję. Po prostu opowiedziałem ci, co nowego.

— A czym ty się teraz zajmujesz? — zapytałam. — Dlaczego nie wróciłeś do stolicy po zakończeniu studiów? Masz tam przecież rodziców?

— Robię tutaj studia doktoranckie. Tym bardziej, że rodziców mam już dość.

Chyba rozumiałam, w czym rzecz. W stolicy takich błękitnokrwistych latorośli było tyle, ile pcheł na jeżu. A Lim wolał być pierwszą żabą w małym bagienku niż tylko jedną z pierwszych w wielkim.

— A czemu to cię interesuje? — spytał Blondas.

— Po prostu...

— O swoich przeciwnikach należy wiedzieć jak najwięcej, tak? —



Lim uśmiechnął się i nagle zrozumiałam, dlaczego ugania się za nim tyle dziewcząt.

— Nie jesteś moim przeciwnikiem.

— A ty dla mnie tak.

— Dlaczego?

— Przecież jesteś nastawiona przeciwko mnie, czyli przeciwnik.

— Nie jestem przeciwko tobie. — Niech mówi co chce, byle tylko dalej tańczył.

— Przecież nie podobają ci się moje metody. I starałaś się nie mieć do czynienia z żadnym z moich przyjaciół. Myślisz, że tego nie widzę?

— Nie myślałam o tym w ten sposób. — Zdaje się, że cały uniwersytet wie, że oboje z Limem nie bardzo się lubimy.

— Oboje z półkrasnołudem uniemożliwiliście mi prowadzenie interesów — oznajmił Blondas całkiem poważnie.

Napięłam uwagę.

— Jakich interesów?

— Chcieliśmy dostarczać alkohol do miejskich oberży. Jednak większość kanałów została zajęta przez krasnołudy — nie bez waszego udziału.

— Owszem — odpowiedziałam z dumą. Sami nie zajmowaliśmy się dostawami spirytualiów, lecz zabezpieczaliśmy ciągłą możliwość zajmowania się tym innym — szukaliśmy nabywców, podkupialiśmy straż miejską, studiowaliśmy rynek i służyliśmy jako pośrednicy. Oczywiście, za wszystkie te działania otrzymywaliśmy niewielkie, lecz stałe wyrazy wdzięczności w brzęczącej monecie.

— Może nawiążemy współpracę? — zaproponował Lim. — Przechodźcie pod moje skrzydła. Procent będzie większy, jak również szacunek. We władzach miejskich nie jestem ostatnim człowiekiem.

Dokładnie przemyślawszy sytuację, uczciwie odpowiedziałam:

— Raczej nie.

Ani ja, ani nasi partnerzy nie mieliśmy podstaw, by ufać Limowi. A to, że usiłuje on zagarnąć dla siebie całą władzę i zyski, było oczywiste. Tym bardziej, że wszyscy znali negatywny stosunek Blondasa do mniejszości rasowych.

— Nie płądcie mi się pod nogami — oznajmił Lim. — Uprzedzam cię po starej znajomości. Nie masz pojęcia, co się tu kroi. A wy ze swoim

biznesikiem psujecie mi krew.

Odważnie spojrzałam mu w chłodne, twarde oczy:

— Możesz robić, co tylko chcesz, ale my nie zerwiemy swoich zobowiązań.

— Proponowałem wam udział w zyskach. Teraz macie pretensje tylko do siebie.

Wzruszyłam ramionami.

Blondas nagle znów przeistoczył się w uroczonego młodzieńca.

— I to jest to. Mój ojciec mówił, że należy sobie wybierać godnych przeciwników. A ty i Otto jesteście godnymi przeciwnikami.

Kiedy nad tym rozmyślałam, Lim zmienił temat.

— Wyglądasz dziś po prostu przepięknie. Ledwo cię poznałem, gdyby nie ten mieszaniec...

— Nie nazywaj go tak!

— Nie będę. Przejdziemy się po ogrodzie?

— Nie chcę! — Chciałam jak najszybciej porozmawiać z Ottonem.

— Przemyśl to — powiedział Blondas, umiejętnie zakręciwszy mną w tańcu.

Musiałam mocniej się do niego przycisnąć, żeby nie upaść. Blondas nagle delikatnie pogładził mnie po nagich plecach gorącą dłonią. Po skórze przebiegł mi dreszcz.

— Od dawna marzyłem o spacerze z tobą, po ogrodzie... Pokazałbym ci altanki. Zapewne jesteś bardzo interesującą... hmm... rozmówczynią. Dziką, niezależną, nie to, co te wyrafinowane lalunie. Które nawet w łóż... w altance zachowują konwenanse.

— Co ty mówisz — wydukałam, czując jak zdradziecko słabną mi kolana.

— Chodźmy, pokażę ci! — wyszeptał Blondas do mego ucha, nie przestając mnie gładzić.

Poczułam, jak się rumienię. Dlaczego niczego w życiu nie można otrzymać po prostu tak, zwyczajnie? Wystarczyło, że rozluźniłam się na chwilę, zaczęłam czerpać przyjemność z tańca i natychmiast przyszło mi za to zapłacić.

Lim ostrożnie wsunął dłoń pod moją suknię. Stałam jak słup soli, czując ogarniające mnie na przemian fale żaru i lodowatego zimna.

— Ja nie jestem tym twoim nekromantą — mruczał Blondas. — Nie

będę stał w milczeniu z boku i przelykał ślinę. Pokażę ci, co znaczy prawdziwy mężczyzna.

Pochylił się lekko i pocałował mnie w usta.

Pocałunek był przyjemny. Nawet złapałam się na tym, że odruchowo zaczęłam go odwzajemniać...

Plask! Policzek zostawił na twarzy Blondasa czerwoną plamę. Odsunął się, szeroko otwierając oczy. Próbował złapać mnie za rękę, lecz okazałam się szybsza. Plask! Kiedy zdążyłam przekręcić pierścionki kamieniami do wnętrza dłoni? Do czerwonej plamy na policzku dołączyły dwa zadrapania.

— Ach ty szmato! — zasyczał Lim, łapiąc mnie za rękę. — Jeszcze tego pożałujesz!

Tańczące dokoła pary zatrzymały się i zaczęły z zainteresowaniem obserwować zajście.

— To wszystko na co cię stać? — zapytałam drwiąco, chociaż okropnie chciało mi się płakać. — Grozić dziewczynie?

Lim powoli przesunął ręką po policzku, wycierając krew. Popatrzył na swoje palce i rzekł:

— Jeszcze tego pożałujesz.

— Nie, to ty pożałujesz! — wrzasnęłam, starając się wyrzucić z własnej głowy uczucie, że jestem brudna. — Jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, to... to...

— Napuścisz na mnie swojego absztyfikanta? — Lim uśmiechnął się brzydko.

— Nie! Rozprawię się z tobą sama. I dowiesz się, że zemsta kobiety jest najstraszniejsza ze wszystkich! — Powiedziałam to z pewnością, o jaką bym sama siebie nie podejrzewała.

— Ach ty! — Lim zamachnął się, ale jego rękę złapał Otto.

— Tylko spróbuj! — powiedział. Za plecami mego przyjaciela stało, zatknąwszy kciuki za szerokie pasy, czterech potężnie zbudowanych krasnoludów. Patrzyli na Blondasa tak, że nie było wątpliwości, jak się dla niego skończy ewentualna bójka.

— Jeszcze pożałujecie! — powiedział Lim po raz ostatni i poszedł.

— Co się tak gapicie? — zwrócił się najgrubszy z krasnoludów do publiczności. — Tańczyć!

Gapie odwrócili się skwapliwie.

— Chodźmy — powiedział Otto łagodnie, obejmując mnie za plecy. W milczeniu skinęłam głową.

Wyszliśmy do ogrodu i usiedliśmy na ławce. Jak zawsze po napięciu nerwowym czułam się tak, jakby coś wysssało ze mnie wszystkie siły. Westchnęłam spazmatycznie, a Otto zakomenderował ostro:

— Stop! — i podał mi czystą chustkę do nosa. — Przyłóż do oczu, bo sobie zmyjesz całą kosmetykę. A teraz płacz.

— O co poszło? — zapytał nieco później.

— On zaproponował mi... Ogólnie, robił nieprzyzwoite propozycje. I pocałował mnie.

Przy nikłym blasku ognika poprawiałam makijaż.

— Zabiję go, chcesz? — zaproponował mój przyjaciel, gładząc ostrze rytualnego toporka.

— Nie trzeba. A niech go.

— Jak chcesz, oczywiście. Ale...

— Lepiej tego nie mówić Irdze! — zakończyliśmy chórem.

— Skąd się tam wzięłaś akurat w czasie kłótni? — zapytałam.

Otto pomógł mi wstać i poszliśmy w stronę sali balowej.

— Przecież my byliśmy w sąsiednim pokoju — powiedział półkrasnolud. — A drzwi były otwarte. Patrząc, zebrał się tłum. No to koniec, pomyślałem, Ola rozrabia. I pobiegłem rozdzielać.

— Jak to, jeżeli tłum, to od razu ja jestem winna? — oburzyłam się.

— A nie miałem racji?

Westchnęłam. Nie mogłam zaprzeczyć.

— Nawiasem, Otto, jest taka sprawa. Blondas chce zmonopolizować dostawę alkoholu w Czystiakowie i okolicy. I proponuje nam współpracę.

Wysłuchawszy mnie, Otto poszarpał się za brodę i nagle się uśmiechnął:

— Nie umie prowadzić rzeczowych rokowań. Nie wyszło tak, to postanowił cię uwieść? A ty okazałaś się twardym orzeszkiem!

Przyjemnie było usłyszeć pochwałę, lecz zapytałam:

— To co będziemy robić?

— Dalej zajmować się tym, czym się zajmowaliśmy — odpowiedział Otto. — Jeżeli Blondas myślał, że przyjdzie na gotowe, to zwrócił się do nieodpowiednich ludzi. Jeszcze czego, pod jego skrzydła! Jesteśmy sami sobie panami. Tylko musimy być ostrożniejsi.

Reszta balu minęła bez przygód. Dokoła Lima szczebiotały trzy dziewczyny, a on udawał śmiertelnie rannego. Nas z Ottonem starannie omijał wzrokiem, co mnie w pełni zadowalało.

\*

Schodziliśmy po stopniach domu zebrani we czwórkę — ja, Otto i Trochim z Lidią. Szłam powoli i ostrożnie. Mimo że prawie całkowicie rozluźniłam sznurówkę u sukni, była ciasna. Podczas obiadu z okazji balu starałam się zjeść jak najwięcej. Po pierwsze, jedzenie było bezpłatne. Po drugie, podawano tam takie delikatesy, że nawet bałam się zapytać, co to jest i tylko podglądałam, jak owo coś spożywają sąsiedzi.

— Ihi-k... — Jakiś delikates pokłócił się w żołądku z innym i stwierdził, że chce opuścić lokal. Siłą woli zagnałam go z powrotem.

— Zachłanność szkodzi — skomentował Otto.

Bałam się otwierać usta, więc tylko w milczeniu pogroziłam mu kułakiem, rozglądając się w poszukiwaniu dorożki.

— Przejdźmy się, pospacerujmy! — zapiszczała Lidia. — Dobrze, Pusiaczku?

„Pusiaczek” się skrzywił.

— Świetnie! — Nieoczekiwanie poparł Lidię półkrasnolud.

— Ja z wami nie idę — powiedziałam.

— A właśnie, że tak. Powinnaś pochodzić. Inaczej nie przetrawisz tego wszystkiego co zjadłaś i będziesz się męczyć resztę nocy.

Frykasy znów zaczęły mi podskakiwać w żołądku i musiałam mu przyznać rację.

Powoli szliśmy po nocnym mieście. Ja w milczeniu przetrawiałam jedzenie, Otto podliczał coś na palcach, a Trochim „Pusiaczek” udawał, że słucha Lidii, która z zapałem o czymś opowiadała.

— A teraz pójdziemy na cmentarz! — usłyszałam.

— Na jaki znów cmentarz? — zapytał Trochim.

— O, właśnie do niego podeszliśmy. Cmentarz Warragiński. Pokażę wam grobowiec, tam jest pochowany mój pradziadek. Był wielkim człowiekiem!

— Nie chcę na cmentarz — sprzeciwiłam się.

— No coś ty? Boisz się? — zaśmiała się Lidia. — On ma ochronę, tata mi mówił.

— Boisz się? — spytał Trochim. — A, zdaje się, że to tutaj napadł na

ciebie zombi. Pamiętam, pamiętam...

— Nie napadł. Tylko tak sobie przechodził obok — odparłam.

— Chodźmy — powiedział Otto. — I tak sobie skrócimy drogę.

— Mówiłeś, że mam spacerować! — skarciłam przyjaciela, kiedy szliśmy ścieżką po starym cmentarzu. — A teraz ci się spieszy do domu i idziesz skrótem.

— Nie rozumiesz, złotko! Ja tu sobie policzyłem, że możemy podpisać bardzo korzystny kontrakt! Trzeba wszystko zapisać, póki nie zapomniałem.

— To ty zapominasz cokolwiek związanego z pieniędzmi?

— Obrażasz mnie! Po prostu dopiero w tej chwili przyszedł mi do głowy ten pomysł! Słuchaj, ciebie to też dotyczy. Jeśli my...

— Otto! — przerwałam mu. — Coś jest nie tak? Czy to ja jestem pijana?

— Co?

— Wydaje mi się, że moja szpilka się nagrzała.

— Wydaje ci się! — Otto wyciągnął rękę ku moim włosom. — Młot i kowadło! Trochim, walimy stąd szybko!

Mój kolega rzucił nam zaniepokojone spojrzenie i przyspieszył kroku.

— Otto! Ona nagrzewa się coraz bardziej! — Wczepiłam się w rękę przyjaciela. Od razu przypomniała mi się opowieść Blondasa o maniaku-nekromancie.

Jeśli gdzieś tutaj łążą zombi, to wpadliśmy jak śliwki w kompot. Z nas wszystkich odpór żywym trupom mógł dać tylko Trochim, który trzy lata studiował na Wydziale Magii Praktycznej.

— Co się stało? — spytała Lidia.

— Na razie nic — odpowiedział Trochim. — Otto, daj mi topór.

— To rytualny topór! Nie dam. To bluźnierstwo!

— Jak cię zjedzą, to dopiero będzie bluźnierstwo!

— Niech mnie zjedzą, ale znieważać świętości nie dam! — uparł się Otto.

— Oj! — pisnęła Lidia i wczepiła się w Trochima obiema rękami.

Na ścieżkę wyszedł zombi. Przyzwoicie wyglądający żywy nieboszczyk, świeżutki i rzeźwiutki. Na razie tylko stał na ścieżce i starałam się nie myśleć, co będzie, jeżeli zaczną się poruszać.

— Puść, głupia! — Trochim bezskutecznie próbował odczepić od siebie Lidie. Ale ona tylko szczękała zębami i ciaśniej przytuliła się do swego obrońcy.

Pozostawało liczyć tylko na siebie. Przygotowałam kilka dużych ognistych kul, zdając sobie sprawę, że przeciwko zombi będą raczej mało skuteczne.

— Z tyłu — powiedział Otto półgłosem.

Odwróciłam się. Na ścieżce stały jeszcze dwa zombi. Włazić w krzaki w szykownej sukience nie miałam ochoty. Skrupulatnie przypominałam sobie wszystkie zaklęcia bojowe zaklinania, jakie znałam. A znałam ich bardzo mało.

Dlaczego skrucha za przepuszczone wykłady przychodzi zawsze nie w porę?

— Jak się wam podobają moje dziecińki? — zapytał ktoś i na ścieżce pojawił się mag w czarnej szacie. — Dobrze się trzymają, nieprawdaż?

Było to mężczyzna w kwiecie wieku, o inteligentnej twarzy i uprzejmym uśmiechu.

— Niczego sobie — odpowiedziałam. Za mną Trochim przez zęby wzywał Sukina, usiłując uwolnić się od Lidii.

— Nie chcecie do nich dołączyć?

— Proszę wybaczyć, ale nie. — Przypomniałam sobie, jak Lira mówiła, że z szaleńcami najlepiej rozmawiać długo, spokojnie i uprzejmie. — Raczej zostaniemy w tym stanie.

— Ależ dlaczego? — zdziwił się mag. — Bycie zombi jest bardzo przyjemne. Będziecie mieli swojego pana, który będzie się o was troszczył, karmił regularnie...

— Poił i ubierał — dodał Otto, stojący obok mnie.

— A na co to panu?

— Zbieram kolekcję — pochwalił się nekromanta. — Każdy jest taki inny. I każdego trzeba oswoić! A kiedy moja kolekcja stanie się największa na świecie, odejdę na emeryturę i będę ją podziwiał każdego dnia.

— Przecież na nich jest potrzebne mnóstwo magicznej energii! — zauważyłam.

— Tak — potwierdził kolekcjoner. — Dlatego zaraz ją wam odbiorę. Metodą uśmiercenia.

Jeśli zabije się maga odpowiednim sposobem, to (teoretycznie) jego energia magiczna powinna przepłynąć do zabójcy.

Nie chciałam sprawdzać tej tezy w praktyce. Dlatego też podkasałam dół sukni i dałam nura w chaszczę. A Otto zaraz za mną. Słyszeliśmy, jak zatrzeszczały krzaki po drugiej stronie alejki — Trochim ratował siebie i Lidię.

— Ukradł mój topór! — zawył półkrasnolud.

— To przecież nie portfel! Jak mogłeś dać sobie gwizdnąć broń? — rozeźliłam się, gdyż liczyłam na wykorzystanie świętego toporka.

— Byłem zajęty baniem się! — odgryzł się Otto.

— W takim razie biegniemy z powrotem. Trochim nas uratuje.

Wypadliśmy ponownie na ścieżkę i zderzyliśmy się z nekromantą, który właśnie wydawał rozkazy truposzom. Wrzasnęłam na całe gardło i rzuciłam się w krzaki, mając nadzieję, że może jednak nie zniszczę sukni. Kolekcjoner z łomotem upadł na ziemię — to półkrasnolud uderzył w niego całą swoją masą.

— Tutaj! — usłyszeliśmy krzyk. Skręciliśmy za wielki grobowiec. Tam na trawie siedział Trochim z Lidią, która milczała, kuląc się i obejmując rękami.

— Co robić? — zapytałam.

— Oddawaj topór! — oburzył się półkrasnolud.

— Nie oddam! Dla ciebie to rytualny oręż, a dla mnie narzędzie do obrony własnego życia! — wrzasnął Trochim.

— Chłopaki, zaraz nas tutaj wszystkich zabiją, a wy się kłóćcie! — wtrącałam się.

— Wszystkich? — odezwała się Lidia.

— Wszystkich. Nas jako magów, a ciebie jako świadka.

— A on powiedział, że nic mi się nie stanie. Że mnie nie zabiją. I że potem będzie moim chłopakiem.

— Jaki on? — Jako pierwszy odzyskał dar mowy Otto. — Ten świr?

— Nie, Lim. Poprosił, żebym was zaprowadziła na cmentarz. I obiecywał mi różne rzeczy. — Usta Lidii wykrzywiły się brzydko i rozplakała się w głos.

— Cicho bądź! — warknął Trochim i zatkał jej usta dłonią.

— No nieźle! — Otto aż gwizdnął. — Szybko facet przechodzi od słów do czynów! Szacun.



— O czym mówisz? — zapytał Trochim, potrząsając Lidia.

— Ta pułapka została zastawiona na nas z Olą. A ty się przyplątałeś okazjonalnie — wyjaśnił Otto. — Komuś nadepnęliśmy na odcisk.

— Ważni ludzie. — Mój kolega uśmiechnął się krzywo. — Zawsze wiedziałem, że z wami człowiek nie może się nudzić.

— O nie, ludkowie! Wy róbcie co chcecie, ale ja nie mam zamiaru umierać. Muszę się jeszcze policzyć z Blondasem — oznajmiłam, próbując wyłamać grubszą gałąź.

— Tam są! — rozległ się krzyk nekromanty. Widocznie dopiero teraz biedak pozbiierał się po zderzeniu z masywnym półkrasnoludem. — Zabić ich!

Trochim, wymachując toporkiem, ruszył ku najbliższemu zombi. Półkrasnolud uzbroił się w dwa kije i stanął obok mnie w postawie bojowej. Lidia przewróciła oczami i zemdląła. A ja wrzasnęłam:

— Pomocy!!! Ratunku!!! Mordują!!! Maaamaaaa!!! Aaaaa!!!

Najbardziej efektywny sposób, by pozostać wśród żywych to uciekać. Ale ucieczka w długiej sukni, z sześcioma zombi za plecami, pomiędzy ciasno stojącymi nagrobkami i grobowcami to rzecz mało wykonalna.

— Tam ktoś krzyczał! — rozległ się czyjś głos. — Tu są!

W polu mego widzenia pojawili się trzej strażnicy i dwaj nekromanci.

Uratowani!

— Ola? — Jeden z nekromantów się zatrzymał. Patrzył na mnie zdumiony i nie zmieniając wyrazu twarzy nagle upadł na ziemię. Jeden z zombi uderzył Irgę w głowę kijem, z taką siłą, że ten się złamał.

— Bydlak! — ryknęłam i rzuciłam się na zombi. Nie miałam pojęcia, co zrobię, ale fakt faktem, że Irga oberwał właśnie wtedy, gdy patrzył na mnie z zachwyconym, tkliwym i kochającym wyrazem twarzy — i to mnie ogromnie rozwścieczyło.

Ledwo tylko dotknęłam zombi, silny magiczny potok przepłynął przez moje ciało, szpilka silnie się rozgrzała, a potem gwałtownie ostygła. Zombi dosłownie rozerwało na kawałeczki.

— Niczego sobie! — usłyszałam, kiedy plułam z obrzydzeniem.

Otto wytarł mi twarz chusteczką.

— Możesz tak jeszcze raz?

— To nie ja, to kolczyki, które dodałam do szpilki. Nie wiem czy mają jeszcze ładunek — powiedziałam, nareszcie otworzywszy oczy.

Irga leżał u moich stóp. Jego czarne włosy były zlepione krwią.

— Oto do czego prowadzi mieszanie życia osobistego z zawodowym — powiedział Otto ponuro, klękając przy nim.

— Milcz! — krzyknęłam i odbiegłam w krzaki.

Tam gwałtownie opuściło mnie wszystko co zjadłam na balu. Potem popatrzyłam po sobie i chyba straciłam przytomność.

Ocknęłam się od potwornego smrodu. Co gorsza, śmierdziałam tak ja sama. A dokładniej: resztki zombi i obiadu, równomierną warstwą pokrywające moją niegdyś przepiękną suknię.

Suknia przepadła. A Irga... Irga, który zatrzymał się, żeby na mnie popatrzeć, leżał teraz w trawie, wykrwawiając się... i może... już... martwy...

Powlokłam się po cmentarzu, obejmując się rękami. Trzęsłam się. Przysiadłam na jakimś grobie i siedziałam tak jakiś czas, gapiąc się na czyjś nagrobek. Mały marmurowy aniołek płakał, zakrywając twarzyczkę rączkami.

Przecież myśmy nawet się nigdy tak naprawdę nie całowaliśmy! Nie spędzaliśmy dość czasu we dwoje! Jaki on był wobec mnie cierpliwy! Jak ostrożnie i dyskretnie chronił mnie przed życiowymi tarapatami. Co tam dużo mówić, ratował mi życie!

Jakim cudem miał tyle cierpliwości, żeby patrzeć, jak się prowadzam to z tym, to z tamtym? Dlaczego czekał, aż dorosnę, zmądrzeję, zwrócę na niego uwagę? Dlaczego, och, dlaczego zmarnowałam tyle czasu? Dlaczego nie dążyłam do tego, żeby cały ten czas należał tylko do nas dwojga? Do mnie i człowieka, który mocno i od dawna mnie kocha? Kocha na tyle, że gotów był zrezygnować z własnych pragnień, byle tylko mnie było dobrze! Dlaczego byłam taka głupia? Dlaczego tego nie zauważałam? Przecież on mnie kochał i w brzydkim łachu, i chorą, i pijaną. Wesołą, smutną, złą, zadowoloną z życia — Irga przyjmował mnie taką, jaka jestem i nie próbował zmieniać.

Teraz zrozumiałam, co to „gorzkie łyzy”. To łyzy uświadomienia sobie własnej bezsilności i głupoty. Łzy, kiedy już niczego nie można zmienić, łyzy prawdziwej rozpacz.

Wpierw jedna samotna łyza powoli spęzła po moim policzku, a

potem polały się nieprzerwanym strumieniem. Dlaczego, dlaczego mój najlepszy wieczór w życiu okazał się taki straszny?

Nie wiem, ile tak przesiedziałam. W pewnym momencie łyzy mi się skończyły i po prostu szlochałam z zamkniętymi oczami, kołysząc się na mogile, niczym metronom.

— A, tu jesteś! — odezwał się Otto, szeleszcząc krzakami. — Znaleźliśmy cię po zapachu. Nie powiesiłaś się jeszcze? Zuch. Tam już wszystko się skończyło, nasi wygrali.

Czyjeś zimne ręce objęły mnie i przycisnęły do piersi.

— Czy mogę mieć choć trochę nadziei, że częściowo płakałaś z powodu mojej rany? — zapytał kochany, bliski głos, rozciągający samogłoski.

Otworzyłam oczy i zerwałam się na równe nogi.

Irga, jak najbardziej żywy i nawet wesoły, siedział na grobie z aniołkiem, patrząc na mnie z dołu. Spod krzywo założonych bandaży sterczały mu kosmyki włosów.

— Ty — powiedziałam, tykając go palcem. — Żywy!

— No tak — odrzekł nekromanta. — Nie tak łatwo mnie zabić. Płakałaś z mojego powodu?

Patrzyłam na niego i nie mogłam się napatrzeć. Jaki blady! Pod oczami już zaczęły tworzyć się ciemne kręgi. Powinien teraz leżeć w łóżku, a nie włączyć się po cmentarzach, szukając mnie.

— Doceń, złotko! — powiedział Otto. — Gdybym to ja doszedł do siebie po takim ciosie, moim pierwszym pytaniem jednoznacznie nie byłoby: „A co z Olą?”.

Usiadłam obok Irgi. Wszystkie wydarzenia tego wieczora kłębiły mi się w głowie.

— Chcę się napić — sformułowałam jedyną myśl.

— Bez szans — odparł Otto. — W takim stanie nie wpuszczą cię nawet do najgorszej speluny.

Irga w milczeniu gładził mnie po plecach.

— Dobrze. — Wstałam z trudem. — Chodźmy, zaprowadzimy do domu tego tu wojownika. I wezwiemy jakiegoś uzdrowiciela.

— Nie trzeba uzdrowiciela! — odparł niespokojnie.

— Wszyscy mężczyźni boją się uzdrowicieli. Chodźmy.

Irga spróbował wstać ale się zatoczył.

— Podeprzyj go z prawej, a ja z lewej — zarządził Otto. — Uf, ależ jesteście ciężki!

— Poczekaj! — Prędko wysłałam magicznego posłańca do Liry. — Bez uzdrowiciela się nie obejdzie.

— Zwinęli kolekcjonera — relacjonował po drodze Otto. Irga chwiał się i raz nawet spróbował zemdleć. Na bandażu pojawiła się czerwona plama. — Trochim ma złamaną rękę, a topór mu darowałem. Tak czy owak po zombi nie nadaje się do bratania. Będę musiał zamówić nowy.

— Skąd Lim wiedział, że ten nekromanta będzie właśnie na Warragińskim Cmentarzu?

— Myślę, że nie wiedział. Po prostu założył na podstawie tego, gdzie ten maniak już się pojawiał. Potem namówił Lidię i załatwione. W każdym razie miał nadzieję, że coś się nam przytrafi.

— A co Blondas? — zapytał Irga.

Wymieniliśmy z Ottonem spojrzenia.

— Zobaczył nas na balu i postanowił sobie zażartować — powiedział półkrasnolud. — Nie wiedział, że będziesz patrolował akurat ten cmentarz.

— Nie mówicie wszystkiego — ocenił Irga. — Owszem, dostałem po głowie, ale od tego nie zgłupiałem.

— Poszło o podział stref wpływów w handlu alkoholem — powiedziałam. — Poradzimy sobie, nie martw się.

— Już zauważyłem, jak sobie radzicie — odparł Irga, marszcząc się z bólu.

— A co będzie z Lidią? — zapytałam Ottona.

— A co ma być? Chciała znajomym pokazać grób swojego pradziadunia, a tu zombi. Tatuś będzie sprowadzał do niej uzdrowicieli, żeby ją uwolnili od szoku nerwowego. A na to, że Blondas ją namówił na spacer po cmentarzu, nie ma dowodów.

— Przynajmniej Trochim się od niej uwolnił — pocieszyłam się.

Pod domem Irgi czekała na nas Lira ze swoją uzdrowicielską torbą.

We trójkę zataszczyliśmy nekromantę do jego mieszkania na pierwszym piętrze.

— Masz tu wodociąg? — zapytał Otto. — Bo Ola trochę... wonieje.

— Oczywiście, że mam — odpowiedział Irga. — To przecież mieszkanie służbowe. Tu wszystko jest. Ola, weź z szafy jakieś ubranie i

ręcznik.

Otworzyłam szafę. Wisiała tam wyprasowana odzież. O tak, trzeba będzie jakoś namówić nekromantę, żeby uporządkował moją szafę. Wzięłam stamtąd długą koszulę, ręcznik, i poszłam do łazienki.

Dobrze być urzędnikiem państwowym! Irga miał nawet w kranie ogniowego demona, grzejącego wodę. I to nie starego, leniwego, jak u nas w akademiku, tylko młodego i energicznego.

Suknia bez dwóch zdań nadawała się tylko na śmietnik. Strasznie mi było jej szkoda, ale już nie miałam czym płakać.

Wróciłam do pokoju, gdzie Lira wojowała z nekromantą.

— On skowyczy! — poskarżyła się. — Zupełnie, jakbym go miała zamiar zamordować!

— Poproś Ottona, niech go przytrzyma.

— Otto boi się krwi.

— Mężczyźni! A jak ja go mam trzymać? Położyć się w poprzek?

Irga przycichł i słuchał z zainteresowaniem.

— Ja jestem czysta, a on brudny. Na nim też została część zombiaka!

— Otto, zaprowadź mnie pod prysznic! — poprosił nekromanta.

Lira szybko ściągnęła z łóżka brudną kapę. Pościel okazała się nie czarna, jak oczekiwałam, a zwyczajna biała. Czysto wymyty Irga usiadł na posłaniu, przytuliłam się do jego nagiego torsu, objęłam go i ostrzegłam:

— Jak będziesz się szarpał to sobie pójdę.

Nekromanta przesiedział spokojnie całą operację, czasem tylko wzdychając.

Otto tchórzliwie się zmył, pod pretekstem wyrzucenia brudnych ubrań.

— Powinieneś z tydzień poleżeć — powiedziała Lira. — Zawiadomię twojego zwierzchnika. Chodźmy do domu — zwróciła się do mnie. — Teraz już nic złego mu się nie stanie.

— Nie — zaprotestował Irga. — Ja jej nigdzie nie puszczę w takim stanie!

— A co nie tak z moim stanem? — zachnęłam się.

— Wyglądasz bardzo kusicielsko — wyjaśnił Irga. — Moja koszula sięga ci raptem do połowy uda. Masz zamiar tak iść przez miasto nocą?

— Otto mnie odprowadzi.

— A co Otto będzie mógł poradzić na tłum pijanych facetów, którzy właśnie wyszli z szynku? A poza tym jestem teraz chory, biedny i potrzebuję pocieszenia.

— A gdzie będę spać? — zapytałam.

Irga poklepał łóżko obok siebie.

— Co to to nie! — oburzyła się Lira. — Mówię ci jako uzdrowicielka, że teraz to jest absolutnie zabronione! To już lepiej ja zostanę na nocleg, a Oli pożyczę swoją spódnicę.

Taka perspektywa Irgi nie zachwyciła.

— Tam za szafą jest rozkładane łóżko — powiedział posepnie. — Dla gości.

— No i świetnie!

Prędko urządziliśmy dla mnie drugie miejsce do spania.

Lira długo pouczała Irgę co do tego, jak ma się zachowywać chory. Otto za jej plecami robił miny i nieprzyzwoite gesty.

Kiedy tylko tamci poszli. Położyłam się na polówce i momentalnie zasnęłam. Łóżeczko było za wąskie, żeby Irga zmieścił się z boku, a rozbudzić mnie nie mogłaby nawet zgraja kogutów.

\*

— Ależ ty potrafisz spać! — usłyszałam zaraz po przebudzeniu. — Lira już zdążyła przynieść ci ubranie i, nawiasem mówiąc, bardzo dokładnie ci się przyjrzała. Bała się, że coś z tobą wyprawiałem. A jeszcze chrapiesz!

— Ja nie chrapię — powiedziałam, przeciągając się. Wypadki wczorajszego wieczora zbladły w pamięci i już nie wzbudzały tak silnych emocji.

— Chrapiesz, chrapiesz! — Nekromanta stał nade mną, bezczelnie oglądając wszystko, co nie było przykryte kocem. — Zrobiłem ci herbaty.

— Dawno wstałeś? — Popatrzyłam w okno i stwierdziłam, że zbliża się południe.

— Ja już zdążyłem przespać się drugi raz. — Irga wyglądał dzisiaj lepiej, niż wczoraj, jednak był okropnie blady i mizerny. — Nie chcesz przenieść się na łóżko?

— Lira ci wczoraj wyjaśniła, co możesz zrobić, a czego nie.

— To było wczoraj!

— Odwróć się — poprosiłam, zobaczywszy swoje ubranie.

— A chcę popatrzeć! — uparł się nekromanta.

— A patrz! — Uśmiechnęłam się psotnie.

Umiałam ubierać się tak, żeby nic zbytecznego nie pokazać.

Irga był rozczarowany, lecz nie dał tego po sobie poznać.

— Nawiasem, jeżeli zobaczysz Blondasa, przekaż mu, że jeżeli jeszcze choć raz cię dotknie, to go zabiję. Tak naprawdę zabiję. I nie boję się jego ojczulka.

— O czym ty mówisz? — Aż zakrztusiłam się herbatą.

— Lira. Myślała, że wiem. O tym, jak Blondas cię obmacywał, plotkuje już pół miasta. No pewnie, taka sensacja — bójka na Letnim Balu! — Irga był zły.

— Sprzeciwiałam się! — usprawiedliwiłam się, odsuwając wspomnienie o cudownym tańcu.

Nekromanta popatrzył na mnie i odpowiedział:

— Przekaż Blondasowi to, co powiedziałem, dobrze?

Kiwnęłam głową. Ja też miałam Blondasowi sporo do powiedzenia.

— A co zrobiliście z moją sukienką?

— Jeszcze wczoraj wieczorem Otto ją wyrzucił. Ze śmietnika na ulicy tak śmierdziało, że go dziś opróżnili poza grafikiem.

Westchnęłam ciężko.

— Czterdzieści złociszy psu pod chwost. Blondyn ma u mnie dług jak stąd do niewidać. Miałam zamiar brać w niej ślub.

Irga ostrożnie przysiadł na łóżku, obmacując opatrunek.

— Jeśli wyjdiesz za mnie, to kupię ci taką samą suknię — obiecał.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie. Skąd u niego takie dochody?

— Takiej nie trzeba — powiedziałam. — Lepszą!

— Lepsze nie znaczy droższe — odparł Irga, zamykając oczy.

— Znaczy! — uparłam się.

— Dobrze — zgodził się pokornie.

— A skąd u ciebie takie pieniądze?

— W wolnym czasie okradam groby — oznajmił Irga.

Pomyślałam o tym, czy aby na pewno chcę wiedzieć, czy to prawda i postanowiłam nie drążyć tematu. Napoiwszy Irgę leczniczą herbatką, udałam się do domu.

Szłam po rozświetlonym mieście i myślałam o tym, że nawet jeśli miniony wieczór nie był najlepszym w całym moim życiu, to na pewno

był niezapomniany!



## Rozdział 19. Męska wierność

Lato było w całej pełni. Szłam zakurzoną ulicą i cieszyłam się życiem. Rano, więc jeszcze niezbyt gorąco, ale już bardzo ciepło. Akurat wróciłam z Sofipilia, gdzie mnie w trybie pilnym wezwano na rodzinną naradę. Moja młodsza siostra postanowiła wyjść za mąż. Moich rodziców, którzy do tej pory marudzili, że „najwyższy czas, już dawno pora”, ten fakt z niewiadomego powodu bardzo zdenerwował. Nic nowego. Rodzice zawsze chcą, żebyśmy spełniali ich oczekiwania, ale kiedy zaczynamy to robić, mama z tatą nagle zdają sobie sprawę, że dziecko wyrosło i usiłują zawrócić czas.

Nareszcie rodzinne obrady się zakończyły, postanowiono Darii urządzić huczne wesele, a mnie dano do zrozumienia, że jako najstarsza też powinnam się zaobraczkować. Po czym rodzina obładowała mnie ciasteczkami i wysłała z powrotem.

Jadałam ciasteczko i leniwie rozmyślałam, czym by się tu zająć. Praktyka po czwartym roku zaczynała się późno, po tym, jak studenci wybiorą już sobie specjalizację. My z Ottonem już postanowiliśmy (a raczej łagodnie nas ku temu popchnięto), że zostaniemy parą Mistrzów Artefaktów. Napisałiśmy odpowiednie oświadczenie i rozkoszowaliśmy się zasłużonym odpoczynkiem.

— Ola! Ola!

Na spotkanie biegł mi półkrasnolud. Na powitanie klepnął mnie w plecy i powiedział:

— Gdzieś ty przepadła na tak długo? Tu się dzieją takie rzeczy...!

— Nie było mnie raptem dziesięć dni. Co się mogło stać? Uniwersytet się zawalił? Bef się zamienił w wilkołaka?

— Gorzej — odparł Otto ponuro. — Na razie nie wiem dokładnie, ale krążą plotki. O Irdze.

— Co z nim? — zapytałam, mając w pamięci, że nekromanta niedawno został poważnie zraniony w głowę. — Coś ze zdrowiem?

— Nie, on się czuje dobrze. Po prostu szedłem przechwycić cię z dyliżansu, żebyś dowiedziała się ode mnie, a nie od obcych.

— Nie kręć — poprosiłam, czując, że zaczynam się denerwować.

Wnętrznosci chwycił niemiły skurcz, serce zaczęło bić szybciej. Nadgryzione ciastko poleciało w przydrożne krzaki.

— Irga... On... No, w ogóle to żyje z jakąś dziewczyną. — Otto odwrócił wzrok.

Coś wewnątrz mnie oberwało się i poleciało w dół, gdzieś w okolice pięt. Nie zwolniłam jednak kroku, chociaż torba nagle wydała mi się dwa razy cięższa.

— Na pewno?

— Na pewno. Dużo ludzi widziało, jak prowadzi ją do siebie, taki uprzejmy i delikatny. Spacerują razem wieczorami.

— A...

— Nie pytałem — powiedział mój przyjaciel szybko. — Mnie to nie dotyczy. Ale ciebie postanowiłem uprzedzić. Żebyś się pozbiierała przed spotkaniem z plotkarzami.

— Dzięki, Otto. — Wargi nie bardzo mnie chciały słuchać.

— A ty jak? Wszystko z tobą w porządku? — Otto zająrzył mi w oczy.

— Tak, jasne — skłamałam. — Każdy układa sobie życie tak, jak to uważa za słuszne.

— Złotko... — zaczął Otto żałośnie, ale ja machnęłam ręką.

Czego właściwie oczekiwałam? Że Irga wiecznie będzie się zachowywał jak wierny rycerz? Zapominając, że jest w rzeczywistości mężczyzną z męskimi potrzebami? Już dawno nie miał żadnej przyjaciółki...

Nogi miałam jak z ołowiu. Wpełzłam na drugie piętro akademika, rzuciłam rzeczy i powlokłam się do knajpy. Potrzebowałam alkoholu dla uspokojenia nerwów, ale nie miałam ochoty pić do lustra.

Na ulicy natknęłam się na Tomnę.

— Jak ci się podoba mój kapelusz? — zatrajkotała. — Kupiłam specjalnie na ślub!

— Na czyj?

— Jak to, nie wiesz? Irga niedługo się żeni. Żyje z dziewczyną, zrobił jej dziecko i ma zamiar się ożenić.

— Jakie dziecko? — zapytałam w oszołomieniu. — Nie było mnie półtora tygodnia...

Tomna popatrzyła na mnie jak na nieświadome niemowlę.

— Oła, dziecko można zrobić w ciągu dziesięciu minut. Albo nawet

szybciej, wszystko zależy od wprawy.

— Aha, i w ciągu tych paru dni to się stało wiadome całemu miastu?

— Ja mam tylko sprawdzone informacje — obraziła się Tomna. — O dziecku powiedziała mi znajoma uzdrowicielka. A Irgę z dziewczyną osobiście widziałam, jak wychodzili z salonu sukien ślubnych. Przy czym Irga miał bardzo zadowoloną minę.

Poczułam, że kręci mi się w głowie i miałam ochotę powiedzieć coś złośliwego.

— Można by pomyśleć, że cię zaprosił na ten ślub.

— Nie. — Tomna nie dała się zbić z pantałyku. — Ale to nic nie znaczy! Sama pójde popatrzeć. I w ogóle, kto to mówi. Ty sama nic nie wiedziałaś!

— Wszystko wiedziałam — odparłam twardo. — Po prostu Irga prosił, żeby nic nikomu nie mówić. Nie ma żadnego dziecka! — A sama pomyślałam: „Jeśli jest, w tym mieście na pewno wydarzy się morderstwo pewnego miłego nekromanty”.

Tomna popatrzyła na mnie z niedowierzaniem, ja odpowiedziałam jej beznamiętnym spojrzeniem, jednocześnie wyobrażając sobie we wszystkich szczegółach proces ćwiartowania Irgi.

— No to... Miło było cię widzieć...

Na miękkich nogach wtoczyłam się do najbliższego szynku i zamówiłam wódkę. Po setce wypitej jednym haustem w głowie mi nieco pojaśniało, a kiszki przestały się skręcać w węzeł. Chrupiąc korniszonka, zaczęłam rozmyślać.

A więc, Irga znalazł sobie dziewczynę. To źle. Dlaczego to źle? Dlatego, że całkiem niedawno, kiedy leżał bez świadomości na cmentarzu, nagle zdałam sobie sprawę, że ten nieznośny nekromanta jest dla mnie bardzo ważny. Świadomość ta zwała się na mnie nagle i dość boleśnie, jak cegła z dachu — i raczej nie uszczęśliwiła. W domu nawet wyrysowałam tabelkę „Irga w moim życiu”, żeby jakoś sobie poradzić z zaistniałą sytuacją. Fakty przedstawiały się następująco: Irga od mojego pojawienia się na uniwersytecie, zawsze był gdzieś obok, pomagając nieznacznie, wspierając i nawet ratując życie. Po co by mu to było? Z początku byłam przekonana, że traktuje mnie jak młodszą siostrę, a może nawet dziecko. Naturalnie mnie, najstarszą i najważniejszą z czterech sióstr, to okropnie drażniło. Jednak od pewnego

momentu Irga zaczął się do mnie odnosić całkiem inaczej — delikatniej, uważniej, przestał z siebie robić mecenasa, i co tu dużo mówić, czułam emanujące od niego fale seksualności, kierowane właśnie do mnie. Od roku nie widziałam go z żadną dziewczyną, chociaż sama aktywnie próbowałam urządzić sobie życie osobiste. Dziwne, że nekromanta odnosił się do moich miłostek wyrozumiale. Może uważał, że to tymczasowe i prędko minie?

W jakim momencie zauważyłam, że Irga nie jest mi obojętny? Nie wiem. Pewnie już dawno temu, tylko bardzo starannie odpychałam od siebie każdą myśl, że coś może być między nami. Z powodu swojego jędzowatego charakteru? Na przekór całemu otoczeniu? Ze strachu, by przyznać przed samą sobą coś tak... straszego... co przywiąże mnie do niego mocniej, niż łańcuch, a przecież tak bardzo dążyłam do niezależności?

Oczywiście, że go nie kocham. Miłość to takie uczucie, kiedy nie możesz żyć bez tego drugiego człowieka, myślisz o nim bez przerwy i temu podobne bzdury. I on mnie też nie kocha. Oczywiście, że nie kocha, przecież ani razu tego nie powiedział. Niezależnie, co o tym sądzą rozmaite półkrasnoludy.

Popatrzyłam na pustą szklaneczkę, ale nie zaryzykowałam zamówienia kolejnej wódki. Popijając piwo, zdecydowałam, co robić dalej.

Nawet jeżeli się nawzajem nie kochamy, to jeszcze nie powód, żeby brać do siebie jakąś dziewczynę i robić jej dziecko. Kto wówczas będzie troszczył się o mnie? Kto będzie na mnie czekać po wykładach z bukietem kwiatów? Kto będzie mi darowywał różne przyjemne drobnostki? Kpić z moich błędów? Pędzić mi na pomoc o każdej porze dnia i nocy? Zauważać najmniejsze zmiany nastroju? I on znalazł sobie dziewczynę!

— A co ze mną? — zapytałam żałośnie swojego odbicia w szkle.

Nie zostawię tak tego!

Rzuciwszy na stół monety, stanowczym krokiem skierowałam się do domu Irgi.

Sam mnie niedawno położył na łóżku polowym, a z nią pewnie śpi w jednym łóżku. Obejmuje, całuje, i... Zabiję flirciarę!

Całkowicie zgodnie z wszelkimi prawidłami garbatego szczęścia, po

drodze natknęłam się na Blondasa. Szedł z ponurym wyrazem twarzy — prawdopodobnie do pracy. Lecz na mój widok Lim się ożywił.

— Olgierda! Jakże niewypowiedzianie miło cię widzieć!

— No coś ty?! — rozczuliłam się.

— Piękna dziś pogoda! — zaczął światową rozmowę.

Zgodziłam się z tym.

— A co u ciebie? — zainteresował się.

— Świetnie! — odpowiedziałam. W moim żołądku alkohol walczył z porannymi ciastkami o prawo pierwszeństwa.

— Olgierdo! — rzekł Blondas słodko. — Tu chodzą takie przyjemne pogłoski.

Milczałam.

— O tym, że zostałam porzucona — powiedział Lim z nieskrywanym triumfem. — Wykiwana, jak głupia. Obrażona i poniżona.

— Ciekawe pogłoski — powiedziałam, leniwie drapiąc się po brzuchu. — Tylko fałszywe. Nabierają się na nie tylko idioci.

Blondas skrzywił się.

— Ty co, nie rozumiesz, że Irga cię rzucił? Teraz nikt cię nie obroni, głupia dziewczyno. I nareszcie będę mógł z tobą wszystko! Wszystko, co zechcę!

— Jakiś ty od rana nie w humorze — pożałowałam go. — No, spróbuj. Teraz. Tylko potem nie leć skarżyć się tatusiowi.

— Ach, ty! — Lim się zamachnął.

Stałam spokojnie. Na koniuszkach moich palców drżały iskry. Blondas miał bardzo słaby magiczny dar i dobrze o tym wiedział. Z drugiej strony był arystokratą, potrafił władać szpadą, mieczem i potrafił walczyć wręcz. Lecz ja też nie wypadłam sroce spod ogona — czasami burzliwe dyskusje biznesowe z Ottonem przechodziły w bójki. I masywny, ciężki półkrasnodud nie zawsze brał górę — giętkość i spryt w połączeniu z długimi paznokciami to oczywiście nie miecz, lecz również całkiem przyzwoita broń. A teraz jeszcze swędziały mnie pięści, chciałam na kimś wyładować swoją złość, obrazę i rozczarowanie.

Lim się zawahał — zdziwiła go moja reakcja.

— Nie będę sobie brudzić rąk — powiedział. — Poza tym spóźnię się do pracy. Ale wieczorem jeszcze się zobaczymy.

— Tylko tyle umiesz: na dziewczyny machać rękami — odparłam

nawet z pewnym rozczarowaniem.

Blondas poczerwieniał, a ja pokazałam mu język i poszłam swoją drogą.

\*

Na drzwiach nekromanty błyszczeli artefakty ochronne. Ach to tak, zamyka się! Machnęłam rękoma i artefakty zgasły. Nic nie szkodzi, wystarczy mi magii, żeby wyrzucić kogoś z łóżka!

Kopniakiem otworzyłam drzwi.

Irga siedział przy oknie i reperował but. Długa czarna grzywka opadała na oczy i co chwila potrzasał głową, żeby włosy mu nie przeszkadzały. Na jego łóżku, w swobodnej pozie, spała ciemnowłosa dziewczyna.

— Ola? — Irga popatrzył na mnie ze zdumieniem i wstał. — Spaliłaś moje artefakty? Po co? Coś się stało?

— To ja ciebie powinnam zapytać! — krzyknęłam. — Ty... Ty... Bezczelny draniu! Cham! Wyrzutek! Ty... Jak w ogóle śmiesz na mnie patrzeć! Powinieneś na kolanach mnie błagać o wybaczenie! Ty świniu!

Z nadmiaru uczuć machnęłam ręką, zahaczywszy półkę z naczyniami. Z hukiem posypały się na mnie filizanki i miski. Nekromanta z przestachem cofnął się i przytulił do ściany, zasłaniając się przede mną butem. Dziewczyna obudziła się i wytrzeszczała oczy na rozgrywającą się przed nią scenę.

— Eee... Ola... — zaczął Irga niepewnie.

Kichnęłam z wściekłością. Od góry do dołu byłam pokryta warstwą rozsypanej herbaty. Zdjąwszy z głowy herbaciany woreczek, rozdarłam go na dwie połówki.

— Oto co zrobię teraz z tobą! — oświadczyłam nekromancie. — I z nią!

— Irga! — zawołała dziewczyna. Zdążyła otulić się kocem i usiąść na łóżku. — To o niej mi opowiadałeś?

Nekromanta kiwnął głową, nie odrywając ode mnie wzroku.

— A ty w ogóle wstawaj! — Podeszłam do łóżka i szarpnęłam ciemnowłosą za rękę. — To moje miejsce! Precz stąd, póki ci tych bezczelnych ślepi nie wydrapałam! Paskuda! Przynajmniej byś włożyła przyzwoitą piżamę! I jeszcze za mąż się wybiera!

Irga nagle parsknął.

— Ola... — odezwał się głosem zdławionym od śmiechu. — Ty myślisz, że to moja kochanka?

— Kochanka! — zawyłam. — Całe miasto wie, że to twoja narzeczona!

— Całe miasto? — spytał ponownie Irga. — Narzeczona???

— Tak — oznajmiłam, kładąc się na łóżku. — Świnia jesteś i ostatnia swołocz.

— Dlaczego?

— Dlatego że na oczach wszystkich żyjesz z tą tutaj. — Wskazałam na dziewczynę, otulającą się kocem. — Zrobiłeś jej dziecko i zamierzasz się żenić!

— Co???

— To co słyszałeś. Zapomniałeś już, co mi mówiłeś? Wszyscy faceci są tacy sami! A ja stąd nie pójdę, będę leżeć, dopóki tamtej nie wywalisz na zbity łeb!

Dziewczyna nagle zaczęła się śmiać. Osłupiały Irga patrzył to na mnie to na nią, otworzył usta, potem je zamknął, a w końcu rozrechotał się tak, że aż osłabł i spełzył po ścianie. But wypał mu z osłabłych dłoni. Po twarzy spływały mu łzy śmiechu.

— Ola... — wyjęczał. — Ola, ja jej nie mogę wyrzucić. To moja siostra!

— Nieważne, kim jest... Co? Jak...? Siostra? — Usiadłam na łóżku, czując się wyjątkowo głupio.

— Siostra — potwierdziła dziewczyna wesoło. — Młodsza.

Przyjrzałam się. Rzeczywiście, byli do siebie podobni — długie nosy, wąskie wargi. Tylko oczy mieli inne. Ona brązowe, a on wielkie i intensywnie błękitne, które wesoło błyszcząły spod długiej grzywki.

— Przyjechała wstąpić na tutejszy uniwersytet. A tymczasowo mieszka u mnie — wyjaśnił Irga, ocierając łzy.

— Aha. — Wstałam, strzepnęłam z poduszki herbaciane listki, które osypały się z moich włosów i skierowałam się do drzwi.

— Ola, zostań — powiedział Irga. — Na moim łóżku wyglądałaś nawet bardzo... hm...

— Lepiej niż ja — dobiła mnie jego siostra. — Co ty tam mówiłaś o mojej nocnej koszuli?

Przesłałam jej sztuczny uśmiech, wyszłam na podest i usiadłam,

podpierając drzwi mieszkania plecami. W pokoju znowu rozbrzmiał wybuch śmiechu. Jak mogłam być taka głupia?! I co teraz Irga o mnie myśli? Pewnie lepiej żebym tego nie wiedziała, i tak czuję się okropnie.

Popchnięte drzwi uderzyły mnie w plecy.

— Ola... — powiedział Irga w szczelinę. — Musimy porozmawiać.

— O czym?

— O tobie i o mnie. O nas.

— Zostaw mnie w spokoju, dobrze?

Irga popchnął drzwi, a ja pisnęłam.

— Dobrze — powiedział. — Nie będziesz chyba siedzieć tam wiecznie?

— Będę — odparłam krnąbrnie.

— Zgłodniejesz.

— I umrę tutaj, tobie na złość — zakomunikowałam. — Żeby wiedział.

— Ja już cię uprzedzałem, co zrobię, jeżeli umrzesz.

— To ja tak umrę, żebyś mnie nie ożywił — oznajmiłam. — I zamienię się w ducha. I całe życie będę się snuć koło ciebie, żeby cię sumienie dręczyło.

— A co ja niby zrobiłem? — oburzył się Irga. — Przyszła rano, rozgromiła mój dom, przestraszyła moją siostrę, a ja jeszcze jestem winny?!

Mocno szarpnął drzwi, aż zawyłam.

— Zabij mnie, zabij — powiedziałam, pocierając tył głowy, gdzie szybko rósł guz.

— Ola, czy tu tutaj pognałaś, dlatego że ci powiedzieli, że żyję z inną?

— Nie — odburknęłam. — To taka poranna przebieżka. Gimnastyka dla zdrowia.

— Jak mogłaś uwierzyć plotkom? — zdziwił się Irga.

— A co innego mogłam pomyśleć? Od kiedy tylko przyjechałam, wszyscy mi tylko mówią, że masz dziewczynę, że z nią chodziłeś do salonu ślubnego, że będziecie mieli dziecko. Co niby miałam myśleć? Skoro ciebie w salonie ślubnym Tomna widziała na własne oczy?

— Rzeczywiście tam poszedłem — powiedział Irga po chwili milczenia.

— Sam widzisz! — chlipnęłam.



— Oglądałem pierścionek dla ciebie. Potrzebna mi była kobieca porada.

— Po co pierścionek? — spytałam podejrzliwie. Wśród dużej ilości ozdób, które otrzymałam od nekromanty w prezencie w minionym roku, nie było żadnych pierścionków.

— Żeby wsadzić ci go do nosa — zakomunikował Irga z powagą.

Pomacałam guz na głowie. Nie chciałam myśleć na ten śliski temat. Tym bardziej, że obrączek do nosa w ślubnych salonach nie sprzedawano — sama kiedyś taką chciałam, z dzwoneczkiem, stąd wiem.

— A dziecko?

— To nie moja tajemnica — powiedział nekromanta zniżonym głosem.

W zamyśleniu zabębniłam palcami po podłodze. Wiedziałam, że Irga pochodzi z dalekich peryferii naszego królestwa. Dlaczego zdecydował uczyć się tutaj, a nie w magicznej wyższej uczelni bliżej domu, nigdy nie pytałam. Możliwe, że również jego siostra miała ważką przyczynę, by odjechać za góry i lasy od srogich rodziców.

— A co powinnam była myśleć? — Mój nastrój żądał skandalu. — Skoro mieszkasz z dziewczyną... Nikt przecież nie wiedział, że to twoja siostra!

— A ja powinienem chodzić po mieście z wielkim plakatem? Żeby wszyscy widzieli?

— Nawet Ottonowi nie powiedziałaś!

— A on mnie nie pytał! — odparował Irga. — Myślałem, że zauważył nasze podobieństwo.

— Zauważył tylko, jak wy spacerujecie razem wieczorami! — krzyknęłam.

Drzwi sąsiedniego mieszkania uchyliły się i ukazała się czyjaś niezadowolona fizjonomia. Pokazałam sąsiadowi nekromanty pięść i drzwi błyskawicznie się zatrzasnęły.

— Nie wściekaj się. — Irga poskrobał w drzwi. — Jedyna, którą bym chciał widzieć śpiącą na moim łóżku to ty.

Poczułam, że się zalewam rumieńcem.

— Przypomnij sobie wszystkie swoje przyjaciółeczki — odparłam jednak złośliwie i stuknęłam potylicą w panel. Guz natychmiast odezwał się bólem, promieniującym aż do szczęki.

— Nigdy żadnej tu nie przyprowadziłem — odrzekł Irga spokojnie.  
— To mój dom. I w ogóle to już przeszłość. A ty należysz do przyszłości.

— Ciekawe! — Nadal kipiałam w środku. — A nie zechciałbyś mnie spytać o zdanie? Może ja mam inne plany na przyszłość?

Po nieskończeniu długiej pauzie Irga zapytał cicho:

— Ola, czy wyjdiesz za mnie za męża?

Serce runęło mi gdzieś w dół, do brzucha, a gardło wydało nieartykułowany skrzyp. Nekromanta za drzwiami milczał, a ja patrzyłam na swoje drżące ręce.

— A gdzie... — Musiałam przełknąć gulę w gardle. — Gdzie karetą?

— Jaka karetą? — spytał Irga w oszołomieniu.

— Zaprzężona w białego konia. Z kwiatami. Cukierkami. Muzykantami — bredziłam. — I powinieneś mieć na sobie beżowy garnitur. I dopiero wtedy powinieneś mi się oświadczyć!

— W jakim garniturze...? Nigdy w życiu nie włożę beżowego garnituru! To obrzydlistwo!

Zamilkliśmy, a ja cały czas się drapałam — albo na tle nerwowym, albo miałam alergię skórą na herbatę.

— Ola! — wrzasnął Irga nagle. — Wyjdiesz za mnie czy nie?!

— Zostaw mnie w spokoju! — ryknęłam tak, że aż spadł na mnie kawałek tynku z sufitu.

— Jęcza! — oburzył się nekromanta. — Ileż można mi szarpać nerwy?!

— To się ode mnie odczep! — Spokojnie, spokojnie, tylko bez hysterii.

Za drzwiami rozległo się szuranie, a potem ucichło.

— Irga, daj jej spokój — odezwała się jego siostra.

— Jeszcze wrócę — odezwał się nekromanta w szparę. — I dokończymy rozmowę.

Upewniwszy się, że rzeczywiście odszedł, zdjęłam sandałki i wymknęłam się na palcach. Sunąc pod ścianami, przekradłam się ulicą i pobiegłam do Gaju Zakochanych.

Usiadłam na brzegu rzeczki i złapałam się za głowę. Dlaczego zawsze wplątuję się w nieprzyjemności? Dlaczego tak się zbłąźniłam przed Irgą i jego siostrą? Siostrą! Już ja sobie wyobrażam, co ona opowie o mnie swoim rodzicom! No i co to za idiotyczna propozycja? Czego jak

czego, ale tego się nie spodziewałam. No dobrze, jeśli mam być szczerą, to czekałam na coś takiego. Jak każdej dziewczynie, byłoby mi przyjemnie dostać propozycję małżeńską. Ale nie w taki sposób! Nie, nie, muszę zacząć myśleć o czym innym, bo się całkiem rozkleję.

Popatrzyłam na swoje dłonie, brudne od kurzu i herbacianych drobinek. Powąchałam je. Ależ pachnie! Irga miał drogą herbatę. Ja sobie na taką nie pozwalam, a on...! Przyłazi do mnie do akademika i tylko myszkuje, co by tu pożreć. A swoją luksusową herbatą nie poczęstował mnie ani razu! Skąpiradło!

Zerwałam liść łopucha i zaczęłam ostrożnie strząsać z włosów i odzieży herbaciane drobinki — może starczy chociaż na zaparzenie filiżanki? Rezultat mnie zadowolił. Zwinęłam łopuch i wsunęłam go do torebki na pasku, przy okazji wyciągając lusterko.

Matko kochana! Jak ja wyglądam! We włosach resztki tynku. Herbata zostawiła na mojej twarzy brązowe smugi, elegancko oprószone szarym pyłem. A ślady łez... kiedy płakałam?, nakreśliły na całej tej wspaniałości pionowe kreski. Oto dlaczego ludzie się za mną oglądali na ulicy!

Rozkleiłam się i zaczęłam nad sobą uzalać. Rozpłakałam się na nowo, rozmazując łzy po brudnych policzkach. Potem mi się znudziło to monotonne zajęcie i postanowiłam się umyć. Brzeg był tu stromy, lecz nie chciało mi się wyłazić z krzaków i szukać sobie wygodniejszego miejsca. Nachyliłam się, oparłszy jedną ręką o muliste dno, a drugą zaczęłam pluskać na siebie wodę. Ręka nagle pośliznęła mi się, straciłam równowagę i upadłam twarzą w rzeczkę.

Padłam przy tym bardzo niefortunnie, praktycznie całkowicie wjechawszy po śliskim ile do wody. Ciężka szeroka spódnica błyskawicznie namokła i pociągnęła mnie z prądem. Zaprzeć się kolanami nie mogłam, ręce też nie znajdowały oporu. Po twarzy boleśnie szorowały mi wodorosty. Przestraszona miotałam się, łykając wodę i próbując krzyczeć. „Jeszcze tylko tego brakowało, żebym głupio utonęła” — przemknęło mi przez głowę.

Nagle silne szarpnięcie wyrwało mnie z wody i postawiło na nogi. Kaszląc i konwulsyjnie łykając powietrze, odgarnęłam z twarzy mokre włosy i wytarłam z oczu lepki muł. Przede mną z zatrwożonym wyrazem twarzy stał Irga.

— O... — powiedziała i powlokła się na brzeg, gdzie zwymiotowała.

Nekromanta w milczeniu podał mi chusteczkę. Wytarłam usta, podniosłam się z trudem, odeszłam kawałek i znów usiadłam. Zaczęłam się trząść. Irga siadł obok, przytulił mnie i zaczął coś mrużyć. O dziwo, szybko się uspokoiłam.

— Nie przypuszczałem, że przeze mnie pójdziesz się topić.

— Akurat! Topić się przez ciebie! — Strasznie nie chciałam, żeby wypuszczał mnie z objęć. — Myłam się.

— Ach, no tak... — Irga odchylił się i popatrzył na mnie uważnie. — Jak mogłem się od razu nie domyślić.

— To błotna maseczka na cerę — powiedziała, znów czując się jak kompletna idiotka.

— Ola, ty mi się podobasz zawsze, ale radziłbym ci jednak się umyć, bo ludzie mogą twój stan źle zrozumieć.

Umyć się! Powinnaś się cała wykąpać, umyć głowę i wyprać ubranie! Przypomniałam sobie o herbacie, zawiniętej w łopuch i wyróciłam torebkę. Liść się rozwinął, a drobinki herbaty rozpełzły po całej torebce. Wszystko namokło. Drżącą ręką wydobyłam niekształtny kłęb papieru okraszony smugami atramentu. Moje zgłoszenie na praktykę, podpisane przez Befę! A więc tu się podziało!

— To był ważny dokument? — zapytał Irga ze współczuciem.

— A owszem — odparłam, rzucając ważny dokument w krzaki. — Nic strasznego, można go odnowić. Na pewno. W każdym razie...

— To nie jest najgorsza rzecz, jaka ci się przytrafiła tego ranka — dokończył. — To chciałaś powiedzieć?

Udałam, że bardzo mnie zainteresował zdjęty z twarzy kawałek wodorostu.

— Ola... — zaczął Irga.

Popatrzyłam na niego żałośliwym wzrokiem, które przedtem wykorzystywałam jedynie do wzbudzania litości wykładowców.

Nekromanta westchnął.

— Chodźmy, musisz się umyć.

Przeszliśmy do czystego miejsca pod prąd i tam spróbowałam doprowadzić się do porządku. Irga pilnował mnie czujnie, trzymając na wszelki wypadek za spódnicę.

Po drodze natknęliśmy się w krzakach na słodką parkę — Blondasa, który najwidoczniej nie dotarł jednak do pracy, i jego kolejną faworytę.

— Aha! — Lim zerwał się na mój widok.

— Coś nie tak? — zapytał Irga, obejmując mnie za ramiona.

— Co się stało? — zdziwił się Blondas, wypadając z roli wielkiego arystokraty i oglądając moje przemoczone na wylot ubranie.

— Krzakoterapia z elementami perwersji — odpowiedziałam, oblizując się smacznie.

— Bardzo burzliwymi elementami — dodał nekromanta, usprawiedliwiając mój niewiarygodnie brudny i rozczochrany imiż.

— Nie wydaje ci się, że dwie dziewczyny na ciebie jednego to za dużo? — Blondas zacisnął pięści.

— Mam tylko jedną dziewczynę. — Irga wzruszył ramionami. — Ołę. A co? Potrzebujesz ćwiczeń?

— Rano umówiliśmy się z Olą na gimnastykę dla dwojga — odparł Lim niedbale.

— Obawiam się, że już się zmęczyła — odpowiedział Irga. — Ale zawsze się możesz pogimnastykować ze mną.

— Ty mnie jakoś nie pociągasz — skrzywił się Blondas. — Nie przeszkadzajcie mi. Jestem zajęty. — I demonstracyjnie objął swoją partnerkę.

— Wybacz — odpowiedział nekromanta. — Do Oli nie masz już żadnych pytań?

Blondas wymamrotał coś niewyraźnie.

— Miłego dnia — zakończył mój towarzysz kurtuazyjnie.

— Nie odpowiedziałas na moje pytanie — powiedział, kiedy dotarliśmy do akademika.

— Odpowiedziałam. — Starannie rozglądałam się po okolicy, jakbym ją widziała pierwszy raz. Byle nie patrzeć na Irgę.

— Rozumiem — rzekł powoli. — Mogę wejść? Przebierzesz się, a potem zabiorę cię do restauracji.

— Do restauracji? — Spróbowałam ukryć zachłanny błysk w oku. Nigdy jeszcze nie byłam w restauracji.

Nekromanta potwierdził.

— To zaczekaj, umyję włosy...

Kiedy wróciłam do pokoju spod wspólnego prysznica, Irga z

Ottonem najspokojniej pili herbatę z moich zapasów. Machnęłam na nich ręką. Zamówię w restauracji coś drogiego. I dużo. I powinnam pamiętać żeby wziąć torebkę, żeby zabrać w niej wszystko, co mi się nie zmieści do żołądka.

— Ola... — zaczął mój najlepszy przyjaciel. — W tym uroczystym dniu...

Podejrzliwie popatrzyłam na Irgę. Co zdążył już wygadać?

— .. kiedy ustaliłaś, że jeżeli cię wyrzucą z internatu, nie zostaniesz bez dachu nad głową — kontynuował półkrasnolud — chcę ci zaproponować wprowadzenie w życie pewnego pomysłu, który przyniesie nam obojgu pokaźny zysk.

Zajęczałam. Pomysł na pewno był ryzykowny.

Irga zaśmiał się wesoło.

— Kupię jutro szerokie łóżko — obiecał Ottonowi.

## Rozdział 20. Iść za księżycem

— Sukinkot! — Tylko tyle potrafiłam wykrztusić, widząc rezultat swoich działań.

Otto potargał się za brodę.

— Nie skłamał. Silnie magiczny.

Praktyka trwała w całej pełni. W warsztatach i kuźniach hałasowali narzędziami rzemieślnicy i przyszli Mistrzowie Artefaktów. Oboje z Ottonem zajmowaliśmy się pracą badawczą. Odłożywszy na czas nieokreślony zleconą nam pracę nad artefaktem, próbowaliśmy zdemontować mój nowy pierścionek.

Wytworną złotą obrączkę Irga podarował mi w sposób dość oryginalny. Wszedł na uniwersytecki dziedziniec, gdzie grupa czwartorocznych oczekiwała na swoich opiekunów praktyki. Nekromanta wręczył mi ogromny bukiet róż, czym przyciągnął powszechną uwagę. Niegłośno (na dziedzińcu momentalnie zapadła głęboka cisza) Irga powiedział:

— Najważniejsze pytanie już zadałem. Teraz chcę po prostu dać ci ten pierścionek, żeby nikt nie miał wątpliwości, jakie miejsce zajmujesz w moim życiu.

— I jakie? — zapytałam, próbując wygodniej chwycić wielgachny bukiet, żeby móc wziąć pierścionek.

Studenci przemienili się w jedno wielkie ucho. Nie było wątpliwości, że wieczorem ta historia będzie powtarzana po wszystkich okolicznych knajpach.

— To, które może zajmować tylko towarzyszka życia — rzekł Irga, wkładając mi pierścionek na palec serdeczny.

Praktykanci głośno westchnęli. Nekromanta pochylił się ku mojej twarzy.

— Nie odpowiedziałam jeszcze nic konkretnego! — syknęłam.

— Wiem — uśmiechnął się. — Ale pierścionek jednak noś. Jest magiczny. I bardzo cenny.

Parsknęłam.

— To pierścionek mojej matki — dodał Irga z powagą.

Westchnęłam ciężko. Że Irga odnosił się do swojej matki z szacunkiem — to mało powiedziane. Bardzo rzadko o niej wspominał, ale jeśli już to się zdarzyło, w jego głosie brzmiała taka miłość, czułość i taki szacunek, że pozostawało mieć tylko nadzieję, iż kiedyś moje dzieci będą mówić o mnie choćby w połowie tak dobrze.

— Poza tym... — Irga poweselał. — Mam jeszcze dość dużo różnych magicznych zabawek. Kiedyś zechcesz je wszystkie posiadać.

Nie potrafiłam ukryć zachłannego blasku w oczach.

— I nie myśl sobie. — Irga pogłaskał mnie po policzku. — Droga do nich jest tylko jedna — poprzez ołtarz Bogini Rodu.

Czule pocałował mnie w policzek, zamienił parę zdań z Ottonem i poszedł.

Świadkowie byli przekonani, że szeptem ustaliliśmy datę ślubu, ale pierwszego ciekawskiego zdzieliłam ciężkim bukietem i nikt więcej mnie nie zaczepiał.

A teraz wraz z moim przyjacielem próbowaliśmy odkryć, jaka też magia została zamknięta w pierścionku. Po eksperymentalnym uderzeniu zaczarowanym młotkiem pierścionek rozbłysnął błękitnym światłem i zeskoczył z kowadła.

— Trzeba go znaleźć — powiedział Otto, oglądając wgniecenie na narzędziu.

Opadłam na kolana i popęzłam po podłodze, zaglądając pod stoły i ławki. Pierścionek jakby się zapadł pod ziemię.

— Otto... — jęknęłam żałośnie.

Teraz po glinianej polepie pełzaliśmy już oboje.

— Niezły widok — odezwał się ktoś, rozciągając samogłoski.

— Lepiej byś pomógł — odgryzł się półkrasnod, dostał sójkę w bok i umilkł.

— Cześć, Irga. — Uśmiechnęłam się promiennie.

— Co robicie? — Nekromanta podał mi dzbanek z zimnym mlekiem.

— Pracujemy — powiedział Otto. — A co, piwa nie było?

— Przecież pracujecie. — Irga wzruszył ramionami. — Przy okazji... — Jego spojrzenie zatrzymało się na mnie. — A gdzie masz pierścionek?

— Zdjęłam, żeby nie uszkodzić przy pracy — odpowiedziałam.

Nekromanta przechylił głowę na bok i popatrzył na mnie uważnie.

Cofnęłam się i schowałam za Ottonem.



— Zgubiłaś? — zapytał Irga.

— Niechący! — jęknęłam, czując się okropnie winna. — On tak sam z siebie. Jak nie buchnie ogniem...! Jak nie skoczy...! I koniec. Nie ma. Och, co ja teraz zrobię?!!!

Irga skrzywił się przy ostatnich przeraźliwych nutach mojej skruchy.

— Znajdę go, tylko już nie wyj!

Zachlipałam. Otto parsknął. Irga coś wyszeptał, podstawiał dłoń i na niej błyskawicznie ukazało się pierścionek.

— Ja też tak chcę! — Chciałam wziąć pierścionek, ale nekromanta cofnął rękę.

— Ja sam. — Ostrożnie włożył mi ozdobę na palec.

Otto parsknął za naszymi plecami.

— Że też wam się chce...

— Zobaczymy, kiedy przyjdzie czas na ciebie — uśmiechnął się Irga.

— Jeszcze jestem za młody, żeby zajmować się takimi bzdurami! — oburzył się półkrasnolud. — Jeszcze nie uzbierałem kapitału, jeszcze się nie wybawiłem. I w ogóle siedzieć ze śliniącymi się niemowlętami to nie moje powołanie.

— Po prostu zaczekam, kiedy przyjdzie twój czas — powtórzył Irga i pocałował moją dłoń. — Przy okazji, moja siostra przeniosła się do internatu. Nie chcesz zajrzeć do mnie na herbatę? Pojutrze mam wolne.

Starając się ignorować pochrząkiwanie Ottona za swoimi plecami, uśmiechnęłam się słodko.

— Oczywiście że przyjdę! — „I wypiję ci całą tę pyszną herbatę, nawet jeżeli od tego pękne. I zjem wszystkie smakołyki, jakie znajdę. Zemszczę się za wszystkie te razy, kiedy bezczelnie wyzeraleś moje zapasy w internacie”.

Irga nieufnie pokręcił głową, odgarnął grzywkę z oczu i zapytał:

— Mówisz poważnie?

— Absolutnie! — potwierdziłam. — O której godzinie przyjść?

— Przyjdę po ciebie wieczorem do „Pij Więcej!” — powiedział nekromanta.

Nie oczekiwał tak łatwego zwycięstwa, dlatego pożegnał się w pewnym oszołomieniu i odszedł.

— Co ty znowu wymyśliłaś? — zapytał mnie Otto groźnym tonem.

— Znowu masz zamiar się nad nim natrząsać? Kiedyś cię normalnie zabiję. Takiego chłopaka męczyć!

— Ja naprawdę niczego nie wymyśliłam! Chcę się napić herbaty — broniłam się. — Co w tym złego?

Otto uważnie popatrzył mi prosto w oczy.

— Aha, a mnie tu rybka pływa!

\*

Pojutrze zaczęło się parszywie.

Obudziłam się we łzach i zrozumiałam, że nigdzie dziś nie pójde.

— Ola, złotko — potarł mi Otto. — Co z tobą? Czekałem i czekałem na ciebie w warsztacie...

— Aaaa... — zaszlochałam w głos.

Półkrasnolud głaskał mnie po głowie i pocieszał.

— No to się stało? — Nareszcie nie wytrzymał.

— Nie zadawaj głupich pytań. — Siąknęłam nosem.

Mój przyjaciel poszarpał się za brodę i w końcu załapał:

— Dzisiaj idziesz za księżycem? Tak?

Kiwnęłam głową.

— No to poleż sobie — westchnął Otto. — Pogadam z opiekunem.

Zwinęłam się w kłębek i zajęczałam.

W południe, mroczna i zła, pojawiłam się w kuźni. Otto opróżnił dla mnie ławkę i położył na niej zwinięty kożuszek.

Położyłam się i przyglądałam, jak półkrasnolud pracuje.

— Zawsze się cieszyłem, że nie jestem kobietą — powiedział, pochwyciwszy moje spojrzenie.

— Za to mnie latem twarz nie poci się pod brodą — nie pozostałam dłużna. — A zimą sople z wásów nie włożą do ust.

— Nie masz bladego pojęcia o brodach! — oburzył się mój przyjaciel. — A skoro ci lepiej, poczytaj podręcznik. Artefakt trzeba skończyć w terminie.

Zagłębiłam się w książce, burcząc po cichu niepochlebne opinie o całej męskiej populacji królestwa.

\*

Nekromanta dołączył do nas w „Pij Więcej!” akurat kiedy próbowałam zmusić się do zjedzenia kawałka kiełbasy. Jeść mi się nie chciało, ale głodna bywałam wyjątkowo zła, a jeżeli do tego dołożyć

jeszcze stan dni podążania za księżycem...

— Irga... — zaczął półkrasnolud. — Jesteś pewien, że właśnie dzisiaj chcesz zaprosić Olę na herbatę?

— Tak. — Irga zmarszczył brwi. — A co, coś się stało?

— Stało — odparł Otto.

— Otto, może tak przestań wtrącać się w nie swoje sprawy? — powiedziała, odsuwając kielbasę.

— Chciałem tylko pomóc...

— To zjedz moją kielbasę.

— Całą obśliniłeś!

— W takim razie się zamknij!

— Tak... — powiedział Irga. — Coś przeoczyłem?

— Wszystko przeoczyłeś! — rzuciłam się na niego. — Też mi coś, a jeszcze chce się zenić!

— Ja bym na jego miejscu już cię zabił! — nie wytrzymał Otto. — Przy czym ze szczególnym okrucieństwem.

— Nikt cię nie pyta o zdanie! I w ogóle!

— I w ogóle to ja cię cały dzień musiałem znosić!

— Ach, znosiłeś! Ach, jakże cierpiełeś! Czyli nie lubisz przebywać ze swoją przyjaciółką?! Nikt mnie nie kocha!! — zawylałam.

Opuściłam głowę na ręce i rozpłakałam się w głos.

— Sam z nią teraz sobie radź — rzekł półkrasnolud. — Ja ją będę miał na głowie jutro. I jeszcze pojutrze! I popojutrze! Ola! Przestań ryczeć! Gdzie zawieruszyłaś eliksir uspokajający ode mnie?

— Rozbiłam go dzisiaj! Chciałam wypić i się potłukł! Spadł z szafyyyyy!

— Rozbiłaś mój eliksir! W TE dni! Ja mam przecież z tobą pracować! Pomyślałaś o tym?!

— Dość — powiedział Irga spokojnie. — Każdy miewa złe dni.

— Zaraz mu dam w mordę! — postanowiłam.

— Mordę! Ty popatrz na swoją gębę! — oburzył się półkrasnolud, rozluźniając kark. — Ano chodź tu, paskudo!

Nekromanta przechwycił mnie zręcznie i posadził sobie na kolanach.

— Starczy, mówię. Otto, przecież ty masz trzy siostry! Powinieneś być przyzwyczajony do kobiecych zachowań!

— One mieszkały w żeńskiej części domu — burknął półkrasnolud.  
— A ja mam z nią jeszcze pracować. Na Młot i Kowadło!

— Przyzwyczajaj się. A ty co, pierwszy raz ją widzisz w takim stanie? — zapytał nekromanta.

— Nie — odpowiedział Otto po chwili zastanowienia. — Po prostu jestem dzisiaj jakiś nie w humorze.

— Też idziesz za księżycem? — spytałam złośliwie.

— Co??? — najeżył się Otto. — Jak ty w ogóle...

— Normalnie jak dzieci! — powiedział Irga. — Otto, siadaj!

Stalowe nutki, rozbrzmiewające w głosie nekromanty zmusiły półkrasnoluda do posłuchu. Złapał kielbaskę i zaczął ją jeść, mlaskając złowrogo.

— I dobrze. My teraz pójdziemy, ty się napijesz piwa, a jutro wszystko będzie w porządku.

— Obiecujesz?

— Obiecuję — rzekł Irga stanowczo.

\*

Szłam po chodniku, gniewnie kopiąc śmieci. Irga szedł z tyłu, pogwizdując. Uderzyłam stopą w jakiś kamień i zdarłam sobie skórę z palców. Tak więc musiałam poszukać sobie bardziej miękkiej ofiary.

— Idziesz sobie — zwróciłam się do Irgi. — I jest ci wszystko jedno, że mam teraz TE DNI i to znaczy, że nic ci nie wyjdzie.

— Co nie wyjdzie? Zamierzałem cię poczęstować herbatą i tak też zrobię. Czy może w TE DNI ty nie pijesz herbaty?

— A... e...

Irga potrząsnął grzywką.

— Co, kochanie?

— A czy ty nie chciałeś — poczułam, że płoną mi uszy — ze mną... no... ten...?

— Czemu miałbym nie chcieć? — zdziwił się Irga. — Teraz też chcę.

— O właśnie! — Przystanąłam. — I co, jest ci wszystko jedno, że nic z tego nie wyjdzie?

— Ola! — Nekromanta się roześmiał, podniósł mnie i okręcił w powietrzu. — Cokolwiek się dzieje czy nie dzieje, i tak wychodzi na dobre. Wyobraź sobie, że teraz byś szła ze mną i myślała, jak będę się do ciebie dobierać, zaczęłabyś się denerwować, bać, nawymyślałabyś nie

wiadomo co. I w rezultacie byłaby klapa. A tak po prostu idziesz na herbatę. I wiesz, że nic straszego się nie wydarzy.

Zamyśliłam się. Irga miał rację. Jak to by było, iść ulicą i wiedzieć, co będzie dalej? I jak będzie?

— Hej, Ola! — zawołał mnie nekromanta. — Jesteśmy na miejscu. Czy wybierasz się gdzieś dalej?

— Zamyśliłam się po prostu.

— Mogę mieć nadzieję, że rozpaczasz z powodu tego, że dziś między nami nic nie będzie? Nie, nie, żartowałem! Nie musisz mnie kopać!

W mieszkaniu usiadłam na łóżku Irgi i zaczęłam się przyglądać, jak on parzy herbatę. Jaka to przyjemność, tak patrzeć na mężczyznę, który się o ciebie troszczy! Mogłabym tak siedzieć i patrzeć całą wieczność.

— Gotowe. — Irga usiadł obok. — Daj, rozplotę ci włosy i zrobię masaż. Moje siostry twierdzą, że to pomaga.

— Nie masz tylko jednej?

— Dwie. Obie młodsze.

— To widać — mruknęłam, rozpluwając się pod jego dotykiem.

— Dlaczego?

— Pewnie im zaplatałeś warkoczyki. O, jak zgrabnie sobie radzisz z moimi włosami.

— Owszem — roześmiał się Irga. — Zaplatałem.

Obejrzałam się. Jego twarz jaśniała czułością.

— Wiesz, ja przecież cię takiego nie znałam — przyznałam nieoczekiwanie dla samej siebie. — Takiego domowego. Dobrego. Bliskiego. A nie wielkiego i potężnego nekromantę. I wszechwiedzącego mądrą.

— Nie jestem wielki, tylko po prostu pracowity. W odróżnieniu od niektórych osób. — Chłopak dał mi pstryczka w nos.

Uśmiechnęłam się, zdając sobie sprawę, że mam straszną ochotę go pocałować. Pochyliłam się ku niemu zamykając oczy. Jego wargi dotknęły moich, już miałam przytulić się do niego... i nagle rozległo się natarczywe stukanie do drzwi.

— Nikogo nie ma w domu! — wrzasnął Irga.

— Irga! To bardzo pilne! Z urzędu miejskiego! Mają duże problemy! Zbierają wszystkich naszych!

Nekromanta odetchnął głęboko kilka razy.

— No cóż, miła moja. Dla ciebie pora spać, a ja idę do pracy.

W milczeniu pokiwałam głową. Chciało mi się płakać, że wszystko tak szybko się skończyło.

— Wróć jutro! Tylko się nie maż. Twój klucz od domu leży na stole — powiedział Irga. Pocałował mnie delikatnie w usta i wybiegł z mieszkania.

Zwinęłam się w kłębuszek i zasnęłam, z nosem wtulonym w poduszkę, która przyjemnie pachniała moim — w końcu muszę to przyznać — narzeczonemu.

Wyspałam się doskonale. Jednak oddzielne mieszkanie to nie akademik, gdzie co noc ktoś tupie, pije, śpiewa albo się bije, a ściany usłużnie przenoszą wszystkie dźwięki do twojej sypialni. Rano Irga nie przyszedł. Poszperałam w szufladach kredensu, zjadłam pudełko czekoladek i powlokłam się na praktykę.

Miasto przywitało mnie niezwykają ciszą. Na ulicach nie widziałam przechodniów, nie jeździły powozy. Szyunki i sklepy były pozamykane.

— Stój! — Ostry krzyk zmusił mnie do zatrzymania. — Kim pani jest? Dokumenty!

Patrol straży miejskiej!

— Co się stało? — zapytałam.

— Dokumenty! — Strażnik był nieugięty.

Gorączkowo grzebałam w torbie. Gdzieś tu powinna poniewierać się legitymacja studencka. No gdzież ona jest?

— Proszę z nami na posterunek dla wyjaśnienia.

— Co ja takiego zrobiłam? Jakie wyjaśnienie? Co się tu w ogóle dzieje?

— Godzina policyjna! W mieście ogłoszono stan wyjątkowy!

— Ja nic nie wiedziałam...

— Zaczekajcie! — Do patrolu podbiegł mag, płacząc się w długiej szacie.

Był to mój stary znajomy, Bringem.

— Ona jest z uniwersytetu. Znam ją.

— Potwierdzacie?

— Tak! Nawet teraz może przejść skanowanie aury! Przecież wiecie, że na aurach wszystkich studentów jest pieczęć.

Dowódca patrolu machnął ręką.

— Panienko, proszę iść na uniwersytet i to możliwie jak najprędzej.

— Bringem, co się stało? — Złapałam chłopaka za rękę.

— Muszę iść z patrolem... Już mówię. W mieście wprowadzili stan wyjątkowy. Wczoraj w nocy zaatakowała nas Księżycowa Pomroka. W bardzo dużej liczbie. Wszystkich naszych zebrali — niektórych do walki, a innych do patrolowania. Jest polecenie, żeby ludzie nigdzie nie wychodzili z domów i nikogo nie puszczali. Dziwne, że nie słyszałaś, przecież całe rano obwoływacze o tym krzyczeli.

— Spałam — zmieszałam się. Co to za księżycowa pomroka?

— Leć na uniwersytet, każdy mag się liczy!

Już w biegu nagle mnie olśniło: tam przecież jest Irga! Walczy w pierwszych szeregach z jakąś księżycową pomroką! O Siły Niebieskie! Obróciłam się na pięcie i popędziłam do świątyni Pani Pomyślności.

Wbiegając do nawy, zdarłam z uszu duże, dość drogie kolczyki i położyłam je na ołtarzu.

— Proszę, uśmiechnij się do niego w boju. Niech wszystko będzie dobrze, proszę cię.

Statua Pani Pomyślności chytrze uśmiechała się gdzieś w przestrzeń. Westchnęłam i ściągnęłam z przegubów bransolety. Wczoraj, wybierając się na spotkanie z Irgą, wystroiłam się w kosztowną biżuterię. Przydała się.

Ołtarz buchnął barwnymi płomieniami. Prośba została przyjęta.

Dotarłam do pracowni ciężko zasapana. Na kowadle leżała lakoniczna notka od Ottona: „314 aud”. Do audytorium już nie miałam siły biec, ale zdobyłam się na szybki marsz.

W audytorium studenci skupili uwagę na Befie, który coś kreślił na tablicy.

— Ilu jeszcze brakuje? — zapytał, odprowadzając mnie spojrzeniem, kiedy szłam na swoje miejsce obok półkrasnoluda.

— Trojga — odpowiedział starosta roku.

— To wyślijcie do nich w końcu posłańców! Żadnej dyscypliny...

W zasadzie, na terenie uniwersytetu działał zakaz wysyłania magicznych posłańców, lecz skoro już profesor pozwolił...

W ciągu kilka minut w audytorium uniosły się w powietrze setki posłańców, niosących listy do bliskich: Wszystko w porządku? Co z tobą?

— Trzy wiadomości, powiedziałem! — ryknął Bef.

Poczekaliśmy na spóźnionych.

— Więc, powtórzę dla tych którzy dotarli później. Dopiero co streściłem podstawowe sposoby obrony przed Księżycową Pomroką. Potem zapytacie kolegów. Kontynuujemy. Czym jest Księżycowa Pomroka?

Audytorium umilkło. Bef potoczył surowym wzrokiem po audytorium. Nieśmiało podniosło się kilka rąk.

— Kujony — warknął Otto. — Jak się czujesz?

— Nie za bardzo — odpowiedziałam. Długi bieg dał o sobie znać i całe ciało mnie bolało.

Oparłam głowę na ręce i przygotowałam się do drzemki.

— Księżycowa Pomroka — to pomroka... w którą wstępnie została wlana magiczna energia... lecz uaktywni się ona tylko w czasie pełni księżyca — zacinając się, któryś ze studentów poświęcił się za wszystkich.

— To wszystko? — zapytał Bef. — Niewiele. Kto może uzupełnić?

— Księżycowa Pomroka wymaga większego wydatkowania energii przy stworzeniu, za to zupełnie ich nie potrzebuje przy „życiu”, dlatego że prowadzi ją księżycowa energia. Dla stworzenia księżycowej pomroki potrzebny jest nekromanta bardzo wysokiego poziomu. A jeszcze lepiej kilku. Taka pomroka wyróżnia się podwyższoną agresywnością i krwiożerczością. Są dane, że księżycowa pomroka niszczyła w czasie dwóch dni pełni księżyca całe miasta...

— I to krasnolud! — skomentował Otto. — Zdrajca. Poszedłby uczyć się na nekromantę. A nie hańbić swoją superwiedzą uczciwych rzemieślników.

— Kiedy zarejestrowano ostatnie pojawienie się księżycowej pomroki? — zapytał Bef. — Olgierda?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziałam, nie otwierając oczu. I tak wiedziałam, że wyraz twarzy opiekuna nie zapowiadał nic dobrego, lecz zbeszta mnie sam na sam, czyli teraz jeszcze nie muszę się denerwować.

Rozdzieliwszy zadania w zakresie pilnego wytwarzania ochronnych amuletów — by rozdać je ludności cywilnej w charakterze środka uspokajającego, Bef zwolnił studentów.

— Olgierdo — odezwał się. Otto siedział obok, z powodzeniem



udając ślepego i głuchoniemego. — Nie próbowałaś nigdy, chociażby dla odmiany, nieco mniej wagarować z wykładów?

— Profesorze. — Utkwiłam w nim najszczerze spojrzenie ze swojego arsenału. — Obiecuję, na ostatnim roku będę najpilniejszą studentką!

— Dlaczego ja ci nie wierzę? — westchnął Bef. — A oto co mnie interesuje. Jakim sposobem wszyscy magowie w mieście, gdzie znajduje się nawet magiczny uniwersytet, przegapili wyrzut magicznej energii takiej siły?

— Wakacje są... — bąknęłam.

— Olgierdo, wakacje mają tylko uczniowie, a i tak w tym czasie na nie używanie głowy pozwalają sobie tylko skończeni lenie.

Zrozumiałam aluzję i się zamknęłam.

— A jeśli... — zaczął Otto nieśmiało. — A jeśli wyrzutu energii nie było? Jeśli pomroka zwyczajnie podeszła do miasta i zaczęła się w pobliskim lasku?

— Dlaczego tak uważasz?

— To przecież proste! Wy, wielcy magowie, rozumiecie w wielkiej skali. Jeśli armia — to obowiązkowo teleportować. Jak aktywować pomrokę — to koniecznie z użyciem ogromnej energii. A jeśli z początku zwyczajnie podnieść zombi? To przecież łatwe. Przeprowadzić na miejsce i nałożyć zaklęcie z aktywacją w czasie pełni księżyca.

— Jak ci to przyszło do głowy?

— A nie będzie się pan śmiał?

Bef uniósł brwi.

— Nie.

— Lubię czytać powieści detektywistyczne — przyznał się Otto. — I akurat w jednej była opisana taka sytuacja.

— Wszystko jedno — rozważał opiekun. — Do tego jest potrzebna duża ilość energii.

— Zabijali magów. — Otto wzruszył ramionami.

Drgnęłam. Nie tak dawno mnie również ktoś chciał zabić i odebrać mi energię. Wspomnienie było nieprzyjemne.

— Otto, czy ty nas uważasz za idiotów? Wszyscy magowie królestwa zostali sprawdzeni jeszcze w nocy. Rozesłano do nich posłańców. Umarł tylko jeden i to ze starości!

— Wszyscy zarejestrowani magowie — odparł półkrasnolud. — Ci, których kopie aur posiada Magiczny Zarząd. A co z niedouczonymi wędrownymi magami? Wiejskimi czarownicami? Skąpcami, którzy się nie zarejestrowali i nie płacą składek? Pamiętam, jak w jednym kryminale...

Bef wstał, już nie słuchając. Był całkowicie pogrążony w swoich myślach. Koło drzwi zatrzymał się, przypominając coś sobie.

— A przy okazji, ruszajcie do pracy. — Potarł czoło, lecz nic więcej nie powiedział.

\*

— Jakiś ty mądry! — powiedziała do Ottona z zachwytem, kiedy szliśmy w kierunku warsztatów

— Dlatego, że czytam rozwijająca umysłowo literaturę — wyjaśnił dumnie. — Szczególnie lubię kryminały z ciągiem dalszym, kiedy trzeba odgadnąć, co będzie dalej, kto kogo zabił i jakim sposobem. I w ogóle osobowość nam kształtuje to, co czytamy. O ty, na przykład, jaką książkę ostatnio czytałaś, prócz obowiązkowych podręczników?

— Naukową! — powiedziała niedbale. Niech sobie nie myśli, że jego najlepsza przyjaciółka ma osobowość, ograniczoną romansami i „Biuletynem wyprzedaży”.

— Taaaak? — zdumiał się Otto. — I cóż to za książka?

— Ty mi nie wierzysz?

— Nie.

— Uważasz, że jestem całkiem głupia? — oburzyła się. — Ty mnie zupełnie nie szanujesz! — Poczułam, że zaraz się rozpłaczę.

— Drugi dzień — wyszeptał Otto. — Jeszcze troszeczkę...

— Co?

— Nic. Chciałem tylko uściślić, co to za książka. Może też powinienem przeczytać?

— „Studium wulgarnego słownictwa w języku elfów”.

— Że co??? To elfy umieją przeklinać? Nie może być!

— Wszyscy umieją przeklinać, Otto. Niektórzy tylko tak rozmawiają, a ich słownik literacki sprowadza się do spójników, przyimków i wykrzykników.

— Chętnie bym posłuchał. „Pachniecie jak odchody mego śnieżnobiałego rumaka”. Albo: „Pańska twarz przypomina mi płaza,

zmarłego ze starości”.

— Trochę lakonicznie, ale chwytasz sens. Chociaż są słowa, za które w elfiej społeczności mogliby cię wyzwać na pojedynek.

— Jakie?

— Na przykład „nikczemna elfia morda” i „my, krasnoludy, i tak jesteśmy od was lepsi”. Pożyczę ci tę książkę, sam sobie poczytasz.

Wieczorem oboje, obleczeni w oficjalne szaty, wybraliśmy się, by rozdawać świeżo przygotowane artefakty ochronne. Jak na złość, dostaliśmy rejon obok Cmentarza Warragińskiego.

— Dzięki piękne, kochani opiekunowie — warczał Otto. — Dlaczego inni rozdają artefakty na oświetlonych centralnych ulicach, a my koło cmentarza?

Po drodze zdążyłam zaopatrzyć się w piwo u znajomego przekupnia i nastrój miałam melancholijny oraz senny.

— Dlatego, że dobrze robimy artefakty. A koło cmentarza to ważne. I w ogóle, mamy doświadczenie w kontaktach z zombi.

— A żeby ci język pokręciło — zezłościł się Otto. — Krakaj dalej. Oddawaj piwo, nie powinnaś pić w te dni.

Obeszliśmy dzielnicę i przysiedliśmy na ławeczce, żeby odpocząć. Chrupałam wyrwaną z czyjejs przydomowej grządki marchewkę, otarłszy ją o spódnicę. Otto dopijał piwo.

— Ściemnia się. Pójdziemy już, niebawem godzina policyjna. Lepkie rączki! Podziel się marchewką.

— Piwo mi zabrałeś, marchewkę też zabierasz. Gdzie sprawiedliwość?

— Nie narzekaj. Jabłek narwałem. Chcesz? I mam pomidory. A to co? Młot i Kowadło, zamiast buraków narwałem jakichś kwiatów.

— Ciekawe, co powiedzą ludzie, kiedy zobaczą, jak przerzedziły się ich grządki? — powiedziałam po prawie uczciwym podziale zagrabionego mienia.

— Że przechodzili tędy głodni studenci. I w ogóle, jeżeli sadzisz coś na ulicy, to tego pilnuj. Czy nam za cały dzień pracy ktoś coś zapłacił?

— Nooo, jesteśmy magami, powinniśmy się troszczyć o niemagiczną ludność...

— Jeszcze powiedz, że bezinteresownie. A nasz rektor ma w stajni same zamorskie ogiery. I pozłacaną karekę.

Nadgryzłam soczyste jabłko i zgodziłam się z półkrasnoludem.

Powoli ruszyliśmy w kierunku uniwersytetu. Pustka na ulicach już nas nie przerażała, lecz widok zamkniętych knajpek był bolesny.

— Aaaa! — Przerażliwy krzyk rozniósł się po pustych ulicach, wzmocniony echem. — Pomocy! Zombi!! Aaaa!!!

— Biegniemy! — podjął decyzję Otto, zdzierając z siebie togę. — Nienawidzę długich ciuchów...

— Powoli i statecznie idziemy na pomoc — poprawiłam. — Może patrol zdąży przed nami?

— Biegniemy w drugą stronę! — wyjaśnił półkrasnolud. — Nie jesteśmy magami bojowymi, tylko pokojowymi rzemieślnikami. Którzy jeszcze mają zamiar żyć. Długo i szczęśliwie.

— Otto!

— Obcowanie z niektórymi zbyt uczciwymi nekromantami źle na ciebie działa!

— Aaaaa!

— Ciekawe, skąd w mieście zombi? Wszyscy nekromanci ochraniają teraz granice miasta, magowie bojowi też tam są... — zastanawiał się Otto, wyłamując ciężką sztchetę z czyjś płuca. — Kto go podniósł? Szczątkowa księżycowa magia?

Wzruszyłam ramionami. Było mi wszystko jedno. Krzyk powtórzył się jeszcze raz, skręciliśmy za róg. Scena, jaką ujrzeliśmy, zmusiła nas do synchronicznego otwarcia ust.

Żadnego zombi nie było. Było za to pięciu ludzi bandyckiej proveniencji, którzy ewidentnie pragnęli od nas wcale nie pomocy w likwidacji pomroki.

— No i masz, pojawili się maruderzy — skomentował Otto. — Teraz wiadomo, dlaczego tak długo krzyczeli. Normalny zombi już dawno by takiego krzykacza zeżarł.

— To magowie! — oburzyła się dziewczyna, grająca rolę „ofiary”. — A ty powiedziałaś, że się nieźle obłowimy.

— Dyletanci. — Półkrasnolud pokręcił głową. — Na kim się obłowicie?

— Na tych, co przyjdą na pomoc — odpowiedział wysoki drab.

— Na patrolu? Chciałbym to zobaczyć. Cywile w tej chwili nie wysuwają nosa z domów.

— Wy nam starczycie. — Drab zakasał rękawy. — Dawać tu, co macie cennego!

— Spróbuj sam wziąć! — Otto uniósł pałkę.

Zastanowiłam się. Miałam ochotę wypowiedzieć jakąś ważką frazę przed bójką, ale na myśl przychodziły mi jedynie elfickie przekleństwa, więc zabłysła erudycją, na jednym oddechu wykrzyczawszy dwa zdania, stawiające pod znakiem zapytania pochodzenie członków bandy i określające ich wygląd zewnętrzny. Nieoczekiwanie w powietrzu utworzyła się jaskrawożółta kula, która wybuchła z ogłuszającym hukiem. Napastników rozrzuciło w różne strony, a z ziemi wszędzie zaczęły wyłazić zielone kiełki. Otto złapał mnie za rękę i pociągnął w stronę uniwersytetu.

Biegliśmy bez zatrzymania aż do samego ogrodzenia uczelni.

— Na Młot... — wysapał półkrasnolud. — Co to było?

Oparłam się o płot, żeby nie upaść. Cały dzień byłam dziś na nogach i chciałam umrzeć. Najlepiej w miarę szybko i bezboleśnie.

— Tak w ogóle to były przekleństwa z elfickiego leksykonu. Ale takiego rezultatu się nie spodziewałam.

Otto popatrzył na mnie i objął za talię, żebym się nie kołysała na boki.

— Bef nas jutro zabije.

— Lepiej dziś — powiedziałam. — Chodźmy do niego teraz.

— Przekleństwo!!! Wykrakałaś!

W naszym kierunku szedł Bef. Zobaczył nasze miny i natychmiast powziął podejrzenia.

— Co narozrabialiście?

— Nic — odrzekł Otto, szturchając mnie dyskretnie.

— Wysadziłam pół ulicy — przyznałam się uczciwie.

— Tak myślałem — powiedział Bef. — Po co nam armia, skoro mamy waszą dwójkę? I co z tą ulicą?

— Uciekliśmy. Ale tam coś zielonego wyłaziło wszędzie spod ziemi.

Bef zamknął oczy, milczał przez kilka sekund, po czym zapytał:

— Co to było za zaklęcie?

— Żadne. To były elfickie wulgaryzmy.

— Jutro po obiedzie na moim biurku ma leżeć referat o magicznych właściwościach języka elfickiego — oznajmił Bef. — Czy przynajmniej

nikogo nie zabiliście?

— Nie wiemy — odpowiedział Otto. — Ja też mam pisać referat?

— Nie. Ty przyprowadzisz Olgierdę na rozmowę i sam będziesz w niej uczestniczyć.

Profesor przeszedł się po ścieżce tam i z powrotem.

— Olgierdo, czy przynajmniej istniały jakiegokolwiek przyczyny tak destrukcyjnych działań?

— Tak! Chcieli nas ograbić! Zabrać wszystkie kosztowności!

— Kosztowności... A wy nosicie ze sobą królewski skarbiec. Tak, dokładnie tak powinien postępować królewski skarbnik — wysadzać grabieżców. Ciągłe sobie zadaję pytanie, czego ty się uczyłaś przez cztery lata?

Ciężko było odpowiedzieć na to pytanie tak od razu.

— No, dużo różnych rzeczy...

— Dobrze, czego pożytecznego nauczyłaś się przez te cztery lata?

Zamyśliłam się, wyciągając wargi w ryjek. Bef pokręcił głową.

— Idźcie spać. Zorientuję się, coście tam narobili.

— Królewski skarbiec...! — oburzałam się po drodze do internatu.

— A może, oni robili zakusy na moją dziewiczą cześć?! Wam facetom to dobrze, wy nigdy o tym nie myślicie!

— A ty myślisz tylko o tym — parsknął półkrasnolud.

— Tak, myślę... W sensie, troszcę się o swój honor.

— Oła, kiedy ta cała kołomyja z pomroką się skończy, osobiście wepchnę cię Irdze do łóżka! Żebyś wreszcie przestała o tym dumać i zaczęła myśleć konstruktywnie.

— Stręczyciel! A może ten łobuz proponował ci pieniądze za usługę? W takim razie sama się tam położe!

— Obiecujesz!

— A ty myślisz, że nie? Obiecuję! Nie, Otto, stop-stop-stop! Ja nie chcę...

— Już obiecałaś! — Półkrasnolud zarżał tak, że aż zgiął się w pół.

— Nienawidzę cię! — zasyczałam.

— Poczekaj — chichotał mój najlepszy przyjaciel. — Ty mnie jeszcze nie nienawidzisz. Za to kiedy opowiem to Irdze... Koloryzując troszeczkę, oczywiście. Hej, nie bij mnie! — Otto przechwycił moją rękę. — Dopiero co zamierzałaś umierać. Skąd taka energia?

— Nic mu nie powiesz, inaczej ja też komuś coś powiem! — zagroziłam, próbując Ottona kopnąć.

— Nie starczy ci fantazji!

— Starczy, całą noc będę myśleć.

— Ty masz napisać referat! Owocnej nocy!

Otto odszedł, śmiejąc się to głośniej, to ciszej.

Rzuciłam za nim jabłkiem, ale nie trafiłam. Znalazłam w torbie czystą kartkę, szybko napisałam notatkę: „Kupię referat o języku elfickim. Pilnie. Dobre wynagrodzenie. Ola”; powiesiłam ją na tablicy ogłoszeń i poszłam spać.

Rankiem jako tako posklejałam z czterech kupionych referatów jeden. Przy tym zajęciu zastał mnie Otto, który przyniósł świeże bułeczki i natychmiast uzyskał przebaczenie.

— Bef powiedział, żebyśmy mu się nie pokazywali na oczy. Nikogo nie zabiłaś, ale tam na ulicy rośnie teraz nieduży zagajnik. Mieszkańcy są zadowoleni.

— A ja już wydałam kasę na referat — zdenerwowałam się.

— A, referat kazał oddać. Po prostu nie ma teraz do nas głowy.

— Dlaczego?

— Duże straty — powiedział Otto.

— W walkach z księżycową pomroką? — Poczulałam, że jest mi ciężko oddychać. — Siły Niebieskie...

Przez otwarte okno wleciał posłaniec.

— Otto... — wyszeptałam wyschniętymi nagle ustami.

Półkrasnolud szarpnął się za brodę i drżącą ręką przyjął latacza.

— Od Liry. Trochim jest w Domu Uzdrowień. W krytycznym stanie.

Opuściłam głowę na rękę.

— Co on tam robił?

— On przecież przeszedł z powrotem na wydział magii praktycznej. Wrócił do źródeł, że tak powiem. Wszystkich praktyków z czwartego i piątego roku skierowali do obrony.

Zaszlochałam.

— Złotko, wszystko będzie dobrze. Pójdziemy tam.

\*

W Domu Uzdrowień panował chaos. Uzdrowiciele pracowali w skupieniu, bladzi ze zmęczenia i niedospania.

— Z jakiego roku? — zapytał nas wąsaty lekarz.

— Z czwartego. Specjalizacja Mistrz Artefaktów.

— Umiesz robić opatrunki? Kierować energię?

— Tak.

— Do gabinetu numer dwa.

— A ja? — zapytał Otto.

— Do sali przyjęć. Będziesz nosić rannych.

Dzień przemienił się w istną karuzelę. Bandaże. Krew. Jęki. Jęki. Krew. Bandaże.

— Trzymaj, trzymaj ten potok! Opada! Trzymaj! — krzyczy lekarz do mnie. — Dalej, kochany, trzymaj się, nie umieraj! — do młodego, chudego maga.

W nocy usiadłam na ławeczce dla odwiedzających gdzieś w kącie korytarza i nie wiadomo kiedy się wyłączyłam.

— Pobudka! — Ktoś krzychał mi nad uchem.

— Lira... — wyjęczałam. — Zabij mnie.

— Specjalna uzdrowicielska czekolada — zakomunikowała Lira radośnie, wpychając mi kawałek prosto do ust. — Zaraz poczujesz się lepiej. Trochim odzyskał przytomność. I już nawet łapie za spódnice co ładniejsze lekarki.

— Można do niego iść?

— Pewnie. Przeszłaś chrzest bojowy, należy ci się nagroda.

— Chrzest bojowy?

— Zuch jesteś, bardzo dobrze sobie radzisz z potokami energii — pochwaliła Lira po drodze. — Widziałam, jak pracujesz.

— Zajmuję się artefaktami. I lubię magię wykreślną. A magiczne potoki to tam podstawa — odpowiedziałam z pełnymi ustami. Pochwała jednak była przyjemna.

— Nie chcesz zmienić specjalizacji i przejść do nas?

— Nie! Mnie w ogóle mdli na widok krwi. A jelita mają brzydki kolor i nie pasują mi do spódnicy.

Lira się roześmiała.

— O, dziewczyny! — zachrypiał Trochim. — Co u was?

— W porządku, a jak tam u ciebie?

— Żyję — uśmiechnął się. — Przy okazji, Irga prosił, żeby ci przekazać, że jak wróci, to będziecie kontynuować od miejsca, w którym



przerwał.

Uśmiechnęłam się.

— Co to znaczy? — zapytał Trochim.

— Tajemnica.

— Przespaliście się? — Nawet się uniósł na łokciu.

— Trochim! — krzyknęła moja przyjaciółka karcąco. — Tobie nie wolno się denerwować! Jak stąd wyjdiesz, to dowiesz się wszystkiego. I w ogóle, po co ci szczegóły cudzego życia osobistego?

Wyszłyśmy z pokoju i Lira, płonąć ciekawości, zapytała:

— Wy naprawdę?..

— Po co ci szczegóły cudzego życia osobistego?

— Jestem twoją najlepszą przyjaciółką!

— Nie, nie zdążyliśmy.

— Czyli twojemu nekromancie nie stanie się nic złego — powiedziała Lira z przekonaniem. — Jeżeli człowiek ma wielki cel, on nie może umrzeć.

— Wielki?

— Wszystko zależy od stosunku do życia. — Lira wzruszyła ramionami. — Chodźmy, robota na nas czeka.

— Kiedy to się wreszcie skończy? — zajęczałam.

— Dzisiaj ostatni dzień — powiedziała uzdrowicielka, z którą pracowałam. — Jutro przyjdą ci, którzy mogą chodzić. A pojutrze już będzie spokój.

\*

Dwa dni przeleciały bardzo szybko

— Irga wróci nieprędko — powiedział Otto, odsuwając się od stołu.

W „Pij Więcej!” odpoczywaliśmy po zbożnym trudzie, napełniając się piwem ze smażonymi kiełbaskami.

— Dlaczego? — zapytałam. Otto miał unikatową zdolność zdobywania informacji i zawsze był zorientowany w bieżących wiadomościach.

— Dlatego że teraz nekromanci oczyszczają teren, żeby podczas kolejnej pełni nie było nieprzyjemnych niespodzianek.

W milczeniu napiliśmy się piwa.

— Bef mnie wzywał — pochwalił się Otto. — Prosił, żeby mu przynieść kryminał. Nie mogą znaleźć śladów maga, który to wszystko

zrobił. Zdecydowali się brać przykłady z literatury. A to wszystko ja podpowiedziałem!

— Nie rozdymaj się tak — poradziłam. — Bo pęknieś.

— Będzie ci mnie żal?

— Nie. Ale nie chcę cię zeskrobywać z ubrania.

Czekałam na Irgę, drzemiąc na jego łóżku. Przyniosłam ciasto, przygotowałam kolację, rozczesałam włosy, włożyłam piękną nocną koszulę i ułożyłam się w kuszącej pozie.

Nekromanta przyszedł koło północy. Poruszał się powoli, jakby każdy ruch sprawiał mu ból. Jego ubranie było podarte. W milczeniu zdjął z siebie brudne łachmany, dając mi możliwość podziwiania jego obnażonej figury w poświęcie księżycy, leżącej się przez okno.

— Nie czekałam na próżno. Taki widok! — odezwałam się.

Irga wzdrygnął się.

— Ola? Co ty tu robisz?

— Czekam na ciebie. A co?

Irga zapalił lampę.

— O, jedzenie!

— Idź się najpierw wykąpać. — Popchnęłam go w stronę łazienki. Irga wziął czystą bieliznę i poszedł pod prysznic.

Podgrzałam jedzenie, które zdążyło ostygnąć. Irga wyszedł z łazienki, pachnąc świeżością i rzucił się na posiłek, jakby głodował przez tydzień.

— Jak mi dobrze — powiedział, rozłożywszy się na łóżku. — Mogę jeszcze prosić o herbatę?

— Zaraz zrobię.

Zaparzywszy herbatę, z uśmiechem odwróciłam się do łóżka. Irga spał krzepkim snem, podłożywszy ręce pod głowę. Jego twarz była aż szara ze zmęczenia.

— Irga! Twoja herbata! — Potrzasnęłam jego ramieniem. Ani drgnął.

— Irga! Obudź się! Przyszłam, a ten... Irga! Idę sobie. O, widzisz, odchodzę! Tup-tup-tup...

Wkrótce zrozumiałam, że łatwiej ożywić szkielet niż obudzić nekromantę.

— No dobrze — burknęłam. — Niedoczekanie, że przyjdę do ciebie

drugi raz!

Przebrałam się, cisnęłam koszulę nocną na łóżko i poszłam, głośno trzaskając drzwiami.

W „Pij Więcej!” Otto delektował się piwem. Obok siedział niedoleczony Trochim, który uciekł z Domu Uzdrawień i posepnie pił sok.

— Co tak szybko? — zdziwił się półkrasnolud.

— Irga zasnął. A ja się tak przygotowywałam... — Łzy zakręciły mi się w oczach.

— Taka jesteś nudna w łóżku? — zapytał Trochim.

— Nie — rozpłakałam się. — On po prostu zasnął! Przyszedł, zjadł kolację i zasnął! Nawet nie zwrócił uwagi na moją koszulkę. A ja wydałam na nią prawie złocisza!

— Wiesz, Ola, czasami mężczyzna musi po prostu zjeść i pospać — zauważył Otto filozoficznie, podsuwając mi swój kufel. — Obrażać się za to na niego to tak, jakby obrażać się na ciebie, kiedy idziesz za księżycem. Wypij, to ci się poprawi humor!

## Rozdział 21. Miłość to nie problem?

Praktyka nareszcie się zakończyła. Wylegiwałam się na łożku i czekałam na natchnienie. Od kiedy wyszłam z mieszkania Irgi, rzuciwszy w niego koszulą nocną, minęło już półtora tygodnia. A tak zwanego narzeczonego ani widu, ani słychu. Sprzykrzyła mi się ta sytuacja i zdecydowałam napisać do niego gniewny list.

List w żaden sposób nie chciał się zmieścić w ramach epistolarnych prawideł. Jeżeli wyciąć z niego wszystkie wyrażenia typu „świnia”, „chamidło”, „bezczelny” i temu podobne, treści pozostawało przygnębiająco mało. Powieści miłosne, które wertowałam w poszukiwaniach wzoru, w niczym mi nie pomogły. Z jakiegoś powodu, chyba z powodu uświęconej tradycji, tam się tylko wzdychało i przebaczało ukochanemu wszystko a nawet więcej. Iść do biblioteki mi się nie chciało.

Lira zniknęła na całe dni w Domu Uzdrawień, Otto brał udział w jakimś projekcie kolegów z tego samego roku. Stanowczo nie miałam co robić. Nie, no oczywiście, mogłam się jeszcze pouczyć, ale kto zakuwa, kiedy na ulicy łagodnie świeci słońce borowika, ostatniego letniego miesiąca?

Popatrzyłam na kalendarz ścienny, gdzie zaznaczałam ważne zadania, które trzeba by wykonać.

Westchnęłam, wyciągnęłam ołówek.

„Dzień dobry, mammo!

U mnie wszystko w porządku, dobrze się odżywiam, praktykę zaliczyłam, nie kupowałam nowych okropnych szmatek. Pozdrawiam tatę i siostry”. Na tym moje natchnienie zdechło, żałośnie zadarłszy łapki do góry.

„Otto też was pozdrawia” — wycisnęłam z siebie mężnie. — „Lira życzy wszystkiego dobrego”. W ciągu tego tygodnia nie wydarzyło się nic nowego. Po ataku Księżycowej Pomroki wysłałam do domu dość długi list, w którym zapewniałam, że wszystko ze mną w porządku, nie zostałam ranna i w ogóle wszystko jest dobrze. Jednak wystraszona mama domagała się, żeby pisać do niej częściej, co wprawiało mnie w

jeszcze większe przygnębienie, niż oddawanie napisanego w pośpiechu projektu.

„Na nasze okno narobił gołąb” — napisałam i ziewnęłam. Co jeszcze się wydarzyło?

A, właśnie! „Praktyki skończyłam z powodzeniem, niedługo się zacznie rok szkolny”. I oczywiście dodałam mściwie: „Wtedy nie będę już miała w ogóle czasu pisać, bo ten rok będzie decydujący dla mojej kariery”.

— Ola? — Do pokoju zajrzał Otto.

— Wejdz! — krzyknęłam radośnie.

„Na tym muszę kończyć, gdyż przyszedł Otto i prosi, żebym mu pomogła w pewnym bardzo ważnym projekcie naukowym”. Zapakowałam list do koperty, przykleiłam do niego znaczek i odwróciłam się.

— O! Wybierasz się na randkę?

— Tak — powiedział starannie uczesany i wystrojony półkrasnolud.

— I kim ona jest? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

— Dopiero dzisiaj pojąłem, że się zakochałem! — Mój przyjaciel wiercił się przed lustrem. — Jak wyglądam?

— W porządku.

— Tylko w porządku? — Chwycił się za brodę.

— Wyglądasz wspaniale! — Podeszłam i położyłam mu rękę na czole. — Dobrze się czujesz?

Otto się odsunął.

— A co, jeżeli się uczesałem i ubrałem na randkę, to już od razu muszę być chory?

— Nie obrażaj się... — powiedziałam. — To po prostu dziwne...

— Że się zakochałem? Że nareszcie zrozumiałem, jak cudowny jest świat wokoło? Nie spodziewałem się po tobie takiej oschłości, Ola! — powiedział Otto z patosem i wyszedł, głośno trzaskając drzwiami.

Wzruszyłam ramionami i usiadłam znowu do listu.

„Irga! Twoje chamskie zachowanie mnie wkurza! Gdzie ty przepadasz tyle czasu? A co, jeśli już umarłam?”

Po chwili namysłu skreśliłam zdanie o śmierci.

„A jeśli już zdążyłam się zakochać i wyjść za mąż? A ty to wszystko przepuściłeś! Jest ci zupełnie wszystko jedno! Nie zamierzam dłużej

znosić czegoś takiego!”

W porywie natchnienia zdjęłam z półki Liry atlas anatomiczny, krzywo przerysowałam stamtąd męskie walory i nagryzmoliłam spadający na nie topór.

Zadowolona obejrzałam swoje dzieło, stworzyłam magicznego posłańca, przyczepiłam do niego list i wysłałam.

Czym by tu się zająć? Obejrzałam pokój, jak zwykle ignorując zaschnięty ogryzek, leżący na podręczniku o ukierunkowywaniu energii, pleśń w gościnnej filizance, której nie chciało mi się umyć, zakurzony suchar na półce, podpisany „NZ” czyli N(a) Z(apas). A co mamy w szafie? Może spróbować uporządkować odzież?

W szafie czekała na mnie niespodzianka — schowana butla wódki. Wódkę piję rzadko, a tym bardziej w samotności. Wyciągnęłam butelkę z szafy i zadumałam się. Nalałam trochę wódki do kubka i postawiłam na stole. Oczywiście, w królestwie mieliśmy rozmaite wódki. Na przykład „Miodówkę”, „Kwaskową”, „Pieprzówkę”, „Ziołową”, „Mleczną”, „Pokrzywówkę”, „Żurawinówkę”... Tańsze były z iluzjami smaku — magowie starali się na całego. Droższe — na składnikach naturalnych.

Moja zaś była najzwyklejsza i najtańsza. Podejrzewałam, że kupił ją Otto w roli waluty wymiennej, schował u mnie w szafie i o niej zapomniał. Powąchałam wódkę. Ależ świństwo... Trzeba by czymś ją zagryźć.

Suchar i ogryzek nie wzbudziły mego entuzjazmu. Wybrałam się więc do najbliższego sklepiku. Na ganku internatu siedział Ptrońka i coś jadł ze smakowitym chrupaniem. Nie mogłam przejść obok obojętnie.

— A co tak chrupiesz — zapytałam.

— Ogóreczki! — pochwalił się Ptrońka, wydostając z torby młodziutkiego, zielonego ogórka. — Bierz.

Ugryzłam. Mmmm, jaki chrupiący, soczysty! Stop! Chwila, skąd pod koniec borowika u wiecznie ubogiego Ptrońki świeże ogórki? Ograbił spiżarnię burmistrza? Przyjrzałam się ogórkowi. Przecież to iluzja! Doskonała, ale iluzja! Przełknęłam i mogłabym przysiąc, że kęs ogórka prześlizgnął się w dół przełyku — tak realnie mój mózg przyjmował ten magiczny wytwór.

— Podoba się? — Ptrońka nie wytrzymał.

— Bardzo. Skąd to u ciebie?

— To moja praca zaliczeniowa na praktykę — pochwalił się. Ach, no tak! Przecież wybrał iluzje jako specjalizację. — Od dwóch lat doprowadzam to zakłęcie do ideału. Udało się?

— Jeszcze jak! — pozazdrościłam.

W mej głowie powoli wykluwał się plan.

— Tak bym chciała dostać to zakłęcie — westchnęłam. — Pochrupać sobie ogórki, co może być lepszego? Zwłaszcza jak ich nie ma w sprzedaży.

Ptrońka zrobił się czujny.

— Sprzedam drogo — oświadczył. — Co najmniej za dwadzieścia złociszy.

„To przecież majątek!” — przeraziłam się w duchu ale szkoła Ottona nie poszła w las. Obojętnie wzruszyłam ramionami.

— A czemu sprzedajesz? Po znajomości chciałam poprosić, dla siebie.

— E, nie. — Ptrońka zmrużył oczy, robiąc domyślną minę. — Ja cię znam nie od wczoraj. Coś wymyśliłaś i to przyniesie dochód!

Nieokreślonym gestem rozłożyłam ręce.

— W takim razie się zgadzam, ale za procent od zysków!

Ptrońka ewidentnie przegiął. O ile wcześniej jeszcze zamierzałam się potargować, to teraz zdecydowałam wyłudzić od niego receptę za darmo.

— A co? — zapytałam z urazą. — Znaczy Ola zawsze tylko szuka korzyści? A mnie osobiście nic nie potrzeba?

Iluzjonista twardo trzymał gardę.

— A mnie Irga rzucił — powiedziałam raptem, i łzy stanęły mi w oczach na myśl, że takie cudowne ogórki odpłyną w cudze ręce.

— To prawda? — zdziwił się Ptrońka.

— Tak... — zaszlochałam. — Kiedy go ostatni raz tu widziałeś? Rzucił mnie, i nawet nie mam czym się pocieszyć w samotności!

— Eeeee, no...

— I Otto mnie zostawił, znalazł sobie panienkę, i teraz zwykła przyjaciółka mu już niepotrzebna!

— Zgoda! — zdecydował się Ptrońka. — Ale tylko na osobisty użytek!

— Osobistszy nie istnieje! — zapewniłam. Od kiedy to wzbogacanie

się nie było moją sprawą osobistą?

Nowe zakłęcie, do tego jeszcze dość skomplikowane, kosztowało mnie sporo wysiłku, ale za to obok butelki wódki legły na stole dwa zgrabne ogóreczki. Nie wiedziałam jak długo utrzyma się iluzja, więc eksperyment należało przeprowadzić niezwłocznie. Zdusiłam w sobie chęć pokrzepienia się alkoholem, wiedząc, że to może doprowadzić do nieoczekiwanych rezultatów. Wydobyłam spod materaca ukrytą czekoladkę i zjadłam ją, zastanawiając się, czy mam coś jeszcze zachomikowanego, czy to już ostatnia. Umieściłam kubek, butelkę i ogórki na tacy, po czym poszłam do wspólnej kuchni, szukać „szczura doświadczalnego”.

W kuchni zastałam Riaka, który w zadumie wpatrywał się w zawartość rondla.

— O, jesteś mi potrzebny! — ucieszyłam się. — Tak nawiasem, ten rondel jest mój i jeśli z niego ubędzie, to się zemszczę.

Riak upuścił pokrywkę.

— Po prostu się o ciebie troszczę — powiedział. — Może ty się źle odżywasz, a Irga powie, że to moja wina?

— Owszem — potwierdziłam, nalewając wódkę do kubka. — Powiem mu, że mnie objadasz.

— Kiedy ja bym tego świństwa nie ruszył! — usprawiedliwił się Riak.

— I jeszcze krytykujesz moje gotowanie! — Podałam mu wódkę i ogórek. — Masz. To nowe danie dietetyczne.

— Z twojego rondla śmierdzi! — powiedział Riak, z obawą zezując na kubek.

— Dojrzewa. — Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy toto gotowałam i co chciałam z tym zrobić? Może to w ogóle nie jedzenie, a jakiś klej albo składnik maści dla Liry? Jak tylko Riak sobie pójdzie, to sprawdzę.

— Pij!

— A nie umrę od tego?

— Nie wiem. — Nigdy nie byłam mocna w iluzjach, dlatego prędko go pocieszyłam: — jakby co, to Irga cię wskrzesi.

Riak przewrócił oczami, pomodlił się i wypił.

— Dobrze! — powiedział, chrzęszcząc ogórkiem. — Tylko ogórek



gorzki.

„Pierwsze koty za płoty — pomyślałam. — Przynajmniej mu nie zniknął w ustach”.

— Spróbuj tego.

— O, ten jest lepszy!

— Świetnie. Przyjdź jutro powiedzieć, jak się czujesz.

— A co się może stać? — Riak chwycił się za gardło.

— Może jeszcze zechcesz wypić, to ci dam wódki. — Postanowiłam go nie straszyć.

Kiedy Riak wyszedł, zjrzałam do rondla. Faj, co to jest? A! Zupa jarzynowa. Gdzieś przeczytałam, że jest bardzo zdrowa. Jakoś nie bardzo mi wyszła.

Następnego ranka Riak zjawił się żywy i zdrowy, a ja znów poczęstowałam go wódką. I poszłam do Ottona.

— Nie wiem, gdzie on jest — powiedział współlokator Ottona, nie przestając jeść. — Całą noc gdzieś się włóczył, wrócił brudny jak nieszczęście, w marnym humorze i znów gdzieś wyszedł.

— Pobity? — przestraszyłam się.

— Nie. Nie wyglądało na to.

Zostawiłam liścik o treści „Otto, odkryłam żyłą złota! Szybko do mnie!” i podzieliłam się z Wasem paczką poniewierających się w mojej torbie cukierków. Landrynki pod wpływem upału zlepily się w jedną bryłę, ale żal było je wyrzucić, za to wiedziałam na pewno, że tłusty krasnolud zużytkuje je zgodnie ze spożywczym przeznaczeniem.

W swoim pokoju zrobiłam jeszcze kilka ogórków i ułożyłam je na stole zapisując obok czas — chciałam sprawdzić, ile iluzja przetrwa.

Znów nie miałam co robić. Poszłam na plażę, ale w pół drogi nie zauważyłam leżącej w krzakach parki i dosłownie się o nią potknęłam. Chłopak, nie przerywając swojego zajęcia, pokazał mi kułak. Stwierdziłam, że los mi nie sprzyja i wróciłam do siebie. Po drodze pożyczyłam od znajomych podręcznik iluzji, po czym na długo się w nim zagłębiłam.

Wieczorem odkryłam, że moje ogórki pobladły i wyglądają okropnie. Ptrońka twierdził, że jego wytwory mają trwałość od trzech do czterech dób. Byłam niezadowolona z siebie i położyłam się wcześniej spać.

Następnego dnia, kiedy uważnie obserwowałam nową partię iluzji, przyszedł Otto.

— Otto, jest taka sprawa...

— Sprawa może poczekać — przerwał mi przyjaciel. — Masz perfumy?

— Oczywiście. — Wskazałam brodą szafkę nocną.

— Tak... — Otto oglądał flakoniki. — A które podarował ci Irga?

— Te. A co się stało?

— Ufam jego gustowi! — Półkrasnolud szczerze polał się perfumami.

— Pomyślałem, że jeżeli te perfumy mężczyźni dają w prezencie dziewczynom, to im powinny się podobać — wyjaśnił mgliście.

— Tak, damskie perfumy podobają się mężczyznom, dlatego też je darują — powiedziałam. — Powinny pobudzać mężczyzn czy coś takiego. Myślałam, że to wiesz.

— Tak? No dobrze. — Otto nic a nic się nie zdenerwował. — Nie muszę się teraz myć z tego powodu?

Wzruszyłam ramionami. Otto wprawiał mnie w zdumienie, lecz nie chciałam wtrącać się w jego życie osobiste.

— Otto, możemy dobrze zarobić!

— A może ty sama się tym zajmiesz? — Półkrasnolud okręcał się przed lustrem.

— I tak się zajmuję.

— No i świetnie! Czas na mnie. Mogę zabrać flakonik ze sobą?

— Znów na randkę?

— Tak. — Otto rozplynął się w uśmiechu. — Miłość to takie piękne uczucie!

— Zauważyłam — wymamrotała, wracając do ogórków.

\*

Własnej wiedzy mi nie starczało, dlatego parę dni spędziłam w bibliotece, przychodząc do domu tylko nocować.

— Otto wczoraj przyszedł — powiedziała Lira. — Wziął kilka twoich ozdóbek.

— Po co?

Moja przyjaciółka wzruszyła ramionami.

— Zrobił się strasznie skąpy — stwierdziłam. — Zdecydował, że

podaruje swojej dziewczynie moją biżuterię! Zwróci mi potrójną cenę!

W nocy mnie rozbudził cichy głos:

— Ola, Ola, obudź się.

Otworzyłam oczy.

— Och, poszedł won z mojego pokoju.

— Musimy porozmawiać — powiedział Irga.

— Co ty tu w ogóle robisz? Kysz stąd, nie chcę cię widzieć.

— Obudzisz Lirę!

— Ty zbrojeńcu! — zasyczałam na niego. — Jak przychodzę, to on idzie spać! Ja, tak nawiasem, też śpię!

Zamknęłam oczy i odwróciłam się do ściany. Irga ułożył się na skraju łóżka. Przesunęłam się do ściany. Irga też. Jeszcze się posunęłam. Nekromanta również. Oparłam się nosem o ścianę i zaczęłam myśleć, co robić dalej.

— Przyszedłem pomówić o poważnej sprawie! — wyszeptał mi do ucha. Od tego szeptu było mi gorąco i czułam łaskotanie.

— Mów i zwiewaj.

— Zauważyłaś, że z Ottonem jest coś nie tak?

— Zauważyłam.

— Co? — spytał ponownie Irga.

Żeby lepiej słyszał, musiałam się odwrócić. Bezcelny typek natychmiast z tego skorzystał, przycisnąwszy mnie do siebie mocniej.

— Mówię, że zauważyłam — wyszeptałam, starając się myśleć o swoich ogórkach, krzepkich, lekko wygiętych... Oj, nie, lepiej nie o ogórkach. Zaczęłam gorączkowo przypominać sobie elficki alfabet. — A jak dostałeś się do mojego pokoju?

— Wleciałem przez okno — powiedział Irga. — Jest otwarte.

Lewitacja mi nie wychodziła, dlatego myśli o ogórkach uleciały, a ich miejsce zajęła zazdrość.

— Patrzcie no, jaki cwany...

— Tak, taki jestem — potwierdził Irga bez fałszywej skromności. — Tak więc, co się dzieje z Ottonem?

— Mnie powiedział, że się zakochał — odpowiedziałam, starając się odsunąć od nekromanty.

— Nie wierć się — wyszeptał mi w samo ucho. — Podniecasz mnie w ten sposób.

Zamarłam, żałując, że nie mogę przekształcić się w drewnianą kłodę.  
— A w kim on się zakochał, nie mówił ci?  
— Nie. — Staralam się poruszać tylko ustami. Oczywiście, jak na złość, zaczęła mnie okropnie swędzieć pięta.  
— Sprawa wygląda tak, że... — zaczął Irga.  
— Odsuń się ode mnie — poprosiłam, sięgnęłam do pięty i z rozkoszą ją podrapałam.  
— Pomóc ci? — zainteresował się nekromanta. — Mogę podrapać. Gdzieś jeszcze? Może cię uda swędzą? Albo..  
— Nigdzie więcej mnie nie swędzi — powiedziałam, rzuciwszy spojrzenie na łóżko Liry. Przyjaciółka spokojnie spała.  
— Na pewno?  
— Na pewno. O czym mówiłeś?  
— Otto zakochał się we mnie.  
— Co??? — Podskoczyłam na łóżku, nastąpiwszy Irdze na coś. Stęknął i odruchowo próbował zwinąć się w kłębek, nogami przyciskając mnie do ściany.  
— Boli! — pisnęłam.  
— Obudzisz, och, Lirę, och...  
Ale Lira spała.  
— Ona przez cały dzień w Domu Uzdrawień tak się zmordowała, że teraz jej nic nie obudzi.  
Milczeliśmy. Irga zgrzytał zębami, a ja myślałam, ściągając usta.  
— Z czego wywnioskowałeś, że Otto się w tobie zakochał? To przecież bardzo tradycyjny, porządny krasnolud!  
— Ja też tak myślałem — powiedział Irga. — Może położy się z góry? Masz bardzo wąskie łóżko.  
— Specjalnie niedawno przyniosłam takie z piwnicy — burknęłam.  
— Żeby różnym takim nie lały do głowy głupie myśli.  
— A kim są ci „różni” i co to za „głupie” myśli?  
— Sam wiesz. I nie położę się na górze. Za nic. I tobie nie radzę.  
— Ja o tym nawet nie pomyślałem — powiedział Irga takim tonem, że od razu stało się jasne, że myślał, a do tego ze szczegółami.  
— Nie pomyślałeś! — rzuciłam się na niego. — O tym, że przepadłeś na tyle czasu też nie pomyślałeś?  
— Byłem zajęty — usprawiedliwił się Irga. — A potem dostałem od

ciebie liścik z rysunkiem. I postanowiłem nie ryzykować.

— Wolałeś pojawić się u mnie nocą, sądząc, że rozbudzona, będę łagodniejsza?

Lira chrapnęła. Umilkliśmy, spłoszeni.

— Musiałem się z tobą naradzić — powiedział Irga po chwili. — Dopiero co położyłem do łóżka twojego najlepszego przyjaciela. I postanowiłem zajrzeć do ciebie.

— Zalecieć — warknęłam. Niedostatek miejsca nie pozwolił mi przyjąć efektownej pozy, więc musiałam znów umościć się koło Irgi.

Raptem do mnie dotarło.

— Chwileczkę... Co znaczy: położyłeś do łóżka mojego przyjaciela???

— Otto przyszedł do mnie na cmentarz. Akurat miałem dyżur. Wystrojony, przyczesany. I zaczął robić aluzje.

— Jakie? — zaciekawiałam się.

— Różne — odparł irga mgliście. — Nie spodobały mi się w każdym razie. Spytałem wprost, o co chodzi, a Otto bardzo się zdenerwował, obraził i usiadł w jakieś błocko. A potem zrobił scenę, że niby nie będę go lubić, takiego brudasa. Pocieszyłem go i odprowadziłem do domu. Następnego dnia znów przyszedł, tylko zalatywało od niego perfumami na milę. Twoimi zresztą.

— Wziął je ode mnie — potwierdziłam.

— No proszę, jak ty traktujesz moje prezenty!

— Nie wiedziałam, do czego mu są potrzebne!

— A dziś się zjawił z twoją biżuterią poprzyczepianą do brody. I przyniósł mi list.

— Daj!

— Nawiasem, jest miłszy od twojego! — powiedział Irga. Pokręcił się na łóżku, przyciskając mi nogę i wyjął z kieszeni karteczkę.

„Kocham cię, Irga! Kocham twoje spojrzenie, twój uśmiech i twoje włosy. Kocham wszystko, co jest związane z tobą. Proszę, nie odrzucaj mej miłości, inaczej moje życie straci cały sens. Na zawsze twój, Otto” — przeczytałam, przyświecając sobie ognikiem.

— Ładny charakter pisma — powiedział nekromanta.

To mnie dotknęło.

— No to całuj się ze swoim Ottonem!

— Ja bym wolał z tobą — powiedział Irga i spróbował przyciągnąć

mnie do siebie.

— Nie! — Wparłam się rękoma w jego pierś. — Zaraz zacznę krzyczeć! Zastanówmy się, co zrobić z Ottonem. Nie podoba mi się, że...

— .. że masz teraz konkurencję?

— Nie przerywaj. I to też mi się nie podoba. Jutro wieczorem spotkamy się w „Pij Więcej!”. A teraz zmykaj stąd, muszę pomyśleć.

— A czy ja ci przeszkadzam myśleć? — zamruczał Irga, głaszcząc mnie po plecach.

— Owszem — odparłam. — A jeszcze bardziej mi przeszkadza sąsiadka tuż obok.

— To chodźmy do mnie. — Głaskanie Irgi stało się jeszcze bardziej pieśzotliwe.

— Już raz przysłałam i to zrobiło na mnie niezapomniane wrażenie. — Odepchnęłam jego rękę.

— Niczego nie rozumiesz — westchnął. — Nie było w tym mojej winy. Byłam bardzo, bardzo zmęczony.

— A teraz ja jestem zmęczona.

— Czasem zachowujesz się jak głupia — oznajmił Irga.

— Sam jesteś głupi — odpowiedziałam, walcząc z pragnieniem, by przytulić się do jego ciała.

— Kiedy się z tobą ożenię... — zaczął Irga.

— Wpierw się ożeń — odburknęłam.

— Ożenię się!

— Zdaje mi się, że pojawił się jeszcze jeden pretendent na twojej ręki i serca? — przypomniałam.

— Uwierz moim słowom, Ola. Ja z tobą się ożenię!

— Jednego nie pojmuję — powiedziałam, ziewając. — Czy ja mam jakiś spadek, o którym nic nie wiem? Posiadam jakąś utajoną niezwykłą siłę i kiedyś stanę się najznakomitszą magiczką wszech czasów i narodów?

Irga patrzył na mnie, uśmiechając się.

— W takim razie dlaczego chcesz się ze mną żenić?

— Czasem mi się wydaje — powiedział w zamyśleniu — że to jest jedyny gwarantowany sposób zaciągnięcia cię do łóżka.

— Naprawdę? — zdziwiłam się.

— Tak — powiedział Irga. — Zostanę twoim mężem, zwiążę cię, i

nigdzie mi nie uciekniesz.

— No, bardzo przyjemna perspektywa! I myślisz, że wyjdę za ciebie za mąż?

— Ja jestem tego pewien, miła moja!

Z tymi słowami nekromanta cmoknął mnie w usta i przeskoczył przez parapet. Z ukrytą nadzieją czekałam na „bęć”, lecz usłyszałam tylko lekki szmer, kiedy Irga opadł w dole na ścieżkę.

— Co za dzień! — powiedziała nagle Lira absolutnie trzeźwym głosem. — Wpierw mnie ochrzania moja opiekunka za zgubione dokumenty, a teraz jeszcze wy! Miałam nadzieję, że wy tam zaczniecie się kochać, a ja się przynajmniej rozerwę. A zamiast tego ledwo się trzymałam, żeby nie wybuchnąć śmiechem!

— Podśluchiwać i podglądać jest brzydko. — Tylko tyle byłam w stanie odpowiedzieć.

— Nie rozumiem cię, Ola! Po co ty Irdze głowę zawracasz? Wyszłabyś za niego i sprawa załatwiona.

— Nie chcę. — Wlazłam pod koc.

— Gdyby mi taki chłopak trafił się... — rozmarzyła się moja przyjaciółka. — Ja bym za nic, nigdy go nie wypuściła z rąk!

— Jaki taki? — rozzłościłam się. — On chce się ze mną żenić! Też mi szczęście. Dlaczego on chce się żenić akurat ze mną, co?

— No...

— No właśnie! Ja nie wiem, dlaczego! A on się upiera! Taki ma program-minimum. Nie jestem córką bogacza, ani nie najsilniejszą magiczką na uniwersytecie, ani żadna ze mnie niezemska piękność. W takim razie dlaczego? A, uczucia! On nigdy, rozumiesz, nigdy nie mówił mi o swoich uczuciach! Dobra, obejdę się bez miłości! Ale niech mi chociaż powie zwyczajnie: „Ola, ty mi się podobasz!”. Niech po prostu, bez wydziwiania, objaśni mi co do czego. A tak to czuję się jak lalka — wszystko już za mnie zdecydował Irga, a mnie pozostało tylko się zgodzić. I ta moja zgoda potrzebna jest raczej tylko dla formalności!

— Niech ci będzie! — powiedziała Lira, słysząc, że za chwilę się rozryczę. — Lepiej powiedz, co zamierzasz zrobić z Ottonem?

— Nie wiem. W ogóle nie rozumiem, co się stało!

— Ktoś na niego rzucił klątwę — powiedziała Lira autorytatywnym tonem. — Możesz mi wierzyć!

— A, jeżeli to klątwa, to dobrze! — ucieszyłam się. — Czyli sprawa jest do rozwiązania!

\*

Jednak rano wstałam w posepnym nastroju. Jeśli na Ottonie ciąży klątwa, to kto ją rzucił? I po co? I rzecz najważniejsza — jak zareaguje dumny półkrasnodół na tę całą sytuację, kiedy już zdejmemy z niego przekleństwo? I czy nie targnie się na życie ze wstydu?

— Lira! — Szturchnęłam przyjaciółkę. — Czy można precyzyjnie sprawdzić, że Otto został przeklęty?

— Tak — wymamrotała sennie. — A co?

— Zwolnij się z Domu Uzdrawień i czekaj mnie. Będziemy ratować Ottona.

Bez pukania weszłam do mieszkania Irgi. Tak jak przypuszczałam, nekromanta spokojnie spał w swoim łóżku. Wylałam mu na głowę kubek zimnej wody.

— Aj! — zawyłam, raptem znalazłszy się na podłodze. — Puszczaj, łajdaku!

Irga bez słowa usadowił się mi na plecach i zadarł spódnicę. Spróbowałam kopać, lecz siły były nierówne.

— Iiiii! — pisnęłam, kiedy ten bezwstydnny typ najspokojniej wycisnął chłodną wodę ze swoich włosów na moje pośladki.

— Dzień dobry, Olu — powiedział.

— Twarz mam z drugiej strony — wyburczałam.

— Naprawdę? — zdumiał się Irga. Znów spróbowałam go kopnąć, lecz mi się nie udało. — A co robi twoja twarz i inne części ciała u mnie tak wcześnie rano?

— Kiedyś się doigrasz — obiecałam zduszonym głosem. — Połamiesz mi żebra.

— Nie połamię — odparł nekromanta, z upodobaniem gładząc moje uda. — Wychowywałam w ten sposób młodsze siostry.

Czułam jak jego dłoń delikatnie przesuwają się po mojej skórze.

— Irga, przyszedłam z poważną sprawą, a ty...

Nekromanta westchnął.

— Jeszcze troszeczkę, dobrze?

— Będę krzyczeć!

— Dziewczyny z połamanymi żebrami nie krzyczą.



— A ja będę!

Irga wstał, a ja przewróciłam się na plecy. Jednak mimo jego wyciągniętej ręki, nie śpieszyłam się z wstawaniem, oglądając go badawczo i powstrzymując uśmiech.

— Co? — nie wytrzymał, zaczynając czerwienieć.

Podobało mi się leżeć tak na podłodze i patrzeć na jego muskularną, zgrabną figurę. I wyobrazać sobie to, co było ukryte pod czarnymi spodenkami.

— No co?

— Nic. — Obojętnie wzruszyłam ramionami, nie odrywając jednak od niego oczu.

Irga starał się niepostrzeżenie spojrzeć po sobie. Aha, mam cię! Teraz się zemszczę na tobie za gołe uda! Zachichotałam.

Nekromanta sięgnął po koszulę.

— Co, zawstydziłeś się? — zapytałam życzliwym tonem.

— A czego mam się wstydzić? — odpowiedział, a w jego głosie usłyszałam nutkę niepewności.

— O... — Przewróciłam oczami.

— Nigdy nie widywałaś półgołych mężczyzn?

— Widziałam, tylko żaden nie miał... — Pokiwałam głową z ubolewaniem. — Co za szkoda...!

— Co?! — Irga nie wytrzymał.

Starałam się nie roześmiać się zbyt wcześnie.

— Takiego rozczulającego wyrazu twarzy — powiedziałam i wturlałam się pod łóżko.

— Ola, wyłaź stamtąd! — Irga, klęczący koło łóżka w samych majtkach i koszuli, wyglądał tak śmiesznie, że nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. — I przestań rzeć!

Usłyszałam skrzypnięcie — to złowrogi nekromanta odsuwał mebel od ściany, żeby się do mnie dostać.

— Już nie będę — powiedziałam, ocierając łzy. — Zgoda?

Irga usiadł na łóżku i zapytał:

— Ale właściwie czego ode mnie chciałaś?

— Chodźmy obejrzyć Ottona. Trzeba zdecydować, co z nim począć.

— A przypadkiem nie chciałaś spotkać się wieczorem?

— Plany się zmieniły. Lira nam pomoże.

\*

Zasadziliśmy się w takim miejscu, skąd dobrze było widać wnętrza otwartych letnich pracowni. Otto zajmował się czymś w samotności, nisko skłoniwszy kędzierzawą głowę nad warsztatem.

— Niczego nie widzę — wyszeptała Lira. — Na nim nie ma klątwy!

— A ty? — zapytałam Irgi.

Pokręcił głową.

— Kiedy na kimś wisi przekleństwo, jego aura emanuje czernią.

— Obieg energii wewnątrz pacjenta jest wtedy zwolniony lub przerwany — dodała Lira. — Na moje oko Otto jest idealnie zdrowy.

Podparłam głowę rękami i zamyśliłam się. Nie wierzyłam w to, że półkrasnodul nagle zaczął interesować się chłopakami, lecz nie starczało mi ani wiedzy, ani fantazji, jak mogło dojść do czegoś takiego. Po raz setny obiecawszy sobie nie opuszczać wykładów i poważniej odnosić się do nauki, powiedziałam:

— Szukamy w złym miejscu.

— Moje zdanie słyszałaś — powiedziała Lira.

— Dziękuję — rzekłam i zamknęłam oczy. Co mogłam przepuścić? Dlaczego Otto tak się zachowuje? Słyszałam, jak Lira wstaje ze stęknieniem, jak ona i Irga się żegnają. Zostałam sama.

— Elixir miłosny? — zapytałam sama siebie. — Jak sprawdzić jego obecność i koncentrację we krwi?

— Jest taki środek — odezwał się Irga.

— Nie poszedłeś? — zdziwiłam się.

— Nie. Ty się tu wylegujesz na trawie, a ja mam gdzieś chodzić?

Obróciłam się na bok i popatrzyłam na Irgę. Jego niebieskie oczy patrzyły spod długiej grzywki poważnie i w zamyśleniu.

— Rzadki środek — powiedział. — Gdzieś o tym czytałem. Nie jestem pewien, czy zdołamy go szybko znaleźć i kupić.

— Pieniądze to nie problem — stwierdziłam. — I wiem, gdzie ten preparat można dostać. U człowieka, który ma wszystko!

\*

Bef uważnie nas sobie obejrzał, potem podszedł do mnie i wyciągnął mi z włosów źdźbło trawy.

— Po co wam to? Z wami i tak wszystko jasne.

— Proszę mi uwierzyć, profesorze! — błagałam. — To bardzo

ważne! Nadzwyczajnie ważne! Nie mogę powiedzieć po co, ale to sprawa prawie życia i śmierci!

Bef przeszedł się po gabinecie.

— Jeżeli ty... — zaczął, otwierając szafę.

— Nie! — powiedziała szybko, wycierając spocone dłonie. — Nie! Ja nie! To naprawdę ważne.

Bef skinął głową i odlał mi odrobinę do buteleczki.

— Kapiesz do wody, dajesz obiektowi do wypicia. Aura zabarwia się czerwienią. Tym intensywniejszą, im więcej podano mu eliksiru miłosnego.

Ostrożnie włożyłam buteleczkę do torebki.

— Nawiasem, to kosztuje dwa złocisze.

Bez wahania sięgnęłam do ukrytej kieszeni.

— Rozumiem — powiedział Bef. — Mam nadzieję, że Otto nie plątał się w żadną kryminalną historię?

— Skąd pan...?

Profesor się roześmiał.

— Nie znam nikogo więcej, dla kogo byś tak chętnie wydawała pieniądze. Idźcie już, załatwiajcie wasze problemy.

Pobiegłam korytarzem uniwersytetu. Teraz wszystko będzie dobrze!

— Otto, Irga prosił żebym ci to dała. — Podałam memu przyjacielowi kubek.

— Irga? — uśmiechnął się i jednym haustem wypił zawartość. — A co on teraz się robi? Wczoraj rozstaliśmy się tak niefortunnie. Co on o mnie mówił?

— Mówił bardzo dobrze — powiedziała ze zmieszaniem. Aura Ottona nie zmieniała koloru. — Przepraszam za ciekawość, ale dlaczego nagle zapłonęłaś do niego taką namiętnością?

— Olu... — Otto przycisnął moją rękę do swojego serca. — Wiedziałem, że kiedyś on stanie między nami. Tylko Irga może wybrać, kogo kocha bardziej!

„Czy on sobie ze mnie robi jaja?” — pomyślałam. Aura półkrasnoluda uporczywie nie zmieniała koloru.

— Otto! Przysięgam na naszą przyjaźń! Odstąpię ci Irgę! Tylko opowiedz mi wszystko szczegółowo!

— Nawet nie wiem, co mam powiedzieć. Szedłem jakoś tak z warsztatu i nagle pomyślałem, że nie mogę żyć bez Irgi! Że go Kocham i jestem gotów na wszystko, by on mnie też pokochał!

Patrzyłam w ucziwe oczy półkrasnoluda i zrozumiałam, że mnie nie oszukuje.

— Przecież tobie zawsze podobały się kobiety!

— Kobiety, te kłamliwe, tchórzliwe i fałszywe stworzenia! Nie to co mężczyźni!

— Mężczyźni są jeszcze gorsi! — obraziłam się.

— Trudno wyobrazić sobie istotę gorszą, niż elficka kobieta. Ale ludzkie również niewiele lepsze.

Stwierdziłam, że leżących się nie kopie i powiedziałam:

— Irga prosił, żeby ci przekazać, że jutro go nie będzie w domu. Oddelegowali go gdzieś. Kiedy wróci, przywiezie ci prezent.

— Prezent? — zdumiał się Otto. — Dla mnie?

— Tak. — Pogłaskałam go po idealnie rozczesanej brodzie.

Irga czekał mnie za węglem kuźni.

— Kłamliwe i tchórzliwe stworzenia... — zamruczał. — Może to i prawda, że Otto jest dla mnie lepszym wariantem?

Zawarczałam.

— Zmienił się — zauważył nekromanta. — Uczesany, przyzwoicie ubrany...

— Najważniejsze, że pewnie nie tylko my to zauważyliśmy — zaniepokoiłam się. — Tylko głupich pytań znajomych nam teraz brakowało.

Akurat w naszą stronę szedł, uśmiechając się miło, Blondas.

— O, słodka parka, dlaczego nie w łóżku?

— Czekamy na ciebie, żebyś nam świeczkę potrzywał — burknęłam.

— Z przyjemnością! Kiedy?

— Kiedy znajdziemy świecę, godną twoich arystokratycznych rączek.

— Przyniosę z domu!

— Taka świeca mi nie pasuje. Zepsuje mi nastrój.

— Ola, dlaczego ty zawsze jesteś wobec mnie taka grubiańska?

— Ja? Nawet jeszcze nie zaczęłam. Obrazić cię?

— Potem. Mamy ważniejsze sprawy. — Irga pociągnął mnie za rękę

i poszliśmy dalej.

— Dlaczego ty się z nim kłócisz? — zapytał po chwili.

— Zwracam uwagę na siebie, odciągając ją od Ottona.

— Wspaniała taktyka. Zwróć na siebie MOJĄ uwagę.

— Mam cię kopnąć?

Następnego dnia wieczorem Lira, Irga i ja szliśmy do domu nekromanty. Lira targała ze sobą grubaśny podręcznik uzdrowicielstwa. Zbieraliśmy się na naradę wojenną.

Po drodze, niestety, spotkaliśmy Blondasa i pięciu ludzi z jego obstawy.

— Irga — odezwał się Lim z wyższością. — Mam informacje, że ukradłeś mojej przyjaciółce biżuterię, którą jej podarowałem, żeby dać ją swojej dziewczynie!

— Co to za brednie? — powiedział nekromanta.

— I ukryłeś ją w domu, żeby dziś urządzać orgię.

— Blondas, czy ty masz gorączkę?

— A ta biżuteria była droga? — wtrąciłam się.

— Bardzo droga. Złota kolia ze szmaragdem, kolczyki i bransoletka.

— I komu ty to sprezentowałaś? Która to miała szczęście trafić na twój niesłychany atak szczodrości?

— Nie twoja sprawa.

— Owszem, nawet bardzo moja! — Na wszelki wypadek podkasałam spódnicę. — Powinam przecież wiedzieć, po kim donaszam ozdoby.

— Ola! — oburzył się Irga. — Ja niczego nie brałem!

Nie zwróciłam na niego uwagi.

— Po prostu ty, Lim, ostatnio prowadzasz się z dziewczynami, które radośnie przyjmują jakąś tandetę za parę miedziaków.

Blondas poczerwieniał i zacisnął pięści ze złości.

— Jeszcze szczekasz?! Zobaczymy jak zaśpiewasz trochę później! Irga! Jeżeli nas nie wpuścisz do swojego mieszkania, wezwiemy strażników i rozpuścimy wieści o twoim złodziejstwie. Co za cios dla kariery!

Irga wydawał się spokojny, chociaż bardzo mocno ścisnął moją rękę.

Całą kompanią podeszliśmy do mieszkania nekromanty. Irga otworzył drzwi, zajrzał do pokoju. Na moment jego oczy upodobniły do

dwóch jezior. Zagroził sobą przejście. Popatrzyłam do środka. Tam, na łóżku Irgi, w luźnych gatkach w przeurocze serduszka spał Otto. Na mgnienie oka straciłam kontakt z rzeczywistością, lecz potem błyskawicznie się pozbierałam, wepchnęłam Lirę do pokoju i zamknęłam drzwi.

— No i co tam? — zapytał Blondas. — Irga, wpuść nas do domu, musimy to obejrzeć!

„Ten drań wiedział” — olśniło mnie. Dlatego wymyślił głupią bajkę o biżuterii. Pokazać Ottona w takim stanie tej bandzie równało się podpisać na niego wyrok. Rozniosą wiadomość o nietradycyjnej orientacji półkrasnoluda po całym mieście i na naszym biznesie będzie można postawić krzyżyk. Inne krasnoludy nigdy nie będą chciały mieć z nim nic do czynienia!

— Lim — powiedział Irga. — Możesz wzywać patrol. Ja cię do mieszkania nie wpuszczę.

— Twoja kariera, nekromanto... — zanucił Blondas.

Usta Irgi przekształciły się w dwa cienkie białe paski.

— A co powiesz na wymianę? — zaproponowałam. — Ty nie ruszasz Irgi, a ja nie ruszam ciebie.

— Co to ma być? Co ty mi możesz zrobić, dziewczynko?

— No, myślę, że twojemu tatusiowi bardzo się nie spodoba, jeżeli jego synka ktoś oskarży... powiedzmy, o gwałt. I już na pewno nie puszczą do stolicy, król to sobie może pozwalać, ale swoich urzędników trzyma krótko. Czy nie dlatego cię odesłano na naukę tutaj, do tej dziury? Żebyś nie grał tacie na nerwach?

Po tym, jak Lim się wściekł, poznałam, że trafiłam w dziesiątkę.

— Ach ty...! — ryknął i rzucił się na mnie z pięściami.

Wykonałam zręczny manewr podcięcia i oboje padliśmy na podłogę. Uderzyłam się w głowę, zdarłam sobie skórę o ścianę, a ciężar Blondasa wycisnął mi powietrze z płuc. Jednak dopięłam rzeczy najważniejszej: mocno ścisnęłam w dłoni jego męskie klejnoty.

— Szmata! — Lim próbował wstać, zawył i runął z powrotem.

— Pomocy! — wrzasnęłam ostatkiem powietrza. Blondas się szarpnął, zaczerpnęłam tchu. — Pomocy!!!

Obstawa Lima rzuciła się go podnosić. Ciągnęli Blondasa za ramiona, ten zajęczał:

— Puszczajcie mnie, idioci!

— Gwałcą! Mamusiu!

Obok otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania. Na wyższym piętrze rozległ się tupot nóg. Wyjrzałam zza ramienia Lima, przekonałam się, że publiczność już jest i zmusiłam się do rozwarcia palców.

Blondas podnosił się, sapiąc i stękając.

— Aaaaaa...! — zawylałam pełnym głosem. — Oni mnie chcieli zgwałcić! Wszyscy!

— Irga też? — zdumiał się sąsiad, pomagając mi wstać.

— Nie, on chciał mi pomóc, ale co mógł zrobić sam jeden?

Nekromanta, nieruchomy jak rzeźba, cały ten czas nawet nie drgnął.

Z drugiego piętra zszedł jakiś dostojny, brodaty starzec.

— Lim? — zdumiał się. — Jak to tak?

— Rewizor ze stolicy — szepnął mi sąsiad. — Tymczasowo tu mieszka, przeprowadza inspekcję.

Blondasa aż skrećło. Popatrzył na mnie z nienawiścią. Przyłożyłam palec do ust.

— Wybraliście sobie bardzo nieodpowiednią rozrywkę! — rzekł surowo urzędnik do Limowej kompanii.

Blondas usiłował stać prosto, lecz się chwiał.

— Czy chce pani wysunąć oskarżenie? — zapytał mnie brodac.

— Zastanowię się — powiedziałam, chlipiąc. — Teraz jestem zbyt wstrząśnięta.

— Suka — syknął Lim.

— Jestem uczciwą córką szanowanych rodziców! — Błagalnie złożyłam ręce. — I teraz chciałabym wysunąć ofi...

— Chcę przeprosić — ponuro wymamrotał Blondas, trzymając się poręczy schodów.

Popatrzyłam w jego oczy i zdecydowałam, że koncert pora kończyć.

— Przeprosiny przyjęte. — Jeszcze raz przycisnęłam palec do ust. Lim niechętnie kiwnął głową. — Ach... — zachwiałam się i zaczęłam osuwać się na podłogę. — Słabo mi...

Sąsiad z przestraczem przekazał mnie w chłodne ręce Irgi, a ten w milczeniu wciągnął mnie do mieszkania.

— Co się stało? — Podbiegła do nas przestraszona Lira. — Nie mogę obudzić Ottona, tam jakieś krzyki! Krwawisz!

Pokój kołysał mi się przed oczyma. Lira posadziła mnie na krześle i zaczęła opatrywać rany.

— Tak... — Irga przerwał milczenie. — Nie myślałem, że jesteś zdolna mnie aż tak zadziwić swoimi zdolnościami bojowymi.

— Ja jestem zdolna do wielu rzeczy, by obronić tych, kogo kocham — wyrwało mi się.

— Tak?

— Miałam na myśli Ottona — usprawiedliwiłam się.

Lira zachichotała.

— Gdzie nauczyłaś się takiej sztuczki? — Nekromanta usiadł na podłodze obok mnie.

— Mama Ottona mnie nauczyła. Powiedziała, że pociągająca dziewczyna powinna umieć się obronić.

— To Walina jest pociągającą dziewczyną?

— Ona o mnie mówiła — Próbowałam kopnąć Irgę, lecz przed oczyma popłynęły mi kolorowe kręgi.

Kiedy Lira krzątała się dokoła mnie, nekromanta opowiedział jej, co zdarzyło się na podeście.

— Ola, Blondas cię zabije — przestraszyła się moja przyjaciółka.

— Za chudy w uszach — odparłam buńczucznie. Jednak w rzeczywistości bardzo się bałam. Jeszcze nigdy aż tak nie załamłam Blondasowi za skórę. Z drugiej strony, sam jest sobie winien. Chociaż on przewodzi całej swojej bandzie, a ja mogę liczyć tylko na siebie, Ottona i Irgę. Lira może okazać mi tylko moralne i uzdrowicielskie wsparcie, co, zresztą pewnie się przyda.

— A co zrobimy z tą śpiącą królowną? — zapytał Irga.

— Napoili go eliksirem usypiającym — powiedziała Lira. — Do jutra nic nie będzie w stanie go rozbudzić. Ola też powinna poleżeć, sądzę, że ma wstrząs mózgu i chyba pęknięte żebro.

Irga wyciągnął łóżko polowe.

— A ja mam spać na podłodze? — zapytał zalotnie.

— Będę spać z Ottonem — powiedziałam. — Tylko przesuniecie go pod ścianę. To dziwne, że nie chrapie.

— Elixir tak podziałał. — Lira wzruszyła ramionami.

— Chodź razem na łóżku polowym — zachęcił mnie Irga.

— Dzięki, jestem człowiekiem kontuzjowanym, potrzebny mi



spokój.

Przyjaciele we dwoje z trudem przesunęli tuszę półkrasnoluda. Przytuliłam się do ciepłego boku Ottona i zasnęłam.

\*

Rano obudziłam się od cichego mamrotania Irgi. Siedział przy stole i próbował coś wykreślić ołówkiem.

— Dzień dobry — powiedziałam, obciągając spódnice, która w czasie snu nieprzyzwoicie podjechała do góry. W głowie ktoś grał na bębnie, ciało miałam obolałe, ale poza tym czułam się całkiem nieźle.

Irga się uśmiechnął.

— Lubię patrzeć jak śpisz.

— Serio? I nie podnieciły cię te niesamowite gacie w serduszka?

— Oraz włochate łydki i gęsta broda? — dodał Irga.

— Za to ma większy obwód piersi.

— Jakoś przyzwyczaiałem się do twojego obwodu.

— Co kreślisz?

— Potrzebuję tego do pracy. Walczę z magią wykreślną.

Popatrzyłam na kartkę.

— Pomyliłeś się! — powiedziałam ze zdumieniem. Do tej pory Irga wydawał mi się ideałem w kwestii nauk magicznych.

— Gdzie?

— A dasz mi śniadanie?

— Dam.

— O, ta linia. Zgodnie z twoim wykresem, energia powinna płynąć do tego punktu. A faktycznie wychodzi, że będzie płynąć w kierunku odwrotnym. Prawie nic nie trzeba tu zmieniać. Tylko tu i tu. A wygląda na pierwszy rzut oka, że wszystko jest prawidłowo... — Mój palec zawisł nad wykresem.

— Co? — zaniepokoił się Irga.

— Wygląda prawidłowo, tylko energia płynie w drugą stronę — powtórzyłam i odwróciłam się do spokojnie śpiącego półkrasnoluda.

— Energia płynie w drugą stronę... Wezwij Lire, proszę!

Irga, o nic nie pytając, wysłał magicznego posłańca.

— Co tu robić? — myślałam głośno. — Jak odwrócić w dobrą stronę jeden z potoków magicznej energii? No i przede wszystkim, skąd taki defekt?

Niebawem do mieszkania wpadła rozczochrana Lira. Wysapawszy się, uważnie popatrzyła na Ottona, potem na mnie, a potem na Irgę.

— Jesteś genialna — westchnęła. — Jak ci się to udało dostrzec? U Ottona rzeczywiście energia serca płynie tak jak u kobiet, a powinna odwrotnie!

— Zawsze podejrzewałam, że mężczyźni są jacyś inni — wymamrotałam i spytałam: — Ty go przecież badałaś. I powiedziałaś, że jest zdrowy!

— Bo jest zdrowy! On jest absolutnie zdrowy! Po prostu jeden z potoków energetycznych płynie w drugą stronę, a ja nie zwróciłam na to uwagi! Według miar żeńskiej psychologii, on jest zdrow!

— A według miar męskiej?

— Nie wiem, co robić — przyznała się Lira. — Trzeba iść do Domu Uzdrawień.

Otto obudził się, podrapał w brodę i popatrzył na naszą kompanię, która z zadowoleniem niszczyła zapasy spożywcze nekromanty.

— Irga! — uśmiechnął się półkrasnolud. — A co ja tu robię?

— Postaraj się sobie przypomnieć. — Podałam mu filiżankę z gorącą herbatą.

Mój przyjaciel zaczął grzebać w pamięci.

— Szedłem do Irgi, po drodze spotkałem Blondasa, a on zaproponował, żebyśmy omówili jakiś zyskowny interes. Wypiliśmy razem. Źle się poczułem i Blondas przyprowadzał mnie tutaj.

Wyobraziłam sobie wynurzenia Ottona pod wpływem eliksiru i zadrżałam. Cud, że Lim nie przywłókł ze sobą całego miasta, żeby pośmiać się nad nieszczęśliwym półkrasnoludem.

— Poszedłeś pić z naszym wrogiem? — spytałam surowo.

— On był jedyny, który chciał mnie wysłuchać i mi współczuć — odparł Otto z urazą.

Zrobiło mi się wstyd.

— Otto, chodźmy do Domu Uzdrawień. Proszę!

— Po co?

— Ja ciebie proszę — odezwał się Irga. — Ze względu na naszą miłość.

Taki argument na Ottona podziałał.

W Domu Uzdrawień wymknęłam się lekarzom, chętnym

szczegółowo zbadać fenomen przypadku Ottona i zrobić kilka doświadczeń. Złote monety z nietykalnego zapasu w torbie rozeszły się w mgnieniu oka. Lecz za to mojemu najlepszemu przyjacielowi okazano najbardziej wykwalifikowaną pomoc

— Jak mogło zdarzyć się coś takiego? — zapytałam starszej uzdrowicielki o dobrych oczach, kiedy Otto spał na szpitalnym łóżku, zupełnie wyczerpany procedurami.

— Myślę, że pani przyjaciel uległ bardzo silnemu magicznemu oddziaływaniu.

— Kto mógł to zrobić?

— Jeden człowiek nie zdołałby tego zrobić. Potrzebna jest koordynacja sił minimum pięciu bardzo silnych i doświadczonych magów.

— Skąd pani wie?

Uzdrowicielka się zarumieniła.

— Przeprowadzałam w młodości pewne doświadczenia. Nad różnymi niedobrymi ludźmi.

— Czyli można wykluczyć zły zamiar? — zapytałam.

— Chyba że pani przyjaciel wszedł w paradę komuś wpływowemu.

Usiadłam na łóżku Ottona, wzięłam go za rękę. Blondas nie miał wystarczających środków, a gdyby i miał, to wykorzystałby je na mnie, bo mnie o wiele bardziej nie znosi. Co więcej, Lim jest pewien, że jeżeli wyrzuci mnie z biznesu alkoholowego, Otto sam się tym zajmować nie będzie i wróci do rodzinnego interesu.

Półkrasnolud poruszył się i ziewnął.

— Otto! — Szturchnęłam go. — A czym ty zajmowałeś się ostatnio?

— Majstrowaliśmy z chłopakami taki jeden artefakt, tylko on nie wyszedł. Cała magia dokądś odpłynęła.

— Dokądś! — powiedziałam, śmiejąc się z ulgi. — A nie mogliście mnie zawołać? Ja bym wam powiedziała dokąd odeszła ta magia. Co robiliście?

— Duże serce, dla zachowania miłości i rodzinnego spokoju. Na ślub przyjaciela. Powiedz mi prawdę, to we mnie weszła ta cała magia?

— Jakiś ty mądrutki — odpowiedziałam. — Gdzieś ty był wcześniej? Przyciągnąłeś jakimś sposobem całą energię i zacząłeś wyczyniać głupstwa.

— Wstyd mi — powiedział Otto i przykrył się poduszką. — Jak ja teraz pokażę się na oczy partnerom handlowym?

— Nie wpadaj w depresję. — Pociągnęłam go za brodę. — Wszystko w porządku. Dobrze, że nie zakochałeś się w Riaku lub w Befie. A Irga to swój chłopak.

Mój przyjaciel milczał.

— Otto, kocham cię takim, jaki jesteś. No przestań, Otto! Proszę! O tym nikt nie wie, prócz nas, a my będziemy milczeć jak grób. A Blondas nie ma żadnych dowodów. Jeżeli zacznie chłapać ozorem, zwyczajnie powiemy, że nas nie lubi więc wymyślił taką bzdurę.

Nie doczekawszy się od Ottona odpowiedzi, wyszłam na korytarz i odszukałam Irgę, który zalecał się do młodziutkiej uzdrowicielki. Nekromanta szybko wszystko zrozumiał i poszedł do Ottona.

O czym ci dwaj rozmawiali przez kilka godzin — nie wiem. Za to następnego dnia mój najlepszy przyjaciel zjawił się u mnie jak gdyby nigdy nic.

— Otto — ucieszyłam się. Ogórki właśnie zaczęły mi wychodzić prawie idealnie. — Gotów wysłuchać mojego pomysłu?

Półkrasnolud posłuchał, zjadł parę ogórków i powiedział:

— Nic z tego nie wyjdzie. Tak czy owak prawo do zaklęcia ma Ptrońka, a ty mu obiecałaś wykorzystywać je tylko na własny użytek.

Zdenerwowałam się.

— Ale... — dodał Otto, uśmiechając się chytrze — ...nikt nie może zakazać nam handlować tym potajemnie i po troszeczku.

— Deficyt stwarza popyt?

— A popyt stwarza wzrost cen! — Otto zapił ogórki wódką.

— Otto! — powiedziałam z rozczuleniem. — Jak ja się cieszę, że do mnie wróciłeś!

## Epilog: Ja i mój przyjaciel nekromanta

Mówicie, że miłość to coś cudownego? I że ona zupełnie nie przeszkadza wam w życiu?

Pewnego jesiennego deszczowego poranka Irga bez pukania wszedł do mojego pokoju. Lira już umknęła w swoich sprawach, a ja cierpiałam z powodu kaca.

— Wyjeżdżam — powiedział nekromanta, przysiadając koło mnie na łóżku.

— Szczęśliwej drogi — burknęłam i zamknęłam oczy. Pokój przestał się obracać, za to zaczęło kołysać się łóżko.

Irga położył mi chłodną dłoń na czole. Trochę ulżyło.

— Siedź tak — poprosiłam.

— Nie mogę zbyt długo — powiedział cicho. — Wyjeżdżam dzisiaj.

— Dokąd? Na długo? A przywieziesz mi coś?

— Na rok, do ojczyzny. Na staż.

— Na rok? — Podskoczyłam na łóżku, a głowa odezwała się ostrym bólem.

Z jękiem padłszy z powrotem, wyjęczałam:

— Dlaczego mi o tym powiedziałaś dopiero teraz? Stop, niczego nie mów!

Spełzłam z łóżka, niepewnym krokiem dotarłam do szafy. Miałam tam schowaną butelkę na klina i proszek od Liry. Proszek dawał momentalny pozytywny rezultat rano, za to wieczorem pojawiały się efekty uboczne — osłabienie, mdłości i pryszczki. Dlatego z tego leku korzystałam tylko w wyjątkowych wypadkach.

— Co wczoraj oblewaliście? — zapytał Irga.

— Przydzielili nam z Ottonem własną pracownię, jako perspektywicznym Mistrzom Artefaktów. — Obmacywałam podejrzliwie głowę. Mózg mi nie wyciekał uszami, oczy nie wypadały, a włosy po burzliwym wieczorze i ponurej nocy nawet zachowały jakieś pozory uczesania. — No i oblewaliśmy to nową partią alkoholu, który był przeznaczony na sprzedaż.

— I teraz już nie ma czego sprzedawać, mam rację?

— Masz, masz... — wymamrotałam, a moje spojrzenie padło na plakat wiszący nad łóżkiem: „Trzeba mniej pić!” Powinnam go przewiesić do pracowni, bo tutaj służy tylko jako wyrzut sumienia.

Środek w końcu podziałał. Usiadłam obok Irgi i poprosiłam:

— Powtórz jeszcze raz, dobrze?

— Wyjeżdżam do Rorritoru, na staż na tamtejszy uniwersytet.

— Po co?

— Wiesz, że stamtąd jest blisko do Gór Zmierzchowych. Robota dla nekromanty zawsze się znajdzie. A ja muszę podwyższać kwalifikacje.

— Cały rok... — powiedziałam. To po prostu nie mieściło mi się w głowie. To proponuje mi małżeństwo, to znów wyjeżdża na cały rok? I zostawia mnie samą?

— Będę obserwować cykl roczny tamtejszej pomroki. To zapewni mi dużo materiału do mojej dysertacji, czyli...

— Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś? — przerwałam mu. — Przecież nie zdecydowałeś się jechać dzisiaj z rana? Od dawna o tym wiedziałeś!

Zamilkł na dłuższą chwilę.

— Tak, od dawna wiedziałem, że wyjeżdżam. Pamiętasz, kiedy mi przysłałaś list z rysunkiem? Akurat wtedy zbierałem dokumenty potrzebne do przeniesienia.

Patrzałam na Irgę i wydało mi się, że wszystko to jest snem.

— Bałem się ci mówić — powiedział Irga ostrożnie. — Bałem się, że się oburzysz, obrazisz i nie zechcesz mnie widzieć.

— Oczywiście, że się oburzę! — zaczęłam krzyczeć. — Bardzo się oburzę! Będę krzyczeć! Ryczeć! Drapać...!

— Pluć jadem — podpowiedział nekromanta.

— Jak mogłeś?! Zostawić mnie tutaj! Samą! Po tym wszystkim, co zrobiłeś! Nie chcę cię widzieć!

— Właśnie tego się obawiałem — powiedział Irga. — Dlatego siedziałem cicho. Chciałem spędzić z tobą więcej czasu.

— Nie jedź nigdzie, to spędzisz — zaproponowałam.

— Nie mogę, rozumiesz? To dla mnie bardzo ważne!

— Spływaj stąd! — powiedziałam i położyłam się na łóżku, obróciwszy twarzą do ściany.

Irga pogłaskał mnie po głowie.

— Poszedł won! — zaczęłam krzyczeć, starając się, by w mym głosie nie brzmiały łzy. — Nienawidzę cię! Nienawidzę! I nie wyjdę za ciebie! Nigdy! I nie będę pisać listów! I w ogóle zapomnę o twoim istnieniu, ty bezczelny egoisto bez serca!

Nekromanta położył się obok i objął mnie. Kopałam i wydzierałam się, ale gdzie tam! Jego objęć nie sposób było rozerwać. Zmęczyłam się i rozplakałam. Irga pocałował mnie w szyję i wyszeptał do ucha:

— Wiesz, że jesteś najładniejszą dziewczyną na świecie? I najlepszą?

— Nie chcę cię słuchać! — zaszlochałam. — Wyjeżdżaj sobie.

— Nie odjadę — wyszeptał Irga — zanim nie powiem ci tego, co już dawno powinienem powiedzieć.

Ucichłam.

— Kocham cię. — Usta nekromanty dotykały mojego ucha i to łaskotało. — Bardzo, bardzo cię kocham.

W mojej głowie coś eksplodowało z ogłuszającym szumem. Możliwe, że to mój mózg urządził świąteczny fajerwerk, a może po prostu ogłuchłam ze zdziwienia.

— Od tej chwili, dawno temu, kiedy z mokrego kociaka zmieniałaś się w samodzielną dziewczynę z charakterem — mówił Irga, jedną ręką przyciskając mnie do siebie, a drugą pieszcząc. — I rzeczywiście chcę się z tobą ożenić. Marzę o tym. Po prostu czekałem, kiedy dorośniesz.

— Nie odjeżdżaj — powiedziałam cichutko.

— Nie mogę. To dla mnie bardzo ważne. Bardzo-bardzo.

— To przecież tak daleko!

— Zaledwie trzy dni drogi — rzekł Irga.

— Nie będę do ciebie jeździć — odpowiedziałam stanowczo.

— A ja będę do ciebie jeździć. I pisać. I bardzo tęsknić.

— A ja nie będę.

— Wiem — roześmiał się, odwrócił mnie zręcznie i pocałował. To był pocałunek, o jakich piszą w powieściach miłosnych. Nigdy bym nie przypuszczała, że coś takiego jest możliwe, lecz pocałunek, od którego kręci się w głowie, czuje się ciepło w brzuchu i chce się zaśpiewać z radości, rzeczywiście istnieje. Czuły, pieszczotliwy i jednocześnie stanowczy. Długi, lecz nie dokuczliwy. Pobudzający i uspokajający jednocześnie. Pocałunek ukochanego mężczyzny.

Otworzyłam oczy i popatrzyłam w bezdenne, czułe i kochające

niebieskie oczy Irgi.

— Mam nadzieję — powiedział — że to wspomnienie trochę osłodzi twoją samotność.

Czułam, jak w moim ciele dudniącymi wstrząsami pulsuje krew.

— Coś ty — odpowiedziałam światowym tonem. — Teraz będę szukać, może jeszcze kto tak potrafi!

— Ani mi się waż. — Nekromanta spoważniał. — Inaczej w twoim pokoju pojawią się dywaniki z naturalnej ludzkiej skóry.

— Tiu-tiu... — Już prawie zupełnie przysłałam do siebie. — A skąd ci przyszło do głowy, że ja będę na ciebie czekać?

Irga zamrugał, zaskoczony. O tym rzeczywiście nie pomyślał.

— No ale jak to? — wykrztusił.

— A tak to! Ty, znaczy się, niespodzianie wyjeżdżasz, a ja powinnam płakać i machać ci na pożegnanie chusteczką? A potem włożyć pas cnoty?

— Byłoby nieźle.

— Już. Zadzieram kiecę i lecę — odpowiedziałam szorstko. Jakby we mnie diabeł wstąpił — miałam ochotę krzyżeć, łamać krzesła i rzucać odłamkami w tego bezczelnego typa.

— Dobrze — powiedział Irga. — Przyznaję, że nie miałem racji. Kocham cię, Olu. I kiedy wrócę, dostaniesz i karocę z białymi końmi, i mnie w beżowym ubraniu, i kwiaty, i w ogóle wszystko, co zechcesz. Mam nadzieję, że wtedy nie będziesz mogła wymyślić żadnego wykrętu.

Zamyśliłam się.

— Kocham cię — powiedział Irga, pocałował mnie jeszcze raz i odszedł.

Uwolniłam się od tego bezczelnego, obrzydliwego, egoistycznego typa. Czekał mnie bardzo pasjonujący rok fachowej specjalizacji i wesołego studenckiego życia. Powinnam ostatecznie policzyć się z Blondasem, rozwinąć z Ottonem sieć sprzedawców naszego towaru, nie pozwolić bandzie Lima przechwycić naszych pozycji handlowych, namówić Befa, żeby nie dawał mi dodatkowych zadań... Przede mną jeszcze masa spraw.

W takim razie dlaczego w mojej duszy zapanowała pustka i tak okropnie chce mi się — nie, nie płakać — a zawyć, jak pies łańcuchowy, patrzący na księżyc? Dlaczego nagle poczułam się taka samotna?

— Będę na ciebie czekać — wyszeptałam, patrząc z okna, jak



chłopak moich marzeń powoli idzie przez miasteczko studenckie w stronę stacji dylizansów. — Będę na ciebie czekać i tylko spróbuj do mnie nie pisać!

... A wy mówicie, że miłość to tylko pozytywne emocje!

The background of the cover is a detailed illustration of a medieval town square. In the center is a stone fountain with a tall, slender column. To the right, a balcony with a wooden railing is visible, with a figure standing on it. The buildings are made of stone and have small windows. The overall atmosphere is historical and atmospheric, with a dark, muted color palette.

ALEKSANDRA  
RUDA

ODNALEŹĆ  
SWĄ  
DROGĘ

B

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Prolog. Ja i mój przyjaciel półkrasnolud](#)

[Pierwszy rok](#)

[Rozdział 1. Początek dorosłego życia](#)

[Rozdział 2. Kreska raz, kreska dwa](#)

[Rozdział 3. Wszyscy faceci to...?](#)

[Drugi rok](#)

[Rozdział 4. Sławetna popijawa](#)

[Rozdział 5. Egzamin z magii wykreślnej](#)

[Rozdział 6. Chleb w płynie](#)

[Rozdział 7. Praktyka z nekromagii](#)

[Rozdział 8. Silnie działający środek](#)

[Trzeci rok](#)

[Rozdział 9. Czapka](#)

[Rozdział 10. Odrobina romantyzmu](#)

[Rozdział 11. Oddziaływanie zewnętrzne](#)

[Rozdział 12. Zaliczenie letniej praktyki](#)

[Czwarty rok](#)

[Rozdział 13. Cierpienia z powodu figury](#)

[Rozdział 14. Nikomu niepotrzebna?](#)

[Rozdział 15. O tym, jak poszłam na randkę](#)

[Rozdział 16. Nekromantyczne kolczyki](#)

[Rozdział 17. Wilk w owczej skórze](#)

[Rozdział 18. Najlepszy wieczór w życiu](#)

[Rozdział 19. Męska wierność](#)

[Rozdział 20. Iść za księżycem](#)

[Rozdział 21. Miłość to nie problem?](#)

[Epilog: Ja i mój przyjaciel nekromanta](#)